III. 1, 14, 16

OLBRACHTOWI RYCERZE

ZYGMUNT KACZKOWSKI

OLBRACHTOWI RYCERZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM I

WARSZAWA
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLJOTEKA POLSKA"

Printed in Poland

Tekst opracował według wydania z roku 1889
Dr. Stefan Vitel-Wierczyński.

Zakłady graficzne Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska“ w Bydgoszczy.

WSTĘP.

Sie hören nicht die folgenden Gesaenge,
Die Seelen, denen ich die ersten sang;
Zerstoben ist das freundliche Gedraenge,
Verklungen, ach, der erste Wiederklang.
Mein Lied ertönt der unbekannten Menge,
Ihr Beifall selbst macht meinem Herzen bang;
Und was sich sonst an meinem Lied erfreuet,
Wenn es noch lebt, irrt in der Welt zerstreuet.

Goethe.

Pomiędzy rzekami Stryjem a Dniestrem, w kraju dziś sławnym nieprzebranemi bogactwy olejów skalnych, o trzy mile naprzestrzał od staro-ruskiego miasta Drohobycza, a o sześć mil od szczytu Bieszczadów, w dolinie zaklęsłej a rozramienionej pomiędzy grzbietami gór, sterczą szeroko porozrzucane olbrzymie skaliska, które od wieków są dziwowiskiem podróżnych, a zarazem siedzibą potwornych podań ludowych.

Skaliska te, znane powszechnie pod nazwiskiem „Kamienia w Uryczu", dzielą się na dwie odrębne gromady, nie zdradzając napozór żadnego związku ze sobą.

Jedna z nich, leżąca po drugiej stronie doliny, składa się też w istocie z kilkudziesięciu wiek-

szych i mniejszych kamiennych brył, poprzerastanych czarnym jodłowym lasem, leszczyną i jałowcami; było ich przed wiekami zapewne więcej, ale zczasem przykryły je ziemia, mchy i dzikie krzewiny. W tej gromadzie widać nieład natury, jakoby pobojowisko po jakiejś gwałtownej rewolucji żywiołów: ręka ludzka nie zostawiła tam żadnego śladu po sobie.

Natomiast druga gromada, więcej skupiona, a sterczącą ze stoku góry nad bezdenną przepaścią od północnego wschodu, uderza na pierwszy rzut oka widokiem jakby ruin ogromnego i bardzo starożytnego zamczyska.

Skalisty ten potwór, piętrzący się w chmury swemi pozostałemi basztami, a z jednej strony jakby nad samą paszczą piekielną zwieszony, w którejkolwiek dnia dobie widziany, przejmuje podziwem i grozą. Tu bowiem, obok olbrzymich tworów natury, pnących się w niebo z zuchwalstwem niczem nieokiełznanych żywiołów, a zarazem głęboko wbitych w wnętrzności ziemi, widoczne są ślady, że tutaj niegdyś mieszkali ludzie.

Dość rzucić okiem na te skaliska, ażeby dostrzec, że kiedyś, zapewne jeszcze w wiekach zamierzchłych, człowiek opanował tę w puszczach leśnych zatopioną dzikich zwierząt siedzibę i pracą wielu lat i wielu tysięcy rąk ludzkich zamienił w zamek obronny. Albowiem na najwyższych szczytach tych skał widać izby, wewnątrz wykute, i wschody, do nich wiodące, a opatrzone kamiennemi gankami; gdzie indziej zaś wyglądają z pod mchów i krzewin sążniste mury z cegły i wapna, które z wiekami także zlały się w kamień.

Z tych skał ogromnych, które się zwycięsko

oparły zniszczeniu wieków, a wyglądają, jak baszty lub wieże w gruz zapadłego zamczyska, dzisiaj jeszcze pozostały cztery. Dwie mniejsze, sterczące od północy w odległości kilkunastu stóp jedna od drugiej, stały widocznie swojego czasu na straży głównego wjazdu i obejmowały pomiędzy sobą bramę zamkową. Pomiędzy nie wchodzi się w obszerny dziedziniec, dziś trawą i chwastem zarosły, lecz bez wątpienia naturalną i jednolitą płytą kamienną nakryty. Pod dziedzińcem musi być próżnia, zapewne ludzkiemi rękami wykuta, nawet prawdopodobnie do dalszych prowadząca podziemi, bo za uderzeniem w posadzkę głuche odzywa się echo, powtarza się kilkakrotnie woddali i dopiero po chwili ucicha. W jednym rogu dziedzińca jest studnia, w skale wykuta, dziś zasypana gruzami. Po lewej ręce ciągnie się mur skalisty, którego posady wszakże dojrzeć nie można, zwiesza się bowiem nad bezdenną przepaścią, która tak jest głęboką, że rosnące po jej brzegach wiekowe jodły szczytami swemi zaledwie dosięgają poziomu dziedzińca. Przepaści tej, na której dnie leżą trupy drzew przedwiekowych i olbrzymie kawały skał, a na nich znowu pnie zmurszałych jodeł, jeszcze nigdy promień słońca nie przedarł i nigdy stopa ludzka nie dotknęła. Nad nią, w rogu dziedzińca, wznosi się najwyższa baszta zamkowa.

Jest to wieża skalista, mierząca sto kilkadziesiąt stóp wysokości, rozdwojona u szczytu i piętrząca się dwiema iglicami ku niebu. O kilkanaście stóp poniżej iglic znajduje się izba, w skale wykuta, opatrzona resztkami krużganku. Z tego krużganku, na który jeszcze niedawno wejść było można po kamiennych, chociaż już bardzo oślizganych

progach, również w skale wykutych, przepyszny nawet gołemu oku przedstawiał się widok. Obejmował on bowiem kilkadziesiąt mil kraju, bogatego, jak róg obfitości, we wszystkie dary natury, płynącego od wieków mlekiem i miodem, a przerżniętego srebrnemi wstęgami Tyśmienicy i Stryja, Świcy i Dniestru i wielu innych rzek mniejszych, wijących się między tłustemi łąkami i cienistemi dąbrowy. Po prawej ręce widziałeś miasto Stryj, śpiące spokojnie na rozległej dolinie; przed tobą roił się handlowy gród starej Rusi, Drohobycz, cokolwiek dalej na lewo gubił się w sinawej mgle Sambor, ze wspaniałemi wieżami swoich kościołów i cerkwi, z białemi, jak śnieg, ulicami, otoczony dokoła pysznemi sadami drzew owocowych i złotemi łanami pszenicy, a siedzący na brzegu uciekającej przed twojem okiem równiny, która jest niby pierwszym kobiercem stepów podolskich, ścielącym się pod nogi apostołom ludzkości i oświaty, przybywającym z zachodu...

Czwarta nakoniec baszta, cokolwiek niższa od poprzedzającej, a stojąca w rogu zachodnim dziedzińca, lecz także niegdyś mieszkalna, dzisiaj zaś w różnych miejscach poprzerywana u szczytu, w dziwnych przedstawia się kształtach, które zdają się być jakoby ruchome i w wyobraźni przybierają rysunek ludzkich postaci.

Tak z jednej strony, gdzie skała chyli się ku wschodowi, widzisz jakoby stojącego na jej szczycie rycerza, który na hełm i zbroję kaptur mnisi zarzucił, i stoi tak nad przepaścią, jakgdyby się w nią chciał rzucić, a przed śmiercią ostatniem dumnem spojrzeniem grozi pogardzonemu przez siebie światu. Z drugiej strony, gdzie skała się

zwiesza ku dziedzińcowi, widzisz jakoby dziewicę z załamanemi z rozpaczy rękami, która chciałaby z miejsca się ruszyć i zstąpić w dziedziniec — a nie może, bo jest skamieniałą.

Kiedy warstwa mgły białej położy się na tych ruinach, co się często zdarza w tych górach, tak, że tylko wierzchołki tych skał nad nią się wznoszą i zdają się wisieć w powietrzu, wtedy postacie te rysują się daleko wyraźniej, natenczas i dumnie w przepaść spoglądającego rycerza, i skamieniałą w swym ruchu dziewicę, widać jakoby żywe — i jest to widowisko wspaniałe i groźne, przy którem oczy twoje się otwierają szeroko i oddech zapiera się w piersi. Widok ten wszakże staje się strasznym i przejmującym wśród jasnej nocy; natenczas bowiem postacie te malują się czarno na niebios błękicie, duch w nie wstępuje, zdają się ruszać na swoich kamiennych podstawach — a kiedy wyobraźnia usiłuje przeczuwać ich myśli i czyny z tych czasów, kiedy żyły na ziemi, w piwnicach zamku głuche odzywają się echa, w głębiach zaś tej przepaści, gdzie stare pnie leżą przysypane drzazgami skał, słychać szumy i jęki przytłumione, niknące wdali, ale tak przeraźliwe i takie nieziemskie, że, ktokolwiek je słyszał, uczuł drżenie w głębi swej duszy i uwierzył powieści ludowej, że tam mieszkają duchy pokutujące. Toż jeszcze nikt tam nocy nie przespał w tych strasznych ruinach, a kto przypadkiem po zmroku się zabłąka, żegna się krzyżem świętym, popędza konie i mija je jak najprędzej...

Pomiędzy ludem okolicznym krążą wielorakie, lecz dziwnie zamglone i poplątane ze sobą podania o tem starem zamczysku. Najdawniejsze

z nich sięgają tego pomroku dziejów, z którego, na podstawie jakiejś ustnej lub pisanej wieści o jakimś chanie albo carzyku, o niezliczonych hordach, którym hetmanił, o wielu zamkach, które posiadał, o złotych skarbach, które zakopał, tak samo bajarze gminni, jak i piśmienni, wysnuwają mniej albo więcej potworne baśnie, nie mające żadnego wiarogodnego świadectwa za sobą. Podania te, krążące po chatach sąsiednich bojków, a uporządkowane cokolwiek przez ludzi piśmiennych, mówią, co następuje:

Przed tylu a tylu wiekami, kiedy jeszcze Rusi nie było, a góry te były zamieszkane przez szczep słowiański Weletów, zwących się także Wilkami, jeden wielki żupan Weletów, który sam się wilkiem nazywał, mając duchy nieczyste na swoje usługi, zmurował z tych skalisk odwieczny zamek obronny i kazał pod nim wykuć obszerne piwnice, w których chował swe skarby, a które podziemnym kanałem, idącym popod rzekę i staw, łączyły się z ową drugą gromadą skał, leżącą po tamtej stronie doliny. Weletowie, szczep miljonowy i bardzo waleczny, pociągnęli dalej ku północnemu zachodowi, zalewając sobą wszystkie kraje, opierające się o morza północne, i sięgając nawet do wysp, za temi morzami leżących. Wilk wszakże tutaj pozostał, żyjąc z swą młodą żoną na swoim zamku w szczęściu i dostatkach, które zapomocą duchów nieczystych ustawicznie pomnażał. Biesiady, muzyka i tańce trwały po całych nocach na jego zamku aż do świtania; wszakże kiedy jednego zarania, nie dosłyszawszy piania kurów, złamał zawartą z duchami umowę, duchy zburzyły zamek i zamieniły jego i jego żonę w owe poprzerywane

skały, które jeszcze dziś stoją na ruinach zamkowych. Jaka to była umowa, podanie nie wie, lecz opowiada dalej:

W wiele lat potem Tatarzy zaleli powstałe tymczasem księstwo halickie, a na ich czele szedł ich chan owoczesny, Szełudywy Buniak, pół-człowiek, pół-demon, z czupryną wichrowatą, jak strzecha, z brodą sięgającą do ziemi, którą jego czeladź na rozkaz podnosiła złotemi widłami, z brzuchem otwartym i koszlawemi nogami, i podstąpił pod miasto Bycz, zbudowane nad rzeką Tyśmienicą, gdzie dzisiaj leży wieś Tustanowice. Mieszczanie byccy, ufając wałom i częstokołom, któremi było otoczone ich miasto, mając przytem dostatek broni, zawarli się w mieście i postanowili stawić opór Tatarom. Buniak oblegał ich długo daremnie, aż wreszcie użył fortelu. Wyprawił posły do miasta z zapewnieniem, że od oblężenia odstąpi, a przyjmie okup i żąda niewiele: z każdego dymu tylko jednego gołębia. Byczanie zaraz na tę umowę przystali i posłali mu po jednym gołębiu z każdego dymu. Lecz chytry Buniak poprzyczepiał każdemu gołębiowi zatloną hubkę pod skrzydła i puścił je wolno. Gołębie wróciły, każdy do swego dymu pod strzechę, a w chwilę potem całe miasto stanęło w płomieniach. Tatarzy skorzystali z pożaru, napadli na miasto, złupili je i zniszczyli tak, że kamień na kamieniu nie został, mieszkańców zaś w części wymordowali, a w części wzięli w niewolę. Tymi niewolnikami Buniak założył inne miasto, drugi Bycz, dzisiejszy Drohobycz. Sam zaś z swym dworem osiadł na zamku Uryckim, który na nowo odbudował, basztami i strzelnicami opatrzył i napełnił nieprzebranemi skarbami. Po-

danie dodaje z naciskiem, iż w osadach, zamkowi podległych, pozakładał warsztaty tkackie, na których wyrabiano parczowe jedwabie i sędy ze złota i srebra, tkając z nich przepyszne kamchy, aksamity i złotogłowia, które sprzedawał w mieście Tustaniu, w Drohobyczy i we Lwowie. Tym trybem nagromadził wielkie bogactwa, które chował w piwnicach. Przy nich żył hucznie i szumno, wśród biesiad i tańców, ale bez muzyki, bo nie miał grajków pomiędzy swoimi Tatary. Była wieść głucha, że djabeł, z którym był w zmowie, zakazał mu grania na zamku, tylko mu śpiewać pozwolił. Aż jednego dnia przyszli muzykanci pod zamek, przyszli wierzchem Starego-horbu, wracając z wesela ze Schodnicy, a była ich cała sotnia, albo i więcej. Tatarski burgrabia dał o tem znać swemu panu, a Buniak ich przyjął z ochotą. I kazał zwołać cały swój dwór i wyprawił wielką biesiadę z tańcami, przy której wina i miody lały się strugami. Ale muzykanci tylko udawali, że piją, w rzeczy zaś leli wino w zanadrze; toż kiedy Buniak tak się upił z swym dworem, że wszyscy leżeli bez duszy, muzykanci spuścili się do piwnic, zabrali skarbów, co mogli, a wychodząc obładowani, pozostawili zatlone wióry przy beczkach prochu, przechowywanych w piwnicy. Kiedy już wszyscy wyszli szczęśliwie poza ostatnie okopy zamku, straszliwy huk dał się słyszeć, prochy się zapaliły i zamek wyleciał w powietrze... Szeludywy Buniak, ile że sam był czarnoksiężnikiem, oszukał djabła i ocalał, a wsiadłszy na złotą koleśnicę, do której zaprzągł skrzydlate konie, ujechał do Węgier. Ale djabeł dopędził go na szczycie Bieszczadu, zrzucił woźnicę z kozła, sam wziął lejce do ręki i ko-

leśnicę w jar głęboki wywrócił, gdzie się razem z Buniakiem zapadła pod ziemię. Wszelako i muzykanci nie uszli bezkarnie, bo starszy murza Buniaka, którego podanie także zwie Wielkim, zebrał Tatarów, leżących po wsiach obozem, zgonił ich, skarby odebrał i uszy im poobcinał; potomkowie ich żyją do dziś dnia we wsi Kruszelnicy, nazywają się Czulewicze i noszą imionisko Bezuszków.

Są jeszcze inne podania z cokolwiek późniejszych czasów, w których na miejscu chana carzyk panuje na zamku, zabiera drugiemu carzykowi żonę i na zamek przywozi; zaś jego rywal, przyzwawszy djabła na pomoc, zdobywa zamek i carzyka zwodziciela zabija, a djabeł burzy zamek zapomocą ogniów piekielnych.

Jednak w tych wszystkich podaniach występuje ktoś, zwany wielkim, i powtarza się z rozmaitemi zmianami powieść o djable, o muzyce i o zburzeniu zamku nadnaturalnemi siłami. Gdzie we wszystkich podaniach, zmieniających swe formy z wiekami, lecz przywiązanych do jednego miejsca, pewna treść stała się ciągle powtarza, tam w tej treści bywa zazwyczaj cokolwiek prawdy.

Dlatego, napatrzywszy się dosyta tym olbrzymim skaliskom i zagadkowym ruinom i wysłuchawszy wszystkich powieści o carzykach i chanach, którzy w wyobraźni ludowej w nich niegdyś mieszkali, ciekawy podróżny wchodzi jeszcze raz na dziedziniec i szuka bądź śladów architektury, bądź jakichkolwiek napisów, z którychby mógł jakieś pewniejsze zbudować wnioski tak o epoce, w której ten zamek był zaludniony, jak i o jego mieszkańcach.

Ale z architektury owego czasu niemasz dziś

prawie żadnego śladu; ani jednego filaru, ani jednego odłamka sklepienia, ani jednego gzymsu nie można się doszukać w nastroszonych w dziedzińcu drzazgach tej starożytnej budowy. Widać tylko resztki sążnistych murów z cegły i wapna, a mury takie mogą pochodzić z każdego wieku. Powykuwane w naturalnych skałach izby, krużganki, schody, nieprzemierzone pod dziedzińcem piwnice i dla gęstego powietrza dziś całkiem niedostępne pieczary, każą się tylko domniemywać, że są to roboty z czasów przedhistorycznych, z czasów takich, gdzie praca ludzka nie miała wartości, bo ją można było wygwałcić, ale epoki ich nikt nie oznaczy. Znajdowane różnemi czasy w tutejszych dziuplach okruchy kamiennych posągów dziwotwornej postaci i kształtów, rozmaite kruszcowe i kamienne narzędzia, których użytku już nie można odgadnąć, wygrzebywane wreszcie kociołki z pieniędzmi, o których wieść niesie — dozwalają przypuszczać, że dziwne te schowki i pieczary służyły niegdyś poganom jako świątynie i że może niejednokrotnie przechowywali się tutaj opryszki, których w tych górach po wszystkie wieki nie brakło. Na tem się kończą wszystkie ślady widoczne z tych czasów, które następne wieki przykryły swym pyłem.

Są wszelako napisy na ścianach skalistych. Przed laty blisko czterdziestu, kiedyśmy te ruiny po kilkakrotnie zwiedzali, było takich napisów, jakkolwiek już wtedy mocno zniszczonych i trudnych do odczytania jeszcze bardzo wiele. Mianowicie na owej olbrzymiej skale, u której szczytu znajdowała się izba z krużgankiem, była jedna ściana, bardzo obszerna i dosyć gładka, która nie-

mal cała była zasiana napisami, nawet w takiej wysokości, że ci, którzy po niej ryli żelaznem narzędziem, musieli używać drabiny. Powyżej tej ściany znajdowała się głęboka szczelina z progiem tak szerokim, że na nim nadzwyczaj gęste powyrastały krzewiny. Pomiędzy niemi bujały przedewszystkiem dzikie róże i powoje, których krzaczaste gałęzie zwieszały się na dół i zakrywały wyższą część ściany. Krzewy te utrzymywały cień i wilgoć przy ścianie, skąd poszło, że nawet dosyć głęboko wyryte litery zarastały mchem i ulegały zniszczeniu.

Nowsze napisy, których zresztą i po innych miejscach była mnogość niemała, nie mogą nikogo zajmować. Z najdawniejszych można było jeszcze wyczytać: *Ewar... Kuropat...* zapewne Ewaryst Kuropatnicki, znany geograf i zbieracz z końca XVIII wieku. *Zaklika Tarło. 1512. Herburth z Fulsztyna... 1585.* Byli to bez wątpienia ciekawi podróżni z bliższych okolic. W innem miejscu widać było bardzo wiele myśli nasuwający napis w tych słowach: *Veni et vidi, nunc Credo. J. F. Comes de Kergor...* trzy albo cztery litery nieczytelne, a dalej rok 1500. Tuż zaraz pod nim napis już wcale zagadkowy: *Pax tibi, amice Auctus.* Obok tych dwóch inny równie niejasny: *Na pohybel...* potem kilka słów całkiem zatartych, a pod niemi podpis bardzo trudny do wyczytania: *Biłowus Kniaź.*

Wszelako jedna część tej ściany była nakryta obszernym napisem, który, lubo najwięcej zniszczony, był jednak najwięcej zajmującym. Wyglądał on jakby nagrobek albo też napis na nagłówku kościoła, z czego powszechnie wnoszono,

że w tem miejscu, we wnętrzu skały znajdowała się kaplica, a pod nią zapewne groby familijne. U góry bowiem, na parę sążni wysokości, widać było wyryte trzy wielkie litery: *D. O. M.*, ponad któremi wyżłobiony był krzyż, prawie pół sążnia wysoki. Pod literami były wyryte dwa wiersze łacińskie, ale tak zniszczone, że tylko z wielką trudnością można się było domyśleć tych słów: *Piae memoriae... illustris... Domine... ex stirpe Kmythorum.* Pod temi słowami znowu krzyż mniejszy, a pod nim cztery wiersze polskie. Wiersze te były niegdyś bardzo starannie i dosyć głęboko wyżłobione w piaskowcu, a nawet, o ile się zdaje, zapuszczone jakąś smołą, zapewne w celu zachowania ich od zniszczenia; mimo to jednak zniszczały więcej niż inne, prawdopodobnie skutkiem pęknięcia skały w tem miejscu od prawej ręki u góry ku lewej na dole, przez co się utworzyła zaklęsłość, ściągająca wilgoć ku sobie. Wiersze te były jeszcze dlatego bardzo trudne do odczytania, ile że ten, który je rył, pomieszał litery gockie z łacińskiemi, jak to niejednokrotnie w rękopismach owego czasu widzimy, tak, że pozostałe fragmenty, zwłaszcza przy tamtoczesnej, całkiem dowolnej pisowni, stały się prawdziwemi hieroglifami. Toż z tego czterowierszowego hieroglifu można było jakokolwiek wyczytać tylko te słowa:

Duscha moya ... .
Zyemsską ssthrza .. .. roża
Nath zytsyem . . .. Panye,
Day ....

Pod temi wierszami był rok, z którego wszakże tylko trzy pierwsze cyfry zostały *M D C*, dalsze nieczytelne.

Z tych kilku napisów, chociaż tylko w maleńkiej cząstce zdecyfrowanych, zwłaszcza, jeśli je porównamy z podaniami, krążącemi pomiędzy ludem, w których koniecznie musiało być jakieś ziarnko prawdy, zdaje się niewątpliwie wynikać, że zamek ten, chociaż jego początki giną może w czasach zamierzchłych, istniał i był zamieszkanym jeszcze w wieku XV. Jeszcze natenczas mieszkali tu jacyś ludzie rycerscy, wrzały tu jakieś wielkie namiętności, odgrywały się jakieś sceny gwałtowne i zapewne tragiczne, po których nastąpiły, w sposób niezwykły, a silnie działający na wyobraźnię, zniszczenie zamku i śmierć jego mieszkańców. Zaś po ich śmierci zostali ludzie, którzy, wiedzeni ciekawością, wiarą i niewiarą, miłością i nienawiścią, odprawiali tutaj pielgrzymki i zostawiali po sobie napisy.

Jakiżto był ten zamek, którego okruchy, toczone rdzą tylu wieków i roznoszone wichrami, mają jeszcze dziś tak ogromne rozmiary? Jacy to byli ci ludzie, którzy takich olbrzymich skalisk potrzebowali na swoje mieszkanie? Jakie to były te wrzące namiętności, te wielkie cnoty lub zbrodnie, co sprowadziły gwałtowne zniszczenie zamku, a może i ludzi, wtenczas się tam znajdujących? Jakaż to wreszcie była ta nadludzka potęga, która z takich olbrzymich skał zbudowane zamczysko rozbiła w gruzy, a jego szczątki porozrzucała po całej dolinie?

Zatem niejeden uczony grzebał cierpliwie po zapleśniałych pergaminach i księgach i nic nie wygrzebał. Nad tem niejeden zbieracz starych pamiątek, badając słowo za słowem wszystkie podania i składając głoskę do głoski ze wszystkich na-

pisów, bardzo mozolnie rozmyślał — i nic nie wymyślił. Tu, pod tą olbrzymią skałą, która swojemi niebotycznemi iglicami porze przelatujące chmury, śród uroczystej ciszy tego cmentarza wspomnień dziejowych, niejeden młodzieniec, rozmiłowany w narodowej przeszłości, długie godziny przemarzył — i nic nie wymarzył.

Ale jest człowiek, który to wie i tobie opowie, twoim polskim językiem, prostym, a przezroczystym, ażeby ci się rozjaśniła ta przeszłość, szarą mgłą zapomnienia nakryta, i ażeby ci się zdawało, żeś sam żył wtedy i wszystko to widział własnemi oczyma, jak to wyczytasz poniżej.

I.

ZAMEK TUSTAŃ.

Ruiny zamku, które się dziś nazywają Kamieniem w Uryczu, w dawniejszych wiekach nie nosiły tego nazwiska. Wieś Urycz, leżąca nad Zgniłą Lipą, została założona dopiero przed dwustu kilkudziesięcią laty, a dawniej nie było tu żadnej osady, noszącej podobną nazwę. Zamek, tutaj stojący od najdawniejszych czasów, nazywał się Tustań. Nawet te skały, nim jeszcze je zamieniono na mieszkanie dla ludzi, a raczej cała tutejsza okolica, nosiły prawdopodobnie to samo nazwisko, o czem są także głuche wieści w podaniach ludowych.

Skały te w owej przedhistorycznej dobie, kiedy ludność tutejsza nie znała jeszcze chrześcijańskiej nauki, służyły za świątynię poganom, w której bałwochwalcze odprawiały się nabożeństwa; nawet i później, kiedy tutejsze bojki, szczep mieszańców krwi słowiańskiej i wołoskiej, co jeszcze dziś widać po ich budowie i rysach twarzy, przyjęli chrzest pod naciskiem swych książąt, a w gruncie serca hołdowali jeszcze pogaństwu, w tutejszych głębokich pieczarach kryli się ich

kapłani i odbywały się bałwochwalcze ofiary. Owe okruchy bożków kamiennych i rozmaitych narzędzi nieznanego dzisiaj użytku, które jeszcze niedawno tu znajdowano, z tamtych pochodzą czasów.

W XIII wieku, kiedy Tatarzy pod wodzą Batu-chana po raz pierwszy rozpuścili swoje zagony w Ruś owoczesną, pędząc, jak burza piekielna, wzdłuż Wisły w kraje polskie, na Kraków, na Szląsk i do Węgier, zrabowawszy Ruś całą doszczętu, pozostawiali za sobą załogi, które pilnowały skarbów zabranych. Ruś była wtedy jednym z najbogatszych krajów południowo-wschodnich; prowadząc nadzwyczajnie ruchliwy handel z Grecją, z całym Wschodem, a nawet lądową drogą z Indjami, nagromadziła bogactw wszelkiego rodzaju bez miary; liczni jej wówczas mieszkańcy, nie tylko po miastach i grodach, ale i po wsiach opływali w złoto, srebro i najpyszniejsze tkaniny wschodnie: dla przechowania tych cennych łupów, nimby mogły być przewiezione w kraje tatarskie, potrzeba było schowków obszernych i jakokolwiek obronnych. Owo więc wówczas Tatarzy, osadzając swoimi ludźmi co bezpieczniejsze zamki po kraju, opanowali tamże te skały tustańskie i zmurowali tu zamek swym obyczajem, który tem pewniej mógł stawić czoło jakimkolwiek napadom, ile że broniły go już od natury wzniesione, niedostępne skaliska. Wtedy też niewolnikami, których w kraju zniszczonym i zupełnie bezbronnym mogli mieć tysiącami, powykuwali te izby obszerne w skałach, porozszerzali dawniejsze pod skałami pieczary i przekopali kanał podziemny, wiodący pod rzekę i staw aż do owej drugiej gromady skał, którą jeszcze dziś widać po tamtej stronie doliny,

a gdzie zbudowali drugie, również obronne schronisko.

Tatarzy ci jednak, którzy tutaj osiedli, zdaje się, że jeszcze po ustąpieniu Batu-chana z Węgier w swe stepy zapadłe, przez długie lata tutaj siedzieli, albowiem wtedy opodal od zamku powstało ludne i bardzo ruchliwe miasteczko, które także nazwało się Tustań. Miasteczko to, którego ludność była mieszana ze skłonnych do handlu Tatarów i równie przemyślnych bojków, bardzo szybko się rozwinęło i przyszło do pewnego znaczenia. Mieszkańcy jego trudnili się głównie tkactwem, wyrabiając płótna z lnu i konopi, które wysyłali na Wschód, sprowadzając natomiast stamtąd bogate tkaniny wschodnie i skóry barwione. Czy miasteczko to jeszcze wtedy nazywali Rusini Bycz, jak utrzymuje podanie ludowe, czy była tu przedtem osada pod nazwą Chorostków, jak chcą kronikarze, tego dziś dociec nie można; wiemy tylko, iż z końcem owego wieku było ono otoczone obronnemi murami i było bogatsze, aniżeli Stryj i Drohobycz, a jego składy towarów były sławne na całej Rusi. W tym czasie nie było już wszakże Tatarów ani w mieście, ani na zamku. Bogaci mieszczanie zapewne ich w części strawili pomiędzy sobą i przerobili w Rusinów, a zresztą wykurzyli z zamku zapomocą swych książąt. Wtedy też zamek spustoszał, a tylko miasteczko zostało.

Pod owe czasy zagnieździli się w zamku czarnoksiężnicy, którzy rozmaitemi gusłami ściągali do siebie lud okoliczny. Widywano tam wtenczas duchy, błądzące po nocy pomiędzy murami; czasem na najwyższych szczytach zamkowych baszt zjawiały się nieludzkie postacie, ziejące ogniem

około siebie, a wtedy i z okien zamku wyskakiwały płomienne języki i czarne dymy z iskrami, które zapach siarki ścieliły po całej dolinie; innym razem słychać było huk głośny w zamkowych podziemiach, jakgdyby kucie młotów w hamerni. Byli to zapewne potomkowie Tatarów, albo może opryszki, którzy w dzień zabawiali się gusłami, aby odwrócić uwagę od swego rzemiosła, a w nocy przekuwali złoto i srebro, zrabowane pomiędzy ludźmi. Wielu ludzi rozumnych, których i wtedy nie brakło, było tego mniemania; wszelako żaden z książąt ruskich, ani wołoskich o ten zaczarowany zamek się nie pokusił — i zamek dalej pustoszał.

Dopiero Kazimierz Wielki, zabrawszy Czerwoną Ruś, zwrócił nań swoją uwagę, jako na budowę, z natury i z położenia silnie obronną, tak przeciw Węgrom albo Wołochom, jak przeciw nawale tatarskiej; nie bojąc się zaś ani duchów, ani czarnoksiężników, kazał go na nowo oprawić. Tak w owym czasie, kiedy za mądrą radą tego niespracowanego króla-murarza wzniesiono z gruntu albo poodnawiano zamki we Lwowie, w Sanoku, w Przemyślu, w Lubaczowie, w Trembowli, w Haliczu i Włodzimierzu, odmurowano także zamek w Tustaniu i postawiono go w stanie doskonałej obrony.

Wówczas, gdzie dzisiaj stoją ostatki dwóch baszt, od północy stała ogromna brama żelazna, obracająca się na żelaznych wrzeciądzach; nad nią zaś między dwiema basztami wznosiła się obszerna strażnica, opatrzona zewnątrz i wewnątrz kamiennym krużgankiem. Naokoło obszernego dziedzińca wznosiły się zabudowania zamkowe, z muru grubego na sążeń, a na dwa piętra wy-

sokie. Na dole znajdowały się stajnie, wozownie, lamusy, kordegarda i inne izby dla sług i żołnierzy, na pierwszem piętrze wysokie komnaty mieszkalne, na drugiem zaś mnóstwo izb mniejszych dla fraucymeru i gości. Kilka schodów kamiennych prowadziło do komnat, z których główne, znajdujące się naprzeciw bramy wjezdnej, były szerokie na kilka sążni i zaczynały się już na dziedzińcu, gdzie były opatrzone podwójną balustradą kamienną i ogromnemi kolumnami, na których spoczywał szeroki krużganek pierwszego piętra. Na tych schodach czekali zwykle żołnierze i goście postronni, co pośledniejsi, nim zostali wpuszczeni do pańskich pokojów. Z tych schodów także pan zamku miewał przemowy i wydawał rozkazy zgromadzonym w dziedzińcu żołnierzom, mieszczanom lub chłopom.

Dwie baszty narożne, z których pozostały jeszcze do dziś dnia takie olbrzymie szkielety, były podówczas jeszcze daleko grubsze i wyższe, obydwie zaś opatrzone strzelnicami. W czasach późniejszych uzbrojono je w śmigownice, których było po cztery na każdej, zaraz powyżej zębatych dachów zamkowych. Najwyższa zaś baszta skalista, w której jest izba wykuta, była opatrzona szerokim kamiennym krużgankiem, na którym można było siedzieć wygodnie i cieszyć się owym wspaniałym widokiem na okoliczne miasta i kraje. Ten krużganek basztowy, jak go też nazywano, był tak wysoki i tak górował wszystkie inne baszty i mury, że można zeń było widzieć, jakby na dłoni, kto wchodził lub wjeżdżał w główną bramę zamkową. Natomiast nie można było patrzeć na dół pod basztę nazewnątrz, tam bowiem znaj-

dowała się owa przepaść, dzisiaj drzazgami skał i zmurszałemi drzewy zasypana, a przepaść ta tak wtedy była głęboka, że nikt w niej nie mógł zapuścić wzroku, każdy dostawał zawrotu głowy i musiał się zaraz oprzeć o poręcz i oczy odwrócić. W tej baszcie, narówni z poziomem zamku, znajdowała się kaplica, a pod nią groby, ale próżne po wszystkie czasy, bo panowie tutejsi, chociaż mieszkali za życia, nie chcieli się chować w tym zamku. Chowali się wszyscy w Drohobyczy pod cerkwią, za Władysława Jagiełły zamienioną na kościół. Obok wchodu do grobów zaczynał się kanał podziemny, wtedy wycembrowany na nowo, a wychodzący na powierzchnię ziemi w tem miejscu, gdzie dzisiaj widać drugą gromadę skał, lasem jodłowym zarosłych. Wówczas znajdował się tam folwark zamkowy, zwany Posadą, w którym mało zajmowano się gospodarstwem rolnem, natomiast wszakże w bardzo obszernych stajniach i szopach chowano konie, bardzo piękne, silne i rosłe, które też na bujnych i tłustych pastwiskach leśnych tak dobrze się udawały, że w niczem nie ustępowały sławnym naówczas koniom stada Buczackich.

Zamek razem z miasteczkiem i bardzo wielkim obszarem łąk, pastwisk i lasów dokoła, na którym jednak wtedy jeszcze niewiele było osad i wiosek, był własnością królewską — a że zbudowany był nato, ażeby stanowił ogniwo całego łańcucha zamków obronnych od granicy węgierskiej, więc nigdy nie został zamieniony w starostwo, a siedział na nim po wszystkie czasy rotmistrz, mianowany przez króla, należący do wojskowego dworu królewskiego i mający pod sobą załogę, złożoną z żołnierzy, utrzymywany sumptem królewskim. Był

też zawsze zależnym tylko od króla i własną miał jurysdykcją. Starostowie grodowi bliższych okolic, stryjscy, żydaczowscy, przemyscy, wodząc się ustawicznie za łby ze sobą o granice swych jurysdykcyj, niejednokrotnie wyciągali rękę po zwierzchnictwo nad zamkiem tustańskim. Ale tutejsi rotmistrze zawsze im się umieli obronić — a w razie potrzeby król stawał w obronie ich niezawisłości, bo każdemu królowi, zwłaszcza od czasu, kiedy rozzuchwalona szlachta w imię powszechnej wolności zaczęła władzę królewską coraz bardziej ukrócać, niemało zależało na tem, aby miał zbrojnych ludzi rozsianych po całym kraju, na których-by w każdym wypadku mógł liczyć. To też bywały niejednokrotne starcia pomiędzy tymi rotmistrzami a szlachtą; urzędnicy ziemscy i wojewódzcy ich nie lubili, a chociaż im się należał tytuł starostów, bo w urzędowych aktach tytułowano ich *capitaneus,* przecież zwykle nazywano ich rotmistrzami.

Kazimierz Wielki miał obok siebie powiernika i przyjaciela, który się zwał Jan Suchywilk ze Strzelec, herbu Grzymała, a był najprzód dziekanem krakowskim, potem kanclerzem koronnym, aż go wkońcu król przy śmierci mianował egzekutorem swego testamentu. Kiedy król zabrał Czerwoną Ruś, Suchywilk był niejako jego zastępcą do wszelkich spraw tych krajów zabranych, i dlatego powszechnie dawano mu tytuł kanclerza dla ziem ruskich. Korzystając ze swego owoczesnego wpływu, jakoto zawsze rad pomaga swój swemu, ksiądz kanclerz za łaską królewską osadził swojego brata na zamku tustańskim. Brat ten pisał się czasami Mikołaj, a czasem Nyczko de Strzelcze

et de Baranów Suchywilk, Grzymalita. Grzymałowie zarówno z Nałęczami byli oddawna jednym z najpotężniejszych rodów w Wielkiejpolsce — wszakżeż niebawem potem prowadzili wojny ze sobą, które sam król Jagiełło musiał rozimać — ale byli też bardzo rozrodzeni i nie wszystkim wystarczało na suty kawałek chleba.

Mikołaj pochodził tylko ze Strzelec, ale ich nie miał; miał wprawdzie Baranów, w tłustych ziemiach leżący nad Wisłą, ale go musiał zastawić, bo, bijąc się przez cały wiek młody po cudzych krajach, narobił długów, z których się nie mógł inaczej wydobyć: toż to starostwo w Tustaniu było dla niego prawdziwym darem Opatrzności, który należało szanować i, ile możności, utrzymać. Jakoż stało się to niejako tradycyjnem przykazaniem w jego rodzinie: trzymać się Tustania, a Baranów wykupić. Potomkowie jego, chociaż niektórzy z nich byli już bliscy tego upragnionego celu, przecież Baranowa nie wykupili, bo zawsze, kiedy już grosz był uzbierany i mało co brakowało, to albo wojna wybuchła i dużo grosza napsuła, albo syna trzeba było w cudze kraje wyprawić, albo też córkom wypłacać posagi. Było też proroctwo w ich domu, które jakiś wędrowny rybałt im zostawił, napisawszy na szkaplerzu przyniesionym ze Ziemi świętej te słowa: „Który z was Baranów wykupi, będzie ostatnim z rodu". Tak ten i ów możeby był mógł ten majątek wykupić, ale bał się proroctwa. Natomiast wszakże wszyscy trzymali się rękami i nogami Tustania — i stała się ta rzecz, dosyć dziwna pod owe czasy, że go przez króle węgierskie i książęta opolskie, i przeróżne matactwa duchowne i świeckie za Kazimierza Jagiel-

lończyka przetrzymali, przez sto pięćdziesiąt lat blisko nie wypuścili z ręki i do dziś dnia na nim siedzieli. Tak skalistą i niepożytą była naówczas ta prześwietna krew wielkopolska, natchniona duchem świętym miłości ziemi przez Bolesława Chrobrego, a zaprawiona nieustającą walką z Niemcami. Ale też ci Grzymalici Wilkowie, jak ich powszechnie nazywano w tym kraju, a do którego to nazwiska i podanie ludowe się przyczepiło, byli to ludzie twardzi, wytrwali i trzymający się ściśle swoich rodowych przykazań. Każdy z nich już z dziecka przykładał się do rycerskiego rzemiosła na zamku ojcowskim, wyrostkiem szedł na służbę do najprzedniejszych rycerzy w ojczyźnie, młodzieńcem zaś wyprawiał się w cudze kraje, kędy właśnie wojny bywały, i tam się bijał z Maury, murzyny i Saraceny, aż póki nie wrócił z zaszczytnemi świadectwy od królów postronnych na zamek krakowski. Wtedy żaden król nie śmiał jemu odmówić sukcesji po ojcu — a kiedy ten zamek odzierżał, podobno już nikomu i na myśl nie przyszło mu go odbierać, bo tych skalisk tutejszych niktby i zębami nie ugryzł.

Za króla Olbrachta siedział na tym zamku Lenard Suchywilk Grzymalita, piszący się zawsze de Strzelcze et de Baranów, *Rothmagister Serenissimi Regis, Capitaneus in Castro Tustań.* Był to wtedy człek jeszcze młody, miał lat dwadzieścia sześć, albo mało co więcej, pięknego był wzrostu, ale nie nadto wysoki, a suchej kompleksji, jak wszyscy jego przodkowie, z czego też i przezwisko *Suchywilk* jeszcze jego praszczurowi, owemu kanclerzowi ziem ruskich, przyrosło. Mimo to jednak kość miał potężną, muszkuły silne, a taką sprawność

w całej swojej postaci, że w pełnym rynsztunku wskoczyć na konia bez strzemion, albo się wdrapać na najwyższy cypel wieży, było mu prawie zabawką,. do czego zresztą się przedewszystkiem wprawiało całe owoczesne rycerstwo. Twarz także miał chudą, cerę zlekka smagławą, lecz zdrową, nos chrząstkowaty i równy, oczy wyraziste i zwykle bardzo łagodne, lecz czasem dziko błyszczące, wąs niewielki i bródkę przystrzyżoną śpiczasto; zaś swój włos ciemny, bogaty, nosił w kędziorach, spadających na plecy, tylko nad czołem go krótko przystrzygał, ażeby w bitwie, gdzie często piersią o pierś trzeba się zetrzeć, jakiś wróg zapalczywy nie mógł go wziąć za czuprynę, co już dla knechta byłoby rzeczą bardzo szpetną, a dla rycerza wcale haniebną. Kiedy sam bywał w domu, ubierał się w kaftan łosiowy brunatny, a przepasywał się pasem skórzanym, nosił buty wysokie powyżej kolan, pod kolanami rzemykiem spięte i opatrzone w srebrne ostrogi, a na głowie kapelusz pilśniowy z szeroką krezą i strusiemi piórami. Głowę nosił wedle humoru, który od chwili do chwili się zmieniał u niego. Czasem był cichy, spokojny i zamyślony, a ludzie jego zauważali, że wtedy z duchami rozmawia. W takie dnie często wieczorami wykradał się z zamku i nikt nigdy nie wiedział, gdzie bywał... Lecz często głowę nosił wysoko, męczył swoich żołnierzy musztrami konno i pieszo, kazał występować załodze w miasteczku, opatrywał mury i baszty, burczał wszystkich, tego i owego kazał wrzucić do turmy — a wtedy, choćby kto był kasztelanem lub wojewodą, musiał mu zmilczeć, zwłaszcza na jego terytorjum, gdzie też miał jurysdykcją. To też w całej okolicy mówiono so-

bie, że to pan wielki, czuje króla i kardynała za sobą, i kiedyś przyjdzie do wielkich dostojeństw.

Wszelako, mimo tych zmiennych humorów, czy pogoda, czy słota, ba, nawet po mrozie trzaskającym, codziennie rano wsiadał na koń i jechał na folwark, gdzie w obszernych dziedzińcach konie ujeżdżał albo swoim pacholikom kazał je musztrować przed sobą. Albowiem zawsze miał kilku, a czasem i kilkunastu młodzieży przy sobie, którzy się u niego uczyli rycerskiego rzemiosła. Byli to synowie drobniejszej szlachty, bogatych kmieci albo i mieszczan z bliższych okolic, którzy szli chętnie na służbę do niego, bo w swojej szkole umiejętnej a twardej bardzo prędko ich wyuczał na knechtów, zaczem w czasie wojny mogli się tem łatwiej odznaczyć i pasowani być na rycerzy. Toż szkoła jego, chociaż dopiero od lat kilku tu mieszkał, była sławną na całej Rusi, lecz jeszcze sławniejszem jego stado, prowadzone przez jego ojców od blisko półtora wieku z wielką skrzętnością i znawstwem. Od najdawniejszych czasów dwa gatunki koni chowano w tem stadzie: jedne ogromne, niezmiernie silne i bardzo wyniosłe, które nosiły na sobie zbroję żelazną i których rycerz zażywał do bitwy — a drugie mniejsze, równie silne, lecz szybsze do biegu, a przeto dogodniejsze do podróży i pod pacholików. Tamte zwano *dextrarius* — i były to konie bardzo rozumne, przytomne, waleczne, rozumiejące się z jeźdźcem, a często z nim razem walczące zębami i kopytami. Konie tej rasy w Polsce chowane, były często już z urodzenia całkiem białej szerści i były znane i bardzo cenione w całych Niemczech i we Francji, o czem niemało jest wspomnień w ówczesnych pamiętni-

kach tych obydwóch narodów. Suchywilk miał zawsze kilka takich ogierów (na klacze żaden rycerz owego czasu nie siadał), często całe dnie z niemi trawił i wyuczał je takich sztuk rozmaitych, że wszystkich niemi zadziwiał. To też lud okoliczny opowiadał sobie o nim, że się mowy końskiej nauczył i z koniem tak samo rozmawiał, jak z człekiem.

Młody Lenard, ówczesnym zwyczajem rycerskim, do siedmiu lat chował się w domu pod opieką matki, potem siedem lat strawił na dworze Kmitów na Sobniu, gdzie był bardzo kochany i jeszcze później czasem powracał, stamtąd się dostał na dwór królewski na pazia, ale niebawem przeniósł się do dworu królewicza Fryderyka, gdzie przepędził lat kilka. Jednak już w dwudziestym roku życia poszedł w cudze kraje, gdzie w Niemczech, we Francji i w Hiszpanji u rozmaitych książąt trzy lata przesłużył i dopiero w roku wstąpienia na tron króla Olbrachta do Polski powrócił. Wtedy, zyskawszy łaskę królewską, a zresztą za przyczyną królewskiego brata, który tymczasem został biskupem krakowskim, wszedł w komput armji królewskiej i jest mianowany rotmistrzem. W tej służbie przepędził jakie pół roku, a kiedy właśnie jego ojciec umiera (matka już od lat kilku nie żyła), król mu oddaje Tustań po ojcu. Natenczas Wilczek — bo tak go nazywano jeszcze u Kmitów i to przezwisko na zawsze mu zostało — osiadł na zamku ojcowskim, objął komendę nad zamkiem i załogami, ale mało co zmienił w urządzeniach ojcowskich.

Załogi te w czasie pokoju były bardzo nieliczne. Na zamku było tylko czterdziestu czeladzi konnej razem z starszyzną, których z niemiecka nazywano

knechtami. Każdy z nich miał na sobie kaftan łosiowy, lekki pancerz na piersi z półpłaciem na plecach, łapki żelazne na rękach i hełmik bez piór; uzbrojony zaś był tylko w miecz krótki, w toporek i tarczę, w blachę okutą. Pióra na hełmie nosił tylko namiestnik, zaś obok niego tylko ci żołnierze, co pochodzili z rodzin szlacheckich.

Nad nimi miał komendę pan Ramułt, który był zarazem burgrabią na zamku i rządcą całego obszaru i wszystkich włości, które należały do zamku. Był to szlachcic herbowny i mający własną posiadłość pod Drohobyczem (nagrobki jego potomków można jeszcze dziś widzieć w drohobyckim kościele), człowiek lat pięćdziesięciu, z pięknym wąsem szpakowatym i krótko podstrzyżoną czupryną, barczysty i słuszny, żołnierz doświadczony, lecz przytem gospodarz wyborny, umiejący łączyć zapobiegliwość z nieposzlakowaną zacnością. Bywał on zwykle milczący i chmurny, ale pod temi chmurami złote kryło się serce. Zamożny był zdawna, ale ponieważ jego przodkowie bywali burgrabiami na zamku i namiestnikami tamtejszych rotmistrzów, więc i on został w tej służbie. Wielce był niegdyś przywiązany do ojca Lenarda, więc czuwał także z miłością nad synem, chociaż nie zawsze był z niego zadowolony. Był żonaty i dużo miał dzieci; żona jego zawiadywała gospodarstwem kobiecem na zamku i często tu przebywała, ale daleko chętniej zdawała ten urząd na starą klucznicę, a sama się wymykała do swego dworku; wyjeżdżając zaś, zwykle mówiła na ucho swemu mężowi:

— A piłuj tam naszego pana, aby się kędyś ożenił, bo tak niedobrze.

Załoga w mieście powinna była wynosić sto ludzi, a między nimi dwudziestu łuczników konnych, reszta zaś kopijników pieszych, uzbrojonych włóczniami i toporami. Utrzymywanie tych ludzi było właściwie obowiązkiem starosty, rezydującego na zamku, ale od czasu, jak miasto zaczęło się podnosić i urosło w bogactwa, wtłoczono ten ciężar na mieszczan, którzy wprawdzie mieli swojego burmistrza i radnych, ale magdeburgji nie mieli i byli podlegli tustańskiemu staroście. Starosta miał pewne powody nie obciążać mieszczan, a patrzeć na stan tej załogi przez szpary: toż zamiast ośmdziesięciu kopijników, chociaż wszyscy byli spisani i broń dla nich była w cekhauzie, błąkało się tam ledwie kilkunastu halabardników, których cała służba ograniczała się na chwytaniu złodziejów i stróży nocnej. Natomiast wszakże musieli utrzymywać, wprawdzie także nie dwudziestu, ale dziesięciu łuczników konnych, bo nad tą miejską załogą miał komendę Biłowus, człek uparty i nieużyty. O piechotę nie dbał, ale tych konnych mieć musiał: proszony i podarunkami obsypywany przez mieszczan, z dwudziestu spuścił na dziesięciu, ale ci dziesięciu musieli koniecznie i zawsze mieć konie i całe uzbrojenie w porządku. Szczęściem, że z poszanowania dla dawnych tradycyj nie bronił zwierzchności miejskiej używać ich na posyłki i do innych służb miejskich, zwłaszcza podczas jarmarków — a tak ten wielki wydatek choć w małej części opłacał się miastu.

Wilczek, objąwszy rządy, zrazu był się zamachnął, aby Biłowusowi tę komendę odebrać. Nie chodziło mu o tę dziesiątkę łuczników, lecz o to, że w obrębie swego starostwa nie chciał cierpieć

urzędu i urzędnika, niemianowanych przez niego samego. Prócz tego Biłowus sprawował urząd poborcy podatków we wszystkich osadach, należących do zamku, a ile razy się dowiedział, że Wilczek wyprawił którego z swych knechtów z listami, zawsze się zjawiał u niego i natarczywie upominał się o to, ażeby tylko jego wyprawiano z wszelkiemi poselstwy, bo mu się to z dawnego prawa należy. Toż Wilczek przez blisko dwa lata ponawiał kilkakrotnie swoje przeciwko niemu zamachy, a mianowicie za każdym razem, kiedy po kilkomiesięcznym pobycie w Krakowie albo we Lwowie powracał na zamek. Ale Biłowus nigdy nie dał się przemóc — a jak mu tylko o ustąpieniu wspomniano, skakał w oczy, jak gadzina, choćby samemu panu, a potem jeszcze i groził.

Rusin ten bowiem pochodził z bojarów putnych — a to bywali ludzie twardzi, jak krzemień. Dawnemi czasy, za książąt ruskich, niektórzy z nich byli prawdziwymi bojarami dumnymi, mieli znaczne posiadłości i własne drużyny, ale zczasem zmaleli; niektórzy dlatego, że zagony tatarskie zniszczyły ich mienie doszczętu, inni zaś z tego powodu, iż wobec zalewających te kraje Węgrów i Polaków nie umieli im kroku dotrzymać ani w sprawach rycerskich, ani w utrzymywaniu swoich majątków, ani w obronie praw swoich. Tak wielu z nich zeszło na bojarów putnych, którzy się utrzymywali tylko przy małych osadach, a których nowi panowie używali zazwyczaj do poboru podatków i ważniejszych posyłek z publicznemi pismami, za co im dawali jurgielty i podarunki.

O przodkach Biłowusa była wieść, że byli niegdyś bojarami dumnymi i posiadali w okolicach

zamku wielkie obszary ziemi, na których ludne znajdowały się osady, lecz zczasem także podupadli, tak, że dzisiejszy Biłowus miał już tylko dwa łany ziemi, a na nich bardzo skromne budynki i maleńką forteczkę, i był tylko wójtem we wsi, należącej do zamku. Wójtów we wsiach ruskich nazywano kniaziami, dlatego i on nosił ten tytuł. Został mu także urząd poborcy podatków, nie przynoszący wprawdzie miłości u ludu, ale cokolwiek dochodu, prawo rozwożenia listów starosty, które mu odebrano, i komenda nad miejską załogą, jak się już wyżej wspomniało, nadzwyczajnie zmalała. Teraz młody starosta chciał mu i to jeszcze odebrać. Biłowus się bronił pazurami i kłami i wtedy nieraz okrutnie wykrzykiwał po dziedzińcu zamkowym. — „A szczoto! — wołał językiem mieszanym, ale tak głośno, że szyby w oknach brzęczały. — Z bojara mnie zgnietli na kniazia, z sotnyka na desiatnyka, z poborcy na draba, bo biedni ludzie nie mają czem płacić i trzeba ich grabić — a i to jeszcze chcą mi odbierać?! Ej, ty panie starosto, nie graj ty ze mną, bo ja chłopom podatki daruję i zburzę czerniawę — a wtedy patrz, abyś się ty na twoim zamku odzierżył! Ale nie zdzierżysz, powiadam tobie, nie zdzierżysz!“ — A tak hałasując, wykrzykiwania swoje i groźby powtarzał jeszcze z za bramy. Tak trwały te swary przez blisko dwa lata, a wtedy załoga zamkowa pomiędzy sobą mówiła, że wszystko to się na nic nie zdało, ile że starosta jest twardszy od Biłowusa, znosi mu jego opór do czasu, bo pewnie nie chce, aby mu kniaź chłopów poburzył; ale któregoś dnia, jak go gniew porwie, nie tylko z miejskiej komendy, ale i z jego fortecy tak go wyrzuci, jakby kto jabłko strącił

z jabłoni. Tak to starosta sam nieraz powiadał knechtom, kiedy z nimi po pracy na folwarku spoczywał...

Tymczasem, temu rok jakoś albo mało co więcej, starosta nagle dla Biłowusa się zmienił, ale tak nagle, jak gdyby czarownica rzuciła na niego uroki. Już odtąd nigdy ani jednego złego słowa nie wyrzekł o nim, owszem nieraz go chwalił przed służbą, mówiąc: — „Staroświecki to żołnierz, ale waleczny i może bardzo być pożyteczny. Trzeba owych sto ludzi nazad postawić na nogi w mieście i oddać mu nad nimi komendę". — Jakoż i w rzeczy kazał mu z jakich trzydziestu kopijników uzbroić, a Biłowusa wciąż pilił, aby ich dobrze służby nauczył. Wtedy też niemal co dwa tygodnie go wyprawiał z listami do Sambora, do Przemyśla, a nawet do Lwowa, tam zaś nie zaraz go odprawiano, tak, że czasem i cały miesiąc był w drodze. Zaczem szły zawsze sowite jurgielty od starosty na drogę, traktamenty od panów, do których jeździł z listami, a po powrocie znów podarunki, że się dobrze sprawił z poselstwem. Ludzie zamkowi bardzo się dziwowali tej szczodrobliwości, mówiąc: — „Ot, jako to łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a nigdy nie wiedzieć, kiedy przyjedzie, a kiedy odjedzie".

Tylko pomiędzy babami, że to są zawsze ciekawsze od mężczyzn, rozmaite chodziły plotki. Tam przy studni i przy kądzieli opowiadano sobie, że Biłowus ma córkę, bardzo piękną dziewczynę, której strzeże, jak oka w głowie, bo ją chce wydać za jakiego bojara, któremuby mógł spuścić swoje majątki i swoje urzędy. Dziewka ta tak jest przezeń strzeżona, że nawet do cerkwi sam ją

prowadzi i sam odprowadza do domu. Ale jest przy-niej jakieś stare babsko, którą powiadają jej ciotką, a której bardzo źle patrzy z oczu. A że to baba i djabła oszuka, więc kto tam wie, co się tam dzieje...

Baba ta, tak to sobie opowiadano, ma kędyś pod Wisznią, niedaleko od jakiegoś cudotwórczego klasztoru, swoją własną osadę, gdzie też po wszystkie czasy mieszkała. Ludzie, którzy chodzili do klasztoru, prosząc księży o pomoc, kiedy księża im nie pomogli, szli do niej po radę — i z tem jej bardzo dobrze się działo. A przecież porzuciła własne obejście i przyszła do Biłowusa, gdzie z pani stała się sługą, swej woli nie ma, a często jeszcze od tego starego niedźwiedzia może szturchańca oberwie. Niechże to kto wytłumaczy. Nareszcie co świegotliwsze kobiety jeszcze i to dodawały, że wcale nie wiedzieć, kędy się wieczorami wymyka starosta, że go widziano jako przy płocie z tą starą babą rozmawiał, że nawet jednego wieczora zauważono, jako wszedł do Biłowusa chałupy i zniknął. Ta stara baba nazywała się Marucha, dziewce zaś Biłowusowej było na imię Ofka — i takie to powieści o nich noszono po kątach zamkowych, z uszczerbkiem dobrej sławy może całe niewinnej dziewczyny i takiego możnego pana, jakim był młody starosta.

Powieści te nie dochodziły do uszu knechtów zamkowych, bo ci po całych dniach byli w pracy, a kiedy mieli jaką godzinę wolną, to się wymykali do miasta, gdzie między pięknemi mieszczkami każdy znalazł sobie lepszą rozrywkę, niżeli plotki o cudzych amorach. Ale był między nimi jeden pacholik, nazywał się Włostek i był synem zamożne-

go kniazia ze Synowódzka, który wielki handel prowadził suszonemi śliwkami, solą i winem, dorobił się grzecznej fortuny i chciał swego syna wyforytować na szlachcica albo i na rycerza. Włostek miał wtenczas lat prawie dwadzieścia, a że szedł z bojków, więc był nabity, włosy miał krucze, oczy czarne, jak węgle, nos orli i cerę mocno smagławą. Nie umiał ani czytać, ani pisać, co jednak wtedy i wielkim panom się wydarzało; ale mimo to był to chłopak setny, serdeczny i śmiały, a do tego rozumny, bo grał na teorbanie i takie piękne piosnki śpiewał, że inni pacholikowie nie mogli się ich odsłuchać, a dziewki płakały.

Otóż ten Włostek, mając łatwiejszy przystęp do babskiej załogi, niż wszyscy inni, pierwszy dosłyszał owych pokątnych powieści, zaczém uszu naszczurzył, a kiedy jednego dnia baby przy studni podsłuchał, jako je powtarzały, okrutnie je zjeździł, mówiąc z zaciśniętemi pięściami: — „Niechże u was raz jeszcze takie klekotanie posłyszę o pannie Biłowusowej, to was strzaskam, jak stare garnki, a wasze czerepy rozrzucę po całym dziedzińcu! A potem sam powiem staroście, niech mnie każe powiesić; ale podobno starosta każe jeszcze wasze bebechy pozbierać i rzucić psom na pożarcie, bo też psia to jest robota!“ — Zaczem plotki cokolwiek przycichły.

A tymczasem Biłowus był kontent z siebie i ze swego starosty. Do swoich dziesięciu konnych dostał trzydziestu piechoty, mieszczanie go respektowali i kłaniali mu się niżej, niż kiedykolwiek, aby nie naglił o uzbrojenie reszty, pieczone i warzone posyłano mu z miasta, ocierał się o burmistrzów, komendantów i panów, kiedy jeździł z listami, po-

między szerokie grosze praskie zabłąkał się teraz nierzadko i złoty węgierski, a prócz tego miał już szeroką drogę otwartą do odzyskania dawnego znaczenia swych ojców. Czegoż mu więcej było potrzeba?

To też teraz często przychodził na zamek, szeroko się rozsiadał w kordegardzie zamkowej, w ożywionej rozmowie wyciął tego i owego knechta po ramieniu, niejednego pacholika nogą potrącił, a nawet i samemu namiestnikowi śmiało zajrzał w oczy, swojego skórzanego hełmu przed nim nie uchylił i często mu co takiego powiedział, za coby Ramułt nawet najstarszego knechta szlachcica był wsadził co najmniej na trzy dni do turmy. Jemu milczał, a jeno wzruszywszy ramionami, odchodził. Tylko raz jeden, — a miało się już wtedy ku wiośnie — kiedy go zastał znów w kordegardzie, przechwalającego się bez żadnej miary swojemi u starosty łaskami, i kiedy rozzuchwalony Biłowus jemu samemu bryzgnął w oczy rzekomym wpływem, jaki miał na starostę, Ramułt przegiął się nad nim, uśmiechnął się prawie szydersko, splunął na ziemię i rzekł:

— Jakom żyw, jeszczem takiego durnia nie widział!

Śmiech głośny, chóralny wszystkich żołnierzy i pachołków, jakgdyby kto z kilkunastu muszkietów odrazu wystrzelił, zawtórzył tym słowom Ramułta, a wtedy i Biłowusowi jakoś się twarz przeciągnęła, a język mu zdrewniał. Jakoż pobawił jeszcze tylko mrugnienie oka w kordegardzie, zaczem wyszedł milczący i zamyślony w dziedziniec, i zniknął za bramą.

I dziwna rzecz, albowiem od tego czasu przez kilkanaście dni się nie pokazał na zamku.

A przez ten czas nowe plotki zaczęły chodzić po kuchniach i izbach kobiecych. Powiadano, że Biłowusa bies napadł. Szeptano sobie, że bił Maruchę i Ofkę i powytłukał wszystkie błony w chałupie. Inni mówili, że chciał je obiedwie wypędzić i już ich szmaty powyrzucał na drogę, ale go jakoś Marucha udobruchała. Szła także wieść, że kazał obydwom kobietom iść do starosty na zamek, ale Marucha i to mu wybiła z głowy.

Opowiadano sobie nareszcie, że te gniewy stąd poszły, że Biłowus się niespodziewanie dowiedział, jakoby starosta wieczorami do chałupy przychodził i usiłował bałamucić dziewczynę, ale nic więcej — i dlatego nie tylko żołnierze, ale i baby srodze potępiały tego starego niedźwiedzia, że takie gwałty wyprawia za taką rzecz marną...

Potem się jakoś uspokoiło w chałupie. Nazajutrz zaś Biłowus wsiadł na koń i w góry pojechał. Jest wielkie podobieństwo, że jeździł w głębokie Bieszczady i tam się radził czarownic, które w niedostępnych jarugach pomiędzy skałami mieszkają i umieją radzić na wszystko. I zdaje się, że czarownice dały mu dobrą radę i dobrą przyszłość mu wywróżyły, bo, kiedy po kilku dniach wrócił, to był wcale uspokojony i tylko czasami jeszcze wykrzykiwał z zaciśniętemi pięściami, mówiąc: — „Ale jak jej nie weźmie, to was obydwie zbiję na proch i wyrzucę z chałupy!“

Naówczas widywano także popa z miasteczka, jako kilka razy wchodził do jego zagrody i długie godziny tam bawił. Biłowus zapewne także i jego

się radził, bo był to człek mądry. W budne dnie szewstwem się bawił i szył buty tak piękne, że mu za nie bardzo drogo płacono, po trzy grosze za parę, a za trzewiki dwa grosze; zaś w niedzielę i święta, zwłaszcza gdy podpił, miewał takie kazania, że go się ludzie odsłuchać nie mogli. Ale i na tygodniu służył ludziom, gdy było potrzeba, a zawsze bardzo skutecznie, bo i chorobę zażegnał i djabła wypędził z człowieka, a jeszcze i mądrą dał radę. Co jednak Biłowusowi poradził, tego się nie można było dowiedzieć.

Włostek co wieczór wymykał się z zamku i biegał do Biłowusowej zagrody; do chałupy nie wchodził, bo Biłowus żadnego żołnierza do siebie nie wpuszczał, ale zapewne się pod chałupę podkradał i podsłuchiwał. Raz nawet knechtowie, powracający z miasta, widzieli go rozmawiającego z Maruchą, ale nie mogli dosłyszeć ich całej rozmowy, bo też i nie godziło się podsłuchiwać ludziom rycerskim. Dosłyszeli tylko, przechodząc zwolna, jak Włostek mówił do Maruchy głosem, zalanym łzami: — „Wiedźcież, Marucho, że niemasz rzeczy, którejbym ja nie zrobił dla Ofki, choćby mnie ludzie wyśmiali". — A Marucha na to: — „Nie gadaj tak, bo ty nie wiesz wszystkiego. Bądź, jakiś był, a tylko mnie jednej się zwierzaj, bo Ofka cię nie chce, a Biłowus kościby ci połamał, gdybyś tu przyszedł z swatami. Niechajno się stary rozmówi z starostą, a potem jaki czas minie, to wtedy ja tobie pomogę..." Kiedy Włostek wracał do zamku, ten i ów trącał go łokciem i rozmaite zadawał pytania. Ale on nikomu nie odpowiadał i słowa. Zasiadał ze wszystkimi do wieczerzy, ale nie jadł i nie pił, zaś po wieczerzy zasuwał się

w kąt, a kiedy inni hałaśliwie gwarzyli ze sobą, on ciężko wzdychał i milczał.

Tak minęło tych dni kilkanaście.

Tymczasem po zimie, która w tym roku 1496 była bardzo łagodną i prawie bez śniegu, bardzo szybko zazieleniła się wiosna. Były to dopiero ostatnie dnie kwietnia, a lasy już wcale bujną się okryły zielenią, długie klucze żórawi było widać ciągnące ku Polsce, stada dzikich gęsi padały na stawy, bocian przechadzał się z wyciągniętym dzióbem po rozległych moczarach, jaskółki budowały swe gniazda przy gzymsach zamkowych, jabłonie i grusze okryły się białemi kwiatami, bzy napełniły swoją ożywiającą wonią powietrze, a chaty w liściastych zanurzyły się sadach, jak w lasach. Ciepło też było jak w lecie i od dni kilku jasna, tej pełną wiosną oddychającej ziemi, przyświecała pogoda.

Wilczek w te czasy wstawał o świcie, o wschodzie słońca już był na posadzie i tam do samego południa zabawiał się końmi, każąc je ostrzygać, podkuwać i przejeżdżać przed sobą. Rycerz ówczesny dbał bardzo o swoje konie i strzegł ich w domu i w polu, jak oka w głowie, trzymając się hiszpańskiego, lecz między rycerstwem wszech krajów upowszechnionego przysłowia: *Muerto el caballo, perdido el caballero.* Rycerz spieszony, mawiano u nas naówczas w Polsce, to posąg strącony. Toż pielęgnowano naówczas konie z nieznaną dziś starannością i uczono je z daleko większą cierpliwością niż dzieci, bo szła spadkiem od wieków w zamkach rycerskich nauka: że człowiek sam się może wyuczyć, a koń potrzebuje nauczyciela. Wszelako Wilczek i godziny popołudniowe

trawił na posadzie, bo kazał rzemienie, kulbaki, wędzidła i wszelkie wojenne przybory opatrywać, czyścić i w razie potrzeby naprawiać, ażeby wszystko było na zawołanie gotowe. Roboty te zwykle się odbywały z zaraniem wiosny, bo Tatarzy często już z bocianami zalewali te kraje i trzeba było być zawczasu przygotowanym na ich przyjęcie. Zaś wczas przed zachodem słońca wracał na zamek, bo i tutaj pacholikowie siedzieli w rynsztunkowej sali po całych dniach nad czyszczeniem i naprawianiem hełmów, misiurek i wszelkiej broni, a pilnowali ich starsi żołnierze, którzy wszyscy pod owe czasy znali się na płatnerstwie i rusznikarstwie.

Włostek pomiędzy nimi celował, zwłaszcza w polerowaniu stali, i bardzo był rad, że miał zajęcie przez cały dzień, bo robota ta odpędzała odeń czarne myśli, które mu się wciąż naciskały. Toż był prawie wesół z innymi, tylko czasem zaklął na Biłowusa, niewiadomo dlaczego, ale zapewne z tego powodu, że pobił Ofkę, o czem on się dopiero przed kilką dniami dowiedział.

Tego dnia Wilczek wrócił po południu, jak zwykle, pobawił jakiś czas w zbrojowni, gdzie Ramułt pilnował roboty, a potem z nim razem przeszedł do przyległej komnaty, pierwszej od wejścia, gdzie najchętniej siadywał.

Komnata ta była duża, o bardzo wysokim pułapie, z wąskiemi a wysokiemi oknami, bardzo poważna, ale bez żadnych ozdób; ściany jej były drzewem wyłożone, niegdyś pięknie rzeźbione, ale dzisiaj już w wielu miejscach zmurszałe, sprzęty w niej grube, drewniane i bardzo niezgrabne, kilka poręczowych stołków stało przy stole, które nie-

gdyś były skórą złoconą nakryte, ale dzisiaj złocenie było już starte, jakieś dwie malatury wisiały na ścianie w czarnych ramach drewnianych, zapewne i dawniej niebardzo do ludzi podobne, dzisiaj już wcale nie do rozeznania. Daleko wspanialsze, chociaż cokolwiek niższe izby znajdowały się na drugiem piętrze; były tam sprzęty złocone i adamaszki albo makaty na ścianach, ale tam Wilczek nigdy nie mieszkał.

Teraz siadł na stołku drewnianym przy stole pod ścianą, a przy nim stanął Ramułt i patrzał mu w twarz z ciekawością, albo też z niepokojem, jakgdyby się chciał czegoś od niego dowiedzieć, albo jakgdyby mu chciał coś ważnego powiedzieć i badał, azali chwila potemu sposobna. Tymczasem Wilczek poprawił kapelusza, odetchnął z głębi piersi i rzekł:

— Jużem się też dzisiaj spracował, jak wół, bo mi Wrony nie chciał statkować. Koń to silny, jak niedźwiedź, mimo swego ciężaru szybki, jak sarna, a rozumniejszy od niektórego chłopa, ale niekiedy ma swoje fochy, nie chce człowieka zrozumieć, zróbże z nim wtedy, co chcesz.

— Nie bardzo ja trzymam za Wronym — rzekł na to Ramułt — niechby się tam kto inny nim bawił.

— Cóżeś sobie do niego upatrzył? — zapytał Wilczek. — Przecież i sam mi nieraz mówiłeś, że to najlepszy koń w całej stajni.

— Ale wrony — powiedział Ramułt — a taki koń szczęścia nie niesie.

— To prawda — odpowie Wilczek — ale ma wielką łysinę i wszystkie cztery nogi białe po same kolana, więc raczej srokacz jest, niżeli wrony.

Ramułt pomyślał nad tem cokolwiek, a potem rzekł wesoło:

— Jużci i to prawda. Kiedyż wasza miłość myśli wyjeżdżać? Na podróż do Lwowa i do Krakowa jeszcze podobno za wcześnie.

— Ja też jeszcze o podróży wcale nie myślę — odpowiedział mu Wilczek. — W mojej skrzyni pusto, jak na tej wieży, gdzie puhacze mieszkają, a Kijas teraz pieniędzy nam nie da, chyba aż po jarmarku, jak zwykle, a do jarmarku jeszcze dwa tygodnie z okładem. Jeszcze i towarów nie zabrał z Tustania, więc nawet nie wiedzieć, ile nam się będzie od niego należeć. A potem, choćby i nie dał, to takżeby mi nie było dziwno, bom się już tak u niego zadłużył, że i sambym nie doszedł rachunku.

Ale na to się Ramułt uśmiechnął i rzekł:

— Nie wiem, co on tam waszej miłości o tych długach powiada, ale ja prowadzę dokładny rachunek. Pilnuje on się w swym handlu, ale i ja jego pilnuję. Ot, i teraz od dwóch tygodni z okładem, odkąd drogi cokolwiek podeschły, dzień w dzień idą towary z Tustania do Lwowa, a u mnie i każda bryka jest zakarbowana i to, co było na bryce. Jak przyjdzie kiedyś dzień sądny, to się okaże, że nie jegomość jemu co winien, ale raczej on nam co jeszcze dopłaci. O pieniądze jegomość się nie potrzebuje turbować...

— Prawdęż-to mówisz, mój stary? — zapytał go Wilczek śmiejącemi oczyma.

— Jakem wierny sługa waszej miłości.

— Kiedy tak, to i lepiej. Bo wiesz, żem ja w rachunkach nie mocen, nawet i wstręt mnie bierze mówić o pieniądzach, bo to rzecz nie rycerska. Ju-

żem też nieraz rozumiał, że Kijas za łeb mnie trzyma długami. Wierzę tobie, boś mnie nigdy nie okłamał; jeno tak nie mów, jakeś dopiero powiedział, bo między mną a Kijasem dnia sądnego nigdy nie będzie. Jam wdzięczność powinien temu zacnemu Ormianinowi i nigdy się z nim nie pokłócę, a zwłaszcza też o pieniądze. Wiesz przecie, jakie on położył zasługi około naszego domu. Jeżeli nasze miasteczko jest dziś tak bogate i takie znaczne nam przynosi intraty, toż to jego robota. Już i dla mego ojca jego worek był zawsze otwarty, a cóż dopiero dla mnie? Małożto on mi pieniędzy dosyłał, kiedym sługiwał po wielkich dworach? Małoż mi on pomagał, kiedym wojował po Niemczech i Francji? Małożto długów za mnie popłacił w Krakowie — a czyż i tutaj nie jest on moim nieomylnym podskarbim? Słuchaj mnie, Ramułt, kiedyby mi przyszło tego człowieka piersią moją zastawić, tobym chętnie to zrobił — a kiedyby mi przyszło zginąć za niego, to jeszczeby-to była śmierć nie najgorsza, bo też i on mnie kocha, jak syna, i takżeby mnie bronił przed każdą napaścią. A ty? Zaliż ty się możesz skarżyć na niego?

— Chowaj mnie Boże — rzekł Ramułt z pośpiechem sługi, który wchodzi w myśl swego pana — owszem, nie miałem z nim nigdy żadnego sporu.

— Więc czegoż mówisz o jakimś dniu sądnym?

— Takem to wspomniał — odpowie Ramułt, trochę zakłopotany — bo mi się widzi, że na naszych mieszczanach i chłopach wielkie zbiera bogactwa i mógłby nam jeszcze daniny postąpić.

— Dajże mu pokój — zawołał Wilczek — nato kurka grzebie, aby co wygrzebała. Niechże sobie zbiera bogactwa, tem lepiej dla nas, bo tem

pewniej się znajdzie pomoc u niego w potrzebie. Ot, i tak mi już parę razy wspominał, że co roku coś tam odkłada na wykupienie Baranowa, a nawet podobno już dał jakiś zadatek.

— Coś i ja o tem słyszałem — rzekł Ramułt — ale nie pora dziś o tem mówić. Pomówimy o tem kiedyś, jak się wasza miłość ożeni. A na to pora i wielka, bo dziwnie tu pusto w tym zamku, nigdy tu tak nie bywało. Ojcowie waszej miłości żenili się młodo, zawczasu postanawiali swe dzieci i dobrze z tem było.

— Jużci i mnie nieraz smutno samemu — rzekł Wilczek. — Z wychowanicą Kijasa chętniebym się był ożenił. Nie burzyła mi się krew na jej widok, ale cudnie wdzięczna była to dziewka, poczciwa, dobra, a nawet uczona, zaś przy tem wszystkiem wyniosłego umysłu, zgoła tak, jak przystało na żonę rycerza; byłbym mógł całe życie przeżyć z nią w niezamąconej przyjaźni, którą też i bez tego dla niej zachowam na zawsze. Ale cóż, kiedy Kijasowi się uroiło z nią swego syna ożenić. Para to taka dobrana właśnie, jak gdyby kto podłego kota zaprzągł do jednego wozu z szlachetną lwicą; nie wiem też, jak jej tam do smaku z tym mężem, chociaż to jarzmo znosi cierpliwie i z wielką godnością. Mogłem ja potrzaskać te swaty, nawet już jednej nocy prawiem to był postanowił. Ale nad ranem ta myśl mnie odeszła; widać, że mnie serce nie pociągnęło w tę stronę. A dziś sobie powiadam, że tak lepiej się stało, bo przecieby mi było wstrętno wodzić się za łby o dziewkę ze starym Kijasem, który mi prawie jest drugim ojcem.

— Szkoda to wielka, — powiedział Ramułt — bo to panna wielkiego rodu i znaczne szły na nią

w podolskiej ziemi puścizny. Ale Bóg nie chciał, więc trudno się skarżyć. Godzi się raczej kędy indziej obejrzeć...

A kiedy zacny namiestnik to mówił, wszedł pacholik służbowy i rzekł:

— Kniaź Biłowus przyszedł i prosi, aby się mógł jegomości pokłonić.

— Biłowus? — rzekł Wilczek i trochę się zmienił, ale i Ramułt się zmienił i powiedział prędko:

— A ja właśnie chciałem waszej miłości napomknąć, że z tym człowiekiem trzebaby rozumnie pogadać.

— Już ja z nim pogadam — rzekł Wilczek — niech wejdzie.

W małą chwilkę potem wszedł do komnaty Biłowus.

Był to człowiek, mający wówczas już pięćdziesiąt lat zgórą, niebardzo wielki wzrostem, przynajmniej tak się wydawał, bo miał plecy bardzo wypukłe, ale niezmiernie barczysty; ramiona tam były u niego jak u innych uda, a ręce i nogi, jak u niedźwiedzia. Twarz miał szeroką, czuprynę i brodę kłaczyste i już siwiejące, a oczy siwe, okrągłe, jak gałki. Był dzisiaj w wielkiej paradzie: miał na sobie cały pancerz z nagolennikami, ale wszystkie jego części z grubej bawolej skóry, krótki miecz w pochwie skórzanej u boku i hełm także skórzany, który jednakże zostawił w sieni. Rękawic także dzisiaj nie włożył, a swoje łapy brunatne niósł gołe przed sobą. Tak wszedł i kilkakrotnie się Wilczkowi pokłonił, uśmiechając się wdzięcznie.

W Wilczka, jak go tylko zobaczył, całkiem inny duch wstąpił. Dotąd łagodny, jak dziecko,

i prawie tkliwy, wstał, naprężył się, głowę podniósł wysoko, twarz okrył surową powagą i oparł się o stół, stojący pod oknem, rzekł jednak spokojnie:

— Cóż mi tam powiesz, Biłowus?

Na to Biłowus rozszerzył najprzód ramiona, potem klasnął zlekka w swoje szerokie dłonie, uśmiechnął się jeszcze raz i powiedział, rzucając wzrokiem na Ramułta:

— Chciałem waszej miłości co powiedzieć na osobności.

— Mów śmiało — rzecze mu Wilczek — ja przed Ramułtem nie mam sekretów, a ty masz w nim przyjaciela.

— Tak i powiem — odpowiedział Biłowus a klaskając od czasu do czasu w swe dłonie i uśmiechając się ciągle, tak mówił dalej z ruska po polsku: — U nas tutaj na Rusi jest zwyczaj, że dziewki same posyłają swych swatów do pana młodego, którego z wolą rodziców sobie upatrzą. Owoż moja Ofka upatrzyła sobie waszę miłość, naszego starostę — a ja na to zezwolił. Ale, żeby w to cudzych ludzi nie mieszać i że ja sam jestem w łasce u wielmożnego starosty, bo to nasze familje żyją z sobą w zgodzie od wieków, więc ja sam przyszedłem zaswatać moją dziewkę waszej miłości.

To rzekłszy, widocznie kontent był z siebie, bo jeszcze raz klasnął w dłonie i bardzo się wdzięcznie uśmiechnął.

Jakoż istotnie propozycja ta musiała być śmieszną, bo i Wilczek się także uśmiechnął i spojrzał śmiejącemi oczyma na Ramułta; ale Ramułt się nie śmiał, tylko patrzał bardzo groźnym wzrokiem na Biłowusa. Wszelako putny bojar wcale na

to nie zważał, natomiast zaś prawie jak gdyby pewnym był swego, znów klasnął w dłonie i tak mówił dalej:

— Wiem ja dobrze, że panu staroście lackim zwyczajem ludzie będą raić jaką kasztelankę, ale moja familja idzie z bojarów dumnych, a nasz bojar prawdziwy dotrzyma rodem niejednemu lackiemu kasztelanowi, co tam na swoich piaskach mazurskich może sam chodził za pługiem, a tutaj zrobiono go senatorem. A fortuna kołem się toczy; jak Pan Bóg pobłogosławi, to prędko będzie bogacz z żebraka. A u Pana Boga ani pan lepszy, ani chłop lepszy, bo On błogosławi tylko ludziom uczciwym. Ot, tak, panie starosto, weźcie Ofkę do zamku a ja wam pobłogosławię i będziemy sobie razem...

Tu wszakże Wilczek stracił cierpliwość i rzekł do niego już gniewnie, ale jeszcze się powstrzymując:

— Tobie, jak widzę, przewróciło się we łbie. Myślałem zrazu, że jakieś żarty chcesz stroić, ale jeżeliś z tem przyszedł naprawdę, to bądź kontent, jeżeli cię puszczę całego, i idź sobie do tysiąc djabłów!

A wtedy i Biłowus twarz swoję nasrożył, nie klaskał już w dłonie, tylko powiedział surowo:

— Nie tak, nie tak, panie starosto! — Ja z tem nie pójdę...

— Nie pójdziesz?! — zawołał Wilczek gwałtownie, a wtedy żyły mu zaczęły nabiegać na twarzy i dłonie mu się zacisnęły.

— Nie pójdę, — zawołał Biłowus — bom jest ukrzywdzony na mojej sławie i plotki już chodzą o mojej dziewczynie.

— Któż ciebie ukrzywdził? — rzekł Wilczek, jeszcze panując nad sobą.

— Wy, panie starosto! — zawołał Biłowus głosem chrypliwym i jakby łzami zalanym. — Bo pocóż wy się zakradacie do mojej chałupy? Pocóż wy bałamucicie moją niewinną gołąbkę...

A wtedy Wilczek już nie mógł się opanować. Wszystka krew mu skoczyła do twarzy, z oczu posypały się iskry, wargi mu konwulsyjnie zadrżały i krzyknął:

— Ty!... Mnie!... Paszoł chłopie!...

I rzucił się, jak lew rozjuszony na niego, a porwawszy go swemi żelaznemi rękami, jakgdyby taranem wybił nim drzwi i wyrzucił do sieni. Zaczem z progu zawołał:

— Hej, chłopcy, a doprawcie tam temu buntownikowi i wyjedźcie na nim za bramę... i żeby mi tu ślad po nim zaginął!

Ramułt krok w krok biegł za swym panem, trzymając wpogotowiu swe pięście, ażeby w razie potrzeby mógł dopomóc.

Tymczasem chłopcy, pracujący w zbrojowni, wylecieli do sieni, jakgdyby kto groch z worka wysypał. A jak tylko spostrzegli, o co chodzi, wszyscy na Biłowusa zawzięci, a Włostek najbardziej, w kilkunastu rzucili się na niego i, waląc go w łeb, w kark i gdzie go który mógł dorwać, a krzycząc przytem: „Paszoł won! Paszoł!“, prawie na rękach przez dziedziniec przenieśli i, jakby snop zboża, wyrzucili za bramę.

Zaczem, wesoło gwarząc, wrócili z tryumfem w dziedziniec.

Wilczek, u którego gniew i wesołość, jak błyskawice występowały po sobie, stał już wtedy na

ganku, wychodzącym w dziedziniec, i śmiał się, a rzekł do Ramułta, który stał za nim:

— Ot, i pierzchnął pan teść, jakby świecę kto zdmuchnął. Każże im beczkę piwa do wieczerzy wytoczyć, ażeby się poweselili za tę fatygę.

A potem wrócił do swojej komnaty.

Czy pop, czy czarownice dały Biłowusowi tę radę, aby starostę ze swoją córką zaswatał, o tem trudno się było dowiedzieć. Ale rada była dobra, bo Biłowus, zmłócony, jak snop zboża na toku, ledwie się dowlókł do swojej chałupy, a kiedy się dowlókł nareszcie, Marucha musiała mu warzyć gorzałkę z miodem, leźć po drabinie do jego fortecy, smarować go całego olejem i nakryć go, jak babę, swoją pierzyną, aby się przez noc z tych opałów obaczył.

II.

RUSINI.

Zagroda Biłowusa, chociaż to był człek stosunkowo zamożny, wyglądała napozór bardzo ubogo. O kilkanaście kroków od drogi na lewo, a ledwie o jedno stajanie od zamku, stała tam chata dosyć obszerna, ale z nieociosanych kloców jodłowych bardzo niezgrabnie zbudowana. W szpary pomiędzy temi klocami nabito gliny, z mchem pomieszanej, i przybito tę masę drewnianemi kołkami, żeby w zimie ciepło nie uciekało z chałupy. Kołki sterczały ze ścian, a końce z kloców z każdego węgła; wzdłuż ściany frontowej biegła przyźba, z gliny

ulepiona i niskim płotem podparta, ale także bardzo zaniedbana. Chata ta była nakryta strzechą, niegdyś z całych snopów żytniej słomy dosyć starannie utkaną, ale dzisiaj wichry ją rozczesały i rozburzyły, zaczem tu i ówdzie przykryto ją dranicami, a przy nich pokładziono bryły kamieni, ażeby ją ochronić od wichrów. W chacie okna były małe i zakopconemi błonami nakryte, tylko w świetlicy i przyległej komorze były okna szklane, dosyć jasno umyte. W jednym trakcie z chatą szły obora i stajnia na konie, do której były przybudowane chlewy i kurnik. Za chatą stała jeszcze stara szopa nawpół otwarta, w której chowano koleśnice i trochę sprzętów gospodarskich drewnianych, ledwie tu i owdzie żelazem okutych, lecz dalej żadnych zabudowań nie było; zboże i siano chowano w brogach. Zgoła widać było na pierwszy rzut oka, że Biłowus nie dbał o gospodarstwo, chociaż jego przodkowie musieli dbać o nie inaczej, bo cała ta dziś tak uboga zagroda tonęła w sadach bardzo bogatych i bujnych, gdzie ogromne jabłonie i grusze stały tak gęsto przy sobie, że ich gałęzie splatały się w dach nieprzebity, zwieszający się nad tym całym ogromnym sadem, a przed chatą od drogi, gdzie niegdyś zapewne był wał, częstokołem zjeżony, łączyły się w taką samę gąszcz ze sobą ogromne bzy liljowe i białe, berberysy, dzikie róże krzaczaste, winograd i głogi. U wchodu była szeroka furta drewniana, zawsze stojąca otworem, a cokolwiek wyżej między krzakami stał krzyż wysoki, trzymający pomiędzy swemi ramiony znamiona Męki Pańskiej, a obwieszony tu i ówdzie strzępami szmat, które ubodzy ludzie, jako pobożne ofiary tam zawieszali.

Biłowus rzeczywiście niewiele dbał o swoję zagrodę i chatę. Było to według niego babskie mieszkanie, niewarte większego zachodu, bo żony nie miał, był wdowcem już od lat kilku, a córkę i tak ktoś weźmie i zaprowadzi do swojej zagrody. Dla siebie zaś nie potrzebował chałupy, bo, jako żołnierz z dziada pradziada, miał swoję fortecę.

O paręset kroków od zagrody, bliżej zamku, niżeli miasteczka, stał dąb starożytny, istny potwór w rodzinie drzew, jakiego długo trzeba było szukać nawet w lasach ówczesnych, chociaż w nich tego rodzaju olbrzymów wcale nie brakowało. Dębowi temu liczono lat tysiąc, albo może i więcej, bo szła wieść między ludem, że ma tyle set lat, ile głównych konarów, a tych miał więcej, niż dziesięć. Cóżkolwiekbądź, był to dąb tak olbrzymi, że jego pień mierzył objętości około czterdziestu łokci kupieckich. A musiał być bardzo stary, bo był wypróchniały i zaraz u dołu znajdowała się w nim izba tak wielka, że Biłowus z niej zrobił stajnię. Chował też w niej swego konia przy drabinie i żłobie, a obok konia jeszcze dosyć miał miejsca na wszystkie kulbaki, łęki, munsztuki, czapraki i inne narządy, których miał z dawnych lat bardzo znaczne zapasy, a które w wielkim porządku były porozwieszane po ścianach tej stajni. A i koń jego potrzebował także niemało miejsca, był to bowiem kałmuk prawdziwy, nie tak wielki, jak konie zbrojne rycerskie, ale duży, a tak niezmiernie szeroki w piersiach i krzyżu, że swoją budową był wcale do swego pana podobny.

Ogier ten (bo i Biłowus także na klacze nie siadał) miał łeb kwadratowy z chrapą rozdartą, oczy ogromne i dzikie, jak u morskiego potworu, grzy-

wę kołtunowatą i długą, a ogon także rozczochrany i niezmiernej grubości, maści zaś był tak niepewnej, że trudno dla niej wynaleźć nazwę. Był bowiem właściwie żółtawo-płowy, ale na grzbiecie i nogach czarną okryty szerścią, a do tego jeszcze tu i owdzie miał centki ciemnego koloru. Był to koń tak niesamowity, że nikt do niego nie mógł przystąpić, bo kąsał i bił nie tylko zadem, ale i przedniemi nogami, jak niedźwiedź, toż i paść go nie było można swobodnie, tylko na linie, albo w oparkanionej zagrodzie. Ale Biłowus był z nim, jak z bratem; pokazywał nawet nieraz zdziwionym mieszczanom na rynku, jaki to koń spokojny i posłuszny, jak dziecko, i jak niesprawiedliwie go oczerniano; wtedy podłaził mu pod brzuch, podnosił każdą jego nogę zosobna, całował go w mordę, a kiedy mu co na rozum powiedział, to konisko stał sam przed domem, albo gospodą, kędy jego pan bawił, i z miejsca nie ruszył, choćby miał całą noc czekać na niego. Biłowus go dostał od panów braci z Paniowa, ówczesnych starostów na Stryju i Żydaczowie, którzy mało co przedtem siła takich koni na Tatarach zdobyli i rozpłodzili z nich całe stado u siebie. Dostawszy go zaś źrebcem dwuletnim, sam go wychował i tak się zczasem do niego przywiązał, że, gdyby już miał co stracić koniecznie, to prędzejby swoję zagrodę i wszystkie swoje urzędy, a może nawet i swoję córkę przebolał, niżeli swego kałmuka.

Pień tego tak niesłychanie grubego dębu był tak wysoki, że nad stajnią jeszcze druga tak samo obszerna znajdowała się izba, w której Biłowus sam mieszkał. W izbie tej miał wąski tapczan, jeleniemi i niedźwiedziemi skórami nakryty, około

tapczana stał stół, na którym leżały rozmaite rusznikarskie narzędzia, popod ścianami na ławach leżały sajdaki, łuki, strzały, miecze i noże w pochwach skórzanych, a na ścianach wisiały tarcze, hełmy i siatki druciane, których sobie zczasem także niemało uzbierał. Znał on bowiem wszystkie rodzaje broni, których wówczas była moc niezliczona, i umiał z nich każdą narabiać, jak którykolwiek z rycerzy; ale prócz łuku, który miał zawsze w poszanowaniu, niewiele do nich przywiązywał wartości: jego ulubioną bronią była pałka i topór, pałka z samorodnego dębczaka, starannie wystrugana i główkami graniastych gwoździ nabita, i topór krótki, ale szeroki, opatrzony z jednej strony w młot, a z drugiej w siekierkę, mającą kształt półksiężyca. Kiedy ciągnął na wojnę, a nawet w dalszych podróżach w czasie spokoju, wsiadając na koń, brał pałkę na temlak, topór przywiązywał rzemieniem do kulbaki pod lewem kolanem, na plecach zaś zawieszał łuk ze sajdakiem, a tak uzbrojony, wedle zwyczaju swych przodków, bywał strasznym żołnierzem.

W jednym rogu swej izby pod ścianą miał skrzynię dębową, mocno żelazem okutą, w której chował szerokie grosze praskie, półgroszki i skojce, zaś w osobnej mecherzynie złote floreny węgierskie — a jeżeli się tam czasem pomiędzy grosze prawdziwe, zwłaszcza przy poborze podatków, jaki „piorunek“ zabłąkał, to także go schował, bo przy sposobności dawał go żydom, którzy puścili go w obieg. Nad skrzynią wisiały w pękach starannie związanych skórki kun, tchórzów, lisie i rysie, które także stanowiły majątek, bo niemi wówczas, tak, jak pieniędzmi, płacono. Tak była ta izba

jego sypialnią, zbrojownią i skarbcem, a były do niej trzy wchody: jeden po zwykłej drewnianej drabinie, która stała zewnątrz, a którą Biłowus tylko na noc w górę wyciągał, drugi również zewnątrz po sękach dębu, które stanowiły jakoby schody, a trzeci ze stajni po drabinie, splecionej z wici, a która prowadziła do kryjomego wyłomu wewnątrz, łączącego wyższą izbę ze stajnią.

Nad izbą mieszkalną, pomiędzy licznemi konarami, z których każdy był jeszcze ogromnej grubości, znajdowała się jakoby platforma, splotami drobniejszych gałęzi nakryta. Z tej platformy odkrywał się widok daleki na wszystkie strony, na miasteczko, na zamek, na nieprzebyte puszcze leśne, ciągnące się ku zachodowi i na całą dolinę ku południowi, poprzerzynaną kosmykami lasów i chaszczów. Tam Biłowus w pogodne dnie, nawet zimowe, chętnie siadywał i bawił się polowaniem, posyłając ze swego łuku śmiertelne strzały sarnom, lisom i wilkom, kiedy który z nich się na pole wychylił, a nieraz i niedźwiedzia położył, który rad z lasu wychodził na owies albo na miodową ucztę do pasiek przyległych. Chłopcy ze wsi, w której Biłowus był wójtem, chociaż była odległą, bo dopiero na pół stajania od jego zagrody stały pierwsze jej chaty, wychodzili kupkami patrzeć, czy Biłowus siedzi ze swoim łukiem na wierzchu dębu. Wtedy czatowali cierpliwie, dopóki jego strzała nie świśnie, kiedy zaś dostrzegli, że zwierza położył, przybiegali z krzykiem ku niemu i dobijali go pałkami. Tak chłopcy wiejscy mieli uczciwą zabawkę, a Biłowus swój dwór myśliwski, który go nic nie kosztował.

Biłowus miał syna, któremu wtedy było już lat

dwadzieścia z okładem, a nazywał się Tymko, ale go nie trzymał przy sobie. Już siedmioletniem chłopięciem oddał go do młodych Kierdejowiczów, panów ruskich, którzy wtenczas odziedziczyli po ojcu starostwa na Trembowli i Pomorzanach, na służbę i na naukę, bo chciał z niego zrobić rycerza. Młody Biłowus wcale nie był kontent z tej nauki na zamku trembowelskim, bo Kierdejowicze, bez względu na jakieś tam pokrewieństwa z Biłowusami, dali go do djaka, a djak kazał mu gęsi paść tymczasem, nim do nauki podrośnie. Zdarzało się to wprawdzie wtenczas i synom rycerskim: ale młodemu Biłowusowi, któremu ojciec tem nabił głowę, że jest potomkiem bojarów, było to przykro, zwłaszcza, że ta niepoczesna nauka trwała lat parę, więc uciekł z Trembowli i wrócił o żebranym chlebie do ojca. Wszelako ojciec go przyjął bardzo niegrzecznie, bo go obił dębczakiem, a wsiadłszy na koń, odprowadził pieszo przy koniu nazad do Trembowli, powtarzając mu ciągle przez drogę: — „Znaj, pesi synu, że ja pasł świnie za młodu u Lachów, możesz ty popaść gęsi czas jaki u naszych ruskich starostów". — Zaczem Tymko, chociaż się skruszył przed ojcem, poszedł do głowy po rozum, djakowi gęsi jedna po drugiej wydusił, udając zmyślnie przed djakiem, że przyszedł na nie pomorek, a kiedy już nie miał co paść, djak go wyuczył naprędce cokolwiek azbuki i jako już wyuczonego parobka oddał napowrót na zamek.

Tam Tymko musiał jeszcze ciężkie przebywać terminy, będąc przez kilka lat poturnakiem zamkowych żołnierzy, ale trwał stale w tej służbie, podobno się rycerskiego rzemiosła, dostał zczasem sam ubiór i zbroję, aż wkońcu się wkręcił na służbę

do pana Olizara Kierdejowicza, sławnego w tym czasie ruskiego rycerza, co wodził sto koni pod sobą, zwykle u króla polskiego, a czasem u ruskich książąt sługiwał, kiedy zaś u nich wojny nie było, robił wyprawy na własną rękę na Tatary, na Wołochy i Turki, albo też i na dwory panów ruskich i polskich, kiedy się z nimi pokłócił. Wtedy Tymkowi już dobrze się działo. Jakoż nieraz na jakie dni kilka wymykał się do ojca, przyjeżdżał na dobrym koniu ze swoim sługą, ubrany w pakłaki i uzbrojony dostatnio, miewał szerokie grosze w kalecie a czerwone złote w pochwie od miecza, traktował mieszczan tustańskich w ojcowskiej chałupie, a ojcu się grzecznie przymawiał, że chciałby przy nim pozostać na jego zagrodzie. Ale ojciec go słuchał tylko półuchem i odpowiadał zazwyczaj: — „Jużci ja zagrody ze sobą nie wezmę, kiedy mnie Pan Bóg powoła do siebie, abym mu niebo oganiał od djabłów. Dziewce dam garniec szerokich groszy i sorok skór do wyboru, a tobie się dostaną dąb, cała zagroda i wszystkie moje urzędy; ale to jeszcze na to czas". — Poczem zawsze palnął go w papę i dodał: — „A służ wiernie twojemu panu i znaj, pesi synu, że, jak przyjdą skargi na ciebie, to i zagrody ci nie dam, jeno sto buków i napędzę do trzysta djabłów, a na moich urzędach będzie zięć po mnie dziedziczył". — Więc Tymko i z tego był kontent, bo policzek to furda, chociaż Biłowus niedźwiedzie miał łapy, a wiele warta była mu pewność, że będzie dziedziczył po ojcu.

Tymko kochał swoję siostrę serdecznie i zawsze przywoził jej podarunki: raz sznurek korali i trzęsidła z szczerego złota, to znowu sztukę aksa-

mitu i kamchy jedwabnej, a wreszcie poczwórny dukat węgierski i po trzy mniejsze po każdej stronie, a wszystko to nanizane na sznurek jedwabny do noszenia na szyi. Podarunki te mogły pewne podejrzenia obudzać, bo skąd żołnierz ubogi miał brać takie klejnoty? Ale na wojnach ówczesnych nietrudno było o łupy, więc była ekskuza, a zresztą Ofka była to dziewczyna tak dobra i wdzięczna, że nawet i cudzy młodzieniec byłby zbrodnię popełnił, aby się jej przypodobać.

Toż w mieście Tustaniu nie było dostatniejszego parobka, któremuby się nie śniła po nocach; niektórzy z nich podkradali się wieczorami pod chatę i wieńce zielone zawieszali na furcie, a byli i tacy odważni, co nawet i swatów posyłali do ojca. Natenczas, zaniesionym z Polski zwyczajem szlacheckim, którym chcieli zapewne Biłowusowi pochlebić przyjeżdżało trzech zacnych mieszczan konno przed chatę, na ich czele zazwyczaj poważny starosta w bogatej opończy; ten zsiadał z konia i pukał w okno świetlicy, wołając: — „Hej, kniaziu Biłowus! Podobno tam macie dziewkę w swej chacie, której czas zamąż. My zaś mamy młodzieńca, któryby się chciał postanowić i radby waszej dziewce posłużyć. Jeżeli wasza wola po temu, otwórzcie wrota, abyśmy się wam pokłonili i mogli z wami namówić". — Ale Biłowus zawsze im odpowiadał, otworzywszy okienko: — „Niemasz tu dziewki w tej chacie, jedźcie z Bogiem". — A kiedy kilku odprawił tak stanowczą odmową, już potem nikt się nie zgłaszał, a w mieście powiadano sobie na ucho: — „Obaczymy, jaki to rycerz albo starosta zapuka kiedyś o Ofkę".

Ofka miała wtedy lat ośmnaście, włos lniany,

oczy duże, błękitne, usta, jak wiśnie, zęby białe, jakby z kości słoniowej, a chociaż mieszkała w zadymionej chałupie, cerę miała tak jasną i przezroczystą, jak gdyby się w pańskich chowała komnatach. Do niedawna jeszcze bardzo żywe miała rumieńce, ale od niejakiego czasu cokolwiek przybladła, co byłoby wcale nie czyniło ujmy jej nadzwyczajnej piękności, gdyby nie to, że mimo bladości na twarzy, miała postać zanadto okrągłą i jakoby ociężałą, co wcale nie licowało z jej ranną młodością. Osobliwie też od czasu, kiedy ojciec ją pobił, stała się bardzo smutną, osowiałą, milczącą, a po jej oczach widział kto nie chciał, że bardzo często płakała.

Stara Marucha była to baba niegdyś zapewne budowy potężnej, ale musiała już bardzo być stara, bo była chuda, jak szczypa, plecy miała zgarbione, twarz pooraną zmarszczkami i włosy mocno już posiwiałe; tylko z pomiędzy jej ust przybladłych wyglądały zęby zdrowe i całe, a zielone jej oczy świeciły, jak ślepie u kota. Pomimo starości, ubierała się schludnie: miała zazwyczaj na głowie czerwonokwiecistą chustkę, zawiązaną z turecka, i kaftan sukienny, szeroki, ze świecącemi guzami, że wyglądała zgoła, jak mieszczka. Najczęściej bywała wesoła i gadatliwa, że się jej nie można było odsłuchać, toż ludzie słuchali jej z ciekawością i byliby nieraz przy jej powieściach, jak ów Buniak przy uczcie, przesłyszeli pianie koguta; ale kiedy nocą wracali do domu, to ich lęk brał po drodze, bo było w niej coś takiego, czego się nie widuje u innych ludzi. Rzeczy te bowiem, które opowiadała, działy się zawsze w krajach takich, jakich żaden człowiek, żyjący na tej ziemi, nie zaznał;

nawet pątnicy, wracający ze Ziemi Świętej, co tak okrutnie łgali, że im ledwie kto wierzył, takich krajów czarownych i takich duchów straszliwych nie umieli wymyśleć. Czasem zaś mówić wcale nie chciała, jeno zasuwała się w kąt i wpadała w takie zamyślenie, że żaden hałas jej nie mógł obudzić, a kiedy się przebudziła, przyznawała się sama, że rozmawiała z duchami, które ją nawiedziły. Kiedy indziej szła w las i dopiero z północy, a nieraz aż nad ranem, wracała, i nikt nie wiedział, czego tam w puszczy szukała. Domyślano się tylko, że zbierała zioła lekarskie, które trzeba rwać po północy, aby były skuteczne, bo była zawołaną lekarką. Jednak leczyła choroby nie tylko ziołami, bo czasem chłop przyszedł i skarżył się, że go tłucze zimnica, ona mu tylko w oczy spojrzała i rzekła: — „Głupiś! Ty nie masz zimnicy, jeno ci się przywidziało. Idź sobie!“ — I chłop poszedł, a zimnica go opuściła. Innym przykładała rękę w to miejsce, gdzie gościec go trapił albo kolka kłuła — i ból ustępował. Ale wszyscy opowiadali, że jej ręka ich piekła, jak ogień, — a byli i tacy, co pokazywali pięć palców jej ręki wypieczonych na ich ciele; ten i ów był przekonany, że palce te widział, a kto nie widział, ten wierzył i skutek był jednakowy u wszystkich. Ofka zdawała się być mocno przywiązana do tej dziwnej kobiety, ale może tak tylko, jak tonący się trzyma ostatniej deski, która z jego czółna została. To też ten i ów się domyślał, że ta młoda dziewczyna, jak mało która do szczęścia stworzona, pomiędzy takim niedźwiedziowatym ojcem a taką niesamowitą babą nie musi być bardzo szczęśliwa.

Biłowus, wysmarowany olejem po guzach

wczorajszych i pierzynami nakryty, przespał noc całą, jak kłoda, a kiedy rano się zbudził i po całem ciele obmacał, to spostrzegł, że czuł daleko boleśniej obrazę honoru, niż guzy. Jakoż mocno się nad tem zamyślił i długo nie wychodził ze swej fortecy. Ale myśli jakoś nie szły mu ładem, bo często swoją kudłatą głową potrząsał, ręce zaciskał i mruczał pod nosem:

— Pan, bo pan... a ty sługa: cóż jemu zrobisz? Z nim wszystkie pany trzymają, a za tobą i pies nie zaszczeka. Ej, gdybym ja ciebie gdzie zeszedł we cztery oczy... jeszczebym ja tobie pokazał, że moja chłopska ręka mocniejsza, niżeli twoja, choć pańska. Ale ty zawsze otoczony twoimi drabami. Chybaby strzałę wypuścić na ciebie...

Jednak i to mu jakoś się nie zdawało, bo myślał jeszcze długo i bardzo mozolnie, aż wreszcie rzekł:

— Niech radzi Marucha.

Zaczem spuścił drabinę, zlazł po niej na ziemię i poszedł wolnym krokiem do chaty.

W chacie Marucha siedziała przy oknie, a Ofka za piecem, bo też od niejakiego czasu rzadko się pokazywała przy świetle, obydwie zaś były mocno zasumowane. Zdaje się, że od rana rozmawiały ze sobą, a kiedy sobie już wszystko powiedziały, umilkły. Zaczem znów po niejakim namyśle rzekła Marucha:

— Cóż! Kiedy niema rady, to niema. Ale i tak nie zginiemy. Trzeba się rzucić do nóg staroście, aby się nad tobą zlitował i obmyślił ci jakie schowanie. Może się tego pan Ramułt podejmie; ja się zakradnę do niego. A jeśli starosta się nie zlituje, to musimy uciekać, bo ten bisnowaty Biłowus nas

pozabija. Wymkniemy się nocą, a ja cię przechowam u siebie. Przeczą mi księża mojej zagrody, ale, dopóki mój stary żyje, przecie mnie nie wyrzucą.

Na to zaś rzekła Ofka:

— On dobry, on się zlituje.

A wtedy wszedł Biłowus do chaty. Na Ofkę ani nie spojrzał, jeno stanął, jak pień, przed Maruchą i mówił chmurno:

— Świaszczennik i czarownice dobrą dali mi radę. Ja świaszczennikowi dębczakiem skórę wymłócę, a za grzech dam dwie woskowe świece do cerkwi. Czarownice z łuku wystrzelam, jak borsuki, a w ich jamy ognia nałożę. A ty, Marucho, radź teraz, bo, jak nie poradzisz, to was obydwie wytłukę, jak gadziny, i chałupę po was wykurzę. Ja za twoją radą od dziewki wszystkich swatów poodganiał. Któż teraz ją weźmie, kiedy wszyscy już wiedzą, że do niej pan chodził? Chociażbym przysiągł przed carskiemi wrotami, że jest niewinna, kto temu uwierzy? Hańby tej nikt z niej nie zdejmie — a to ty temu winna, Marucho!

A na to powiedziała Marucha:

— Jam niczemu nie winna, ano tyś winien. Czemuż ty, jak bocian, mieszkasz na dębie, a nie jak ojciec przy córce? Czemuż ty twojej dziewce z dziecka nabił tem głowę, że ją wydasz za jakiego rycerza? Gdybyś ty był siedział w chałupie, a ludzi gościł u siebie, jak inni, gdybyś był twoję dziewkę wodził w gościnę do miasta, do burmistrza, do panów ławników, do kupców, i tam szukał zajęcia, a nie po zamkach rycerskich, to Ofka byłaby już dawno wydana i nie byłoby tego wszystkiego. A potem co? Pan tu był dwa albo

trzy razy wszystkiego i gadał z Ofką przy furcie, a tobie zaraz ludzie łeb przewrócili plotkami. Siedź jeno cicho, ludzie jeszcze jaki czas pogadają, a potem zapomną.

Tak Marucha bardzo rozumnie starała się go uspokoić. I Biłowus zdawał się zrazu nad tem namyślać, jak gdyby się istotnie poczuwał do winy, ale wlot znowu się ocknął i rzekł gwałtownie:

— A ja tobie powiadam, radź, a z radą nie czekaj, bo starosta zawsze w drogę jedzie na wiosnę; a jak wyjedzie, to będziesz go szukać, jak wiatru na stepie.

Natenczas zaś Marucha głośnym parsknęła śmiechem i zawołała:

— Jużeś ty, jak widzę, całkiem pozbył rozumu, Biłowus! Potrzeba, aby ci starościńscy żołnierze wsypali jeszcze dwa razy tyle kułaków, abyś choć trochę otrzeźwiał. Czy ty wciąż jeszcze rozumiesz, że starosta się z Ofką ożeni?

Zaczem Biłowus znacznie złagodniał i rzekł, przymilając się babie:

— A czary od czego?

Marucha na to machnęła ręką, ale się prędko spostrzegła i dodała:

— Jeszcze czas na to.

Biłowus z tem wyszedł, a Marucha rzekła do Ofki:

— Z tym człowiekiem się nie dogadasz, do tygodnia nas tu nie będzie.

Wilczek, naśmiawszy się wczoraj z Biłowusa dosyta, zaprosił sobie kilku swoich pancernych do wieczerzy, kazał wina nanosić, bawił się z nimi wesoło przez cały wieczór, a potem w najlepszej myśli spać się położył. Ale nie przespał całej nocy

tak twardo, jak Biłowus. Zrazu zasnął, jak zwykle, ale już w jaką godzinę się obudził, a potem już przez całą noc tylko się z boku na bok przewracał. Widać go jakieś niepokojące myśli trapiły, o których sam tylko wiedział. Jakoż zaledwie pierwszy brzask w okna uderzył, zerwał się z łoża, ubrał się wlot, jakgdyby się pod nim paliło, i zaraz kazał Ramułta wołać do siebie.

— Ramułt, — rzecze do niego — namyśliłem się w nocy. Jeszcze dziś w drogę ruszymy. Nagotuj wszystko, abyśmy zaraz z południa mogli wyjechać.

Ramułt, jakgdyby spadł z nieba, ale, wiedząc dobrze, że temu młodemu panu w niczem się nie można sprzeciwiać, zapytał tylko:

— Dokądże wasza miłość wyrusza i na jak długo, bo według tego trzeba poczet zgotować.

— Najprzód pojedziem do Lwowa; — rzekł Wilczek — tam zabawimy mało niewiele, wedle potrzeby i okoliczności, a stamtąd ruszymy do Krakowa. Król pono teraz w Poznaniu, stamtąd ma jechać w Mazowsze, ale, nim dojedziemy, będzie zpowrotem. Opatrz poczet tak, jakbyśmy mieli zabawić w podróży trzy albo cztery miesiące. Takie też chorążemu daj dyspozycje!

Ramułt się jakoś bardzo zamyślił: widać, że podróż ta wcale mu nie była na rękę; jakoż prawie w roztargnieniu zapytał:

— Ileż ludzi weźmiemy ze sobą?

— Sześciu towarzyszy pancernych wraz z tobą, dwóch trębaczy i czterech żołnierzy; jeden wóz, a cztery konie juczne, to dosyć.

Ramułt z tem wyszedł i zaraz całą załogę zamkową pobudził. Wilczek zaś wsiadł na koń

i z kilką żołnierzy na folwark pojechał, ażeby wybrać konie do tej podróży.

Odtąd zawrzało na folwarku i w zamku, jak w kotle: wyprowadzano konie, czyszczono je, myto i podkuwano, wynoszono ze zbrojowni broń, zbroje i inne wojenne przybory, z lamusów kulbaki, wojłoki, troki i rozmaite rzemienie; kowale, ślusarze, szewcy nie mogli nastarczyć roboty; zgoła hałas i tartas i wrzawa, jakgdyby przyszła wieść o Tatarach, bo pan surowy i prędki, gotów zabić za zwłokę, a zaraz z południa ma być wszystko gotowe.

Pomiędzy tymi żołnierzami i pachołkami, którzy się w takim pośpiechu po dziedzińcu kręcili, a do których z końmi i rozmaitem wojennem narzędziem wciąż przybywali nowi z folwarku, przechadzał się wolnym krokiem, ale z swem bystrem okiem, stary chorąży, prawdziwa Opatrzność Boża nad żołnierzami, bo się znał na statku wojennym, jak nikt w całym zamku, i, gdzie spojrzał, tam niezawodnie mądrą dał radę, a gdzie ręką się dotknął, tam zaraz szła robota, jak z płatka.

Chorąży był to najstarszy żołnierz na zamku, ba, może nawet na całej Czerwonej Rusi, bo mu lat ośmdziesiąt liczono, a jeszcze Jagiełłowe czasy pamiętał. Nazywał się Kukuć, niewielki był wzrostem, ale szeroki, a na starość się roztył; czuprynę miał gęstą, jak szczotka, twarz rumianą, brodę z wąsami białą, jak mleko, oczy błękitne, bystre, jak u żbika, a nos ogórkowaty miedzianego koloru, bo lubiał na dno garnca zaglądać. Ale mimo to pamięć miał czerstwą i co kiedykolwiek widział w swem życiu, to doskonale pamiętał. A widział wiele, bo jeszcze za Warneńczyka stanął na służ-

bę, jako pacholik, u pana Przedbora Koniecpolskiego, naówczas przemyskiego starosty, a w chorągwi jego syna pierwsze swe żołdy czynił przeciwko Turkom po Węgrzech. Potem przeniósł się w służbę do dziada dzisiejszego swojego pana na zamek tustański i tak z nim, jak z jego synem daleko więcej bitew odprawił, aniżeli miał włosów na głowie. Był obecnym na koronacji Kazimierza Jagiellończyka, gdzie książęta opawscy, raciborscy, cieszyńscy hołd składali polskiemu królowi; w parę lat potem bił Tatarów pod Bełzem i Łuckiem, Krzyżaków pod Friedlandem, i uganiał się za bandami krzyżackich palaczy po Szląsku; później oblegał Wrocław z pospolitem ruszeniem i znów się borykał z Tatary około Zbaraża, aż wkońcu, lat temu dopiero dwanaście, nie więcej, niósł swoję chorągiew w Multany, kiedy tamtejszego wojewodę Stefana Turcy ścisnęli, a Polacy z woli króla szli mu na pomoc. Był jeszcze z dzisiejszym królem, a wówczas królewiczem Olbrachtem na Węgrzech, ale już to była jego wyprawa ostatnia. Toż przez ten czas całą Polskę, ba i wiele krajów postronnych własnemi stopami przemierzył. A przez te lat kilkadziesiąt bywał na sejmach i wszelakiego rodzaju konwokacjach rycerskich, asystował przy uroczystych wjazdach biskupów i książąt, prowadzał jeńców tatarskich, tureckich, węgierskich, szląskich, krzyżackich, mieszkiwał po miastach, po wsiach, po klasztorach, po fortecach, po zamkach, napatrzył się ludzi najrozmaitszych nacyj postronnych, nasłuchał się ich niemieckich języków, nadziwował się ich obyczajom; szkoda, że pisać nie umiał, bo byłby wszystkich ówczesnych kronikarzy przepisał, którzy jeden za drugim po-

wtarzają znane wypadki, a od których ani rusz się dowiedzieć, jak wyglądał świat ówczesny i jak wyglądali ci ludzie, co na nim mieszkali.

Jednakże Kukuć umiał powiadać. Toż, kiedy czasem zasiadł w kordegardzie pomiędzy młodzieżą i jął opowiadać swe czasy, jeno dzban było przed nim pozostawić, to i kury zapiały do jego powieści; jakoż i sam starosta nieraz wieczorem kazał go wołać do siebie i słuchał go z ciekawością, aż póki mu oczu sen nie zakleił. Tak wtedy uczono się dziejów narodu. I była to daleko lepsza nauka, niż owa na akademjach i z książek, bo żywe słowo takiego nauczyciela, który sam widział to, co opowiada, cale inaczej się chwyta pamięci i idzie prosto do serca. Z niem, jako krew ciepła przelewa się z ojca na syna, przepływają z pokoleń na pokolenia wszystkie myśli przewodnie narodu, które go zrobiły wielkim i sławnym, przepływa jego duch bohaterski, uwielbienie dla cnót pradziadowskich i owa gorąca miłość, nie tylko tej ziemi, która rodzi pszenicę, ale tej wzniosłej duchowej ojczyzny, w której, jak w skarbcu, zagospodarowanym starannie i skrzętnie, przechowuje się nieprzerwanemi warstwami cały duchowy majątek wszystkich poprzednich pokoleń. Majątek ten jest, jako strumień, płynący wspaniale pomiędzy swemi brzegami, a utrzymać go może w jego korycie tylko żywe słowo, przekazywane w rodzinie z ojca na syna, a z dziada na wnuka. Biada narodom, które ten strumień żywego słowa przerwały; czeka je śmierć, chociaż powolna, lecz nieochybna; wtedy tylko wielki człowiek, który sam stanie za naród, może jeszcze go zbawić — a takich ludzi nie tworzą książki i akademje.

Jakkolwiek Ramułt krzątał się skrzętnie od świtu, a Kukuć do każdej roboty sam rękę przykładał, przecież ubiegło ze cztery godziny z południa, nim cały poczet stanął wpogotowiu w dziedzińcu. Wtedy Wilczek zbiegł szybkim krokiem ze schodów, sam jeszcze każdego jeźdźca i każdego konia obejrzał, zaczem wsiadł na koń; lecz, kiedy już siedział na wronym, jeszcze raz się ku żołnierzom, pozostającym na zamku, obrócił i zapytał:

— Gdzie Kukuć?

A Kukuć z odkrytą głową, w pakłakowym kubraczku, w pasie skórzanym i ciężkich butach z cholewami powyżej kolan, stał o dwa kroki od niego i rzekł:

— Sługa waszej miłości.

— Słuchaj, Kukuć — powiedział wtedy Wilczek łaskawie — wyjeżdżam na trzy albo na cztery miesiące i zostawiam tu wszystko na twojej opiece. Patrzajże, aby się żołnierze nie rozpuścili, a codzień musztrowali, a jeśliby który co zbroił, to wiesz, co z nim robić.

A na to Kukuć:

— Jak bywało po wszystkie czasy, kiedym miał w zamku komendę, tak będzie i teraz. Żołnierze nie zapomną niczego, chyba, że się jeszcze czego nauczą, jak namiestnika nie będzie.

Tu Kukuć rzucił śmiejącem się okiem na Ramułta, ale Ramułt się nie zachmurzył na niego, bo wiedział, że stary lubił żartować. Toż i Wilczek się także uśmiechnął i rzekł:

— Ja wiem, że Ramułt psuje żołnierzy, bo nie wie, jak to dawniej bywało. Trzymajże ich w ryzach, jak dawniej. Ale przytem czuj-duch naokoło,

bo wiesz, że to wiosna. Lada dzień mogą się zjawić Tatarzy, żeby więc brama była nawciąż zamknięta, a straż dniem i nocą na bramie i na baszcie zamkowej.

— Szkoda mówić, miłościwy paniczu — odpowiedział mu Kukuć — jak się Tatarzy na strzał pokażą, to się ich siekańcami ze śmigownic poparzy, a kiedyby sobie chcieli zęby połamać na skałach zamkowych, to będziemy się im przypatrywać z galerji. Damy też znać zawczasu przez folwark do miasta.

— Pamiętajże więc o wszystkiem — dodał jeszcze starosta — a miej też Biłowusa na oku. Dobrzeby też wiedzieć, co on tam będzie gadał swoim żołnierzom w mieście.

— Biłowus, miłościwy paniczu — odpowiedział mu na to chorąży — nieprędko się z tych guzów wyliże, co mu chłopcy wczoraj wsypali. A jak się wyliże, to będzie słuchał, jak pies trąby, jak też zawsze bywało. Jeżeliby zaś raz nie posłuchał, to go wsadzę do turmy, aż do powrotu waszej miłości. A kiedybym dostrzegł, że knuje jakie perfidje zdaleka, to mu strzaskam jego dąb ze śmigownic, a nad żołnierzem w mieście innego komendanta posadzę. Szkoda mówić, paniczu; Kukuć nie potrzebuje rady wojennej, ażeby wiedzieć, jak ma sobie poczynać.

— Bywajże zdrów, a miej nas wszystkich w dobrej pamięci — rzekł Wilczek; odwrócił konia i z całym pocztem wyjechał za bramę.

Poczet ten, chociaż mały, wyglądał wcale wojennie, bo tak pod owe czasy jeżdżono; Wilczek zaś, że to był czasem lekceważony przez sąsiednich starostów, bogatych z rodu i mających in-

tratne starostwa, lubił pokazywać się światu z pewną okazałością. I miał w tem słuszność, albowiem wówczas daleko więcej niżeli w czasach późniejszych, powodowali się ludzie przysłowiem: „Jak cię widzą, tak cię piszą“. Całym światem ówczesnym, chociaż tu i owdzie już się zaczęły pojawiać pierwsze blaski myśli ludzkiej i siły duchowej, rządziła jeszcze przeważnie siła fizyczna. Piękność i okazałość zewnętrzna, potęga muszkułów i kości, zręczność w robieniu wszelkiego rodzaju bronią, wytrwałość w trudach i odwaga w bitwach zbiorowych lub pojedynkach, imponowały ludziom ówczesnym, dawały znaczenie i torowały drogę do najwyższych urzędów; toż z tem wszystkiem musiały iść w parze świetność ubioru, wystawność w podróży i w domu, i hojność we wszystkich takich wydatkach, gdzie o to chodziło, ażeby podnieść blask zewnętrzny osoby i rodu. Wilczek wydawał daleko więcej na okazałość, niżeli na to pozwalały jego stałe dochody. Toż i teraz, chociaż w podróży, i sam był w pancerzu i hełmie z piórami, i jego jezdni byli w pancerzach. Lekkie to były pancerze, tylko z naramiennikami, a bez łapek, na których miejscu mieli wszyscy piękne rękawice łosiowe; nie mieli także nagolenników ani butów żelaznych, tylko spodnie i buty skórzane z wielkiemi ostrogami, jak była moda natenczas. Ale ich pancerze i hełmy lśniły się, jak kryształy, do słońca, a Wilczek miał swoję Grzymałę na piersiach pancerza i srebrne ostrogi. Broń także lekką mieli przy sobie: miecz krótki u boku w pochwie okutej żelazem i jeszcze krótszy nóż albo sztylet, który nazywano z francuska *la miséricorde*, bo nim dobijano rannych, którzy sko-

nać nie mogli. Reszta zbroi i broni była na wozie. Żołnierze zaś mieli tylko półpancerze na piersiach, ale natomiast, prócz mieczów, uzbrojeni byli w topory i halabardy, bardzo przydatne na wypadek napaści. Muszkietów jeszcze mało używano natenczas, chyba tylko na wojnie, a nikt ich nie woził z sobą w podróży.

Tak jechał Wilczek na czele swego dworu, a Ramułt jechał tuż obok niego, trzymając się jednak za nim o pół konia. Wilczek był milczący i zamyślony; rad był temu, że z domu wyjechał, ale możeby mu jeszczs lżej było na sercu, gdyby już miał całe swoje starostwo za swemi plecyma, a wieże drohobyckich kościołów obaczył. Ale jechali stępo — a tak po lewej ręce pokazała im się dopiero Biłowusowa zagroda. Minęli dąb, który stał opodal od drogi, i już minęli furtkę zagrody, która stała przy samej drodze, kiedy koń Wilczka przystrzygł uszyma, żachnął się i skoczył cokolwiek na bok. Wilczek rzucił okiem w tę stronę, a wtedy całkiem niespodziewane pokazało mu się widowisko.

Pomiędzy owemi gęstemi krzakami bzów, właśnie kwitnących, dzikich róż i powojów, które odgradzały zagrodę od drogi, przy owym krzyżu z Męką Pańską pomiędzy swemi ramiony, klęczała Ofka, zwrócona twarzą ku jeźdźcom. Była w tej chwili niezmiernie blada, bogate swe włosy miała rozpuszczone i jakby w nieładzie, oczy szeroko otwarte, lecz pełne łez, które jej strumieniami spływały po twarzy; złożyła ręce przed sobą, jak do modlitwy, i tak patrzała prosto w twarz Wilczka. Był to zapewne ostatni, rozpaczliwy krok tej nieszczęśliwej dziewczyny, ażeby obudzić nad so-

bą litość w sercu tego młodzieńca, którego pewnie, jak drugiego Boga, kochała.

Wilczek, przyciągnąwszy cugli koniowi, spojrzał na Ofkę, objął cały ten obraz jednym rzutem oka odrazu i przez jedno oka mgnienie stał w miejscu; ale w ten moment dał koniowi ostrogę i ruszył naprzód krótkim galopem, a jego poczet posunął za nim. Ujechawszy tak kilkanaście kroków, znowu osadził konia i jechał dalej stępą, jak pierwiej, nie przemówiwszy do nikogo ani słowa.

Jednak, kiedy ujechali drugich kilkanaście kroków, od zagrody dały się im słyszeć krzyki tak rozgłośne, jakgdyby tam kogo żywcem rzezano, krzyki dwóch kobiet, a przy nich gwałtowne wybuchy głosów męskich, które były tak przeraźliwe, jak wycie psów albo ryk zranionego niedźwiedzia.

Wilczek może głosów tych nie dosłyszał, ale dosłyszał je Włostek, który był między żołnierzami, jadącymi za pocztem, i zaraz spiął konia, a przyskoczywszy do Ramułta, rzekł głosem strwożonym:

— Ten niedźwiedź Biłowus morduje Ofkę! Niech mi pan namiestnik pozwoli, abym skoczył ku jej obronie.

Ale Ramułt był chmurny, jakgdyby jego samego spotkało jakie nieszczęście, i odpowiedział mu groźnie:

— Paszoł, won do szeregu! Nie mieszaj się w rzeczy, co nie należą do ciebie.

Włostek z spuszczoną głową wrócił do szeregu; Wilczek, choć musiał słyszeć, o co Włostek prosił Ramułta, udał, że nie słyszy — i jechali tak dalej w milczeniu.

Nareszcie przyjechali do miasta Tustania, kie-

dy się już słońce zniżało. Wilczek, jadąc dotychczas także z głową spuszczoną, wyprostował się, kiedy wjechali w ulicę, i rzekł do Ramułta:

— Trzeba zajechać na rynek i obaczyć, co się dzieje w mieście, a wydać rozkazy.

Miasteczko to było obwarowane wałami i częstokołem, miało ulic kilkanaście, dobrze zabudowanych, a rynek dosyć obszerny, otoczony dokoła dostatniemi domami, drewnianemi i murowanemi, pomiędzy któremi znajdowały się także piętrowe z wielkiemi wjezdnemi bramami i krużgankami u pięter. Przy jednej połaci stał ratusz, okazała budowa z podsieniem, chociaż bardzo nieregularna; przed nim stał pręgierz, od niepamięci bezużyteczny, bo ludzie żyli tu po bożemu, a występki nigdy się nie zdarzały, ale jako godło sprawiedliwości koniecznie potrzebny. Jakoż na pierwszy rzut oka było widać, że miasteczko to jest przybytkiem pracy i ładu, że jest zamożne, a jego mieszkańcy bogaci, bo wszystkie domy były czysto wybielone, albo pomalowane w rozmaite kolory, drzwi do nich opatrzone w zamki żelazne, okna ze szkła, a w nich firanki, zaś wszyscy ludzie ubrani dostatnio.

W tej chwili większa połowa rynku była zawalona wozami bez koni, które nakrywano dziegciem nasyconemi płótnami, na inne zaś ładowano jeszcze towary, które przynoszono ze składów. Zgoła ruch skrzetny, jakgdyby w czasie jarmarku.

Kiedy Wilczek stanął przed ratuszem na czele swojego pocztu, zaraz rozmaici ludzie go otoczyli i nisko mu się kłaniali, bo wszyscy znali swego starostę. I Wilczek znał także z nich wielu, jakoż, poznawszy jednego, krzyknął ku niemu:

— Hej! Skocz-no prędko i zawołaj mi tu burmistrza.

Chłop skoczył, a Wilczek czekał cierpliwie, rozpatrując się tymczasem ciekawie po rynku. Ale burmistrz nie prędko się zjawił, bo był właśnie mocno zajęty.

Miasteczko to, jak się już rzekło, magdeburgji za przywilejem królewskim nie miało, ale mimo to rządziło się prawem magdeburskiem z przywileju i w imieniu swojego dziedzica, którym był zawsze każdoczesny starosta tustański. Owocześni panowie dozwalali chętnie swoim miasteczkom zaprowadzenia magdeburgji, prawo to bowiem, utrzymując porządek, podnosiło zarazem znaczenie miasteczka i przyczyniało się do jego rozwoju i wzrostu; jednakże zawsze, ażeby stąd nie wyrosły pretensje do niepodległości, zastrzegali sobie prawo mianowania urzędników i sankcję wszelkich wyroków i rozporządzeń. Miasteczko to miało zatem swego burmistrza, swoich rajców i ławników, ale wszyscy byli mianowani przez Wilczka, a sądy miejskie wydawały wyroki w jego imieniu. Tutejszy burmistrz miał zatem wcale niełatwe zadanie przed sobą, do którego spełnienia potrzeba było nawet bardzo wiele rozumu, bo, rządząc miastem, musiał nie tylko zadość uczynić wszelkim potrzebom jego mieszkańców, ale zarazem dogodzić woli, a nieraz i kaprysom swojego starosty.

Lecz oprócz tego miał on jeszcze daleko trudniejsze zajęcie. Albowiem miasteczko zajmowało się bardzo skrzętnym przemysłem i prowadziło handel rozległy; wszyscy tutejsi mieszczanie, bez żadnego wyjątku, trudnili się tkactwem, a ich żony i córki hafciarstwem. Wyrabiali oni przede-

wszystkiem płótna żaglowe, które szły Dniestrem do Kaffy i Carogrodu, dalej płótna konopne i lniane, które przez Lwów rozchodziły się po całym kraju, a wreszcie stołową bieliznę w różne desenie i kwiaty, prawie tak piękną, jak kamchy jedwabne, a bardzo poszukiwaną na całej Rusi. Prócz tego wyrabiali także i sukna, pakłaki i samodziały, za które dobrze płacono na całym Wschodzie, kobiety zaś na misternych warsztatach, z jedwabiów, sprowadzanych ze Wschodu, i złotych nici, które przywożono z Wenecji, tkały dość piękne, kwieciste materje, nie mające wprawdzie odbytu zagranicą, ale znajdujące kupców na krajowych jarmarkach. Otóż do tych wyrobów potrzeba było wielkich ilości konopi, lnu, wełny, jedwabiów i innych materjałów surowych — i gdyby każdy mieszczanin był zakupywał te materjały na własną rękę, to byliby się podkupywali wzajemnie z wielką szkodą dla wszystkich: dlatego oddawna taki zaprowadzili pomiędzy sobą porządek, że nikomu nie było wolno kupować surowych towarów dla siebie, tylko burmistrz zakupywał wszelkie zapasy dla wszystkich i wedle potrzeby pomiędzy nich dzielił. Na to potrzeba było magazynów i kasy wspólnej i prowadzenia bardzo drobnostkowych rachunków, a że wtedy mało kto umiał pisać i wszystko trzeba było karbować, więc była to praca bardzo żmudna i wymagająca wielkiej pilności i sumienności. Jednak i wtedy rozumni ludzie umieli sobie radzić na wszystko: ażeby sobie tę pracę ułatwić, wyznaczono na to wielką komnatę w ratuszu, u której stropu wisiało na sznurkach tyle kijów laskowych, ilu było uczestników w tych spólnych rachunkach. Po jednej stro-

nie kija karbowano pieniężną wartość materjałów wydanych na kredyt, po drugiej sumy na ten dług uiszczone, a u końca kija wisiała kartka, na której było wypisane nazwisko klienta. Taka to była ówczesna książkowość kupiecka, praktykowana w całej Europie przez wiele wieków, a z której się później wywiązała buchalterja podwójna, używana dzisiaj powszechnie. Lecz była ona na swoje czasy dostateczną: jakoż chociaż ludność miasteczka była bardzo mieszana, bo się składała z Rusinów, Tatarów, Wołochów i Ormian, nigdy żadnych sporów nie było, bo każdy miał swój kij jakoby konto osobne, karbowano zawsze tylko w jego obecności, kto był przezorny, ten miał drugi kij z takiemi samemi karbami u siebie, a kto miał jaką wątpliwość, dla tego buchalterja laskowa na ratuszu stała zawsze otworem.

Taką samą wspólność, jak w sprawach kupna, zachowywano także co do sprzedaży. Tylko sprzedaż nie przynosiła ze sobą tak wiele drobnostkowego zachodu, bo stary Kijas, najbogatszy naówczas kupiec we Lwowie, zakupywał wszystkie towary po cenach jednakowych dla wszystkich, które umawiał corocznie z burmistrzem i ławnikami, a nawet miał i kontrakt pisemny z miastem, że nikt nie miał prawa sprzedać komukolwiek innemu ani jednej sztuki towaru, chyba żeby on ją wybrakował. Jego zaś ludzie przyjeżdżali do Tustania tylko dwa razy do roku, o wiośnie i na jesieni, i odbierali towary, płacąc za nie natychmiast gotówką i wysyłając najętemi brykami jedne do Dniestru, a drugie do Lwowa.

Toż i teraz właśnie przyjechał jego włodarz, pan Kundrat, ze skarbnikiem ze Lwowa i, zasiadł-

szy na rynku, odbierał towary i kazał je zaraz przy sobie pakować na bryki. Kundrat siedział za wielkim stołem, a przy nim stał burmistrz ze swym karbownikiem, każdy tkacz rozłożył i przemierzył swój towar na stole, Kundrat w pamięci należytość obliczył, napisał cyfrę tkaczowi kredą na plecach i odsyłał go po pieniądze.

Zaczem tkacz szedł do gospody, gdzie w dziedzińcu znów skarbnik siedział za stołem z worami pieniędzy przed sobą, ten tkaczowi napisaną sumę wypłacił, poczem mu gąbką przejechał po plecach i to był kwit owoczesny.

Przy tej robocie burmistrz musiał w własnej osobie stać nieodstępnie, bo ludzie są ludźmi, a gdzie idzie o grosz, każdyby go rad ująć drugiemu, a przyciągnąć ku sobie; tym trybem przecież się robią wszystkie majątki, że, co kto schował do skrzyni u siebie, to wziął komuś drugiemu. Toż i w tym razie czasem Kundrat jakiego łokcia nie dorachował, to znowu tkacz łokcia nie domierzył; były więc spory, które tylko sam burmistrz mógł swoją powagą rozstrzygać, a rozstrzygał je zawsze i nikt mu się nie przeciwił, bo zacny był człowiek i oprócz powagi, miał zaufanie. Z tego też powodu nie mógł się od tej roboty oderwać i biec natychmiast na zawołanie starosty.

Tymczasem Wilczek czekał cierpliwie jednę chwilę i drugą, aż nareszcie się zniecierpliwił, bo już i słońce się schowało za lasy i dzień znacznie poszarzał. Jakoż rzekł do Ramułta:

— Kiego djabła ci ludzie tam jeszcze siedzą za stołem? Rozumiem dobrze, że poczętej roboty przerwać nie mogą, ale przecież o zmroku nikt nie

odbiera towarów. Pchnij-no tam jeszcze kogo, ażeby Daszkiewicz tu zaraz się stawił.

Ramułt pchnął zaraz drugiego chłopa w tamtą stronę rynku i jeszcze tak chwilkę czekali, aż wreszcie Ramułt rzekł:

— Owo już idą.

A wtedy widać było, jak burmistrz się z owego ścisku wozów i ludzi wydobył i szedł śpiesznym krokiem ku ratuszowi. Była to postać bardzo poważna: człek wielki wzrostem i stary, ale rzeźwy, jak młodzian. Twarz miał rumianą różowego koloru, nos orli, a oko sokole, wąs biały przystrzyżony nad wargą, i włosy białe wydobywały mu się z pod czapki. Czapkę miał bardzo wysoką na zawiasach z pięknego siwego baranka (siwe czapki tylko mieszczanie nosili, chłopi musieli przestawać na czarnych), długą opończę sukienną sinawo-błękitną, obłożoną takimże samym barankiem, pod nią krótki żupan słomianego koloru, a na nim pas skórzany na pół łokcia szeroki, hajdawery w butach, a buty wysokie ze skóry surowcowej tatrskiej. Kolory siwo-niebieski i żółtawo-słomiany były już wtedy ulubione na Rusi. Podpierając się długą trzciną z gałką złoconą, szedł krokiem tak prędkim, że poły opończy rozwiewały się za nim i czapka mu się na głowie kiwała. Tak zbliżył się do starosty, a kiedy zdjął czapkę, pokazała się jego ogromna łysina, gładka, jak dłoń, a także rumiana, która jednak wcale nie ujmowała jego imponującej postaci, owszem, jeszcze mu wiele przyczyniała powagi.

Mąż ten nazywał się Jursza Daszkiewicz, pochodził ze staroruskiej rodziny mieszczańskiej, miał własną wioskę z dworem szlacheckim pod

Stryjem, mógł był każdego czasu zająć poczesne miejsce na szarym końcu pomiędzy szlachtą, ale, jako człowiek rozumny, wolał być pierwszym pomiędzy mieszczany, gdzie też był najbogatszym, a wójtem, czyli burmistrzem od lat przeszło trzydziestu. Nie przeszkadzało to mu wcale przyjmować szlachtę w swym domu, bo wtedy jeszcze stany się tak nie oddzielały od siebie, jak się to dziać poczęło w wieku następnym: toż okoliczni szlachcice często przyjeżdżali do niego, najedli się, napili, a jeszcze i worka mu uskubnęli na drogę, ale Daszkiewicz, chociaż umiarkowanie, jednak chętnie im pożyczał pieniędzy, bo wiedział, że na wszelkie wypadki dobrze mieć ludzi zbrojnych po swojej stronie.

— Daszkiewicz, — rzecze Wilczek do niego — jużby twój pop był cały parastas odprawił za ten czas, co tu czekam na ciebie. Myślałem, że jeszcze dziś, choćby nocą, do Komarna dociągnę, a przez ciebie przyjdzie mi w Drohobyczy nocować.

— Radbym był skoczyć zaraz na rozkaz waszej miłości — odpowie mu burmistrz — ale trudno mi było tkaczów zostawić samych z panem Kundratem...

— Wiem ja dobrze, — rzekł, przerywając mu Wilczek — że łokieć Kundrata nie zawsze się zgadza z łokciem tkackim i że tylko ty umiesz obydwa wyrównać; ale mnie pilno. Słuchajże, Daszkiewicz, ja jadę w drogę, może i kilka miesięcy zabawię, a chciałbym, żeby się tu tymczasem jakie nieporządki nie wkradły. Kukuć będzie pilnować zamku, a twoja rzecz utrzymać ład w mieście. Trzymajże się za rękę z Kukuciem, w razie potrzeby niechaj ci da do pomocy żołnierzy, a gdyby zaszło

co ważnego, pchnij zaraz konnego do Lwowa. A na Biłowusa także miej oko. Kazałem go wczoraj z zamku wyrzucić; żeby się więc do jakiej pomsty nie porwał. W jego zwyczajnych funkcjach mu nie przeszkadzaj, ale, jeżeliby chciał nowych ludzi uzbrajać albo knuł jakie zmowy, rozumiesz?

— Trzeba mi na to tylko rozkazu pana starosty, bo to i tak w ostatnich czasach zanadto mu się dawało wolności — odpowiedział Daszkiewicz — i chciał dalej swe skargi wywodzić, kiedy w tej chwili zbliżył się Kundrat i, zdjąwszy z głowy swój biret niemiecki, pokłonił się Wilczkowi bardzo grzecznie, ale z uśmiechem i z pewną poufałością.

Kundrat był to człek koło czterdziestu lat wieku, średniego wzrostu, ale okrągły i dobrze żywiony, twarz miał ogoloną zupełnie, nos długi ciekawy, a oczy zielone, bardzo spokojne, ale wciąż uśmiechnione. Uśmiech igrał także około jego ust smacznych, a wtórowały mu dwa dołki po każdej stronie rumianej twarzy. Na pierwszy rzut oka widać było człowieka, któremu się dobrze powodzi i kontent jest z siebie. Ubrany był z niemiecka, w kaftan krótki z buchastemi rękawy, pludry krótkie, ale szerokie, wełniane pończochy i grube trzewiki; tak siedział przy robocie za stołem, ale, idąc na powitanie starosty, zarzucił krótką opończę na siebie z szerokiemi rękawy.

Kundrat był dzieckiem mieszczańskiem ze Lwowa i miał tam kram własny z dziada pradziada; zamłodu wysłano go do Krakowa, gdzie się dobrze wyćwiczył we wszelkich naukach i kunsztach i promowany jest doktorem obojga prawa; miał zamiar promować się jeszcze na doktora teologji

i zostać kapłanem, lecz, przyjechawszy na krótki czas dla wytchnienia do Lwowa, poczuł w sobie wokację do ojcowskiego rzemiosła, do przemysłu i handlu i zasiadł zaraz sam za swoim kramem. Jednakże wkrótce namówił się ze starym Kijasem i został u niego pierwszym włodarzem, gdzie, zawiadując pod jego mądrym kierunkiem niezliczonemi przedsiębiorstwami, mógł spożytkować swoje rozległe i gruntowne nauki, a zarazem daleko znaczniejsze zbierać dochody, niżeli jego ubogi kram mógł mu przynosić, chociaż dlatego wcale go nie porzucił. Kundrat miał dom własny we Lwowie i był notarjuszem lonherji, więc go ludzie respektowali, a to tem więcej, ile że i worek czuli u niego; ale Wilczek traktował go zlekka i zawsze rad z nim żartował.

— Mości panie doktorze — rzekł teraz do niego — widzę po twojej twarzy, żeś moich tkaczów porządnie ogolił; jeżeliś i mnie także podgolił, to się pobijemy ze sobą...

A na to Kundrat:

— Mości panie starosto, w handlu jest, jak na wojnie; kiedy można kogo pobić w otwartem polu, to się go bije w polu, a kiedy nie można, to sztuką kozły tłuką. Na tem świat stoi, tak w rycerstwie, jak i w mieszczaństwie. Ale nasz dom wojuje uczciwie.

— Już to przyznaj się między nami, — odpowie mu Wilczek — że twój katechizm niebardzo czytelnemi literami pisany; boć my to wiemy, że ty, jak czerwony złoty obaczysz, to póty nie śpisz, póki go nie dostaniesz. A potem, jeśli nie w katechizmie, to w jakim statucie znajdziesz na to eks-

kuzę. Szłoby to wcale inaczej, gdyby cię Kijas na wędzidle nie trzymał.

Więc Kundrat śmiał się i rzekł:

— Tutaj w Tustaniu nie trzeba wcale Kijasa, bo tu pan Daszkiewicz ma jeszcze twardsze wędzidło.

Słysząc to Daszkiewicz, podniósł głowę dumnie do góry, ale rzekł skromnie:

— Na djabła się tam zda moje wędzidło na takiego czarnoksiężnika. Bo i nie wiedzieć zaprawdę, jak on to robi. Towar mierzy niby rzetelnie i płaci niby rzetelnie, ale jak sobie odjedzie, a ludzie mają czas dobrze się z sobą obliczyć, to i jednego takiego nie znajdzie, coby mu czegoś nie brakowało:

A wtedy Kundrat prędko poderwał i rzekł:

— A tak i miasto upada, i ludzie mrą z głodu, a niebawem i burmistrzowi na opończę nie stanie.

Więc wszyscy się śmieli, bo im się wszystkim dobrze działo, a Wilczek dodał:

— Już to żeście się obydwa z Kijasem zawzięli na to miasteczko i wkrótce go puścicie z torbami, o tem na całej Rusi wiadomo. No, a co tam we Lwowie? Jak się ma Kijas, a Tigranes, a pani Formoza?

— Wszyscy zdrowi, jak jagody, tęsknią za panem starostą.

— A pani Pachna? Kiedyż wesele? Bo Daszkiewicz chciałby się choć raz napić twojej małmazji, a potańcować u ciebie, ale się jakoś doczekać nie może.

— Jeszcze się o tem nie myśli — rzekł na to Kundrat z uśmiechem — jeszcze u pani Pachny za wysokie progi dla kupca.

— Ba, — rzecze Wilczek — ale tymczasem płacisz podatek, nałożony na celibatorów. A to podobno cztery kopy groszy co roku. Powiedz prawdę, Kundrat, jak przyjdzie płacić, djablo się musisz skrobać po głowie.

Kundrat chciał coś odpowiedzieć, ale wtem łuna uderzyła na niebo i to tak nagle, jakgdyby kędyś, niedaleko od miasta, cała wieś stanęła odrazu w płomieniach. Rycerze się obrócili w tę stronę, popłoch się rozniósł po całym rynku, a Daszkiewicz się rzucił ku ratuszowi i posłał zaraz halabardnika na dach ratusza, ażeby obaczył, kędy się pali.

Tymczasem rozmawiający zgadywali, gdzieby to było. Jednakże wkrótce halabardnik zawołał wielkim głosem z dachu:

— Biłowusa zagroda się pali!

Na to Wilczek spojrzał niespokojnemi oczyma przed siebie i rzekł:

— Nie zdaje mi się, aby to była Biłowusowa zagroda, to kędyś dalej. Ale jedźmy, bo późno.

I zaraz ruszył ku bramie północnej, a jego poczet ruszył za nim.

A wtedy Włostek przyskoczył na koniu, już nie do Ramułta, tylko do samego Wilczka i rzekł głosem, głęboko wzruszonym:

— Proszę pana starosty pozwolić mi, abym skoczył obaczyć, gdzie się to pali; ja pana starostę dogonię.

Wilczek przez oka mgnienie się zastanowił, ale niebawem rzekł:

— Ty ognia nie zgasisz. Ale jedź... a wracaj prędko do Drohobyczy, gdzie będziemy nocować.

Tymczasem tłum wielki ludzi się zgromadził na

rynku, a wszyscy patrzyli ciekawie ku południowi, bo już się ciemno zrobiło. Łuna im przyświecała czerwonym płomieniem, a na niebie widać było snopy iskier, które wyskakiwały w górę, a wiatr je unosił ku zachodowi. Daszkiewicz zwołał wszystkich halabardników i kazał miasta pilnować. Niektórzy ludzie wyłazili na wozy, na drzewa i dachy, ażeby pożar lepiej obaczyć. Inni, co śmielsi, chociaż nie mieli sikawek, wybiegli z miasta z hakami, nie tyle, aby ratować, lecz raczej, ażeby się cudzemu nieszczęściu nadziwić i tłumem pędzili na miejsce pożaru.

A daleko przed nimi słychać było tętent konia, pędzącego cwałem w tę samą stronę, a ilekroć ziemia przed nim się podnosiła, tyle razy widzieli na tle łuny czerwonej czarny cień jeźdźca, który, naprzód schylony, okładał harapem boki koniowi i znowu znikał w nizinach. Był to Włostek. Pędził on na złamanie karku, jak szatan, Ofce na ratunek; oczy jego, prócz ognia woddali, nic nie widziały przed sobą, serce mu biło tak gwałtownie, jakgdyby mu chciało żebra rozeprzeć i pewnie dałby zato resztę swojego życia, gdyby już był na miejscu i widział, że się Ofce nic złego nie stało.

Wszelako Wilczek jechał spokojnie stępa ku Drohobyczy, obok niego Ramułt, a za nimi żołnierze cokolwiek woddali, ażeby mogli ze sobą swobodnie pogwarzyć o Biłowusie i jego zagrodzie. Wilczek, dopiero co taki wesoły, teraz był znowu milczący i zasępiony. Jechał tak kilka stajań, nie przemówiwszy ani słowa, aż przecie nareszcie rzekł do Ramułta:

— Jakże rozumiesz, kto tam mógł podpalić Biłowusową zagrodę?

— Męczę się nad tem, jak pies, co wpadł w wodę, a pływać nie umie — odpowie mu Ramułt — ale niczego nie mogę wymyśleć. Bodajby jeno Biłowus sam nie zażegnął swojej chałupy. Nie poszło mu po jego myśli anielskiej, więc się chwycił myśli djabelskiej.

Na to Wilczek znów umilkł; zdało się, jakoby wcale nie chciał mówić o tej sprawie, która mu była przykrą, może nawet nieznośną, ale na którą nie widział ratunku. Jednakże Ramułt innego był zdania, bo rzekł po chwili:

— Nie moja rzecz dawać rady waszej miłości, ale gdyby tak na mnie, to wolałbym to załagodzić.

Lecz Wilczek, rozumiejąc zapewne, że Ramułt nie wie wszystkiego, parsknął głośno od śmiechu i zawołał:

— Radźże, jeżeli umiesz. Powstrzymasz ty jabłoń, ażeby nie wydała owocu, kiedy ją lato rozgrzeje? Już kiedy Marucha nie umiała poradzić, to i ty nie poradzisz, chyba, żeś lepszy czarownik, niż ona.

— Na to wcale czarów nie trzeba — rzekł Ramułt. — Naszego czasu zdarzają się takie wypadki po wielkich dworach i po panieńskich klasztorach, a przecie je ludzie jakoś łagodzą. Biłowus człek dziki, z nim niemasz rozmowy, ale kiedyby na to przyszło, to można było Ofkę, albo i jego samego kędy na jakie pół roku wyprawić.

Wilczek, jeżdżący zawsze wielkim gościńcem, a nieznający wcale ubocznych przesmyków i ścieżek, pomyślał nad tem cokolwiek, lecz rzekł:

— Pogadamy o tem we Lwowie.

Tak dojechali już późno w nocy do Drohobyczy i stanęli przed gospodą na rynku, a jeden z żoł-

nierzy, zsiadłszy z konia, zaczął kołatać do bramy, aby ją otworzono.

A wtedy dał się słyszeć tętent kopyt końskich w ulicy i w małej chwili Włostek stanął przed Wilczkiem, a zeskoczywszy także z kulbaki, kłaniał mu się, ocierając pot z czoła, ale nie mogąc jeszcze ani słowa przemówić.

— Cóżeś tam widział? — zapytał Wilczek.

— Panie starosto — odpowiedział mu Włostek przerywanemi słowy — Biłowus sam spalił swoją chałupę.

— Sam spalił! A to dlaczego?

— Bo, proszę jegomości, napadł na obydwie kobiety pod krzyżem i chciał je mordować, a one schroniły się do chałupy i zatarasowały drzwi, a Marucha czary rzucała na niego przez okna. Więc on strzechę podpalił, aby je stamtąd wykurzyć. A potem wylazł na swój dąb i patrzył stamtąd, jak jego budynki gorzały i śmiał się śmiechem końskim, bo rżał właśnie, jak koń. Tak mi opowiadał jego parobek.

— I wykurzył kobiety? — zapytał Wilczek.

— Jużci wykurzył — rzekł Włostek. — Jeno, jak się strzecha zapadła, Marucha wzięła Ofkę pod ramię i wśród dymu i iskier wyleciała z nią w powietrze.

— Ot, gadasz — rzekł na to starosta.

— Przysięgam Bogu — zawołał Włostek — żem je sam widział, jako ulatywały w powietrze. Jak tylko się strzecha z wielkim trzaskiem zapadła i wybuchnęły z niej płomienie, dymy i iskry, właśnie, jakgdyby kto fortecę prochami wysadził w powietrze, wszyscy ludzie zaraz krzyknęli: „Owo Marucha z Ofką lecą do góry“. Ja sam wi-

działem, jakby na dłoni, jak Marucha Ofkę trzymała pod pachy, a ich spódnice się wydymały, jak kłęby, aż póki w górze nie znikły. Wszyscy ludzie tustańscy na to patrzali i gotowi są przysiąc, choćby i na ratuszu przed burmistrzem i panami rajcami. I Biłowus to widział ze swego dębu i jeszcze raz zarżał, że rżenie jego się rozległo po lasach, a po wszystkich ludziach mróz poszedł. A wtedy jaki taki się przeżegnał i wrócił do miasta, a jam wrócił do mego pana.

Na to Wilczek i Ramułt także się przeżegnali, a tymczasem otworzono bramę i zapalono światła w gospodzie. Więc cały poczet wjechał do gospody. Wilczek położył się spać w komorze, a jego żołnierze jeszcze długo w noc słuchali powieści Włostka w szynkowni. Nazajutrz zaś rano Wilczek wyruszył do Lwowa.

III.

DWAJ RYCERZE.

W tydzień potem, albo mało co więcej, Wilczek, załatwiwszy pomyślnie swoje sprawy we Lwowie, wyjechał o wschodzie słońca z całym swym pocztem z miasta przez bramę Krakowską, którą zwano także *porta Tartarica* i puścił się wielkim gościńcem na Gródek i Wisznię ku zachodowi; ale sam jeszcze nie wiedział, dokąd właściwie zmierza. Celem jego podróży był Kraków, gdzie jako rotmistrz, należący do królewskiego dworu, po starym zwyczaju musiał pełnić służbę przez

parę miesięcy co roku; ale nie było mu pilno, bo wiedział, że króla nie było w Krakowie. Myślał zatem najprzód wstąpić do Koniecpolskich, swoich przyjaciół, a ówczesnych starostów w Przemyślu, gdzieby mu zeszło wesoło jakich parę tygodni, a potem się przebrać przez góry na zamek Sobieński do Kmitów, gdzie strawił swoje lata pacholęce, gdzie go miłowano tak szczerze, a gdzie tak dawno już nie był. Tam mógłby znowu jakiś czas się poweselić przy sercach poczciwych, przy tłustej kuchni i bogatej piwnicy, przy muzyce, tańcach, a turniejach i takby mu zeszedł cały ten czas, aż póki król nie powróci z Mazowsza. Więc jechał wolno, rozpatrując się po okolicy płaskiej i równej, a tak niepodobnej do tych gór, między któremi leżał zamek tustański.

Ale i ten kraj płaski wcale inaczej wyglądał pod owe czasy, niż dzisiaj. Wsie były rzadkie naówczas, dwory nieliczne, a przy nich, daleko porozrzucane od siebie, kmiece zagrody. Dziedzice i tenutarjusze tych rozległych przestrzeni napróżno wystawiali wysokie pale przy drodze, opatrzone w tyle ramion przedziurawionych, ile zagród było we wsi do obsadzenia; dość było kołek zabić w jedno z tych ramion, ażeby otrzymać spory szmat gruntu, często z chałupą, a zawsze jeszcze wcale nie ciężkiemi obarczony powinnościami. Ale rzadki to był osadnik, który zagrody zapragnął, a i ci nawet, którzy już osiedli, po jednym roku, albo po kilku, zazwyczaj po pierwszym zagonie Tatarów wynosili się w góry, gdzie mieli chudy, ale daleko spokojniejszy kawałek chleba.

Natomiast lasy okrywały nieprzejrzane okiem przestrzenie, lasy częstokroć wcale nietknięte, na-

bite, jak puszcze, odwiecznemi dębami, jaworami i olbrzymami drzew szpilkowych, a zaludnione całemi stadami dzikiego zwierza, pomiędzy któremi często było można dosłyszeć donośny ryk żubra i trzask łamiącego przed sobą gałęzie niedźwiedzia. Pomiędzy temi lasami szerokie rozlewały się wody, zwłaszcza w tym kraju, gdzie od Komarna aż po Krakowiec i dalej, nieprzerwane, a gęstemi trzcinami pozarastałe ciągnęły się stawy. Na tych stawach mieszkały nieprzeliczone roje dzikiego ptastwa, które niejednokrotnie tak przeraźliwym krzykiem napełniały powietrze, że przejeżdżający koło nich podróżni nie mogli własnej rozmowy dosłyszeć. Około stawów, często na bardzo dalekie przestrzenie, grząskie błyszczały moczary, których latem noga ludzka nie mogła przebrodzić, a w nich gnieździły się całe roje potwornych gadów i płazów, których ród dzisiaj zaginął.

Gościniec, wiodący tym krajem od Lwowa ku Przemyślowi, był wprawdzie bardzo szeroki, bo każdy jechał kędy mu było składniej, ale ręka ludzka nigdy go nie dotknęła; strumienie i rzeki w bród trzeba było przebywać, tylko w niektórych miejscach moczarnych walono kloce drzew jeden przy drugim, ażeby je jakokolwiek wymościć. Na tym gościńcu rzadko też zjawiał się jaki podróżny, chyba chłop albo szlachcic, bo kupcy ze swemi brykami radzi omijali wielkie gościńce, obawiając się spotkania z jakim podróżnym rycerzem, co zwykle się obyć nie mogło bez jakiegoś wykupu. Rzadki to był człek zbrojny naówczas, który ze spotkania się z kupcem nie skorzystał dla siebie — a broń Boże spotkać się z takim, co jechał zdaleka, nie był tu znanym i tutejszych jurysdykcyj się nie obawiał.

bo w takim razie kupiec się musiał pożegnać ze swoim towarem, a jego bryka próżno wracała do domu. Nawet sami rycerze mieli się na baczności w podróży, bo mogli się spotkać z drugim, mocniejszym od siebie, a chociaż takiego prawa nie było, to był jeszcze stary obyczaj, że, jeśli jeden rycerz zwyciężył drugiego, to, nie licząc ran, które mu zadał, zabierał mu prawem zwycięzcy cały jego dobytek. Owóż niejeden rycerz miał tylko to, co wodził ze sobą... a któż mógł być pewnym, że się nie spotka z mocniejszym od siebie? Bardzo piękne to były te wieki rycerskie, pełne uczuć wzniosłych, bohaterskich poświęceń i cudownego uroku, ale dla kieszeni i skóry niezupełnie bezpieczne.

Jakoż i Wilczek, jeżeli się tak ciekawie rozpatrywał po kraju, to nie tylko, aby podziwiać wspaniałą i dziką naturę, ale także i z ostrożności, ażeby go jaki zacny kolega znienacka nie napadł. Jednak jechał od rana, popasał w Bartatowie, przy karczmie w Gródku spoczywał jakie trzy godziny, a teraz już się zbliżał do Wiszni i dotąd nikogo nie spotkał, prócz kilku kmieci na furkach i dwie czy trzy kupki wielkopolskich szlachciców, którzy na chudych szkapach przy wózkach bardzo ubogich ciągnęli w Bełzkie, gdzie się chcieli osiedlić. Dopiero o jakie pół mili od Wiszni zdało mu się, że dojrzał przed sobą tłum ludzi konnych, jadących zwolna ku Lwowu.

Dzień był majowy, pogodny, powietrze, choć trochę wilgotne, lecz czyste, wzrok niósł bardzo daleko, jakoż widać było wyraźnie, że był to poczet ludzi konnych i zbrojnych, za którym ciągnęły wozy. Ale było to dziwne widowisko.

Albowiem na czele pocztu szedł wolnym kro-

kiem koń biały, ogromny, jak słoń i nadzwyczajnie wyniosły, ale nie było na nim widać rycerza. Wprawdzie około jego łba kiwały się pióra, ale tak nisko, że trudno było przypuścić, aby to były pióra u hełmu rycerza, a zdało się jakoby raczej łeb koński w pióra był przystrojony. Coś się tam przy kulbace czerniło, ale nie można było rozeznać, czy to były nogi ludzkie, czy też czapraki. Natomiast za nimi widać było dobrze ośmiu albo dziesięciu żołnierzy, w pancerzach i hełmach albo misiurkach, dalej trzy albo cztery powózki, ale także jakieś dziwaczne, bo bardzo wysokie i płótnem nakryte, a w każdej z nich tylko jeden ogromny koń uprzężony, idący w kabłąku i wielkim spiczastym chomącie. Więcej dojrzeć nie było można, bo słońce się już ku zachodowi zniżało i świeciło temu pocztowi w plecy, więc oko blasku wytrzymać nie mogło, a do tego jeszcze promienie, odbijające się od polerowanych pancerzy i hełmów, ile że poczet był w ruchu, jego widok nadzwyczajnie mąciły.

— Jaki to djabeł być może, co się tak wlecze gościńcem? — zapytał Wilczek Ramułta, który także wzrok wytężył w tę stronę. — Możesz rozeznać?

— Zda mi się, że baba tam siedzi na tym białym ogierze — rzekł Ramułt — inaczej byłoby widać hełm nad łbem konia, choćby też jak był wyniosły.

A Wilczek na to:

— Djabli go wiedzą, słońce mi oczy oślepia. Może i baba, ale to chyba która księżna, bo orszak nielada. Jednak co bądź, każno zagrać trębaczom, aby i oni wiedzieli, z kim się tu spotykają.

Na rozkaz Ramułta obydwa trębacze zagrali

zaraz hasło królewskie, które grać było wolno tylko rotmistrzom, należącym do dworu króla. Jednak zaledwie trębacze hasło odegrali, w zbliżającym się poczcie odezwały się także dwie trąby i odegrały odzew królewski.

— Baba, konwojona przez wojsko królewskie? — zawołał Wilczek. — Cóżto być może? Ramułt, spraw-no żołnierzy, bo mi to rzecz podejrzana.

Ramułt sprawił żołnierzy: miecze do ręki, obuchy z pod kolan, — a tymczasem obydwa poczty już się zbliżyli o kilkanaście kroków ku sobie. Tamci także błysnęli mieczami. Wilczek wytężył wzrok i wszystko tak znalazł, jak widział zdaleka, tylko baby nie było, a na koniu siedział rycerz w lekkim pancerzu i hełmie z bogatemi piórami, jeno miał tułów tak krótki, że wszystkiemi swemi piórami ledwie uszu końskich dosięgał. Wilczek się przeginał na prawo i na lewo, ażeby twarz jego obaczyć, ale dopiero kiedy się ich konie zrównały ze sobą, zawołał z głośnym śmiechem:

— Kergolaj! Niechże cię wszyscy djabli wezmą! Prędzejbym się śmierci spodziewał, niżeli ciebie widzieć na Rusi. Cóż ty tu robisz?

A tamten wołał spokojniej:

— Wilczek! Wilczek! Otóż mi spotkanie! Myślałem zawadzić o ciebie, ale mi powiedziano, że do twego zamku nawet nie dojechać na koniu.

Tak więc się zaraz zbliżyli do siebie, kolano do kolana, podali sobie ręce raz, drugi i trzeci i zaczęli ze sobą gawędzić, a ich żołnierze stali opodal z respektem, jaki się od nich ich panom należał.

Rycerz, co siedział na białym koniu, miał rzeczywiście tułów tak krótki, że zdawał się prawie garbatym, bo też i nogi miał cokolwiek przydłu-

gie; może nawet był kiedyś garbatym zamłodu, ale przez usilne gimnastyczne ćwiczenia ułomność ta znikła, a zostały z niej tylko piersi bardzo wypukłe, barki szerokie i silne i głowa cokolwiek wgnieciona pomiędzy ramiona. Był to zresztą człek wcale przystojny, twarz miał białą i gładką, nos długi, ale foremny, oczy piwne, spokojne, wesołe, ale bardzo ciekawe, wąs ciemny obfity i włosy czarne, bogate, spadające w pięknych kędziorach na szyję. Miał wtedy lat może już blisko czterdziestu, lecz widać było po nim, że pielęgnował starannie swe zdrowie i dbał o swą powierzchowność. Nazywał się Jean Felix Bâtard de Kergolay, pochodził z jednej z najznakomitszych rodzin francuskich, nosił jej herb z dewizą: *Ayde toy Kergolay et Dieu t'aydera* i był właściwie z pochodzenia Francuzem, ale że się rodził z matki Polki, więc naturalnie stał się Polakiem.

Urodzenie Kergolaja (tak bowiem powszechnie nazywano go w Polsce) było cokolwiek zachmurzone rozmaitemi powieściami, które już wtenczas niebardzo były jasne, a których dziś już wcale niepodobna rozwikłać. Żona Mikołaja Kmity, pana na Wiśniczu, Dubiecku i Sobniu, który zmarł kasztelanem lwowskim, zdaje się z domu Lanckorońska z Brzezia, powiwszy swemu mężowi czterech synów i owdowiawszy, weszła w ponowne śluby z panem de Kergolay, kawalerem francuskim, który się był zabłąkał na dwór Kazimierza Jagiellonów i w jego wojsku wodził chorągwie. Z nim miała syna, któremu dano na imię Jean Felix, ale ponieważ, jak powiadano, przy tym ślubie nie było wody święconej, więc rodzina jego ojca odmówiła mu prawa noszenia jej miana, a dopiero król

francuski Ludwik XI powrócił mu ojcowskie nazwisko, jednak z nieubliżającym zresztą podówczas przydatkiem Bâtard. Być może wszakże, że i woda święcona była przy ślubie, tylko zazdrośni krewni uknuli przeciwko niemu kabałę, ażeby go pozbawić majątku, albowiem Kmitowie, jego bracia przyrodni, nie zaparli się go wcale; owszem za wolą matki dali mu wieś Niewistkę, a nawet pomagali mu pieniędzmi. Czytamy bowiem jeszcze dziś w aktach grodzkich sanockich, jako *generosus Johannes Kmytha nobili Felici alias Johanni fratri suo de Niewijastka quinquaginta marcas... debet.* Jakoż zawsze go uważali za brata i po bratersku się z nim obchodzili.

Matka, jak się to dzieje zazwyczaj z dziećmi upośledzonemi, kochała go więcej, aniżeli innych swych synów i wychowywała go zrazu przy sobie na Wiśniczu, gdzie się dobrze nauczył po polsku; dopiero później dla dalszych nauk wyjechała z nim do Francji, gdzie znowu swój język polski trochę skaleczył, ale mówił nim wybornie i tylko niektóre głoski wymawiał z francuska. Po śmierci matki dostał się na dwór książąt Sabaudzkich, którzy podówczas utrzymywali u siebie prawie najwyborniejszą szkołę rycerską i gdzie właśnie pod owe czasy najsławniejszy rycerz francuski, *le gentil seigneur de Bayard, le bon chevalier sans peur et sans reproche,* czynił pierwsze swe służby. Później się dostał na dwór króla Karola VIII, ostatniego ze starszej linji Walezych, a odznaczywszy się w wielu bitwach odwagą, męstwem i wszelkiemi innemi kawalerskiemi przymioty, już bardzo młodo pasowany jest na rycerza i otrzymuje złote ostrogi.

Śród tego czasu, ile razy we Francji wojny nie było, zawsze przybywał do Polski i bawił na dworze królewskim, gdzie mianowany jest raz na zawsze rotmistrzem króla, chociaż nie miał własnej chorągwi. Tam poznał się z Wilczkiem i bardzo się z nim zaprzyjaźnił. W ostatnich latach służył znów w wojsku Karola VIII. Przed dwoma laty przeszedł z nim Alpy, wszedł w grudniu do Rzymu, a przeszłego roku był między zdobywcami całego neapolitańskiego królestwa. Wkrótce potem zjawił się nagle na dworze królewskim w Krakowie, powiadano o nim, jakoby miał misję od króla Karola VIII, aby namówił króla Olbrachta do wspólnej wojny przeciwko Turkom. Bawił wtedy także czas mały w Niewistce i na zamku Sobieńskim, lecz znowu zniknął. Teraz znów się pojawił i ciągnie na Ruś; bardzo to Wilczka zdziwiło i radby był wiedzieć co prędzej, dokąd Pan Bóg tego kawalera prowadzi i poco.

— Powiedzże, Kergolaj — rzecze do niego Wilczek zaraz po przywitaniu — skądże ty jedziesz i dokąd, bom bardzo tego ciekawy?

Kergolaj miał głos bardzo dziwny, prawie jak klarnet, chociaż tego instrumentu jeszcze wtedy nie znano i obejmował nim wszystkie trzy oktawy, a że do tego miał oczy śmiejące, więc nigdy nie można było wiedzieć, czy mówi prawdę, czy też drwi sobie z poczciwego człowieka.

— Ja jadę daleko — odpowie mu Kergolaj. — Znudziło mi się we Włoszech, a zatęskniło do Polski; ale i w Polsce cicho, jak mak siał i niema co robić. Byłem w zimie u króla, przyjął mnie łaskawie, ale chorągwi mi nie dał, obiecując ją dać, kiedyby wojna wybuchła. Byłem w Niewistce, ale zna-

lazłem skrzynie puste; ledwie, że kilka koni mi wychowano, które mi się przydały. Byłem u Kmity na Sobniu, tamem się trochę rozerwał, ale tam przyszły mi różne myśli do głowy, które chcę teraz wykonać.

— Skarżysz się — rzecze mu Wilczek — a bez racji, bo w rzeczy chyba tylko na to skarżyć się możesz, że ci się zanadto dobrze powodzi. Nie rozumiem, jak taki *Cavaliere di gran Grido,* jak ty, mógł się nudzić we Włoszech, zwłaszcza, żeście tam zwyciężyli. Tożto tam podwiki musiały cię nosić na rękach, chyba żeś co u której przeskrobał. Król w tobie się kocha, wiem o tem pewnie i chorągwi ci nie zaprzeczy, jak będzie wojna. Niewistka nieszpetna to wieś, zwłaszcza, że podobno należy do niej kilka folwarków nad Sanem. A jeśli ci czasem grzywien potrzeba, to Kmita pewnie ci ich nie odmówi.

— Ba — zaśmiał się Kergolaj — kiedy *generosus* Kmita zawsze *marcas debet.*

— A więc ty tymczasem — rzekł Wilczek, żartując — wybrałeś się na Ruś: może Pan Bóg da szczęście. Ale tutaj gościńce puste...

A Kergolaj śmiał się i mówił:

— Masz rację. Zdechłby tu z głodu, ktoby się musiał żywić na gościńcach. Ale ja o tem nie myślę. We Francji to dawno wyszło z mody, jeno jeszcze w Niemczech rycerze łuszczą kupców po drogach. Ja zresztą nigdy nie dotknąłbym chrześcijan, tylko, jeżeliby mi żyd jaki zaplątał się między nogi, tobym mu nie darował, bo u żyda zawsze się jakokolwiek obłowisz, a i Matka Najświętsza ci to wynagrodzi.

A na to Wilczek:

— Niewiele tu żydów w tym kraju. Jest ich kupa we Lwowie, ale jabym ci i tam nie radził ich łuszczyć, bo najprzód żydzi to oko w głowie u tamtejszego starosty, on sam ich łuszczy i nie pozwala, aby mu kto lazł w jego kapustę, — a potem są tam dwa sądy, miejski i starościński, które się wiecznie swarzą pomiędzy sobą, więc, jak kogo pochwycą, to jeden drze go za łeb, a drugi za nogi, aż póki go nie rozedrą.

To mówiąc, Wilczek rzucił okiem na jego szyję i lewe ramię i tam swój wzrok zatrzymał na chwilę. A było na czem, bo Kergolaj miał łańcuch żelazny obwinięty około szyi, a jego koniec przykuty do naramiennika na lewem ramieniu, zaś przy tym końcu był przyczepiony kłąb wstążek niebieskich i białych, ułożony w kokardę, a końce tych wstążek powiewały w powietrzu.

— Ej, — spostrzegłszy tę kokardę, zawoła Wilczek — to te wstążki gdzieś ciebie prowadzą! Jużeś pewnie stanął u jakiej damy na służbę i jedziesz gdzieś w świat, aby jakiegoś ślubu dopełnić.

Kergolaj uśmiechnął się na to z zadowoleniem i rzekł z dobrego serca:

— Tobie powiem, jako przyjacielowi. Zastałem u Kmity jego siostrzenicę, pannę Jagienkę, co się chowała u panien Klarysek na Starym Sączu, a teraz ją pani Kmicina wzięła do siebie na zamek i u niej służbę przyjąłem. Słuchaj, Wilczek, znasz ty się także na kobietach, ale pozwalam tobie łeb mi rozszczypać toporem, jeżeli mi powiesz, żeś widział piękniejszą.

— Jaka to jest Jagienka? — zapytał Wilczek, szukając w swojej pamięci. — Przecie ja lata stra-

wiłem na zamku sobieńskim, a nigdy o niej nic nie słyszałem.

— Nie powiadano ci o niej, — zaśpiewał swoim klarynetowym tonem Kergolaj — bo, znając gorącą krew Wilczków tustańskich, pewnie się obawiano, ażebyś jej zaraz nie porwał.

— Ale któż ona jest?

— Córka Michała Kmity, stryjecznego sobieńskich, który jest zabit na Węgrzech. Chowała się, jak ci powiadam, w klasztorze, a teraz ją wzięli na zamek, bo idą na nią wielkie majątki na Szląsku i w Węgrzech, i chcieliby ją dać zamąż wedle jej stanu.

— O Michale Kmicie, co go zwano węgierskim i był zabit na Węgrzech, nieraz słyszałem, alem nie wiedział, że córkę zostawił. A więc tyś u niej stanął na służbę i jedziesz...

— Jadę do Ziemi Świętej, bom jej obiecał przywieźć różę z Jerycho, a i Kmicie przyrzekłem, że mu przywiozę cierń z korony Chrystusa Pana, aby już raz odpokutował tych chłopów, co ich pozabijał.

A na to Wilczek całkiem poważnie:

— Różę w Jerycho dostaniesz, bo ten kwiat bujno się krzewi po tamtych krajach, ale o cierń z korony Chrystusa Pana, to już chyba będziesz się musiał bić z tymi, co go mają, bo go nie znajdziesz na drodze.

— A co mi tam na tem, że trochę żydów natłukę!

— Ba! — rzecze Wilczek bardzo rozumnie — Kiedy bo to nie żydy chowają te ciernie, jeno, jeżeli jaki odpytasz, to chyba u chrześcijan.

— Więc się bić będę z chrześcijany.

— Jaka to szkoda — rzekł Wilczek, zamyślając się nad tą ważną sprawą — że ja jestem przykuty i do mego starostwa, i do służby królewskiej, właśnie, jak pies na podwójnym łańcuchu, inaczej zarazbym się z tobą namówił i obrócił dyszel na Jeruzalem. Jam wprawdzie chłopów nie zabijał, ale i u mnie znajdą się grzechy, więc dobrzeby było uderzyć czołem o grób Zbawiciela, a oprócz tego, radbym też i ja widzieć te święte kraje, które Chrystus Pan deptał swojemi stopami, o których tyle pięknych rzeczy mi powiadano, gdzie tylu chrześcijańskich rycerzy swoją krew przelewało — a tylko ja tam nie byłem...

Tu Wilczek głęboko się zamyślił, widać było, że jego bujna wyobraźnia zaczęła grać w jego głowie i przedstawiać mu czarujące obrazy.

Kergolaj patrzał przez chwilę na niego, a potem powiedział:

— To nawróć!

— Ba! — rzecze Wilczek głosem prawie żałośnym. — Kiedy mi się nie składa. Jestem podwójnym urzędnikiem królewskim, rotmistrzem u jego dworu i starostą na zamku tustańskim i bez jego pozwolenia w tak daleką podróż mi się jechać nie godzi.

— To słuchaj — powie mu Kergolaj — to nawróć ze mną przynajmniej do Lwowa, bo ja i tam mam wypełnić jedną prośbę Jagienki, przyczem mógłbyś mi być bardzo pomocnym. Byłem u Koniecpolskich w Przemyślu, chcąc ich się poradzić, ale tam tak mnie poili przez cały tydzień, żem się dopiero w Medyce wytrzeźwił, gdziem wczoraj nocował. Więc i trudno mi było z nimi się rozmówić...

— Cóż to za prośba?

A wtedy Kergolaj taką mu rzecz opowiedział:

— Wiesz o tem zapewne, że Michał Kmita węgierski miał siostrę, która wyszła za Muryssona, szlachcica herbu Mora, co był wojskim trembowelskim, a na czas nawet podobno starostą. Murysson miał około Trembowli rozległe majątki w ziemi podolskiej, a do tego jedyną dzieweczkę, którą nazywano Formoza. Otóż kilka lat temu, albo może i więcej, Tatarzy napadli na dwór Muryssona, jego samego, jego żonę i wszystkich jego ludzi wymordowali, a tylko dzieweczka uciekła i zabłąkała się na stepie. Na to nadjechał pewien lwowski Ormianin, dzieweczkę znalazł, zabrał ze sobą, podchował u siebie i dotąd ją trzyma w swoim haremie. A potem i dobra jej zabrał, przepisał w ziemstwie na siebie i także je trzyma. Formoza jest siostrą cioteczną Jagienki, więc Jagienka się nad nią szczerze lituje; widziałem ją nieraz, jak nad jej losem rzewnemi zalewała się łzami, więc to mnie wzruszyło i przysiągłem jej, że tego Ormianina odszukam i wezmę w moje objęcia, a jeżeli się nie upokorzy, to go na kiełbasę posiekam, a Formozę odbiorę razem z jej majątkami.

Wilczek bardzo się kręcił na kulbace, słuchając tej powieści, a kiedy wysłuchał, pogodną twarz swoją nie dla żartu nasrożył, ale zapytał spokojnie i prawie szyderczo:

— Któż to cię naszpikował takiemi bajkami?

— Jakto bajkami? — zawołał Kergolaj, któremu ten wyraz wcale się nie podobał. — Przecie o tem wiedzą wszyscy Kmitowie, a Jagienka nawet listy odbiera od Formozy.

— To Kmitowie są głupi, — rzekł Wilczek surowo — a twoja Jagienka czytać nie umie, bo

w tem wszystkiem niemasz krzty prawdy. Formoza Muryssonówna po tatarskim zagonie została znaleziona na stepie, to prawda, ale poszła zamąż za Ormianina, bardzo zacnego człowieka, — sam byłem na ślubie.

— Piękny to musiał być ślub obyczajem ormiańskim, albo też bisurmańskim! — zawołał Kergolaj jadowicie. — Nie wiem, coś tam mógł robić na takim ślubie, gdzie chyba tylko rzezańców biorą na świadków.

— Dajże pokój! — zawołał na to Wilczek, a twarz mu się zaczerwieniła i oczy już błyskać zaczęły iskrami. — Daj pokój, bo ja takich rzeczy nie znoszę! Wiedz zasie o tem, że to rzecz nie rycerska czernić uczciwą kobietę... a choćbym był nawet rzezańcem, to jeszczebym łeb temu rozpłatał, który to robi. Zresztą — krzyknął Wilczek, zapalając się coraz więcej swemi własnemi słowami — zresztą i o tem wiedz także, że jeżeliś poto się wybrał, to nie pojedziesz do Lwowa!

— Ja nie pojadę do Lwowa? — zawołał Kergolaj, biorąc się obydwiema rękami pod boki. — Może ty mi zabronisz!?

— Zabronię! — wrzasnął Wilczek, pieniąc się już od złości. — Ja tobie zabronię — i zaraz cię tutaj na gościńcu położę!

Poczem z głębi piersi odetchnął, a zmarszczywszy czoło, jak Jowisz, rzekł surowo:

— Na koniu, czy pieszo?

— Jak wola — rzekł Kergolaj, rzucając piorunowym wzrokiem na niego i chwytając prawą ręką za rękojeść swojego miecza.

— To pieszo — odpowiedział mu Wilczek —

bo szkoda tego białego ogiera, chciałbym go też bez szwanku odziedziczyć po tobie.

I zaraz obydwa zeskoczyli z koni, jakgdyby się pod nimi paliło, a Wilczek krzyknął ku swoim ludziom:

— Hej, Ramułt! Odmierz-no pole na bitwę pieszą, a prędko, bo słońce zachodzi, a pilno mi widzieć, jak wyglądają jelita tego francuskiego pamfila!...

Jednocześnie zaś Kergolaj wołał także do swoich ludzi, ale wołał po francusku, że trudno go było zrozumieć, można się tylko było domyśleć, że jednemu z nich, pewno swemu namiestnikowi, każe mierzyć grunt razem z Ramułtem.

A kiedy obydwa namiestnicy deptali ziemię koło gościńca, aby wynaleźć grunt gładki a twardy, zaś dwaj żołnierze wzięli konie swych panów za cugle, aby je odprowadzić na stronę, obydwa rycerze skakali, jak jaszczurki do siebie, łechcąc się wzajem tą i ową grzecznością.

— Ty weźmiesz mojego białego ogiera? — wołał Kergolaj. — Pierwej ja tobie łeb rozpłatam, a kiedy cię kruki będą pożerać, wezmę twojego srokacza, chociaż nie wart trzech groszy.

— Ty pojedziesz do Lwowa — odpowiadał mu Wilczek — aby tam na poczciwych ludzi napadać i bezcześcić kobiety? Śmiać mi się chce z takiego zbawcy sierot szlacheckich! Otóż wiedz o tem, że Formozy dotknąć ci nie dam i jeszcze ci wezmę Jagienkę!

To mówiąc Wilczek, zapyrzony i czerwony, jak indyk, z ustami drgającemi, jak w febrze, z oczyma gorejącemi, jak dwie świece jarzące, uderzył ręką po mieczu i już go do połowy wy-

ciągnął; tego zaś Kergolaj już wcale nie mógł wytrzymać i jako to miał krew gorącą francuską, chociaż nieraz umiał wybornie nad nią panować, w tej chwili się uniósł, jak kot, od Wilczka odskoczył, cały miecz z pochwy wyciągnął i stanął w rycerskiej paradzie. Jeszcze jedno oka mgnienie, jeszcze jedno słowo dotkliwe, jeszcze jeden ruch z którejbądź strony, a jużby byli uderzyli na siebie, gdzie stali, nie czekając wcale, aż póki im ich namiestnicy po rycersku gruntu nie wymierzą.

Ale w tej właśnie chwili odezwał się dzwonek gdzieś z głębi lasów na prawo. Dzwonek doniosły, przeciągły, drgający w powietrzu, jak arfa anielska, dzwonek wołający pobożnych ludzi na Anioł Pański.

W tym dzwonku wieczornym, odzywającym się tonem żałośnym śród wiejskiej ciszy i skłaniającej się do snu dzienną pracą zmęczonej natury, jest coś czarującego, jest moc jakaś nadziemska, przenikająca serce człowieka do głębi i pochylająca jego głowę w pokorę: zdaje się, jakoby z jego żałośnemi tonami Anioł Pański szedł ziemią w swojej własnej osobie i mówił do całej przyrody: „Dzień boży się skończył, idźcie w spokoju do domu". Tylko w Polsce dzwonek na Anioł Pański ma taką władzę anielską nad ludźmi; zgadzają się na to wszyscy podróżni i jeszcze żaden z nich się nie oparł temu wrażeniu.

Na odgłos dzwonka obydwa rycerze uklękli i zaczęli mówić *Ave Maria* według zwyczaju — a wtedy już wszyscy ich żołnierze także klęczeli i odmawiali pacierze, nawet i obydwa namiestnicy uklękli na gruncie, który do bitwy obrali, zdjęli swe hełmy i ręce do modlitwy złożyli. A ktoby

był miał wzrok przeszywający lasy, trzciny, rosnące na stawach, i sady, otaczające zagrody, ten byłby widział, że, jak daleko głos dzwonka dochodził, wszędzie w tej chwili klęczał z odkrytą głową lud boży i, z pokorą w sercu za własne grzechy a z przebaczeniem win swoim bliźnim, gorące do nieba posyłał modlitwy.

Kergolaj pierwszy, jako to Francuzi krótko się modlą, wstał z kolan i, unikając wzroku swego przeciwnika, spojrzał na klęczących żołnierzy. A wtedy jego twarz się uspokoiła, chwilę jeszcze nie wiedział co mówić, lecz, kiedy Wilczek wstał także z klęczek, rzekł do niego spokojnie:

— Niedobra to pora do bitwy.

A Wilczek na to:

— To dajmy pokój na teraz. Bóg nie chce.

Tak jeszcze przez oka mgnienie stali w milczeniu, zaczem Francuz rzecze:

— Gdzieś tu musi być jakiś kościół w tych lasach.

— Nie kościół — odpowie mu Wilczek — jeno franciszkański klasztorek, a teraz to także kmitowska siedziba.

— Tych Kmitów gdzie nie posiejesz, to zejdą — rzecze Kergolaj — a gdzie się potkniesz, to potrącisz o Kmitę. Jeżeli i dalej tak rodzić się będą, jak dotąd, to niebawem w całej Polsce, co jaki szlachcic znaczniejszy, to będzie Kmita, a jeśli jaki inny się między nimi zabłąka, to będzie pewnie Tarnowski. Jakiż to Kmita siedzi w tych lasach?

Wilczek, ile że twardszy był od Francuza, jeszcze się całkiem nie wypogodził. Żal mu było zapewne, że mu się taka wyborna sposobność do bitwy zdarzyła z kawalerem tak zacnym i tak do-

brze okrytym, i właśnie dzwonek zadzwonił. Mówił więc jeszcze cokolwiek cierpko:

— Nibyto wiesz wszystko, a przecie są rzeczy, o których ci trzeba powiadać. Ów Michał Kmita węgierski, którego dziewka Jagienka ten łańcuch z wstążkami ci przyczepiła do lewego ramienia, a jak widzę i łeb przewróciła z kretesem, miał starszego brata, co się urodził z Tęczyńskiej. Jan Chryzostom mu było na imię i był to rycerz znany po wszystkim świecie swojego czasu, bijał się bowiem z wielką chwałą dla swego oręża we Francji, w Hiszpanji, we Włoszech, a nawet po rozmaitych ziemiach murzyńskich; był wtedy także w Ziemi Świętej, i tak jak ty, nosił na sobie wstążki jakiejś damy, u której przyjął był służbę na całe życie. Ale u damy mu się nie powiodło, bo jej nie dostał; aż kiedy już był zmęczony wojnami i ową służbą, miał boże natchnienie, ażeby wojnie i miłości dał pokój, a raczej się służbie bożej poświęcił. Natenczas pancerz i miecz rzucił o ziemię, odprawił jeszcze raz pielgrzymkę do grobu Chrystusa Pana, ale tym razem już nie konno i zbrojno dla bitwy, tylko pieszo dla pokory i dla pokuty, powróciwszy zaś, wstąpił do zakonu franciszkanów w Rzymie, u nich teologji wysłuchał i przyjął święcenia kapłańskie. Zaczem tu wrócił, osiadł w tej puszczy i tutaj zbudował sobie klasztorek.

— Dawno to być musiało — rzecze Kergolaj — bom nic o nim nie słyszał. A ta puszcza, kmitowskaż to własność? Coby mnie wcale nie dziwiło, bo Stanisław, jak zacznie prawić o swoich majątkach, to utrzymuje, że i na księżycu ma posiadłości.

A Wilczek na to:

— Nie, ta puszcza nie należy do Kmitów. Dawnemi czasy była to królewszczyzna, aż dopiero Władysław Jagiełło, hojny pan na klasztory, nadał ją franciszkanom. Franciszkanie nie umieli z niej nic zrobić, jakoż przez lat kilkadziesiąt leżała odłogiem, a kto chciał, budował sobie w niej zagrodę, płacąc franciszkanom czynsz ladajaki. Dlatego Chryzostom ją łatwo otrzymał i tutaj się pobudował. I ten z niej coś zrobi, chociaż Panu Bogu oddany i sam żyje o chlebie i wodzie, nie zapomina przecież o dobrach doczesnych; jakoż za tą puszczą, co ją tu widzisz, a nad stawami, co za nią się ciągną, znaczne już pobudował folwarki, a osadnicy ciągną do niego, jak muchy na lep, bo znajdują tu ziemię tłustą za życia i zbawienie duszy po śmierci.

— Och, nie byłby Kmitą, gdyby nie umiał pomnażać majątku — zawołał Kergolaj, śmiejąc się głośno. Zaraz zaś dodał: — Jedźmy chyba do niego, bo i tak trzeba kędyś nocować.

Na to Wilczek rozejrzał się po niebie i ziemi, a widząc, że się już dobrze zmierzchało, rzekł głosem niepewnym:

— Jużci gdzieś trzeba nocować, do Wiszni jeszcze daleko, a do klasztoru ledwie jedno stajanie. Ale ladajaki tam będziemy mieć nocleg o chlebie i wodzie; jeśli nam dadzą tapczany, to i te będziem musieli sobie wyprosić, a ludzie nasi będą musieli koczować pod gołem niebem. A nadto jeszcze nie wiem, czy się duchów nie boisz, bo Chryzostom mieszka z duchami.

Więc Kergolaj się zastanowił, a potem rzekł:

— Prawdę mówiąc, ja duchów nie lubię. Już mi się nieraz zdarzyło spotkać się z niemi i zawsze

mi to wyszło na szkodę. Niedawno temu, położyłem się spać w starem zamczysku Girgenti-Bela, i tam mnie koło północy takie straszliwe duchy opadły, żem ledwie żyw uciekł w koszuli. Trzebaż było jeszcze, żem nie znał tego zamczyska, któregom we dnie nigdy nie widział, więc, uciekając wśród ciemnej nocy, choć oko wykol, spadłem z muru w głęboką fosę, w której rosły same pokrzywy i głogi, i takem się tam poparzył i pokłuł, jakgdyby mnie kat wziął na tortury. Szczęściem, żem się przecież jakiegoś kamienia domacał, na którym też resztę nocy przesiedziałem do rana. A co rzecz najdziwniejsza, to, że moi ludzie spali obok mnie w sali rycerskiej i żaden z nich duchów nie widział, ale też i to prawda, że spali, jak kamień, i chociaż na nich krzyczałem, jakgdyby mnie kto rzezał po gardle, żadnego z nich nie mogłem obudzić. Rozumiem tedy, że ich duchy uśpiły, ażeby mnie samego mogły męczyć spokojnie. Jakież to duchy są, co z Chryzostomem mieszkają?

Ale Wilczek się śmiał i mówił:

— A wiesz ty, jakieto duchy cię tam męczyły? Oto pewnie znalazłeś w piwnicach tego zamczyska jaki antałek *lacrymae Christi* i nalałeś go sobie w gardło po same dziurki, a wtedy duchy ci się pokazały. Toż widzi mi się, że i ów zamek zwie się raczej Girgenti, gdzie i ja byłem, a dopiero po tobie nazwano go Bela, kiedyś się w nim spił, jak Bela, i upadł w pokrzywy.

— Jużci prawda — odpowie mu Kergolaj — że się tam dobre wina znalazły w piwnicy, ale i moi ludzie pili, co szyja wstrzymała, a przecież żaden z nich duchów nie poczuł na sobie.

— Bo twoi ludzie spali na marmurach, a ty,

jako cię znam, pewnieś wlazł w bety, więc wino w tobie się zapaliło.

— Może i tak. Ale żem duchy widział, a nawet i czuł, jako mi siadały na piersiach i za łeb mnie brały, na to zaraz przysięgnę. Chyba, że w duchy nie wierzysz?

— Widziałem i ja te nieboże stworzenia, a nawet i u mnie niektóre mieszkają na zamku, ale mi nigdy nie czynią nic złego. Gadają ze mną przystojnie, czasem o co mnie proszą, a nieraz dobrą dadzą mi radę, ale kiedy im powiem, aby mnie zostawiły w spokoju, to zaraz znikają.

Kergolaj patrzył na niego z wielką uwagą, a potem rzekł:

— Słyszysz, Wilczek, może ty masz komitywę z duchami? Toż zdaje mi się, że Pan Bóg okazał łaskę swoją nade mną, kazawszy w samą porę na Anioł Pański zadzwonić, inaczej byłbyś mnie pewnie tu na gościńcu położył, bo mnie z tobą aniby na myśl było nie przyszło, kazać ci się odprzysiąc, że twój miecz nie jest zaczarowany.

Ale tu trudno było rozpoznać, azali Francuz mówi z szczerego serca, czy też sobie dworuje, jakoż Wilczek spojrzał na niego zukosa, ale zaraz mu odpowiedział:

— Ot, co tam, ja się nigdy nic każę odprzysięgać nikomu, bo tak sobie mówię: jeżeli ja jego zmacam mym mieczem, to, choćby miał djabła przy sobie, przecie go przetnę na dwoje.

— Masz racją — rzecze mu Francuz — każdy rycerz ma swoje cięcie albo swój sztych, który chowa dla siebie i nawet go duchom nie powie. Ale cóż? Jedziemy do klasztoru, czy nie?

— A duchy? — zapytał Wilczek.

— Więc jakież to duchy tam mieszkają?

— Alboż ja wiem? Tego nikt ci nie powie, bo tu nawet nie wiedzieć, azali sam Chryzostom dawno nie zginął, jak mi to powiadano, a jeno duch jego tu pokutuje. Zawsze to pewna, że go ludzie w najrozmaitszych postaciach widują. Kiedy mszę prawi, to światło bije od niego; kiedy każe z ambony, to rzuca błyskawicami, że ludzie, jakby piorunem rażeni, na ziemię padają — a kiedy kogo spowiada, to go bierze jakgdyby w rozpalone obcęgi i póty ciśnie i piecze, aż póki wszystkich grzechów zeń nie wydusi. Czasami zaś, w dnie pogodne, kiedy spoczywa, to rośnie w olbrzyma i głowę swoją wystawia ponad najwyższe drzewa i rozgląda się naokoło po kraju i patrzy, gdzie który człek grzeszy; już tu niejeden podróżny widział jego głowę, sterczącą ponad lasami. Ten i ów jej nie dostrzeże odrazu, ale jak jeden obaczy, to zaraz wszyscy ją widzą.

Kergolaj może tak bardzo duchów się nie bał, jak sam powiadał, chociaż pod owe czasy wszyscy duchów się bali, bo też je widywali; ale teraz pomimo woli się przysunął do Wilczka i spojrzał w górę ponad lasy.

Nieopodal koło gościńca po prawej ręce zaczynała się puszcza. Był to las gęsty, prawie jak mur, u spodu nieprzebranemi chaszczami podszyty, a z tej gęstwiny wydobywały się olbrzymie drzewa, dęby, sosny, jawory i buki, także gęsto ze sobą splecione — zaś między niemi noc czarna, jak węgiel. Niebo było pogodne, ale prawie bez gwiazd, natomiast zaś na północnym wschodzie przesuwały się gęste chmury, większe i mniejsze, czarne we środku, jaśniejsze po brzegach, z pomiędzy których

od czasu do czasu wypływał księżyc sierpem na niebo i białawe, lecz martwe światło rzucał na lasy i pola. Wdali, w tej samej stronie, kędyś około Gródka, błyszczały szerokie płaty wody stojącej, a wysokiemi trzcinami zasianej; w zwierciadłach tych wód księżyc chwilowo swe blade światło odbijał, które niebawem znikało, a wtedy szum się dawał słyszeć w tej stronie i przejmujący chłód stamtąd zawiewał. Zresztą cisza była w powietrzu, ale właśnie ta cisza budziła w duszy pewien niepokój.

Niewielki wzrostem Kergolaj tak się do słuszniejszego od niego Wilczka przybliżył, że się prawie oparł ramieniem o niego, a przytem wytężonym wzrokiem wciąż patrzał na najwyższy wierzch lasów.

— Widzisz co? — rzecze Wilczek.

— Zdaje mi się — odpowie Francuz — że się jakaś głowa z pomiędzy wierzchołków lasu wychyla.

— I ja coś widzę — rzekł Wilczek i obydwa jeszcze mocniej swój wzrok wytężyli.

A wtedy już wszyscy żołnierze, wyrozumiawszy łatwo, że ich panowie się pogodzili, i bić się nie będą, zgromadzili się za ich plecyma i także na lasy patrzali. Nawet woźnice pozłazili z wozów i, wsunąwszy się między żołnierzy, także się zagapili w tę stronę. Ten i ów, równie jak Kergolaj, dojrzał coś nad lasami, a parobek, którego Kergolaj najął w Medyce za przewodnika, opowiadał im szeptem o różnych cudach, jakie się dzieją w tej puszczy.

— Cóż widzisz teraz? — zapytał znów Wilczek.

— Okrutny łeb kudłaty wychyla się z lasu ponad wierzchołki drzew — odpowiedział mu Kergolaj tajemniczym głosem — już i brody widać cokolwiek. Patrzy prosto na nas i gębę rozdziawia. Gdybym miał łuk przy sobie, zarazbym go dzióbnął strzałą w sam nos, cickawym, coby na to powiedział.

— Otóż to rzecz! — powiedział Wilczek roztropnie, biorąc go lekko za rękę. — Nigdy z takiemi widziadłami bić się nie trzeba, bo strzała idzie przez nie, jak przez powietrze, a choć ich nie boli, przecie się za to mszczą na człowieku. Kiedy zaś grzecznie się z niemi obchodzisz, to i one są grzeczne, jeszcze ci czasem pomogą.

— Patrz! — rzecze Kergolaj — Już całą brodę mu widać, białą, jak mleko, a kłaczystą, jak wełna, już pomału wyłażą ramiona...

A kiedy tak z drżeniem serca i w uroczystem milczeniu patrzą na ducha, wykłuwającego się z lasu, nagle zaszumiał ruch między żołnierzami za ich plecyma, wszyscy się między konie i wozy rozbiegli i słychać było głosy: Bij, łapaj! Hej! Na koń! W pogoń za nimi!

Kergolaj i Wilczek skoczyli zaraz na środek gościńca pomiędzy konie i fury: — A co to? — Ale w pierwszej chwili nie mogli się niczego dopytać, bo popłoch był między tym ludem, ten biegał tam i sam pieszo, inny konia dosiadał, a ci i owi biegli do wozów. Tylko Ramułt stał po lewej stronie gościńca na koniu i krzyczał wielkim głosem w pole: — Bierz! Łapaj! Tam, na prawo! Hej! Tu, między krzakami!

Po lewej stronie gościńca szerokie rozlegało się pole, tu i ówdzie zasiane niskiemi kosmykami

łoziny, pomiędzy któremi jednak woda błyszczała miejscami. Po tem polu przelatywały ku lasom jakieś czarne postacie, zwierzęta, czy ludzie, czy duchy trudno było rozeznać, widać tylko było, iż wszystkie uciekały do lasu. Za niemi w pogoń puściło się kilku żołnierzy na koniach, ale były to grunta moczarne, więc najprzód pod jednym, a potem pod drugim koń się związał i dał sobą o ziemię, a nareszcie trzeci i czwarty tak samo się z koniem przewrócił. Kiedy zaś żołnierze wraz z końmi mozolnie wydobywali się z błota, owe zwierzęta, czy ludzie, znając zapewne wszystkie przesmyki i ścieżki na tym moczarze, przebiegły, jak cienie, całe to pole i zniknęły w lasach.

— Ramułt! — zawołał Wilczek. — Co tam za djabeł was napadł, żeście się tak popłoszyli?

— Ot co! — rzecze Ramułt, gniewny na swoich żołnierzy. — Kiedyśmy się zapatrzyli na tego ducha, co z lasu wyłazi, Cyganie się zakradli pomiędzy wozy, zdarli płótno z jednego wozu tego pana Francuza i cały wóz mu złupili. I jeszcze to szelmostwo drapnęło z łupem właśnie przez te moczary, że i nie można ich zgonić.

Więc Kergolaj, kiedy się o tem dowiedział, okrutnie się zgniewał, zaraz skoczył do swoich wozów, wołając po drodze:

— Zaraz zetnę tego szelmę żołnierza, co powinien był tego wozu pilnować. Gdzie on jest? Który to wóz?

Tak przybiegli do tego wozu, który im zaraz wskazano. Był to właśnie wóz z wiktuałami; dopiero co był napełniony najprzedniejszemi winami, wyborową wędliną i rozmaitemi innemi specjałami,

a teraz stał wypatroszony, jak zając, z którego właśnie psom dano odprawę.

Na ten fatalny widok, który każdego owoczesnego rycerza musiał jakby kleszczami chwycić za serce, Kergolaj mało się nie wściekł ze złości i rzucił się, jak tygrys, ku żołnierzowi, co stał właśnie przy wozie. Kergolaj już miecz z pochwy wyciągnął, aby go ściąć własnoręcznie, coby było jego rozjątrzonemu sercu znaczną ulgę przyniosło; ale żołnierz trzymał za kark cyganiątko, które dopiero co z pod wozu wyciągnął. Chłopczysko to było lat kilkunastu, ledwie napół łachmanami okryte, o ciemno-bronzowych rysach twarzy egipskich, trzęsło się ze strachu, jakby go tłukła zimnica, ale zdaje się, że mimo to, przytomności nie straciło, bo miało oczy czarne szeroko otwarte i niemi zpodełba na wszystkie strony rzucało.

— Ot złodziej! — zawołał żołnierz, zasłaniając się niem przed swoim panem. — To ten płótno zerwał z wozu, zwinął je w trąbę i jeszcze chciał z niem uciekać.

— A! Szelmo! — zawołał Kergolaj. — Małmazji wam się zachciało i moich konfektów? Zetnij go zaraz!

Żołnierz przerzucił Cygana w lewą rękę, a prawą sięgnął po miecz; ale Cygan, jak tylko ten wyrok Kergolaja usłyszał, zwinął się, jak wąż, i żołnierza w rękę ukąsił. Żołnierz krzyknął, jakgdyby go kto był żarem posypał, i puścił — a Cygan skoczył na bok, jak kot, i uciekł w moczary. Przez chwilę widać było, jak jego cień to się przesuwał, jak błyskawica, to znikał między łozami, ale nikt się za nim w pogoń nie puścił, bo już wiedziano, że koń tych moczarów nie uchwyci kopytem,

a zresztą, kto mógł wiedzieć, co tam siedziało w tym Cyganie.

Więc Kergolaj, bardzo niekontent, spojrzał na Wilczka i rzekł:

— Piękny to kraj, ta wasza Ruś! Niema co mówić. Z jednej strony rycerz zastępuje ci drogę i nie pozwala jechać choćby nawet do Ziemi Świętej, z drugiej olbrzymie duchy się nad tobą wieszają, co nawet takich w całej Europie nie widać, a ztyłu cię łuszczą Cyganie. A nawet i nie wiedzieć, jaki to gatunek Cyganów się chowa pomiędzy wami, co w jednem mgnieniu oka i pośród tylu żołnierzy cały wóz złupili, tyle towaru unieśli i zniknęli właśnie, jak mara.

Tedy Wilczek się śmiał i mówił:

— Kiedy się chcesz zabawić na Rusi, to masz o tem wiedzieć, że to nie Francja, nie Włochy, jeno wszystko inaczej. Niedość tu na tych Cyganach i duchach, ale i człek tutejszy jest kuty a bity, i kiedy nie umiesz go zażyć, to i uszu twoich stąd nie wyniesiesz, jako to widzisz, bo jeszcześ ledwie próg Rusi przestąpił, a już ci djabli wzięli twoją małmazją z wszystkiemi konfekty.

Wszakże i Kergolaj, człek lekki a cudzych krajów bardzo ciekawy, był dobrej myśli i rzekł:

— Małmazji mi żal, bo takiej drugiej nieprędko dostanę. I konfektów mi żal, bo sama Jagienka pakowała je w pudła. Ale kraj mi się podoba, bo inny, jak drugie, i przecie tu człek się może trochę rozerwać. W Przemyślu tak piją, żem nawet katedralnej wieży nie widział, chociażem cały tydzień tam bawił. W Medyce mi konia ukradli, niechże im będzie na zdrowie! Chciałem im za to wieś spalić, ale się wyprosili i przysięgli, że, jak powrócę, to

mi konia oddadzą. Tu mnie złupili Cyganie, niechże i im będzie na zdrowie. Zato znalazłem jeszcze jednego Kmitę, może się to na co przyda. Bo jeżeli się jakiej sukcesji dopytam u niego, to mnie swemi duchami od niej nie odstraszy. Jedźmyż do niego, ale pierwej obaczmy, czy jeszcze łeb z lasu wystawia.

Więc szli obydwa na to samo miejsce, gdzie przedtem stali, ale teraz nic nie widzieli.

Szli wszakże, ażeby inne cuda obaczyć, bo szukanie rzeczy nadprzyrodzonych, chociażby z narażeniem zdrowia i życia, było nieugaszoną namiętnością wszelakich ludzi ówczesnych, a niejako rzemiosłem i powołaniem owoczesnego rycerstwa.

— Chryzostom już pewnie spać się położył — rzecze Kergolaj do Wilczka — kiedy jego głowy nie widać nad lasem. Śpieszmy się, bo inaczej się nie dopukamy do niego. Ale jakże? Czy wsiądziem na konie, czy pójdziem do apostoła *per pedes apostolorum?*

— Jest tu dosyć wygodna drożyna — odpowie mu Wilczek — którą można jechać konno i wozem, ale że ciemno w tej puszczy, jak w kominie, więc trzebaby zapalić łuczywa.

Więc zapalono łuczywa, które podówczas zawsze ze sobą wożono; dwóch żołnierzy szło pieszo przed nimi i oświecało im drogę, rycerze zaś na koniach jechali za nimi, ze swymi żołnierzami i wozami.

Tak w puszczę wjechali. Jednak niedługo jechali puszczą, albowiem niebawem pokazał im się staw po prawej ręce, który tutaj jeszcze był wąski, tylko gęsto zarośnięty szuwarem i wysokiemi

trzcinami, zaś po jego prawym brzegu widać było las przerzedzony. W tym lesie stały ogromne, lecz rzadkie drzewa, a za niemi rozlegały się golizny, okryte chaszczami, i dalsze lasy za niemi. Rycerze jechali po lewym brzegu i widzieli przed sobą staw coraz bardziej rozszerzający swe brzegi, a wdali jego wody łączyły się z widnokręgiem, jak morze. Na widok zapalonego łuczywa i na odgłos prychających koni i chrzęstu zbroi dzikie ptastwo zrywało się z pomiędzy trzcin i z przeraźliwym wrzaskiem ulatywało w powietrze, a szum jego skrzydeł roznosił się nad ich głowami. Czasem kruk zerwał się z drzewa i przeleciał nad nimi, krakając przeraźliwie, jakgdyby żer wietrzył. Gdzieindziej puszczyk, czy sowa, trzepocząc skrzydłami na drzewie, śmiała się śmiechem djabelskim. A kiedy księżyc wychylił się z chmur, to jego światło płynęło, jak fala, wzdłuż stawu, poczem tonęło w puszczy, a wtedy płomień łuczywa zdawał się jeszcze czerwieńszym i przedstawiał cały ten ostęp jakoby w blasku piekielnym. Nieprzyjemna była to podróż, a chwilami przerażająca. Ale Kergolaj był dobrej myśli, jak zawsze, i mówił do swego towarzysza:

— Trzeba być istnym warjatem, ażeby klasztor zakładać w takiej dzikiej pustyni. Nie wiem nawet, kogo on tutaj spowiada i komu każe, chyba że dzikim gęsiom i krukom.

Na to zaś Wilczek, który był smutny i coraz więcej się zamyślał:

— A przecież bywa tu wielki tłum ludu w niedziele i święta, nawet i we dnie powszednie ojciec Chryzostom rzadko bywa bez gości, bo jedni przychodzą po radę do niego, drudzy na pokutę, a ten

i ów z jaką chorobą. Masz bowiem wiedzieć, że on leczy wszystkie choroby, zamawiając je czasem modlitwą, albo też przykładając choremu rękę w miejsce bolące — a tak czy tak, chorobę zawsze wyleczy.

— Chwała Bogu, żem zdrów — odpowie mu Kergolaj — bo nie chciałbym tutaj chorować, choćby pod jego opieką.

— On leczy także i takich, co ich djabeł opętał, poznaje drugich, co są opętani, a sami o tem nie wiedzą, a jeśli kto ma taki frasunek, że już sam nie wie, co ma począć ze sobą, to i takiemu poradzi.

— Niechżeby mi poradził, żebym dostał Jagienkę — rzecze Kergolaj na to — tobym się zobowiązał odmówić sto tysięcy pacierzy i jeszczebym mu co darował na klasztor.

— Powiedz mu, może ci poradzi.

Zaczem Kergolaj się trochę zamyślił, a potem zawołał:

— Słysz, Wilczek! Bywają dziwne zrządzenia boże. Może Pan Bóg w swej łasce dla mnie umyślnie tak zrządził, żem ciebie spotkał właśnie obok tego klasztoru. Może mnie ojciec Chryzostom poradzi...

— I ja także rad temu — odpowie mu jego towarzysz, po chwili zaś dodał z głębokiem westchnieniem i jakby sam mówił do siebie: — Głupstwo to wielkie, bo też i każdemu kawalerowi się zdarza... ale mi przecież ciężko na sercu.

Zdaje się, że w tej chwili Ofka przyszła mu na myśl, z której się otrząsł z rycerską energją, ale której los przyszły przecież niepokoił jego sumienie.

A wtedy już przed nimi się otworzyła niewielka polana, a na niej dojrzeli kościół i klasztor.

Ale bardzo to biedne były te Bogu poświęcone domostwa. Kościołek zbudowany był z kloców nieociosanych i ladajako ze sobą spojonych, nad nim dach z dranic, a przy nim tak samo zbudowana dzwonnica, na której jednak sterczał krzyż pozłacany. Ten krzyż błyszczał promiennie we dnie i w nocy na tle czarnych lasów i sprawiał przejmujące wrażenie; przenosząc swojemi ramiony najwyższe drzewa, był jako owa gwiazda biblijna, co prowadziła trzech króli do kolebki Chrystusa Pana. Do samego kościołka przypierał zboku tak samo ubogi, chociaż dosyć obszerny budynek, a to był klasztor. Dalej, o jakie sto kroków, było widać jeszcze jakieś zabudowania, zapewne folwark, ale może tylko sad i pasiekę, bo zagrodę tę otaczały olbrzymie płoty, z jodłowych gałęzi splecione, przez które nie można było przejrzeć do środka, zwłaszcza śród nocy.

Kiedy płomienie łuczywa uderzyły w wąskie a długie okna klasztoru, wybiegł przeciwko tym niespodziewanym podróżnym braciszek, ubrany w siermięgę, krojem habitu uszytą, a poznawszy Wilczka, oddał mu pokłon głęboki, jaki się tak wielkiemu panu od ubogiego zakonnika należał. Wilczek go spytał o przełożonego, a kiedy braciszek mu odpowiedział, że ojciec Chryzostom jest jeszcze na pacierzach w kościele, obydwa rycerze zsiedli z koni i szli ku wrotom kościoła. Ale ojciec Chryzostom właśnie skończył pacierze i stał już na progu kościoła, patrząc na nich okiem badawczem, ale z uśmiechem na twarzy.

Ksiądz Chryzostom, światowem niegdyś nazwi-

skiem zwany Kmita węgierski, był to człowiek lat sześćdziesięciu kilku, wysoki wzrostem, niezmiernie kościsty, ale zarazem niezmiernie chudy, co widać było po jego franciszkańskim habicie, który na nim wisiał, jak worek, nie mogąc znaleźć nigdzie oparcia. Głowę miał całkiem łysą, na niej dwa szramy głębokie, z których jeden prawie całe czoło przecinał, twarz bardzo chudą ze sterczącemi kościami, nos krótki, oczy czarne i duże, całkiem kmitowskie, a do tego siwą brodę, spływającą na piersi. Trzymał się prosto i prawie sztywnie, jak żołnierz; wąs przycięty równo z wierzchnią wargą przy siwej brodzie i tej sztywnej postaci dawał mu pozór pewnej surowości, ale głowa w tej chwili naprzód pochylona i uprzejmy uśmiech na twarzy łagodziły to wrażenie i obudzały sympatją dla jego poważnej osoby.

Obydwa rycerze, a za nimi i ich wszyscy żołnierze, choć ci ostatni siedzieli jeszcze na koniach, zdjęli hełmy i pokłonili przed nim swe głowy; on zaś, przypatrzywszy się im bliżej swojem okiem, szeroko otwartem, rzekł do nich łagodnie:

— Wilczek, tak zbrojno w nocy? Cóż cię do mnie sprowadza? Czy nie wypłoszyli was z gościńca Tatarzy?

— Nie — rzecze Wilczek — samiśmy się przepłoszyli nawzajem, a pogodziwszy się, szukamy spokojnego noclegu u waszej wielebności, a na czas i błogosławieństwa na dalszą drogę.

A na to Chryzostom:

— Któż jest ten grzeczny kawaler, co ci drogę zastąpił, a którego mi przyprowadzasz?

Wilczek powiedział.

— Jan Feliks Kergolaj — rzekł wtedy Chryzostom — przyrodni brat Kmitów sobieńskich, jak niegdy słyszałem, *eques auratus,* a podobno i żołnierz waleczny i sławny.

A to rzekłszy, zaraz do Kergolaja coś z francuska przemówił.

Kergolaj stał dotąd z głową nisko schyloną, jakgdyby pod jakiemś głębokiem wrażeniem, dopiero dźwięk jego mowy ojczystej go ośmielił, że głowę podniósł i śmiało Chryzostomowi odpowiedział raz, drugi i trzeci. Poczem, spostrzegłszy, że Wilczek stoi, jak na niemieckiem kazaniu, rzekł do nich obydwóch po polsku:

— Chodźcież, przyjmę was wedle mojej możności. Ja wprawdzie żyję chlebem, jarzyną i mlekiem, ale mój kanafarz ma piwo i mięso dla gości. Wasi ludzie mogą się położyć obozem, a wam dam celę na nocleg.

To mówiąc, dał im znak, aby szli przed nim do drzwi klasztoru, ale obydwa rycerze, jako ludzie pobożni i mający się za zbrojnych kapłanów tego samego kościoła, na żaden sposób nie chcieli iść przed nim. Więc ojciec Chryzostom po kilku wzajemnych ukłonach poszedł naprzód, a oni za nim. A w tej krótkiej chwili Kergolaj, jako to Francuzi zawsze są gadatliwi, trącił Wilczka swoim łokciem pancernym i rzekł półgłosem:

— Ale to wcale nie ta głowa, którą dopiero co wyścibił był z lasu.

A Wilczek na to:

— Bo on się umie przerzucać i zawsze taką postać przybiera, jakiej mu właśnie potrzeba.

Kergolaj rzucił na Wilczka wzrokiem, w którym przedewszystkiem przebijała ciekawość, nie

musiał jednak być bez pewnej obawy, bo mruknął pod nosem:

— Nie wiem, azali to jest rzecz katolicka... Wolałbym tu nie nocować.

I z tem weszli do celi ojca Chryzostoma.

Była to izba dosyć obszerna, o dwóch wąskich oknach kształtem gotyckim, ściany jej nie były ani wybielone, ani wytynkowane, ledwie że gliną wylepione. W jednym kącie stał tapczan drewniany bez siennika, a tylko kocem nakryty, pod oknem stół prosty, na którym krucyfiks i duża książka w drewnianych kompaturkach, na żelazne klamry zamknięta, około stołu cztery stołki, pod ścianą ława, a nad nią kilka półek i to było całe umeblowanie. Wszelako na drugiej ścianie wisiał hełm, pancerz z całym przyborem, jeden miecz długi, wężykowaty, a drugi krótki, topór, rotmistrzowska buława, a około niej kulbaka i inne rzemienie. Kergolaj najprzód rzucił okiem na te wojenne narzędzia i przypatrywał im się ciekawie, o ile je mógł obejrzeć przy świetle dymiącego kagańca, który zastali na stole. Chryzostom spojrzał na Kergolaja i rzekł:

— To mój nagrobek, który mi przypomina, czem byłem za życia.

Zaczem prosił ich siedzieć i sam siadł i spytał Francuza, co go zawiodło w te strony. Kergolaj mu powiedział. Wtedy mnich się łaskawie uśmiechnął i rzekł:

— Jedziesz do Ziemi Świętej, abyś się umył z twych grzechów, a tymczasem ludzi napadasz po drogach.

Więc Kergolaj się protestował, koloryzując

rzecz, bo nie chciał winy zwalać na Wilczka. Ale Chryzostom przerwał mu, mówiąc:

— Mnie nie okłamiesz. Widziałem was, jakoście miecze wyciągnęli ku sobie. Wtedy kazałem na Anioł Pański zadzwonić, aby was rozbroić.

Tu Kergolaj bardzo zdziwionem okiem rzucił na Wilczka, a tymczasem mnich mówił dalej:

— Usłuchaliście dzwonka, to dobrze, ale obydwaście winni, godziłaby się za to pokuta.

Na to słowo: „pokuta“ Kergolaj się skręcił, jak wąż, na swojem siedzeniu, a chcąc rozmowę odwrócić do innego przedmiotu, zapytał:

— Wasza wielebność już dawno w tym klasztorze? Kraj zdaje mi się tutaj dosyć dziki, a ta posiadłość niewiele musi przynosić intraty?

Więc Chryzostom się na to znowu uśmiechnął i rzekł:

— Franciszkanie nie żyją z intraty, tylko z jałmużny. Albowiem kiedy stanowiono zakony, dostały się lasy eremitom, góry benedyktynom, doliny cystersom, pola i łąki norbertanom, św. Franciszek zaś przyszedł, kiedy już wszystko było rozdane, więc kazano mu żebrać. My zatem żyjemy z jałmużny, a nabywanie dóbr doczesnych zostawiamy duchowieństwu świeckiemu i tym zakonom, którym wolno ziemię posiadać. Ale życzymy im z serca, ażeby zczasem wszystkie ziemie posiedli, bo wtedy dopiero nastąpiłoby królestwo boże na ziemi, którego wszyscy z takiem upragnieniem oczekujemy.

Na to Kergolaj cofnął się wtył na swojem krześle, bo zapewne sobie pomyślał, że niebardzoby pragnął żyć w tem królestwie, co też bystry mnich zaraz spostrzegł, bo rzekł:

— Ja ciebie nie znam, ale cię widzę nawskroś. Ty jesteś rycerzem świeckim, nie takim, jakimi myśmy niegdyś bywali, cośmy książętom i królom, lecz przedewszystkiem Kościołowi służyli. Ty służysz twojemu ciału. Ty jesteś *„un valereux et courtois chevalier, mais grand trompeur des dames"*. Umiesz ty po niemiecku?

— Rozumiem.

— „Ein Kuss vom rothen Munde,
Der freut aus Herzensgrunde,
Dazu ein Umbevang,
Von zwei schönen Armen blank" —

oto jest, za czem ty gonisz po świecie. Widzę ja to po tym łańcuchu, co go nosisz na szyi i po tych wstążkach, co ci je jakaś dziewka przyczepiła do lewego ramienia. Ty gubisz duszę. Tobie potrzeba pokuty.

Kergolaj zrazu się wdzięcznie uśmiechał, bo mu te podejrzenia schlebiały, lecz, widząc, że mnich się bierze nie żartem do niego, zaczął się przed nim usprawiedliwiać. Więc opowiedział mu, jako przez całe życie służy wiernie królom i Kościołowi i nigdy nie pamięta o sobie, jako zawsze klasztory, zakony i ludzie ubogie swojemi piersiami zasłania, jako dziś jedzie do Ziemi Świętej li z nabożeństwa i z gorącego pragnienia krwi pogańskiej, której jaknajwięcej chciałby utoczyć dla chwały Chrystusa Pana, że chociaż wreszcie to prawda, iż przyjął służbę u panny Jagienki i obiecał jej przywieźć różę z Jerycho, ależ to przecie rzecz ludzka i pozwolona, ażeby rycerz przyjął służbę u jakiej damy zacnego rodu, a dosłużywszy się jej łaski, wszedł z nią w śluby małżeńskie.

Ale Chryzostomowi jakoś to wszystko nie przemawiało do przekonania, bo, wysłuchawszy go, machnął ręką i rzekł:

— *Vanitas vanitatum et omnia sunt vana!* Byłem i ja niegdyś takim głupim, żem przyjął służbę u pewnej damy. Siedem lat jej służyłem, nosząc wciąż jej kolory; biłem się po wszystkich ziemiach całego świata za jej honor i sławę, a kiedym się jej łaski nie mógł dosłużyć, na drugie siedem lat stanąłem u niej na służbę. Bardzo grzeszne było to moje życie natenczas. I musiałem być wtedy przeklęty od Boga, bo przez wszystkie te lata żaden święty mi się nie zjawił, natomiast zaś djabeł mnie nawiedzał w nocy, kopał mnie kopytami, targał za brodę i bił mnie po pyskach, jak swego sługę, a nawet raz się tak rozzuchwalił, że się zamachnął, aby mnie nawrócić na wiarę żydowską. Baba więc w dzień swoją miłością, a djabeł w nocy swojemi piekielnemi kunsztami już mnie tak umęczyli, żem nie wiedział, co począć z sobą, i tylkom się modlił mojemu Bogu, aby mi dał zginąć w najpierwszej bitwie, jaka się zdarzy. I Pan Bóg się nade mną zlitował do połowy, bo w nocy przed bitwą, kiedy, męczony przez szatana, otworzyłem gębę, ażeby głębiej westchnąć do Boga, spadła mi z nieba hostja pomiędzy wargi — i to pokrzepiło me siły. Z bitwy jutrzejszej wyszedłem cało, a od tego dnia postanowiłem sobie odmawiać codzień po sto pięćdziesiąt *Salve Regina*. Przez długi czas moje pacierze żadnego skutku nie odnosiły, ale jednej nocy Matka Najświętsza zjawiła się nade mną i zaprosiła mnie do siebie na obiad. Na tej uczcie zastałem cały tłum aniołów i świętych, a sama Matka Najświętsza przyszła w złocistych sukniach

i tak wspaniałą promieniejąca pięknością, żem padł na kolana, jej widokiem olśniony, i nie mogłem ani słowa wymówić. A wtedy Matka Najświętsza rzekła do mnie z anielskim uśmiechem na twarzy: „Patrz na mnie i powiedz, azali nie jestem piękniejszą od tej, której ty służysz. Masz zatem wybór. Jeśli się do mnie nawrócisz, to porzuć tamtą, a stań u mnie na służbę". — Ja na to wstrząsłem się od grozy i wstrętu przed samym sobą; spostrzegłem zaraz moje zaślepienie i nawet pojąć nie mogłem, jakim sposobem się stało, żem przyjął służbę u pospolitej, a grzesznej kobiety, mogąc służyć Pani niebieskiej. I już mi odtąd piekł pancerz, jakoby był rozpalony, i miecz mój ostrzem ku mnie obracał i serce mi krwawił. Toż rzuciłem to wszystko w Rzymie, poszedłem do mądrych ludzi na naukę, odprawiłem pielgrzymkę do Ziemi Świętej, a otrzymawszy święcenia, nareszcie tutaj założyłem sobie klasztorek. I tutaj już mi się nigdy nie zjawia ten bezczelny infamis, który mię przez tyle lat męczył po nocach. Tu moje ciało się upokarza cierpieniem, a dusza się czyści modlitwą. Tu, służąc ludziom, służę Bogu, bo nikt sługą bożym nie będzie, kto ludziom nie służy. Nie wiem ja, ile moje służby ważą u Boga, ale rozumiem, że ich nie odpycha od Siebie, bo Go widuję w rozmaitych postaciach i otrzymuję od Niego rozkazy. I powiadam wam także: Zrzućcie ze siebie pancerze i hełmy, bo w nich siedzą djabelskie pokusy. Wy jesteście najnieszczęśliwsi z ludzi, chociaż sami o tem nie wiecie. Wy jesteście sługami szatana, choć wam się zdaje, że Bogu i uciśnionym ludziom służycie. Wy coraz głębiej brniecie w trzęsawisko ziemskiego grzechu — i powiadam wam, że ten

dzień niedaleki, gdzie wrota się zamkną przed wami, a wtedy nie będziecie mogli powrócić na drogę prawdy i cnoty.

Kergolaj kręcił się coraz niecierpliwiej na stołku i prawie już tak wyglądał, jak mysz, która wpadła w pułapkę i rzuca niecierpliwemi oczyma dokoła, kędyby mogła się wyśliznąć z tej klatki. Ale Wilczek zdawał się być skruszony i zbudowany, bo spytał:

— Chcielibyśmy z całego serca zasłużyć się Bogu, ale cóż mamy robić, mój ojcze? Kto wziął pancerz i miecz po swoim ojcu, a przytem i urząd w swojem królestwie, ten bez obrazy Boga i swego honoru nie może go rzucić.

A na to mnich:

— Toż nie powiadam wam, ażebyście zaraz dziś do zakonu wstąpili. Anibyście w to potrafili, gdybyście chcieli, bo się to czyni nie z musu, jeno z natchnienia, a natchnienie nie przyjdzie bez łaski bożej. Ale powinniście o tem pamiętać, że łaska boża przyjść może i przygotowywać się na jej przyjęcie. A do tego ja wam pomogę. Ciałom waszym pomogę umartwieniem, a duszom modlitwą. Zostańcie tutaj przez tydzień; modlitwy ja sam dla was urządzę, a o dyscypliny się postara braciszek.

Na to Kergolaj rzucił niezmiernie zdziwionemi oczyma na Wilczka, uśmiechnął się i rzekł: — Dyscypliny? — i chciał dalej coś mówić, ale tymczasem ojciec Chryzostom wpatrzył się w słup obróconemi oczyma w kąt celi, wyciągnął szyję, wytężył uszy, wstał prędko ze swego stołka i rzekł:

— Pan Jezus mnie woła. Idźcie do waszej celi, posilcie się, braciszek wam reszty dopowie.

I wyszedł zaraz z pośpiechem, drzwi zostawiając otworem.

Zaczem Kergolaj spojrzał śmiejącemi się oczyma na Wilczka i rzekł:

— Cóż, panie Wilczek? Wpadliśmy tutaj, jak wilk w jamę, zielonemi gałęziami nakrytą; na wierzchu kościół i krzyż wyzłocony, a pod spodem pacierze i dyscypliny. Gdyby nam przynajmniej dali co jeść, bo mnie już kiszki skrzypią z głodu i pragnienia.

Ale Wilczek, człowiek niezmiernie wrażliwy, był jakby bezprzytomny, wszelako odpowiedział mu z przekonania:

— Człowiek to święty. Znam jego oddawna i mam łaskę u niego jeszcze z tych czasów, kiedym był paziem na Sobniu. Widywałem go i później u księcia kardynała, gdzie jego rozum bardzo respektowano. Kto jego rady posłucha, ten źle na niej nie wyjdzie.

A na to Kergolaj:

— Ja jemu nie odmawiam rozumu. Ale to mnich fanatyk, a tacy ludzie, kiedy im się oddasz w opiekę i ciało zepsują i duszy nie zbawią. Ziemię ci wezmą, a nieba nie dadzą. Chodźmy do naszej celi.

To rzekłszy, poszli do celi, dla nich przygotowanej, która się znajdowała w drugim rogu klasztoru, skąd wychodziła druga furtka, prowadząca ku folwarkowi. Cela to była równie dosyć obszerna, ale oświecona tylko jednem małem okienkiem zakratowanem, wyciętem u stropu, że prawie wyglądała, jak więzienie. W tej chwili była oświecona kagankiem. Stały w niej dwa tapczany, kilka stołków i stół, a na stole, na misie drewnianej, ka-

wałek wędliny, bochenek chleba, a obok niego dzban wody i dwa kubki gliniane. Kergolaj rzucił się jak wilk, na chleb i wędlinę, ale na żaden sposób ugryźć ich nie potrafił; wędlina była, jak drzewo, a chleb, jak kamień. Francuz się nie posiadał z niecierpliwości.

— Nie chcę powiedzieć — rzekł z gniewem — co o nim rozumiem; ale czy to jest rzecz, dawać komuś takie potrawy do jedzenia? Piesby tego nie ugryzł. Bodajby ich wszyscy djabli wzięli, tych Cyganów! Teraz spać trzeba będzie o głodzie.

To mówiąc, zaczął się wielkim krokiem przechadzać po celi. Lecz nagle stanął, a wpatrzywszy się w kąt, zawołał:

— A co to?

W tym kącie stało narzędzie, całkiem do pręgierza podobne. Gruby słup, wbity w ziemię, a przed nim jakby schód do klęczenia. W ten słup były wbite dwa haki i dwa kółka żelazne, przy których wisiały rzemienie, opatrzone sprzączkami, na hakach zaś dwie dyscypliny. Na schodzie było widać plamy czerwone, a na skórzanych prętach dyscyplin krew skrzepła.

Na ten widok Kergolaj się wzdrygnął i zawołał:

— Wilczek! Czy widzisz, co tu stoi w tym kącie?

— Cóż? — rzecze Wilczek spokojnie. — Pręgierz do biczowania.

Kergolaj patrzył przez chwilę na ten instrument pokuty, a potem rzekł:

— Otóż to mi sypialnia! Jeśli tu kogo djabeł bije w nocy po pyskach, albo mu się śnią inne widziadła, to mi wcale nie dziwno.

A wtem wszedł braciszek i, stanąwszy w pro-

gu, pokłonił się nisko obydwom rycerzom. Kergolajowi niebardzo miłe były te odwiedziny, jakoż spytał:

— Czem mam służyć waszmości?

— Przychodzę z rozkazu jego wielebności, ażeby z ichmościami pacierze odmówić, a po pacierzach odprawić pokutę.

To mówiąc, braciszek wziął do ręki książkę, która w kształcie worka w płótno oprawna wisiała mu obok różańca u pasa, otworzył ją i zaczął szukać modlitwy.

— Słysz, panie bracie — odpowiedział mu Kergolaj przytomnie — ja z tobą modlitwy odmawiać nie mogę, bo ja się modlę po francusku, a ty nie znasz tego języka.

— Jak wola waszej miłości. Więc proszę mnie po modlitwach zawołać.

— A poco? Do rozbierania ja mego sługę zawołam.

— Nie — rzecze braciszek — ja też do rozbierania nie jestem. Ale na dyscypliny.

— Na dyscypliny? — zapytał Kergolaj, mocno zdziwiony.

— Tak — rzecze braciszek — jego wielebność zezwolił w swej łasce, ażebym jegomości usłużył pięćdziesięcią dyscyplinami na gołe plecy.

Kergolaj miał zrazu wielką ochotę puknąć od śmiechu, lecz, kiedy spojrzał na Wilczka i spostrzegł, że jego towarzysz siedzi wciąż zamyślony i na łokciu oparty przy stole, wstrzymał się i rzekł sztucznie:

— Słysz, panie bracie, jam dziś upalił mil kilkanaście na koniu i jestem niesłychanie zmęczony. Podziękuj zatem jego wielebności za łaskę, która

sobie bardzo wysoko cenię, i powiedz mu, że od jutra będę gotów na jego usługi.

— Szkoda dnia — rzecze braciszek — ale jak wola.

Wtedy Kergolaj jeszcze raz rzucił okiem poza siebie, lecz, widząc, że Wilczek siedzi wciąż nieruchomy, wyprowadził wychodzącego braciszka z wielkiemi komplementami w korytarz i spytał go po drodze:

— A gdzież jest ojciec Chryzostom?

— Jego wielebność leży krzyżem przed wielkim ołtarzem w kościele.

— Kiedyż powróci?

— To trudno wiedzieć, ale zapewne niebawem, bo o świcie idzie znów do kościoła na jutrznię.

— To ja się z nim rozmówię, jak wróci, bo chciałbym mu osobiście podziękować za łaskę.

— Jegomość dzisiaj w to nie potrafisz — odpowiedział mu nauczająco braciszek — bo kiedy jego wielebność ma święte widzenia, to do następnego dnia z nikim słowa nie mówi.

— Tak — rzecze Kergolaj — pokażże mi w swej łasce, kędybym mógł wyjść do moich ludzi i koni, aby obaczyć, jak się ulokowali.

Braciszek wskazał mu ową boczną furtę w rogu korytarza, a Kergolaj mu się grzecznie pokłonił i rzekł:

— A więc do jutra. Jutro zaś rano odmówię z tobą nawet łacińskie pacierze, a potem spróbujemy się z dyscyplinami.

Po wyjściu Kergolaja, Wilczek siedział jeszcze w zamyśleniu przez chwilę, lecz, nie mogąc się go doczekać, złożył swój pancerz na ziemi i położył się na tapczanie.

Z początku widział tylko ojca Chryzostoma w jego całej świątobliwości; sam się nie czuł godnym tak wielkiej łaski, ale myślał sobie, że ten cudotwórca, gdyby tylko chciał, mógłby go zrobić jakim potężnym wojewodą w królestwie, a wtedy mógłby się dobrze zasłużyć Panu Bogu i ludziom. Syt zasług i sławy, mógłby także na stare lata wstąpić do jakiego zakonu i stać się świętym człowiekiem. Potem przyśniła mu się Formoza i stary Kijas, jako są oblężeni przez jakiś poczet rycerski, bronią się mężnie, ale nie mogą zdzierżyć. Wilczek rzucał się we śnie, ale czuł Kergolaja, siedzącego na jego piersi i nie mógł się zerwać z tapczanu. Nareszcie zawiesiły się nad nim dwie kobiece postacie, Ofka i Jagienka; Ofka, jak ją Marucha unosi powietrzem z gorejącej zagrody, i Jagienka, królująca na zamku sobieńskim w takich samych szatach złocistych, w jakich Chryzostomowi pokazała się Matka Najświętsza. Tak sny i widzenia, w nocy i we dnie, wieszają się nad rozżarzonym umysłem człowieka, a tymczasem świat rzeczywisty się toczy swym torem.

Kiedy Wilczek się zbudził nazajutrz i rzucił okiem na drugi tapczan, niepomału się zdziwił, gdy spostrzegł, że Kergolaja na nim nie było. Ubrał się prędko i pobiegł na folwark i zastał swoich żołnierzy, ale po Kergolaju i jego ludziach już i miejsce zastygło. Francuz dyscyplin nie lubiał, a nawet niebardzo w nie wierzył — i czmychnął w nocy z klasztoru.

Ucieczka ta dotknęła go bardzo niemile, bo mogła ojca Chryzostoma obrazić, ale go także zaniepokoiła, bo ten lekkoduch mógł jakiej jajecznicy nawarzyć we Lwowie. Chciałby był zaraz za nim

pojechać, ale był zanadto skruszony napomnieniami ojca Chryzostoma, poczuł niektóre grzechy na swojem sumieniu i chciał ich się pozbyć; powiedział więc sobie: „Pierwsza koszula ciała“ — i został.

Jakoż poszedł zaraz do kościoła, spowiadał się, leżał krzyżem przez całą mszę świętą, a potem przyjął Ciało i Krew Pańską z taką przykładnością i skruchą, że nią wszystkich mnichów zbudował. Jakoż ojciec Chryzostom rzekł mu po mszy we cztery oczy:

— Za ten grzech ciężki, co wiesz, powinienbym ci cale inną wyznaczyć pokutę, ale mam wzgląd na to, że się śpieszysz, ażeby stanąć w obronie niewinnych ludzi przed napastnikiem. Wszelako zostań jeszcze u mnie przez dzień dzisiejszy, będziesz na nieszporach, jutro zaś o świcie odprawię dla ciebie mszę świętą, a tak może ci Pan Bóg za mojem wstawieniem się grzech ten odpuści.

Zaczem Wilczek został w klasztorze, a przed wieczorem miał z ojcem Chryzostomem długą rozmowę. Wśród tej rozmowy, rozumny ten mnich dawał mu rozmaite nauki.

— Do służby bożej nie masz wokacji — powiedział mu Chryzostom między innemi — widzę to dobrze po tobie, ale ja się temu nie dziwię, boś jeszcze młody. Mając wzgląd na krew twoję, daję ci radę, ażebyś się jak najprędzej ożenił. Dziewek dobrego rodu w naszym kraju nie braknie, jest między czem wybrać i łatwo znaleźć pannę stateczną i urodziwą. Zajedź też także na zamek sobieński i obacz Jagienkę: moja to synowica, jestem jej opiekunem, a także coś znaczę u Kmitów, więc, gdyby były jakie trudności, mogę ci pomóc.

A o tego Francuza wcale się nie troszcz. To pędziwiater, niemasz tam krwi kmitowskiej, w jego żyłach, niemasz i statku. Jakoż mi się tak widzi, że do trzech dni łańcuch ten zrzuci ze szyi a za inną pogoni. Bądź zdrów, bo nie wiem, czy jutro po mszy będę się mógł z tobą pożegnać.

Nazajutrz o świcie Wilczek wysłuchał mszy świętej i z lekkiem sercem a dobrej myśli i, prawie jak odrodzony, wyruszył śpiesznie do Lwowa.

IV.

DOM KUPIECKI.

Lwów liczy daleko więcej wieków istnienia, niżeli mu ich zazwyczaj przyznają jego kronikarze. Istniał on bez wątpienia już jako miasto w owych wiekach, dziś całkiem zamierzchłych, kiedy właściwa Ruś, rozciągająca się od Sanu, wzdłuż Dniestru, po brzegi morza, zwanego wówczas gościnnem, a teraz Czarnem, liczyła się do najżyźniejszych i najbogatszych krajów całej Europy. W owych wiekach, skutkiem bądź wojen bratnich pomiędzy ruskimi książęty, bądź powstań bojarów zrywających się od czasu do czasu do wybicia się z pod władzy swych panów, przechodził on kolejno rozmaite epoki upadku i wzrostu, aż wreszcie, od chwili rozpoczynających się w wieku XIII zagonów tatarskich, wystawiony na ich ustawiczne napady trzema szlakami: czarnym, kuczmańskim i wołoskim, żyjący wtedy, jakgdyby pod trzema strzałami, wymierzonemi w jego serce, po-

padł na dłuższe czasy w nieznane dotąd ubóstwo. Ów mniemany jego założyciel, książę Lew, syn króla Daniela, był tylko jego odnowicielem, podniósłszy go z gruzów, w które go trzynaście lat przedtem napad tatarski był rzucił. Odnowiciel jednak i jego następcy nie potrafili mu zapewnić spokojnego istnienia i powrotu do dawnej świetności; dopiero Kazimierz Wielki, zagarnąwszy go wraz z przyległemi krajami pod swe panowanie, przyniósł mu stałą opiekę i możność spokojnego rozwoju. Obwarowano go wtenczas nowemi murami i opatrzono we wszelkie środki obrony, a miasto to stało się, jak było dawniej, jednym z najgłówniejszych i najbogatszych targów kupieckich, pośredniczących pomiędzy Wschodem a Europą środkową. W wieku XV Lwów był miastem, rządzonem nadzwyczaj porządnie i regularnie, w swojej kupieckiej skrzętności był nadzwyczajnie ruchliwym, obejmował niezmiernie bogate składy towarów, utrzymywał stosunki handlowe ze wszystkiemi zagranicznemi targami, od Carogrodu do Gdańska, od Kaffy aż do Wenecji, a przeto i obfitował we wszystkie potrzebne, a nawet i zbytkowe dostatki w swych murach.

Rynek i niemal wszystkie ulice były te same co dzisiaj, lecz samo miasto, obwiedzione murami i opatrzone basztami, było o wiele ciaśniejszem, rozlegało się bowiem w kształcie podłużnym a wąskim tylko od szkarp dzisiejszych po Pełtew. W murach ówczesnych znajdowały się tylko dwie bramy: Krakowska u północnego zachodu i Halicka na południowym wschodzie, których na czele miejskich halabardników pilnował *Proconsul nocturnus*. Baszty i mury były opatrzone armatą,

a miejski arsenał był zawsze dobrze wyładowany wszelkiego rodzaju bronią i amunicją. Miasto miało swą ludwisarnię, swoich płatnerzy i rusznikarzy. Ulice były wybrukowane, chodniki kamienne, kamienice po największej części murowane, z krużgankami u pięter, niektóre nawet obronne. W środku rynku stał ratusz murowany z wieżami i był otoczony z trzech stron kramami, które miasto wynajmowało na wieczne czasy swoim własnym rodzinom mieszczańskim, a które przeto ciż mieszczanie nazywali swoją własnością. Na ratuszu mieściła się lonherja miasta, wszystkie urzędy i sądy, tam się odbywały wybory rajców i ławników, tam także miasto przyjmowało znamienitszych gości i wyprawiało dla nich festyny i widowiska publiczne. W mieście, w rogu zachodnio-północnym, stał częścią z kamienia, a częścią z drzewa wybudowany tak zwany Niski Zamek, mieszczący w sobie obszerne komnaty mieszkalne i także mocno obwarowany. W tym zamku mieszkiwali królowie, kiedy zjeżdżali do Lwowa.

Poza murami miasta rozciągały się obszerne przedmieścia na gruntach miejskich, które otaczały miasto na całą milę dokoła, a na których widać było porozsiewane wsie i folwarki. Na przedmieściach stały rozmaite kościoły i cerkwie, pomiędzy któremi wznosiła się na wzgórzu wspaniała i swemi bizantyńskiemi kopułami imponująca cerkiew św. Jura. Nad tem zaś wszystkiem panował z wyniosłej piaskowej góry zamek, zwany Wysokim, silny sam w sobie i srogiemi otoczony murami, a, jak wieść niosła, nigdy jeszcze nie wzięty.

Na Niskim Zamku siedział kasztelan, który był zarazem starostą, lecz w tym ostatnim urzędzie

wyręczał się zwykle podstarostą, mianowanym także przez króla. Dawnemi czasy, kiedy potężni Odrowążowie, protoplastowie Pieniążków, i panowie z Chodcza, których ród prędko wyginął, zrazu jako wojewodowie przemyscy, a potem ruscy, wodzili rej po tych krajach, kasztelani lwowscy byli im całkiem podlegli i nie mieli prawie żadnego znaczenia. W tych czasach widzimy kasztelanami potomków familij ruskich. Lecz później potrafili się usamowolnić i władzę swoją a zarazem i swe znaczenie dokładnie określić. Jednak i wtedy reprezentowali tylko osobę króla, mieli obronę obydwóch zamków na pieczy, stawali na czele chorągwi pospolitego ruszenia, przewodniczyli przez swoich starostów wyborom miejskim, mianowali jednego burmistrza, w niektórych wypadkach powstrzymywali wykonywanie wyroków — i na tem kończyła się ich cała powaga nad miastem.

Miasto rządziło się samo przez dwunastu rajców, którzy rozstrzygali zarazem spory cywilne, a sądziło swe sprawy kryminalne przez dwunastu ławników, i jednych i drugich własnego wyboru. Rządowi miasta przewodniczyło trzech burmistrzów: jeden potwierdzony w imieniu króla i noszący tytuł *Proconsul regius*, zaś dwaj drudzy nazywali się *Proconsul Communitatis i Proconsul dominorum Consulum*, sprawowali zaś swój urząd, zmieniając się kolejno co miesiąc. Nad ławnikami stał wójt. Urzędy rajców i ławników były dożywotne, lecz wolno było zrzec się urzędu. Rajców nazywano powszechnie panami — i byli to rzeczywiście ludzie bardzo bogaci, posiadający nieruchome własności, a wyciągający nieprzeliczone dochody ze swoich kramów, z szynkowni, miodosytni i wosko-

bojni, ze stęp, blichów i łaźni, i z rozmaitych opłat od wyroków w procesach, miewali częstokroć majątki ziemskie, folwarki, wypasy i własne statki na Dniestrze, ale też zato dbali starannie o dobro wszystkich mieszkańców i utrzymywali w mieście wzorowy porządek.

Lwów był w wiekach dawniejszych zamieszkały zapewne przez samych Rusinów, chociaż tak tutaj, jak i po innych miastach ruskich, widzimy już w bardzo dawnych czasach osiadłych Niemców, a mamy także i akta publiczne książąt ruskich, pisane w języku niemieckim. Jakoż niemasz wątpienia, że nie dopiero Kazimierz Wielki sprowadził za sobą Niemców do Lwowa, tylko równie pewną jest rzeczą, że wówczas napłynęli oni tutaj gromadniej, i odtąd, kiedy miasto uczuło nad sobą potężną opiekę, zaczęli przypływać Ormianie, później Tatarzy, a wreszcie Żydzi, Serbowie, Włosi i Grecy. Z Kazimierzem Wielkim przybyli także Polacy; z początku mało ich było, za Ludwika Węgierskiego i Władysława Opolczyka liczba ich się nie pomnożyła, lecz zato gęstą ściągnęli nawałą za królową Jadwigą. Od tego też czasu, choć w samem mieście niewiele ich było, prędko zyskali przewagę, a z czasem, swoją energją, wyższą oświatą i towarzyskim polorem, tak wzięli górę nad wszystkiemi innemi narodowościami, że język ich we wszystkich warstwach się upowszechnił, a kto chciał uchodzić za grzecznego człowieka, ten mówił, a przynajmniej usiłował mówić po polsku. Pod koniec XV wieku język ten był panującym we Lwowie, jednak obok niego utrzymywał się także język niemiecki, dawniej górujący, toż cały świat kupiecki umiał po niemiecku. Obok tych dwóch ję-

zyków mówiono po rusku, co wszakże nie było już w modzie, po ormiańsku, po włosku, po tatarsku i po serbsku, a nawet po grecku, zaś w czasie jarmarków można było słyszeć na rynku kilkanaście języków obcych, do których miasto, dla ułatwienia handlu, utrzymywało stałych tłumaczów.

Pomimo takiej mieszaniny ras, języków i wyznań — Polacy i Niemcy wyznawali katolicką religją, Rusini i Ormianie byli prawosławni, a obok nich mieszkali jeszcze muzułmańscy Tatarzy i żydzi — pomiędzy mieszkańcami panowała wzorowa zgoda. Sporów religijnych nie było, bo fanatycznej propagandy nie było; każdy się modlił swojemu Bogu, jak chciał, a nikt drugi się w sprawy jego sumienia nie mieszał. I sporów politycznych także nie było, bo wszyscy się czuli członkami jednej gminy, a gmina, rządząc się sama i troszcząc się tylko o swoje własne dobro moralne i materjalne, zawiadywanie publicznemi sprawami pozostawiała królowi i jego pełnomocnikom. Nawet zbrodni wówczas nie było: kary, wymierzane za występki przeciwko własności i publicznemu spokojowi, są bardzo rzadkie, wyroków za wykroczenia przeciwko wierze wcale nie znajdujemy, krwawe sądy w sprawach sumienia zaczynają się dopiero w wieku szesnastym. Natomiast widzimy niepoliczoną ilość bractw, stowarzyszeń i innych zakładów publicznych w celu niesienia pomocy ubogim, chorym albo potrzebującym zarobku; nad stosunkami panów do sług, czeladników do majstrów, a nawet nad zapłatą, należącą się robotnikowi, czuwają bardzo sumiennie i pilnie władze miejskie; urząd publiczny może sprawować ten tylko, kto ma w mieście posiadłości, od wydatków zbytkowych

strzeże *lex sumptuaria,* utrzymaniu stosunków rodzinnych pomaga ciężki podatek, nałożony na bezżennych, nad moralnością publiczną czuwa powaga starszyzny i kierowana przez nią opinja publiczna — co wszystko wydaje miłosierdziu ludzkości i rozumowi, jakie podówczas panowały w tem mieście, bardzo wymowne i piękne świadectwo.

W mieście wodzili rej mieszczanie osiadli, a mieli oni podówczas poważne znaczenie nie tylko w obrębie swej gminy, ale także i w kraju, albowiem posiadali niemało majątków wiejskich i byli panami całego przemysłu, handlu i pieniężnego obrotu. Bił na nich jeszcze, lubo już bledniejącemi promieniami, blask owej wielkiej i świetnej potęgi, jaką przez tyle wieków błyszczały rzeczypospolite włoskie i północne miasta hanzeatyckie, a chociaż dawne prawa miast polskich znacznie już wówczas podkopała wciąż wzrastająca przewaga szlachty, chociaż przywileje Nieszawskie już bardzo silny cios zadały mieszczanom, ścieląc ich nisko pod stopy rycerstwa i zabraniając im nawet przystępu do wyższych dygnitarstw kościelnych, statutów Piotrkowskich, rozszerzających przywileje Nieszawskie, jeszcze wtedy nie było, zaczem mieszczanie czuli się jeszcze w swojem dawnem znaczeniu i używali go z roztropnością i miarą, ale zarazem ze świadomością praw, które im przysługiwały. Znaczenie mieszczan było wtedy tak wielkie, że nawet zamożna szlachta garnęła się chętnie do Lwowa, ale szlachcic musiał przyjąć prawo miejskie i poddać się magdeburgji, ażeby mu pozwolono własność miejską zakupić.

Jednak tych samych swobód używali i żydzi, a nawet wolno im było dobra ziemskie posiadać;

jakoż żyły wówczas żydowskie rodziny Szachnów, Szmuchlów, Notków, Jordanów i Wołczków, które posiadały bardzo obszerne majątki po całej Rusi. Było ich także cokolwiek w mieście, ale przeważnie gnieździli się za murami, na gruntach, należących do zamku, gdzie trzymali gospody i szynki, trudnili się rozmaitym handlem, a głównie pośrednictwem w obiegu pieniędzy, i gdzie od starostów daleko łatwiej otrzymywali rozmaite dzierżawy i przywileje, niżeli od rajców miejskich. Jakkolwiek ich lichwa dawała się temu i owemu równie ciężko uczuwać, jak dzisiaj, a ich przekupstwo, którem wtedy walczyli, przynosiło uszczerbek interesom przedmieszczan i moralności publicznej, nie miano ich jednak jeszcze podówczas w takiej pogardzie, jak później, albowiem, chociaż chciwość pieniędzy była powszechna, nie było zazdrości, bo konkurencja była łatwiejszą. Ziemi było poddostatkiem dla wszystkich, przystęp do wszelkiego rodzaju przemysłu i handlu dla każdego otwarty; kto chciał pracować i zapobiegać, ten bardzo łatwo i prędko dorabiał się znacznego majątku i nie potrzebował go zawidzieć innym. Była więc i pod tym względem bardzo szeroka wolnomyślność w pojęciach i w postępowaniu.

Wszelako, pomimo tak wielkiej tolerancji we wszystkich kierunkach, nikt nie był obojętnym dla swojej wiary, owszem, każda z nich cieszyła się głęboką czcią swoich wiernych, a zarazem bogatem uposażeniem. Lwów był już wtenczas stolicą trzech katedr: był arcybiskup łaciński, Jędrzej Boryszewski, którego stolica, zwłaszcza od czasu mądrego i zapobiegliwego Grzegorza z Sanoka, jaśniała wielką powagą i posiadała obszerne ma-

jątki w ziemiach halickiej i lwowskiej, a zarazem własną chorągiew zbrojną; był arcybiskup ormiański, Kilian, posiadający tę samę katedrę co dzisiaj, a jego władza obejmowała całą Ruś, całe Podole i Wołoszczyznę; był wreszcie władyka ruski, podlegający metropolji kijowskiej. Były także zakony franciszkanów, dominikanów i bernardynów. Rusini mieli ośm cerkwi w samem mieście, nie licząc tych, które posiadali na przedmieściach. Katolicy zaś dwa razy tyle kościołów. Były seminarja, bursy i konfraternie, szkoły dla organistów, djaków i rozmaitych śpiewaków, pomiędzy któremi pierwsze trzymała miejsce konfraternia rybałtów. Tak ta ludność niezmiernie mieszana, uderzająca oko najdziwaczniejszą pstrocizną strojów a ucho babilońskim rozgwarem rozmaitych języków, była jeszcze gęsto przesiana niepomierną ilością księży świeckich i mnichów, obok których snuły się różnorodne postacie pielgrzymów, w kapeluszach z szerokiemi kresami i długich sukniach, obszytych zamorskiemi muszlami, którzy szli albo wracali ze Ziemi Świętej, albo też z innych dalekich krajów, i napełniali miasto fantastycznemi powieściami o wielkoludach i dziwotworach, wszędzie ciekawie słuchani.

W tem mieście, tak ciasnem, lecz zarazem tak tłumnem i pełnem tak różnorodnego rozgwaru, w rogu wschodniej połaci rynku, obok cokolwiek później zbudowanego arcybiskupiego pałacu, stała kamienica o sześciu oknach, wychodzących na rynek, ale ciągnąca się wzdłuż ulicy wiodącej ku cerkwi wołoskiej aż ku ulicy Ruskiej. Był to podówczas największy i najpokaźniejszy dom w mieście, o dwóch piętrach, murowany u dołu z cioso-

wego kamienia, wyżej z czerwonej cegły, opatrzony kamiennemi krużgankami, a nakryty wysokim dachem z dachówki, który był obwiedziony zębatym murem, prawie jak forteca, a nad którym sterczały olbrzymie kominy, prawie jak baszty obronne. Wszystkie ówczesne domy mogły mieć tylko trzy okna od frontu, bo tak chciało prawo, ale właściciele tej kamienicy, dzięki swojemu bogactwu i wpływom, potrafili sobie wyrobić sześć okien, za co się wszakże zobowiązali zmurować ją obronnie i w danych wypadkach przechowywać w niej skarby, jakieby im do schowania oddano. Toż był ten dom istną fortecą. Prowadziła doń od rynku brama wjezdna żelazna, wszystkie okna w przyziemiach były zakratowane i zamykały się na okiennice żelazne. Tutaj od frontu znajdował się kram otwarty, zamykany także na drzwi żelazne, w którym sprzedawano bakalje i rozmaite inne towary do codziennego użytku. Obok kramu był kantor, w którym wymieniano pieniądze i załatwiano wszelkie inne sprawy pieniężne. Dalej szły składy drogich tkanin tureckich, perskich, indyjskich, a ztyłu znajdowały się magazyny, napełnione wełną, skórami, suknami, płótnem i inną tkaniną pospolitego gatunku. Wewnątrz był wąski a długi dziedziniec, tak, że weń mogły zajeżdżać wozy, a wyjeżdżały tylną bramą, już nie tak bardzo forteczną.

W tych przyziemiach trwał ruch bezustanny od rana do późnego wieczora, tak, że do otwartych drzwi kramu czasem trudno się było przecisnąć, zaś bramą otwartą wchodzili tylko ci ludzie, którzy na górne szli piętra. Z tego wjazdu prowadziły szerokie, paradne schody, opatrzone rzeźbio-

nym z dębowego drzewa poręczem, na pierwsze piętro, gdzie się znajdowały bardzo obszerne i bardzo bogato przyozdobione komnaty, z których największa część była przeznaczona na przyjmowanie gości, inne na mieszkanie rodziny. Pierwsze z tych komnat były napełnione pysznemi sprzętami z rzeźbionego drzewa i ozdobione makatami porozwieszanemi po ścianach, nad kominami błyszczały w misternych ramach wspaniałe weneckie zwierciadła, u stropu pająki bronzowe, rzeźbione przez znakomitych sztukmistrzów włoskich, przy ścianach stały tu i ówdzie szafy oszklone gdańskie, nasiekiwane na czarnem drzewie perłową macicą, i inne niemieckie, składane z drzewa najrozmaitszych kolorów, a wszystkie napełnione cennemi naczyniami ze srebra, porcelany i bronzu. Zgoła komnaty te zadziwiały swojem bogactwem; ale bywali już tutaj królowie, biskupi, posłowie papiescy i rozmaitych innych mocarzy, i także nie mogli im się nadziwić. Na drugiem piętrze znajdowało się jeszcze więcej komnat, bo były mniejsze, ale wszystkie dostatnio we wszelaki sprzęt opatrzone, tak te, w których mieszkała rodzina, jak i owe, co w nich czasem mieszczono gości.

Właścicielem tej kamienicy był wówczas najbogatszy kupiec ormiański. Nazywał się Epaminondas Arzebek Chiaao, ale, że nie każdy mógł łatwo jego nazwisko wymówić, więc go powszechnie nazywano Kijasem. O jego pochodzeniu różne chodziły wieści, o które on się jednak wcale nie troszczył. Jedni mówili, jakoby szedł z wyspy Chios i stąd wziął nazwisko, a ci powiadali go Grekiem z przodków ormiańskich, inni mienili go być potomkiem książąt ormiańskich, dlaczego też kładł

miano Arzebek przed swojem nazwiskiem. Wszelako od starych Ormian, zresztą może cokolwiek zazdrośnych, chociaż zazwyczaj tej wady nie mają, szła także powieść jakoby jego pradziad przyszedł tutaj piechotą z Jazłowca, z początku handlował koziną, potem bakalją, a wreszcie towarem cenniejszym, czem się dorobił majątku dla siebie i swoich potomków, którzy go wszakże wciąż pomnażali, aż wreszcie przyszli do takiego bogactwa, że im równego nie było, ani tu, ani w Kamieńcu, ani w Suczawie, a na ich słowo dawano krocie w Kaffie i w Carogrodzie, w Wenecji i w Gdańsku. Kijas jednak o tem wszystkiem nawet i nie wspominał, bo był to człowiek rozumny i wiedział, że kmieć, mieszczanin czy szlachcic tylko tem stać powinien pomiędzy ludźmi, co sam zaważy, a nie tem, co tam kiedyś ważyli jego przodkowie.

Kijas miał wówczas lat sześćdziesiąt z okładem, duży był wzrostem, kościsty i silny, twarz także miał dużą, całkiem ogoloną, nos mocno garbaty ormiański, oczy duże siwe, krzaczystemi brwiami nakryte, i siwą czuprynę, dosyć bogatą, ale zazwyczaj trochę w nieładzie. Na jego twarzy malowała się bardzo wydatnie przytomność i świadomość siebie samego: dość było spojrzeć na niego, ażeby widzieć, że temu człowiekowi nie można pleść lada czego, bo niełatwo uwierzy; ale na tej trzeźwej twarzy odbijał się także spokój właściwy wszystkim ludziom wytrawnym, dobroć serca i łagodność umysłu. Toż ten uprzejmy wyraz jego twarzy zniewalał wszystkich do tego stopnia, że, kto go poznał, zaraz miał zaufanie do niego, a chociaż po raz pierwszy z nim mówił, był z nim, jakgdyby go znał od lat niepamiętnych.

Kijas był człowiekiem niezwyczajnego rozumu, który zresztą pod owe czasy, jeśli nie wyłącznie, to przynajmniej przeważnie znajdował się w stanie mieszczańskim, bo ten właśnie stan pielęgnował starannie wszelkie nauki i zawiadywał sprawami ekonomicznemi całego świata. Był on jednakże nie tylko ukształconym, ale także uczonym. Mówił pięciu językami poprawnie i płynnie, znał geografiję całej Europy na palcach, znał wszystkie targi europejskie pod względem ich znaczenia, ich towarów, kredytu i obyczajów, znał się sam na wszelkiego gatunku towarach, od żaglowego płótna do najpyszniejszych tkanin indyjskich, od żelaza i miedzi do złota i drogich kamieni, był namiętnym zbieraczem wszelkiego rodzaju osobliwości, a oprócz tego kochał się w pergaminach i książkach, których miał całą szafę, na bardzo misterny zamek zamkniętą.

W tej szafie znajdowały się rękopisma bardzo cennej wartości, pomiędzy któremi *Flores legum,* kosztujące szesnaście grzywien, przepyszne kopje Wirgiljusza i Horacego, a obok nich kilka pieśni „Komedji boskiej" Dantego, pisane na pergaminie inkaustami rozmaitego koloru, z inicjałami, przedstawiającemi te figury, których opis znajduje się w tekście i z marginesami, pokrytemi złoconym rysunkiem. Za cenę tych pergaminów można było dobrą wieś kupić; ale na tem niedosyć. Albowiem obok tych rękopismów leżały ustawione ze znawstwem wszystkie najnowsze druki polskie, które dopiero niedawno zaczęły się zjawiać, jak *Diurnale secundum usum Ecclesiae Cracoviensis,* wydane dopiero przed dwoma laty, jak Mszał wrocławski, Mszał krakowski, drukowany w Moguncji w roku

1487, i dwa Mszały norymberskie Hallera. Kijas był o te książki, a zwłaszcza o pergaminy tak zazdrosnym, że wprawdzie każdemu je pokazywał, czytał sam i tłumaczył, ale nikomu do ręki nie dawał z obawy, aby mu ich nie zabrukał. Równą słabość miał także do drogich kamieni, które namiętnie skupywał, ale je z zyskiem sprzedawał.

Wszelako jego wielki rozum objawiał się głównie w administracji jego niezmiernie rozgałęzionego handlu, a obejmującego niemal wszystkie znane towary i rozpostartego na przestrzeni połowy Europy. Tu trzeba było głowy nadzwyczaj zdrowej, aby tem wszystkiem zarządzać. Kijas miał bowiem zmonopolizowane dla siebie fabryki, jak w Tustaniu i wielu innych miasteczkach, miał własne statki na Dniestrze, na Sanie i Wiśle, miał własne kramy i składy w Przemyślu, Łańcucie, Kamieńcu i Suczawie, miał własne kantory w Gdańsku, Wenecji, w Kaffie i Carogrodzie, a do tego mnóstwo rozmaitych przedsiębierstw w samym Lwowie i po przedmieściach — a przecie ta cała administracja była, jak zegarek, nie zdarzały mu się nigdy znaczniejsze szkody, ani nieprzewidziane wypadki, a majątek się ciągle pomnażał. Kijas miał także w swem zawiadowstwie bardzo znaczny majątek ziemski koło Trembowli, należący do jego synowej; sam większych posiadłości szlacheckich nie łaknął, kupił tylko przed kilku laty wieś Skniłów pod Lwowem i dał za nią sześćdziesiąt grzywien, rycerskiego konia, sobolową czapkę i parę butów ormiańskich, ale kupił ją tylko dlatego, że jego syn, mający ambicje szlacheckie i zamiłowanie w koniach, naparł się jej koniecznie.

Natomiast wszakże, idąc śladem swych ojców,

dbał o to, aby miał w mieście znaczenie — i miał je, bo był już prokonsulem wiele razy, od kilku lat był już w odstawce i nosił tytuł *Consul antiquus*, ale mimo to, tak był respektowany, jakgdyby był arcykonsulem czynnym, i żadna ważniejsza sprawa nie odbyła się w mieście bez jego rady. Pomiędzy miejską starszyzną miał zazdrosnych, jak każdy, co głową przenosi innych, ale natomiast wszystkie niższe warstwy były mu całem sercem oddane, bo był uczynnym i miłosiernym: nikomu nigdy nie odmówił pomocy, często nawet sam się z pożyczką lub datkiem narzucił, a zawsze to robił po chrześcijańsku, że lewa ręka nigdy nie wiedziała o tem, co prawa wydaje. Lubił także robić basztangi osobom zamożnym (tak Ormianie nazywali podarunki), więc temu dywan dywdykowy, drugiemu bursztynowy różaniec, trzeciemu chustkę indyjską dla jego małżonki, ale wtedy już jego głowa wiedziała, dlaczego to robi.

Epaminondas Arzebek Chiaao nosił zwykle na głowie biret niemiecki, na sobie suknię długą z czarnego sukna lub aksamitu, na nogach zaś buty żółte albo czerwone, i tak go można było widywać, siedzącego we drzwiach otwartych swojego kramu na worku pieprzu, witającego uprzejmie przechodniów i rozpytującego ich o codzienne nowiny lub plotki, obiegające po mieście. Pilnował przytem swojego kramu, który mu wprawdzie nie przynosił ani dziesiątej części jego dochodów, ale o którym sam mawiał, że to jego chleb powszedni.

Dziś wszakże o popołudniowych godzinach siedział w swej pierwszej komnacie za wielkim stołem, misternie z czarnego drzewa rzeźbionym, na którym leżała płaska szkatułka, dwie małe paczki,

związane szpagatem i rozmaite lupy, w mosiądz oprawne.

Naprzeciw niego nawskos pod oknem siedział Kundrat, który właśnie z Tustania powrócił i, trzymając przed sobą książkę rachunkową wąską a długą, zdawał mu sprawę z towarów, odebranych w tem mieście i wyprawionych do Dniestru.

Zaś obok niego, ale cokolwiek opodal, w poręczowem krześle, turecką tkaniną wybitem, siedziała pani Formoza, jego najukochańsza synowa, słuchając obojętnie tustańskich rachunków, a rzucając ciekawem okiem na paczki, leżące obok szkatułki.

Formoza była kobietą tak wspaniałą i piękną, jakie się niecodziennie spotyka nawet na dworach królewskich. Miała lat dziewiętnaście i była wzrostem tak słuszna, że przenosiła głową o kilka cali starego Kijasa, formy miała okrągłe i pulchne, a w każdym ruchu tak wiele wdzięku i wspaniałej powagi, że zdawała się być na to zrodzoną, ażeby z królewskich krużganków ścielić do swoich stóp wszystkich kruszących ze sobą kopje rycerzy. Szatynka była, włos miała ciemny, ale błyszczący złotem do światła, oko piwne, pełne świetnego blasku, ale w promieniach łagodnych, rzęsy przepyszne, a cerę białą i przezroczystą, a okraszoną świeżym, jak wiosna, i wcale dziewiczym rumieńcem. Ubrana była skromnie, jak na te czasy, tak pełne wystawności i zbytków: na głowie miała małą, złotem haftowaną duchenkę, okrągłą i wydatną jej kibić okrywała przypadająca do jej smukłego stanu katanka, i pas miała na sobie, składający się ze złotych emaljowanych sprzążek, którego jeden koniec jej spadał do kolan. Ubiór ten nie mógł

podnosić ni jej powagi, ni wdzięków, a przecież i w tym ubiorze była tak świetną, tak wspaniałą i tak imponującą, że, kto ją pierwszy raz widział, musiał się nią zachwycić, a nawet ci, co ją znali oddawna, obchodzili się z nią, jak z królową, której życzenia każdy usiłuje odgadnąć, a nikt im się nie śmie sprzeciwić.

Jakimże niepojętym wypadkiem taka królowa niewieściej powagi i wdzięków dostała się w rodzinę kupiecką? Wilczek już to powiedział Kergolajowi. Córeczkę zamożnej i znakomitej rodziny szlacheckiej, wymordowanej przez Tatarów, Kijas znalazł zbłąkaną na stepie i w swoim domu przytulił. Spostrzegłszy u niej już wtedy niezwyczajne zalety umysłu i serca, przywiązał się do niej i dał jej wychowanie nadzwyczajnie staranne. Formoza korzystała pilnie z tych nauk i kiedy na pannę wyrosła, stanęła w rzędzie najuczeńszych kobiet stolicy, a może nawet wszystkich ziem ruskich. Umiała doskonale po polsku, po rusku, po łacinie, po włosku i po niemiecku, a nawet poduczyła się dosyć dobrze prowansalskiego języka, ażeby najpiękniejsze ówczesne pieśni rycerskie i miłośne mogła czytać w oryginale. Toż umiała wiele takich pieśni napamięć, które śpiewano jeszcze na dworze Berengarów w Tuluzie, umiała także niektóre pieśni minnesaengerów niemieckich, które przy lutni albo gitarze śpiewała, ale zawsze tylko dla siebie, nigdy dla gości. Jednak najulubieńszem jej zajęciem było czytanie poetów łacińskich — i bodaj czy nie czytywała także ukradkiem Owidjusza *Remedia amoris,* które w bardzo pięknym odpisie znajdowały się w księgozbiorze jej teścia. Wszelako nigdy się nie popisywała ze swoją na-

uką, a tylko sam Kijas wiedział, jakie skarby rozumu i wiadomości się znajdowały w tej głowie kobiecej; jako już za to samo nie tylko ją kochał i wielbił, ale obchodził się z nią z taką delikatnością pełną uszanowania, jakgdyby świętą miał w swoim domu.

Wszelako i zacny Kijas był takim samolubnym człowiekiem, jak inni: bez wątpienia nie z łakomstwa na jej majątek, którego sam miał dostatkiem, ale dlatego, ażeby tej ukochanej istoty nie wypuścić ze swego domu, ożenił z nią swego syna. Stało się to przed rokiem. Formoza, młodziutka wówczas dziewczyna, wychowana zdaleka od rycerskiego świata, do którego należała z rodu i pokrewieństwa, znająca wprawdzie bardzo wielu ludzi, ale nikogo zbliska, przywiązana, jak siostra, do swego przyszłego męża, z którym od dziecka prawie się razem wychowywała, wierząca zresztą w każde słowo Kijasa, jak w ewangelję, i przejęta szczerą dla niego wdzięcznością za uratowanie jej życia i majątku, przyjęła to małżeństwo bez żadnego oporu i z głębokiego poczucia obowiązku była wzorową żoną i jak najlepszą synową. Ale czy mądrze to zrobił Kijas, łącząc tych dwoje ludzi ze sobą? Złośliwe języki różnie o tem mówiły — a byli i tacy, co kijasowego syna uważali za niedorodka i wcale nie boże stworzenie; jednak pomimo to, pomiędzy żoną i mężem panowała święta zgoda, najbystrzejsze oko nigdy żadnej chmurki tam nie dostrzegło i w całym domu płynęły dnie w takiej ciszy i z taką powagą, jak msza za mszą się odprawiają w kościele.

Kundrat właśnie kończył swój raport kupiecki, a zamykając książkę, dodał te słowa:

— Oto są wszystkie towary, jakie odebrałem w Tustaniu. Ostatnie wozy oddałem przedwczoraj naszemu karawanbaszy, z któremi zaraz poszedł do Dniestru. Dziś nasze szkuty ruszyły, o czem zapewne do jutra będziemy mieli wiadomość.

Wysłuchawszy go Kijas, milczał i myślał przez chwilę: zapewne szeregował cyfry w swojej głowie, dodawał, odciągał i multyplikował, układając preliminarz czystego zysku; wszakże niebawem się z tą robotą uporał, a wtedy rzekł do Kundrata:

— Dobrze. Zaciągnij wasze te rzeczy w księgi. Daszkiewiczowi poszlij dwanaście łokci sukna i chustkę turecką dla jego żony. Ramułtowi dałem dziesięć złotych węgierskich, aby miał zapas w podróży. Wilczkowi zaliczyłem cokolwiek więcej, niżeli mu się należało, o co mniejsza, wyrówna się to w jesieni; tylko, że kasa baranowska się nie powiększa, i jeżeli tak dalej pójdzie, to Baranowa nigdy nie wykupimy. Cóżeś tam wasze słyszał o Wilczku? Bo imci pani Formoza zauważyła, że był jakiś nieswój tym razem, i jakby mu coś brakowało.

To rzekłszy, spojrzał na swoję synowę, a ona odpowiedziała:

— Pan Wilczek ma jakiegoś mola, który go gryzie, ale nie mogłam go wyrozumieć, coby mu było, chociaż zazwyczaj chętnie się przede mną spowiada. Na moje pytania odpowiadał ciemno i enigmatycznie, mówiąc: „Mężczyźni, tak jak i kobiety, mają swoje zgryzoty, o których nie powiadają nikomu, bo wiedzą, że im nikt nie pomoże". Nie wiem jednak, jakieby to były zgryzoty.

— Cóż ci się zdaje? — zapytał Kijas.

— Mnie się zdaje — odpowiedziała Formoza — że zgryzot niema, jeno mu duszno na zamku tustańskim. Jemu potrzeba powietrza. Potrzeba mu wojny, w którejby się rozerwał i sfatygował cokolwiek, albo mu trzeba żony, coby rozweseliła jego zamek samotny.

Na to zaś prędko odezwał się Kundrat, bo pilno mu było wywnętrzyć się z plotek, któremi się obładował w Tustaniu.

— A ja wiem — rzecze — jaki mól gryzie naszego starostę.

I tu opowiedział dokładnie i szczegółowo całą historję o Ofce, o Biłowusie i pożarze zagrody, malując im wszystkie szczegóły, jakby na dłoni, jako Biłowus rżał śmiechem końskim na dębie, jako Marucha uniosła Ofkę powietrzem i jako Włostek, porwany miłością dla Ofki, pobiegł jej na ratunek, ale nic zdziałać nie mógł, bo przyjechał za późno.

Formoza słuchała tego opowiadania z żywem zajęciem, bo i najukształceńsze kobiety lubią powiastki o czarownicach i zakochanych młodzieńcach, ale rozumny Kijas całkiem inaczej się zapatrywał na takie rzeczy, jakoż rzekł po niejakim namyśle:

— Natoż to waszeć jesteś doktorem obojga prawa, ażebyś takie bajki powtarzał! Nie Biłowus tam rżał, tylko jego dziki koń w stajni, i nie Maruchę z Ofką widziano, ulatujących z pożaru, tylko prawdopodobnie kłęby czarnego dymu, które się prostym ludziom wydały jakoby wydęte spodnice. Toż tak rozumiem, że te obydwie kobiety ani uleciały powietrzem, ani zgorzały w chałupie; bo sam powiadasz, że nie znaleziono z nich śladu na pogorzelisku, lecz bez wątpienia uciekły ziemią i je-

szcze kiedyś się o nich dowiemy. Ale Wilczek mi się nie podoba w tym razie, bo najprzód, uwodzić niewinne dziewczęta, to rzecz może rycerska, ale nieuczciwa, porzucać je bez ratunku, to rzecz nieszlachetna, a kiedy się już tak stało, nie umieć sobie poradzić, to głupio. Miał przecież zakochanego Włostka pod ręką i mógł go z nią ożenić.

Na to zaś Kundrat:

— Tak mi to także powiadał Daszkiewicz, dodając, że, gdyby mu był starosta tylko słówko pisnął o tem, to byłby był wziął Ofkę do siebie, Biłowusa uchodził i Włostka ożenił, a jeśliby się w tej tkaninie była jaka dziura zjawiła, toż to niemasz takiej dziury pomiędzy ludźmi, którejby nie można załatać szerokiemi groszami.

— Daszkiewicz mądrze powiedział — rzekł Kijas. — Dobrze o tem wiedzieć, bo może on się przysłużyć Wilczkowi, jeśliby się z tego wywiązały jeszcze jakie dalsze trudności. Ale Wilczek powinien się jak najprędzej ożenić. Życzę mu tego z serca, jako jego przyjaciel... a oprócz tego, zależy nam na tem, ażeby na zamku tustańskim siedział człowiek porządny i cichy. Jak widzę z rachunków waszeci, produkcja tego miasteczka wzmaga się coraz więcej, a może się jeszcze znacznie pomnożyć.

Formoza patrzała przez ten cały czas zamyślonemi oczyma przed siebie, a kiedy ją Kijas zapytał:

— A cóż na to powiada nasza najmilsza synowa? — ona odpowiedziała z westchnieniem:

— Smutno mi słuchać tych rzeczy. Całkiem inaczej sobie wyobrażałam naszych rycerzy, a rozumiałam, że Wilczek pomiędzy nimi najlepszy.

A wtedy rzekł Kijas, biorąc ją za rękę z uśmiechem zadowolenia:

— Więc może to nie tak źle, żeś poszła za mieszczanina, z którego dopiero rycerz się robi i taki się zrobi, jakim go właśnie mieć chcemy.

— Ja jestem z mego losu całkiem zadowolona — zawołała na to wesoło Formoza, z czego jej teść bardzo był kontent, i rzekł z ojcowską dobrocią:

— Przysuńże się teraz do nas, bo mamy tu różne rzeczy, także tymczasem mieszczańskie, ale któremi nie zwykli gardzić rycerze, a gdzie się też może coś znajdzie dla ciebie.

To mówiąc, rozwinął jednę z tych paczek, szpagatem związanych, które leżały na stole i wysypał z niej całą garść pereł białych i czarnych niezwyczajnej wielkości, z których jedne były w złoto lub srebro oprawne i widocznie z jakichś naramienników lub diademów wyłamane, inne zaś luźne, bez żadnej oprawy. Formoza, uderzona blaskiem tych pysznych klejnotów, pochyliła się nad stołem, oglądając je zbliska i układając w osobne szeregi według wielkości; Kijas przyłożył lupę do oka i zaczął je pojedyńczo ze wszystkich stron opatrywać z cierpliwą uwagą znawcy, a Kundrat także się ze swej strony nad stołem pochylił i, biegając łakomemi oczyma po wszystkich perłach, uśmiechał się i oblizywał swe usta rumiane, jak smakosz, przed którym woniejącą postawiono potrawę.

Wszyscy byli temi skarbami niezmiernie zajęci; jeszcze pod wrażeniem podziwu milczeli i właśnie chcieli sobie wzajemnych myśli udzielić, ale im przeszkodzono, bo w tem oka mgnieniu otwarły się podwoje od sieni i Wilczek wszedł do komna-

ty. Wilczek był w suknie codzienne ubrany bez przyborów rycerskich i, wchodząc, rzekł z uśmiechem na twarzy:

— Owo gość cale niespodziewany.

Natenczas Kijas, niepomału zdziwiony, lecz zawsze spokojny, położył lupę na stole i rzekł ze zwyczajną sobie powagą, ale zarazem bardzo uprzejmie:

— Wszelki duch chwali Pana Boga! Licząc mile i dnie, rozumieliśmy, że wasza miłość dojeżdżasz dziś do Rzeszowa, a tymczasem zpowrotem we Lwowie. Cóż się to stało?

Kijas, znając Wilczka od dziecka, mówił mu *ty* z przyzwyczajenia, a *wasza miłość* z grzeczności, Wilczek zaś mianował go ojcem, ale zwyczajem niemieckim, który się jeszcze utrzymywał we Lwowie, także go tykał.

— Nie — rzecze Wilczek — nic się nie stało. Tylko zapomniałem tu pewną sprawę załatwić na zamku i musiałem się wrócić na chwilę.

Jednak, chociaż to Wilczek powiedział swobodnie i jakby nic nigdy nie było, nikt mu nie uwierzył. Formoza była widocznie zaniepokojona, a Kundrat, mając głowę nabitą Biłowusem, rżącym, jak koń, i czarownicami, ulatującemi w powietrze, patrzał nań prawie przestraszonemi oczyma, a nawet, jako człowiek ostrożny, pomału w kąt się zasunął. Kijas zaś rzekł dobrotliwie:

— Słowom rycerza zawsze wierzymy, ale tym razem tak nam się zdaje, że coś koloryzujesz.

A wtedy i teść i synowa zaczęli go cisnąć, jednak na niego nigdy nie potrzeba było wielkiego nacisku, bo był prawdomównym i miał serce jakby na dłoni, więc też i teraz bez oporu opowiadał im

prędko całą historję swego spotkania się z Kergolajem i dlaczego do Lwowa powrócił.

Zaledwie skończył, Formoza, kobieta, jak widać, serdeczna, przystąpiła szybkim krokiem ku niemu i zawołała z uczuciem:

— Dziękujemy waszmości! Anim się spodziewała, ażeby Jagienka mogła takich plotek narobić.

A wtedy i stary Kijas wstał, ścisnął go także za rękę, ale zaraz napowrót przy stole posadził, sam także usiadł i tak mówił:

— Wiemy oddawna, że jesteś nam przyjacielem w dobrych, a jeszcze pewniejszym w złych losach i zawsze ci za to wdzięczni będziemy. Uważałem ja to niejednokrotnie, że w listach Jagienki, zresztą (niechaj to między nami zostanie) niebardzo zrozumiale pisanych, które mi pani Formoza zawsze łaskawie komunikuje, znajdują się czasem wyrazy, którym można dawać rozmaite znaczenie. Ja je tak rozumiałem, że Jagienka, córka wyniosłych Kmitów i na kmitowskim zamku żyjąca, a mająca zapewne wszystkich ludzi, co nie chodzą w pancerzach i hełmach z piórami, za podłe, a zarazem półdzikie zwierzęta, lituje się nad Formozą, że takiego człowieka, a nie rycerza wybrała sobie na męża. Ale nigdybym nie był przypuszczał, że pod temi wyrazami kryją się takie potwarze, że ona nam przypisuje takie niecne uczynki i że się znajdzie rycerz półwarjat, który się do Lwowa wyprawi, ażeby na nas pomścić się za nie.

— On się tutaj nie wyprawił umyślnie — rzekł Wilczek, rektyfikując — on jedzie do Ziemi Świętej, a tu tylko mimochodem zamierzył zrobić w wa-

szej kamienicy porządek, tak jak zapewne w swojej wyprawie do Jeruzalem niejeden inny dwór wymiecie po drodze.

Na to Kijas cokolwiek niecierpliwie poprawił czapkę na głowie i rzekł:

— Czy kto umyślnie, czy mimochodem nas powybija i złupi, to jest rzecz dla nas bardzo obojętna, ale nieobojętna wcale, że takim rycerzom jeszcze zawsze wolno się tak samopas włóczyć po kraju. Bo tym panom pracować się nie chce, a żebrać się wstydzą, nuż jeszcze są zdania, że ludziom wojennym niewzbronno nawet w czasie pokoju używać środków wojennych. Toż sam słyszałem, jak jeden z nich, złupiwszy dwór we wsi, usprawiedliwiał się temi słowy: „Jakże? Więc chcesz, ażebym żebrał, kiedy miecz noszę u boku?“ — Widujemy tu takich rycerzy dość często, a chociaż Lwów ma się kim bronić, przecież bywali tacy, co i nam się dali we znaki. A wszakże jest temu dopiero lat trzydzieści trzy, a nie więcej (sam to dobrze pamiętam, bo nawet już byłem prokonsulem miasta natenczas), kiedy imć pan Szczęsny z Paniowa, którego zwano także Godziemba, nibyto na wezwanie papieża Piusa II, zaczął się zbrojnie włóczyć po kraju, zaciągać ludzi pod swoje chorągwie i wkrótce nazbierał ich do dwunastu tysięcy, a tę armję swoją nazwał krucjatą. Miał niby także ciągnąć na Turka, ażeby go z Ziemi Świętej wypędzić, ale tymczasem, złupiwszy niemało dworów szlacheckich i wypłókawszy wszystkie ziemie dokoła, nareszcie się tak rozzuchwalił, że pod Lwów podstąpił, wychędożył wszystkie przedmieścia, aż wkońcu zaczął szturmy przypuszczać do miasta. Mogliśmy mu się obronić, ale, zważywszy, co ta

obrona będzie kosztować, a widząc prócz tego, że nasz kasztelan jakoś niewiele ma ochoty zetrzeć się na ostre z panem Paniowskim (jako to zwykle kruk krukowi oka nie dzióbie), postanowiliśmy się okupić. Ot, jaka to była krucjata! Kto ciekawy, ten może się doczytać w książkach lonherji, ile nas kosztowała. Temu panu Szczęsnemu muszę zresztą oddać sprawiedliwość, bo potem poszedł rzeczywiście do Węgier, podjechał ze swoją krucjatą pod sztandary księcia Burgundji i Macieja Korwina, bił się walecznie przeciwko Turkom, a nawet, uderzywszy sam z pieśnią Bogarodzicy na obóz turecki, wszystkich jeńców uwolnił, za które to czyny rycerskie król Maciej później mu własną synowicę poślubił. Ojciec to był tych Paniowskich, co dzisiaj są starostami na Stryju i Żydaczowie. Rycerz bardzo waleczny, okrutny pogromca Turków, niema co mówić, ale, kiedy Turka nie było, to swoim dwory i miasta rabował. Po nim bywali tu inni, którym także potrzeba było haracz opłacać, chociaż ich można było wybić z miasta, czego wszelako nigdy się nie robiło. Oto w tem właśnie wielka jest niegodność i największe bezprawie. Bo, jak mi się opryszek dostanie w ręce, to go każę powiesić, a jeśli bardzo zuchwały, to nawet i poćwiertować, ale z takim paniczem to i nie wiedzieć, co robić. Nawet i dostawszy go w garść, nielzia go ściąć, bo gotów jeszcze jaki książę lub król za nim się ująć i za jego głowę miasto wyłupić.

— I miasto wyłupić, i panom konsulom łby poucinać, bo i to już bywało — poderwał prędko Kundrat, który widocznie nie był przyjacielem rycerstwa.

Na to Wilczek się rozśmiał i rzekł do Kundrata:

— A tobieby się to wcale nie podobało, gdyby ci kto twoją uczoną makówkę zdmuchnął z twego tłustego karku? Hę?

Tymczasem zaś Kijas kontynuował dalej:

— Więc to nie rzecz jest dla miasta ci rycerze, podróżujący nibyto do Jeruzalem — a jak się rzekło, zajeżdża ich tutaj niemało, a każdy, jak wpadnie do Lwowa, to właśnie, jak mucha w maź, tygodnie i miesiące tu siedzi, je, pije, hula, bałamuci kobiety i długi zaciąga, a kiedy nie ma czem płacić, co, z przeproszeniem, wszystkim rycerzom prawie zawsze się wydarza, to zaczyna turbować ludzi, aż się tak wszystkim uprzykrzy, że i z długów go się skwituje i jeszcze się mu da poczęstne na drogę, aby sobie z Panem Bogiem do którego innego miasta pojechał. Ot, i teraz, już od dwóch tygodni z okładem jest tu Olizar, sześćdziesiąt ludzi przyprowadził ze sobą i po przedmieściach rozłożył, sam zaś bankietuje po mieście i pewnie tak będzie bankietował ruski miesiąc co najmniej, a nie wiem, kto za niego zapłaci.

— Widziałem go tu przeszłego tygodnia, — rzekł na to Wilczek — spotkałem go na ulicy, alem się z nim nie mógł dogadać, bo, jak powiada przysłowie: *Sereda, piatnica, Olizar pijanica.* Cóż on tu robi?

— Na to ci także odpowie piosnka — odpowiedział mu Kijas z uśmiechem — musisz ją znać:

A jak pidesz do Bazaru,
Pokłonysia Olizaru,
Jordaniwka ciła skaże,
Jak Olizar diwki priaże.

— Ale to dobry człowiek — zauważyła Formoza — ten pewnie na nas nie napadnie, raczejby stanął w naszej obronie.

Kundrat zdaje się nie był tego zdania, bo skrzywił się na to i rzekł:

— Na pijanicę nigdy się spuścić nie można, zaś oprócz tego od podwiki i djabełby go nie oderwał.

Wilczek znowu rozśmiał się głośno i zawołał:

— Niby też ty wylewasz za kołnierz, a odwracasz się od podwiki!

Na to Kundrat mocno się zarumienił, bo bardzo bał się Kijasa, ale tymczasem Kijas znowu głos zabrał i tak mówił do Wilczka:

— A o twoim Kergolaju także mamy już wiadomość, bo mamy przecież jakąkolwiek policję. I on także rozłożył się na Krakowskiem-Przedmieściu, a dziś rano był z wielkim trzaskiem u kasztelana na zamku. Przyjmowano go tam, jak słyszę, z wielkiemi honorami i tytułowano go hrabią. Ja zaś tymczasem słyszałem — dodał Kijas złośliwie — jakoby go także tytułowano batardem, co przy kobietach nie godzi się tłumaczyć na polskie.

— Jużci tak — rzecze Wilczek — tylko trzeba wiedzieć, że ci batardzi, których też siła jest w cudzych krajach, jeszcze dumniejsi są z swego rodu, niżeli synowie ślubni, bo powiadają, że, kiedy ich rodzice przed prawem sami uznali, to każdy wie, jaka krew płynie w ich żyłach, podczas kiedy u tych innych *is pater est, quem nuptiae demonstrant,* a w rzeczy, kto tam wie, jak to tam było.

— Ależ to wykręt, — poderwał Kundrat — bo przecież im sakramentu brakuje, a i prawa dziedziczenia nie mają.

— Wykręt albo nie wykręt — rzekł Kijas rozumnie — zawsze z ich dumą liczyć się trzeba. Bo i ja znałem takich ludzi i to wiem o nich, że, będąc braku sakramentu świadomi, są daleko drażliwsi od innych i za lada co sieką dokoła siebie. Są nawet między nimi tacy, co sobie mówią: „Kiedy mi jednego sakramentu brakuje, to już mi na jedno grzeszyć przeciwko innym". Trzeba więc z nimi obchodzić się grzecznie. Ale ja tak rozumiem, że, kiedyby Kergolaj chciał jakie burdy wyprawiać, to przecie mu się obronimy, a do obrony zawczasu się przygotujemy. Ja jeszcze przed wieczorem pomówię z naszym prokonsulem nocnym i każę cichaczem halabardników około naszego domu postawić, a oprócz tego i Olizara każę odszukać, bo i ja też rozumiem, że mamy w nim przyjaciela.

Do tego zaś dodał Kundrat:

— A wreszcie i syn jegomości przed wieczorem przyjedzie ze swymi ludźmi, ten nam kamienicę dobrze obsadzi.

Wilczek słuchał tego wszystkiego z lekkim uśmiechem na twarzy, lecz na tę uwagę Kundrata głośno wybuchnął i rzekł:

— I zaraz Francuzowi łeb utnie, nieprawda? Ty, bakałarzu, jak widzę, nie masz wcale pojęcia, jaka jest siła u takiego rycerza. Ten Kergolaj nie takie mury łamał we Włoszech i własną ręką zdobywał takie fortece, że wasza kamienica przy nich ani za kurnikby nie stanęła. On, kiedyby przyszło do tego, wszystkich i miejskich i tigranesowych halabardników nie mieczem, ale packą, jak muchy, wybije, a kiedyby tobie dał byka w nos, tobyś do św. Jura poleciał. Jużci, gdyby to był jaki chły-

stek, co go halabardnicy pobiją, to byłbym nie powracał do Lwowa.

— To jakiś straszny rycerz być musi — rzekła na to Formoza — pewnie wielki, jak sosna, i ma twarz dziobatą, a wąsy, jak miotły.

— Będziecie go widzieć niebawem — odpowie jej Wilczek — bom zajechał do jego gospody i zaprosiłem go, aby przyszedł do was wieczorem.

Na to Kijas cofnął się w głąb krzesła, podparł ręką podbródek i spojrzał uważnie na Wilczka, Kundrat zaś zbladł i zaczął się koło siebie oglądać, zapewne za swoją czapką. Co widząc Wilczek, rzekł do Kijasa:

— Zaprosiłem go do was, ażeby się waszemu domowi przypatrzył, zaczem, jak sądzę, wybije sobie z głowy te plotki.

A wtedy Kijas, zastanowiwszy się nad tem, odpowiedział mu prędko:

— Dobrze zrobiłeś. Jużci tak lepiej. A więc, pani synowo — dodał, obracając się do Formozy — każ nam z twej łaski dobrą przygotować wieczerzę, a nie zapomnij o tem, że taki rycerz pewnie lubi małmazję.

Formoza wyszła, zaś pozostali mężczyźni prowadzili dalszą ze sobą rozmowę, a Kijas tak mówił:

— Otóżto widzimy, jakie wydaje owoce to średniowieczne rycerstwo, co, zasklepiwszy się w sobie samym i swoich dzisiaj już przestarzałych zasadach i obyczajach, zaczyna cuchnąć zgnilizną, jako woda stojąca. A cóż dopiero powiedzieć o rycerzach bezżennych, którym ich domy wydają się pustką, i którzy muszą się włóczyć po świecie, ażeby znaleźli jakąkolwiek rozrywkę. Dopóki wojna,

to dobrze: biją się za swój kraj, za króla, albo za wiarę, a poświęcając swe zdrowie za jakieś dobro doczesne lub wieczne, służą pewnemu celowi; ale w czasie spokoju szukają sobie rozrywki po gościńcach, po cudzych dworach, po miastach, od czego włosy trzeszczą ich bliźnich, a ich sumienie ciężkiemi się obciąża grzechami. Ja tobie życzę z całego serca, mój kochany Lenardzie, ażebyś się jak najprędzej ożenił, bo i ty zczasem zbłąkasz się na bezdroża i czystą duszę twoją obrukasz. Masz urząd, to prawda, masz i własną siedzibę; ale twój urząd także cię tylko wtedy zatrudnia, kiedy kraju trzeba bronić od obcego najazdu, albo też z królem pociągnąć na wojnę... a w twojej siedzibie jaskółki się gnieżdżą pod dachem, a puszczyki na wieżach. A całkiem inaczej wyglądałby zamek tustański, gdyby w nim młoda starościna założyła swe gniazdo i gdyby koło niej zaświegotały dziecięta. Toż nie tak to trudno o wdzięczną żonę, a zwłaszcza kawalerowi takiego rodu i siedzącemu na tak wysokim urzędzie. Ot, i koło nas, gdzie spojrzysz, to dziewka jest na wydaniu. Paniowscy, o których dopiero co wspomniałem, na Stryju i na Żydaczowie, mają córki dorodne, starosta samborski, Melsztyński ma aż trzy córki, a nawet i nasz kasztelan ma dziewkę jeszcze nie zaswataną, tylko podobno cokolwiek ułomną. Trzeba więc obejrzeć się po sąsiedztwach...

Ale Wilczek mu przerwał i rzekł:

— Nie dla mnie ta dobra rada, mój ojcze: kto żony szuka, ten jej nie znajdzie. Kogo drudzy ożenią, ten jakby załogę obcego żołnierza dostał do swego domu, pod której ciężarem wzdycha potem przez całe życie. Według mnie, żona powinna

przyjść sama i niespodzianie, jak deszcz albo pogoda, albo, co jeszcze lepiej, jak błyskawica, co olśni człowieka i potem wciąż jasnem świeci mu światłem do grobu.

W tej chwili weszła Formoza i z widocznem upodobaniem słyszała te słowa; spokojny Kundrat ich nie rozumiał, bo błyskawic nie lubiał, a doświadczony Kijas rzekł na to:

— Dobre i błyskawice, bo czyszczą powietrze, a więc i duszę człowieka mogą oczyścić, ale po błyskawicach zazwyczaj następują pioruny i grzmoty, a to niedobrze, jeżeli żona po domu piorunuje i grzmoci.

Tymczasem zaś Wilczek tak mówił dalej:

— Ja tam żony szukać nie będę. Tylko, jak teraz ze Lwowa wyjadę, to wstąpię na Sobień, bo najprzód muszę wyspowiadać ową pannę Jagienkę, dlaczego w tym wieku (bo powiadają, że młoda) bawi się babuszerją, a potem, tak się przynajmniej spodziewam, wybiję jej z głowy tego Francuza. Bo, czy to rzecz jest dla panny takiego domu (choć prawdę mówiąc, boczna to linja kmitowska), przyjmować takiego pędziwiatra na służbę? Już ci to rycerz nie lada jaki, chętnie mu to przyznaję, a nawet rotmistrz królewski, ale mnie wszyscy djabli biorą, żem się nie mógł z nim zmierzyć, a mógłbym ten dzwonek podeptać nogami, co naszej bitwie przeszkodził.

A Kijas na to, mówiąc powolnie i ważnie:

— Chwalebny jest taki ferwor rycerski, zwłaszcza w obronie niewinnych, ale, jeżeli chcemy być sprawiedliwi, to musimy powiedzieć, że i Kergolaj także chciał bronić niewinnych, a nie jego to wina, że miał złe informacje. Co zaś do bitwy, to chwała

Bogu, że nie przyszła do skutku. Nie kupiecka to rzecz, sądzić sprawy rycerskie, ale ja miewam godziny, w których nie jestem kupcem, tylko człowiekiem, co trzeźwo rozmyśla nad tym światem i uważnie się rozpatruje w tem wszystkiem, co się dzieje około niego. Otóż ja nigdy nie mogłem tego zrozumieć, jaką wy w tem znajdujecie uciechę, ażeby krew ludzką przelewać, a zwłaszcza za honor jakiejś damy, której czasem nawet wcale nie znacie, albo za wstążkę, którą ta dama darowała komuś innemu. Wiedzcież o tem, że czasy tych heroizmów dla jakiegoś kaprysu, a niemających rozumnych celów, już są na schyłku, tak samo jak i owe scholastyczne mądrości, o których nasz rozumny Grzegorz z Sanoka powiedział, że to są *somnia vigilantium,* jakoby sny nocne na jawie. Ej, żal się Boże zawczesnej śmierci tego niezrównanego Grzegorza z Sanoka, którego żywot Callimachus tak pięknie opisał, którego ja znałem przez tyle lat i któremu wszystko zawdzięczam, co wiem i co umiem. On to pierwszym był u nas, co greckim i rzymskim poetom, a mędrcom należytą cześć oddał, pisma ich z zapomnienia wygrzebał, mądrość ich wyrozumiał i nas nauczył ich czytać, pojmować i cenić. On całkiem inaczej się zapatrywał na te czasy, w których żyjemy, a zarazem i na te, co przyjdą niebawem. Idąc za jego śladem, i ja też widzę daleko jaśniej to, co się dziś dzieje, i to, co się przygotowuje, niżeli wy wszyscy, co tylko z dnia na dzień żyjecie. Monarchowie się wyłamują z pod zwierzchnictwa papieża, a narody się wybijają z pod samowolnej władzy monarchów — i odtąd już nie popuszczą, aż póki człowiek swoich praw nie odzyska, i tak nie będzie na świecie, jak

było w starożytności. Wynaleziono proch, który już znacznie osłabił żelazną rękę uprzywilejowanego rycerza; odkryto sposób drukowania, a przeto i rozpowszechnienia rzeczy pisanych, zaczem światło coraz szybciej przebija się przez nieprzedarte od tylu wieków ciemności; nuż wreszcie Hiszpanie wydobywają z morza kraje dotychczas wcale nieznane, a tak i oddechu przybywa całej ludzkości. Zgoła gdzie spojrzysz, wszędzie zmrok coraz niżej opada ku ziemi, po całym horyzoncie przelatują błyski świtania, światło dnia coraz więcej bieleje, rozum ludzki się budzi, rozpędza chmury przesądów i obyczajów zakrzepłych, a wzywając wszech ludzi żyjących do pracy, odtąd już nieustanie, aż póki dla nich i tych praw nie zdobędzie, które im dadzą możność pracowania spokojnie na chleb codzienny i na pożytek ogólny. Całe wasze rycerstwo, to już dziś ciało bez ducha, to cień czasów minionych, to niepogrzebany umarły. Jużeście się nie tylko ubogim ludziom, ale i samym królom uprzykrzyli dosyta, jakoż już w wielu krajach zastąpiono was stałemi wojskami — ten czas bardzo już niedaleki, gdzie rycerz, błąkający się samopas i prowadzący wojny na własną rękę, będzie, jak wilk, co się zjawił pomiędzy pasterzami, pasącymi spokojnie swe trzody, i którego też pasterze, jak wilka, kosturami zatłuką.

Wilczek go słuchał uważnie, lecz śmiał się i mówił:

— Wszystko to się odnosi nie do mnie, tylko do tego Francuza, co chciał panią Formozę z waszej niewoli wybijać. Lecz jeśli do mnie, to ja ci powiem, że ja się w te tam świtania wcale nie mieszam. Jużci i ja uważałem, włócząc się przez pa-

rę lat po cudzych krajach, że się świat zmienia pomału. Rycerstwo się czasem ludowi uprzykrza, a nieraz i królom staje się niedogodnem. Król francuski Karol VII zaczął tworzyć stałą armję, a inni idą za jego tropem. Ale jeszcze do wytępienia rycerstwa bardzo daleko. Popatrz-no, co się dzieje w Niemczech: tam, co zamek to rycerz, wojujący na własną rękę, a zamków, jak drzew w lesie. Nie my to jeszcze wytępimy rycerzy, a zresztą, według mojego zdania, nawet wcale ich tępić nie trzeba, bo przecież na nich stoi cała obrona kraju.

Ażeby zaś przerwać tę rozmowę, która widocznie była mu nie do smaku, rzekł prędko do Formozy:

— A pani Formoza co na to? Czy także jest za tem, ażeby wygubić rycerzy?

— Ja — odpowiedziała Formoza — ja wcale nie jestem uprzedzoną przeciwko rycerzom. Może tam czasem trochę narobią hałasu, ale życie swe ważą za drugich ludzi, a przytem jest to najpiękniejsza ozdoba kraju.

To wszakże zniecierpliwiło cokolwiek starego Kijasa, jakoż powtórzył jej z pewną cierpkością dawną piosnkę niemiecką:

An Rittern preisen die Frauen,
Nichts anders denn hauen,
Und Feste vorhalten.

Niewinna Formoza bardzo się tem zmieszała, ale Kijas rzekł zaraz do Wilczka:

— Słuchaj, panie starosto! Powiedz mi prawdę, czy wierzysz ty temu, że wszyscy ludzie się rodzą z kulbaką, przyrośniętą na plecach, a tylko

niektórzy z munsztukiem w ręku i z ostrogami u butów, aby jeździć na tamtych, hę?

Ale Wilczek był wesół i tak mówił:

— Ja nie wiem wprawdzie, z czem na świat przyszedłem, bom nie miał rozeznania natenczas, ale to pomnę, że, kiedym się koło siebie obejrzał, tom spostrzegł, że mam poddannych, którzy mnie bez oporu słuchają. Co tam wam, mieszczanom, świta po głowach przeciw rycerstwu, to także mi nie wiadomo, bom ja człowiek królewski, mam słuchać mojego pana i na tem cały mój urząd się kończy. Ale, jeżeli ci to sprawi uciechę, to ci powiem, że i naszemu królowi także coś świta w głowie przeciwko niepodległemu rycerstwu. Nauki Kallimacha nie poszły u niego w las; myśli on o tem naprawdę, jakimby obyczajem mógł przyjść do armji stojącej, którąby sam dysponował, a pozbyć się tej zbrojnej szlachty, która królewskiej trąby wojennej nie usłucha, kiedy się jej nie podoba, a natomiast sama wojnę zażegnie, kiedy ma fantazję po temu. Początek ku temu już jest zrobiony, bo dwór wojskowy królewski liczy tysiąc sześćset ludzi i milczkiem się ciągle pomnaża. Ale na tem nie koniec, bo i ku temu się czynią przygotowania, ażeby szlachtę pościągać z jej zamków i dworów i uszykować w stałe chorągwie, któreby leżały po miastach, a po wsiach niechby tam sobie siedzieli tenutarjusze, włodarze i chłopi. Nigdy mnie król do swojej rady nie wzywa, bom na to jeszcze za młody, ale takie tam wieści chodzą po kordegardach królewskich i dosyć się ich zawsze nasłucham, kiedy jestem na służbie w Krakowie.

— Więc niechże mu Bóg błogosławi, kiedy ma takie zamiary — rzecze na to Kijas — bo na tej

drodze pozbędziemy się wreszcie tej rycerskiej opresji, pod którą nieraz tak ciężko wzdychamy. Czy to jest rzecz zgodna z którąkolwiek wiarą, a choćby nawet z sumieniem, ażeby pomiędzy miljonami spokojnych mieszkańców była garstka ludzi, uzbrojona w ziemski przywilej grzeszenia bezkarnie przeciwko Bogu i ludziom? A przecie taki przywilej ma to rycerstwo. Król dobrze zrobi, jeżeli weźmie w żołnierskie ryzy tych panów, a odda ziemię tym, którzy na niej spokojnie pracują.

To bardzo dobrze — odpowiedział mu Wilczek — ale, czy mu się to uda, to inne pytanie, a nawet wątpić o tem należy. Bo widzisz przecie, jak ta szlachta wciąż rośnie w prawa i przywileje pomimo wszystkich królów, którzy mniej albo więcej, takie same mieli zamiary. Kazimierz Wielki jeszcze ją trzymał na wodzy, ale po jego śmierci już Ludwik Węgierski musiał jej ustępować, bo tylko przywilejami mógł się utrzymać przy polskiej koronie. Jagiełło, chociaż przyzwyczajony do samowolnej władzy na Litwie, jeszcze daleko droższe musiał jej składać okupy, a Kazimierz, syn jego, jakkolwiek także dobrze rozumiał, co jego władzę osłabia, podpisał statuty Nieszawskie i spętał swoją powagę sejmami. Czyż dziś, kiedy ta szlachta już ma swoje pisane prawa, kiedy się tak rozrodziła, a niektórzy z niej takie ogromne posiedli majątki, że są niemal bogatsi od samego króla, a nawet i własne wojska trzymają, czyż dziś można przypuścić, że król ją spęta napowrót, z jej zamków i dworów pościąga i w żołnierzy obróci?

— A przecie to dzieje się w Europie — rzekł Kijas.

— Ale nie tak, jak u nas — odpowiedział mu

Wilczek — bo w Europie wszystko się dzieje po europejsku, a w Polsce wszystko po polsku. Tam szlachta wyłamuje się także z pod samowładzy królewskiej i różne prawa nabywa, ale razem z niemi unosi to przekonanie, że, jeżeli je chce zachować, a zwłaszcza pomnożyć, to musi je ciągle ogrzewać w słońcu królewskiem. A u nas przeciwnie, im więcej praw szlachta nabywa, tem więcej się oddala od tronu, tem mocniej butnieje i tem zuchwalej nad tem rozmyśla, jakby to każdy mógł się całkiem usamowolnić i sam na swem śmieciu zostać chociażby małym królikiem. U nas całkiem inaczej, mój ojcze. Trzebaby tobie choćby mały czas pobawić na dworze królewskim, a widzieć zbliska te rzeczy; dopiero wtedy mógłbyś zrozumieć, czy u nas sprawy publiczne także tym samym torem się toczą, jak w cudzych krajach, o których tak dobre masz wiadomości.

Z tych kilku słów można było zaraz rozeznać, że Wilczek żył życiem dworskiem i daleko rzeźwiej i trafniej się zapatrywał na bieżące wypadki, niż stary Kijas, co, lubo bardzo rozumny i widzący daleko, nie miał jednak styczności z tymi, którzy wtedy rządzili krajem. Mimo to już usta otworzył, aby mu odpowiedzieć, ale w tem dał się słyszeć tętent na bruku. Wilczek wstał z krzesła, zajrzał do okna i rzekł:

— To Kergolaj przyjechał.

Kundrat zerwał się prędko i zgarnął owe perły i inne klejnoty, które leżały porozkładane na stole, ażeby je schować, na co Formoza się w głos roześmiała, a tymczasem Kergolaj wszedł do komnaty.

Kergolaj ubrał się bardzo pięknie i lekko na te

odwiedziny. Miał na sobie tylko koszulkę z polerowanych kółek stalowych, wyrabianą w Yorku i bardzo drogo płaconą, hełm lekki z przepysznemi piórami pod pachą, bogato oprawny, lecz krótki mieczyk u boku, a na szyi ów łańcuch żelazny z kokardą u lewego ramienia, który włożył na siebie, jako miłośny sługa Jagienki. Spodnie ubranie miał bardzo obcisłe a do tego lekkie buty rycerskie ze złotemi ostrogami — a tak można go było wziąć dobrze na oko i widać było, że nie był wcale garbaty, tylko piersi i plecy miał nadzwyczajnie wypukłe i był cały nabity, silny i muszkularny, jak gdyby go kto wyciosał z kamienia albo wykuł z żelaza.

Zaledwie wszedł, każdy mógł dostrzec, że był to kawaler światowy, obywały po wielkich dworach, grzeczny nad podziw, wesołego temperamentu, a przytem niepróżny tej lekkiej ironji, z jaką częstokroć wielcy panowie traktują niższych od siebie. Albowiem zaraz się zbliżył do starego Kijasa i nasypał mu tyle komplementów wielkoświatowych, że trzeba się było dziwić, jak się to wszystko mogło w jego gębie pomieścić. Stary Kijas stał przed nim ze swoim biretem w ręku i uśmiechem na twarzy i widocznie był kontent z tego powitania, toż mu także odpowiedział komplementami, bo i jemu wymowy nie brakło, ale nie mógł się wstrzymać od lekkiego przycinku, dodając te słowa:

— Jak każdego sławnego rycerza stugłośna poprzedza fama, tak i przed przyjazdem waszej miłości dobiegły nas wieści o jego szlachetnych zamiarach bronienia osób niewinnych, a karania złoczyńców. Jako ludzi czasami grzesznych, i nas

też na tę wieść obleciała obawa i jużeśmy widzieli naszą kamienicę szturmem zdobytą, a nas samych na sztuki pociętych. Lecz, widząc teraz kawalera tak wzniosłych przymiotów umysłu i serca, a przytem tak ujmującej postaci, ochłonęliśmy i pochlebiamy sobie, iż zasłużymy u niego na lepsze o nas rozumienie.

Więc Kergolaj protestował się bardzo wymownie i zręcznie, mówiąc, że niemasz tej potęgi na świecie, którąby mogła plotkom drogę zagrodzić, że zamek sobieński leży w takiej puszczy zapadłej, do której i światło dzienne z trudnością się przeciska, że już u Koniecpolskich się prawdy dowiedział, a Wilczkowi pod Wisznią już tylko półżartem te plotki powtórzył, a wreszcie śmiał się sam z siebie, że takim niedorzecznościom mógł choćby tylko na mgnienie oka uwierzyć. Ażeby zaś na tem już skończyć, obrócił się zaraz do Formozy, a będąc widocznie pod wrażeniem jej imponującej piękności, już nie komplementami, ale całemi bukietami najwonniejszych kwiatów wymowy tak ją obsypał, że ta młoda kobieta, chociaż do kadzideł przyzwyczajona, przecież musiała się zarumienić i kilkakrotnie oczy spuścić ku ziemi. Najprzedniejsze formy grzeczności, częstokroć nawet całkiem niezrozumiałe, a wtedy właśnie najwyżej cenione, były podówczas powszechnym u całego rycerstwa zwyczajem.

Jednak Formoza odpowiedziała mu przytomnie i równie uprzejmie, lecz zaraz spytała go o Jagienkę, mówiąc z skromnością:

— Bardzo dalekie wiąże nas pokrewieństwo i nigdyśmy się nie widziały, wszelako los jej bardzo mnie żywo obchodzi, a wasza miłość mocno

mnie zobowiążesz, jeżeli mi opowiesz, jak wygląda i jakie prowadzi życie na zamku sobieńskim.

Więc Kergolaj zaczął jej opowiadać. A wtedy już się zmierzchać zaczęło i w izbie jadalnej, do której drzwi były naścieżaj otwarte, zaczęto już światła zapalać, ogromny pająk bronzowy, wiszący nad stołem, już nakrytym i zastawionym i wieloramienne srebrne lichtarze, stojące na stole. Tu biły jeszcze blaski zaszłego słońca w okna, patrzące na zachód, a stamtąd płynęły fale światła od świec jarzących. Owóż w to oświecenie wpadł nagle z drzwi bocznych młodzieniec i stanął zdziwiony pomiędzy Kergolajem i Formozą z jednej, a Kijasem i Wilczkiem z drugiej strony, nie wiedząc narazie, jak i do kogo ma się odezwać. Kundrat stał jeszcze wciąż w kącie za stołem, trzymając pod pachą paczki z perłami i brylantami.

Młodzieniec ten był to mały człowieczek, mniejszy od Kergolaja, szczupłej kompleksji, blondyn o bladej twarzy, z bogatą czupryną, wtył zarzuconą, lecz spadającą w kędziorach, z dużemi niebieskiemi oczyma, z nosem ormiańskim, lecz kształtnym, i z bardzo słodkim, chociaż może cokolwiek naiwnym wyrazem na twarzy. Pomimo lat dwudziestu trzech albo czterech, nie miał jeszcze ani meszku na wąsach, ani na brodzie, a, oprócz nosa, całe jego pochodzenie ormiańskie odbijało się w cerze bardzo żółtawej. Wdał się zapewne w matkę, która była córką polskiego szlachcica, nazwiskiem Burza, co był pierwszym Polakiem, wybranym rajcą lwowskim w roku 1472. Mimo szczupłości wzrostu, trzymał się jednak dość żwawo, był ubrany z rycerska w kaftan łosiowy i miał mieczyk u boku i buty wysokie z ostrogami.

Widząc jego chwilowe zakłopotanie, Kijas zwrócił się do Kergolaja i rzekł:

— Mój syn Tigranes, a mąż pani Formozy. Rycerska krew matki w nim płynie, uczy się waszego rzemiosła, może tam kiedyś po wieloletniej służbie wysłuży sobie choć srebrne ostrogi.

Kergolaj takim niepoczesnym kandydatem na rycerza, a jeszcze więcej tem się zadziwił, że to jest mąż Formozy, ale, jako grzeczny kawaler, podał mu rękę i rzekł serdecznie, chociaż trochę protekcjonalnie:

— Witajże, przyszły rycerzu, a bądź przekonany, że nie tak to trudno dobić się ostrogów. Na to i łaska królewska wystarczy; boć król i przed bitwą może pasować rycerzy: *evaginato ense creat milites, ter percutiendo.* A jeśliby pomoc starszych rycerzy mogła ci się zdać na co, to licz na nas, jak na Zawiszę.

Temi grzecznemi słowy ujął sobie widocznie Kijasa i Formozę, którzy mu wdzięcznym dziękowali uśmiechem, a Tigranes już wcale się przykleił do niego, ściskając mu rękę pokilkakrotnie i opowiadając mu zaraz swoją historję.

Był to chłopak wymowny i śmiały, czujący wielki majątek za sobą i pragnący wyjść ze stanu mieszczańskiego, a wynieść się wyżej; być może nawet, że ta żądza wejścia pomiędzy rycerstwo go całkiem opanowała. Opowiadał bowiem z pewnym zapałem, że, ukończywszy niższe szkoły w Krakowie, uczył się potem rycerskiego rzemiosła w Wiedniu, był następnie pazikiem u jakiegoś niemieckiego gaugrafa, a wreszcie przejechał całą Francję, Hiszpanję i Włochy, a nawet brał udział

w rozmaitych utarczkach; teraz się przygotowuje, aby wejść w służbę królewską, lecz jeszcze nie wie, czy zostanie przyjętym. Bardzo to pięknie i malowniczo opowiadał Tigranes, ale tymczasem trzeba było iść do wieczerzy.

Kergolaj zatem podał ramię Formozie, Kijas szedł z Wilczkiem, a Kundrat sam postępował za nimi, bo Tigranes szedł obok Francuza, usiłując dla niego być grzecznym i chcąc mu pokazać, że Lwów w wykwintnych formach obejścia nie pozostaje za Francją.

U Kijasa jadano kopiasto i tłusto, korzenno i pieprzno, jak wówczas było w zwyczaju, a do tego w srebrnych dzbanach było dostatkiem starej małmazji, jaką i kardynał Fryderyk pijał chyba tylko we wielkie święta i kiedy miał przedniejszych gości u siebie. Kergolaj znał się na kuchni i na piwnicy, jadł więc smacznie i kubki do dna wychylał, a kiedy nareszcie podano poważny kielich trembowelski, pod owe czasy najwięcej szanowany ze wszystkich, to tak go przelał w swe gardło, że i sam wojewoda ruski, Mikołaj Tęczyński, najsławniejszy biba swojego czasu, lepiejby nie potrafił. Rozmawiał przytem z Formozą, śmiejąc się i żartując, ale zarazem wypytując się zręcznie o rozmaite stosunki rodzinne, zadawał czasem Tigranesowi znienacka takie pytania, na które młodzieniec nie zaraz umiał mu odpowiedzieć; obok tego strzelał dowcipami na Kijasa i Wilczka, a jako to, gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą, tak nieraz i Kundratowi się coś oberwało. Kiedy zaś wodę podano do umycia wąsów i rąk, co wtedy było niezbędnem, bo jeszcze widelców nie znano, to Francuz ze wszystkimi już się tak serdecznie po-

bratał, jakgdyby się był rodził we Lwowie, a wychowywał w domu Kijasa.

Toż, wyszedłszy razem z wszystkimi do przyległej komnaty, gdzie zapalono dwie lampy oliwne, był w doskonałym humorze, uśmiechał się, wąs kręcił, nogi daleko wyżej podnosił, a przyparłszy Wilczka do ściany, rzekł do niego półgłosem:

— Słysz, Wilczek, plotki bo plotki, niema co mówić. Ale, że w każdej plotce jest trochę prawdy, o tem już i starzy Rzymianie wiedzieli. Wydać taką Formozę za takie nieboże stworzenie i zamknąć ją w tej kamienicy, to prawie to samo, jakby ją zatrzasnęli w haremie, tylko że w tym haremie, jak mi się zdaje...

Ale Wilczek mu przerwał, mówiąc:

— Ot, co się mieszasz w nieswoje rzeczy! Przekonałeś się, miejże dość na tem! W dodatku zaś miej sobie za szczęście, żeś poznał taką kobietę, jakich niewiele widziałeś w twem życiu. Nie wiem ja, jak wygląda twoja Jagienka, ale ja, jeślibym już miał szukać róży w Jerycho, to wolałbym jej szukać dla Formozy, niż dla Jagienki.

Na to Kergolaj cmoknął ustami i rzekł:

— Ba, ale to dziwnie obronna forteca. Na pierwszy rzut oka zdaje mi się, że *desinit in piscem mulier Formosa superne.* Około takich dużo traci się czasu, a potem człowiek spostrzega, że gonił za wiatrem.

— A tobie smaczniejszy chleb łatwy — zawołał Wilczek, śmiejąc się głośno.

Na to Francuz wykręcił się na pięcie i właśnie się spotkał twarz w twarz z Kundratem. Zaczem palnął go po ramieniu i rzekł poufale:

— Cóż, panie Kundrat? Powiedzże mi, jakim to

jesteś doktorem, prawa czy‘ teologji, medycyny, czy sztuk wyzwolonych?

Kundrat, nie lubiący zetknięcia się z rycerzami, pod uderzeniem, choć bardzo lekkiem, prawie się do ziemi nachylił, a wyprostowawszy się napowrót, twarz trochę na stronę przechylił, bo myślał sobie: „Jak da byka w nos, to do św. Jura djable daleko.“ Wszelako z uprzejmym odpowiedział uśmiechem:

— Jam doktor obojga prawa, do usług waszej miłości.

— Więc, panie doktorze, — rzekł na to Kergolaj — jak będę miał jaki proces z tutejszymi łyczakami, to tobie się oddam w obronę.

Tymczasem Tigranes, który słuchał tej rozmowy, śmiał się w głos i mówił:

— Z łyczakami najlepszy proces na kopje i miecze. Nigdy się nie biją; zawsze dadzą za wygraną i jeszcze się dobrze okupią.

Kundrat, korzystając zręcznie z tej sposobności, odpłynął w inny kąt izby, a Francuz wziął młodzieńca pod ramię i rzekł serdecznie do niego:

— Mój młody bracie, wiedz o tem, że we mnie masz przyjaciela, a moja przyjaźń, tak mi się zdaje, coś warta, zwłaszcza dla kandydata rycerskiego rzemiosła, bom ja jeszcze nie stary, ale już od lat dwudziestu miecz noszę u boku, nigdym żadnemu wrogowi z drogi nie ustąpił, a jeszcze włos z głowy mi nie spadł. Owo więc, jako przyjaciel, powiem ci, że masz żonę, co jej siedzieć na tronie, a jeszcze i tamby wszystkie damy rycerskie zaćmiła swym blaskiem. Tyś się w czepku urodził — dodał, trącając go w bok — bodajbyś tylko nie zginął na szubienicy.

Ale Tigranes wcale na to głowy nie podniósł, owszem rzekł z lekceważącym uśmiechem, a z otwartością po dziecięcemu naiwną:

— Ot, co mi tam żona! Aniby mi na myśl nie było przyszło się żenić, gdyby mnie ojciec nie był wyswatał. U mnie kopja a miecz to najlepsze małżeństwo; gdyby tylko Pan Bóg dał wojnę jak najprędzej, abym się mógł na niej pokazać. Przeze mnie, chociażby kobiet wcale nie było na świecie!

Na to Kergolaj spojrzał mu w twarz bardzo uważnie, widać, że jakaś myśl mu przeleciała przez głowę, jakoż powiedział już tylko, ażeby zakończyć rozmowę:

— Ej, znam ja was, panowie mężowie. Udajecie obojętnych, ale niechby się kto do waszej żony tylko przybliżył, to wy go za łeb, a potem — niechże go Pan Bóg ma w swojej opiece. Wiedzże o tem, że mnie nie złapiesz, bom ja lis szczwany, a do tego... po rycersku uczciwy.

Mimo to wszakże, odwróciwszy się od niego, zaraz Formozę odszukał, która siedziała w poręczowem krześle pod ścianą, więc sobie drugie krzesło jak najbliżej do niej przysunął i zawiązał z nią długą rozmowę. Formoza miała rzeczywiście taką sławę w mieście, że jest śliska, jak węgorz, najwymowniejszemu kawalerowi zawsze się zręcznie wywinie, a kiedy zręczność już nie wystarcza, jako to często się wobec owoczesnych zuchwałych natrętów zdarzało, to się napewno obroni swoją majestatyczną powagą; ale dlatego właśnie, będąc siebie pewna na każdy wypadek, przypuszczała do siebie bardzo blisko wszech kawalerów i pozwalała im prawić sobie wszelkie możliwe androny. Tu tedy Kergolaj, lubiący, jak każdy Francuz, ożywio-

ną rozmowę, znalazł dla siebie wyborne pole popisu i był niewyczerpany w komplementach i żartach. Formoza, kochająca się także w szermierce na słowa, była wymowną i wesołą, jak rzadko, a chwilami tak głośno się śmiała, że stary Kijas, chociaż był także żywą zajęty rozmową z Kundratem i Wilczkiem, której Tigranes się przysłuchiwał, pokilkakrotnie rzucał na nią okiem, może raczej ciekawem, ale prawie jakoby zaniepokojonem. Otóż wśród tej rozmowy Formoza upuściła chusteczkę na ziemię i sama się za nią schyliła, ale Kergolaj ją uprzedził i, patrząc jej w oczy, rzekł chytrze:

— Niech się panna nie trudzi.

Na to Formoza uśmiechnęła się zlekka i zauważyła:

— Wasza miłość niedorzeczność powiedział.

Kergolaj zaś zapytał odważnie:

— Albo nie?

A wtedy Formoza ponsowym spłonęła rumieńcem, chciała coś odpowiedzieć, ale nie mogła, jakoż wstała natychmiast i wyszła do drugiej komnaty.

Za nią poszli jeden za drugim Wilczek, Tigranes i Kundrat; Kijas rozumiał zrazu, że się Formozie coś stało, ale się uspokoił w ten moment, bo usłyszał, że w tej drugiej komnacie żwawo rozmawiano, a nawet głośno się śmiano.

Kergolaj zaś tymczasem, kontent ze siebie, jakgdyby go na sto koni kto wsadził, zbliżył się do Kijasa i rzekł po przyjacielsku:

— Panie Epaminondas! Bóg ci zapłać za wieczerzę, a zwłaszcza też za małmazję, za którą mógłbym cię cmoknąć w sam dzióbek, bom już

dawno się z taką nie spotkał. Jeno się boję, żeby mnie łeb nie rozbolał, bo to wino, jak ołów.

Więc Kijas był kontent, jak każdy, któremu znawca chwali piwnicę, i zaraz się z nim spoufalił, mówiąc:

— Ot, gadasz sobie jegomość. Jest u mnie jeszcze lepsza, co ją chowam na wielkie święta, a przecie jeszcze nikogo od niej łeb nie rozbolał. Ale gdyby tylko taka, to powiedz prawdę, przecie to weselsza u mnie gościna, niżeli u księdza Chryzostoma, co podobno, jak słyszę, chciał ci na samym wstępie pięćdziesiąt dyscyplin wypalić...

— Ale Francuz nie głupi — przerwał mu Kergolaj, śmiejąc się głośno.

— Jużci to prawda — mówił Kijas dalej — ale nie wiem, czyś waszmość mądrze to zrobił, żeś drapnął. Boć dyscypliny bolą cokolwiek, ale ksiądz byłby ci grzechy odpuścił, a jak cię widzę, tak mi się zdaje, że byłoby ci nie zawadziło ulżyć sobie cokolwiek ciężaru przed przyjazdem do Lwowa, bo tutaj, nie wiem, ale tak sobie myślę, że się znów trochę grzechów przyzbiera...

— A jegomość mnie także masz za głupiego, jak widzę — odpowiedział mu Kergolaj — a może nawet za poganina. Otóż wiedz o tem, że Kergolaj może czasem zanadto myśli o ciele, ale nigdy nie zapomina o duszy. Nie mogłem tego powiedzieć Chryzostomowi, bo czasu na to nie było, ale tobie powiem, że, jadąc z Włoch do Krakowa, wstąpiłem do Inszpruku, gdzie ksiądz Tecel, dominikanin, właśnie dawał odpusty. Więc ja sobie kupiłem u niego odpust na pięć lat! A co, panie Epaminondas? Czy Kergolaj głupi? Albo może mu trzeba Chryzostoma, coby mu był wsypał z jakie trzysta

dyscyplin, a potem dał odpust może ledwie na miesiąc? He?

— A więc teraz, przez pięć lat... Panie Boże się zmiłuj nad tymi, co się spotkają z waszmością.

Kergolaj śmiał się, ale widocznie go chciał uspokoić, bo mu przerwał, mówiąc:

— Nie bójże się mnie, panie ojcze, bom ja wcale nie taki straszny, jak mnie tu Wilczek wymalował przed wami. Kto jeno chce, to mnie około palca obwinie, radbym też i was o tem przekonać.

— Siadajże tu koło mnie, a pogadajmy — rzecze mu Kijas.

Więc Kergolaj siadł w rogu stołu nawskos naprzeciw Kijasa, a stary tak mówił dalej:

— Kiedy łaska waszej miłości, to chciałbym się go o mego syna poradzić. Bo oto widzisz, co jest. Według mnie, syn kupca powinien być kupcem, a zwłaszcza, kiedy dziedziczy taki wielki handel po ojcu. Ale w nim gra krew jego matki: kupiectwem się brzydzi, ledwie że i mną samym już nie pogardza, i koniecznie chce zostać rycerzem. Trudno się temu sprzeciwiać, bo to dziecko jedyne, a przecie szczęście człowieka w tem leży, ażeby swojej własnej woli dogodził. Co mnie to kosztuje, o to już mniejsza, bo jest z czego. Ale jako obcy temu rzemiosłu, sam nie wiem, czy będzie co z niego. Bo już całą Europę przejechał, a jakoś nigdzie się nie osiedział, nawet i nic nie przywiózł ze sobą; chyba że guzów cokolwiek, do których się wszakże nie przyznał...

— O! co guzów, to musiał się nabrać, — zawołał Kergolaj, śmiejąc się głośno — bo jeszcze miękki, jak widzę. Ale to zwykła pazików i knech-

tów potrawa, dopóki się do bitwy nie wprawią. Cóż tedy dalej?

— Otóż chodzi mi o to — powiadał Kijas — ażebym wiedział napewno, czy się już dobrze nauczył rycerskiego rzemiosła, a potem, czy można na to liczyć z pewnością, że się dorobi rycerstwa, a choćby tylko szlachectwa. Bo ja już Wilczka nieraz o to pytałem, ale z nim się nie mogę dogadać. Wilczek zanadto mi jest przyjacielem, aby mi prawdę powiedział.

Więc Kergolaj na to odpowiedział poważnie:

— Jak siedzi na koniu i jak bronią robi, to ja ci to powiem za kilka dni, jak się z nim spróbuję. A co do rycerstwa albo szlachectwa, to tam niewielka rzecz; pogadam o tem z kasztelanem i z wojewodą, mogę też za moim powrotem słówko pisnąć królowi, a potem przy lada sposobności mu się to wyrobi.

Ale w tej chwili ton zmienił, a przechyliwszy się przez róg stołu, zapytał nagle Kijasa:

— Ale powiedz-no mi, mój panie ojcze, tak między nami, jesteś ty pewnym, że on jest chłopem jak trzeba? Bo na pierwszy rzut oka prawie na dziewkę wygląda.

Kijas się może tem zakłopotał cokolwiek, ale odpowiedział z uśmiechem:

— Jak przyszedł na świat, obejrzałem go na wszystkie strony i, o ile się na tem znam, mogę waszę miłość zapewnić, że chłopiec.

— Hm, — rzecze na to Kergolaj sztucznie — zajechałem ja niedawno na popas do kmiecia. Zastawił on przede mną bochenek chleba i kawał mięsa i dał mi nóż. Chciałem tym nożem ukroić chleba, ale ani rusz. A przecie to był nóż, jak i drugi...

A tu Kijas już oczywiście nadrobił miną, bo się roześmiał, uderzył Francuza chustką po ręce i zawołał:

— A waszeć szperka, jak widzę! — Poczem wstał i dodał: — A przecież na noże są szlifierze.

Zaczem Kergolaj położył mu rękę na ramieniu i rzekł znacząco:

— Słysz, panie bracie! Jeśli ty masz szlifierza na takie noże, to zamknij twój handel i jedź z nim w Europę, do wielkich miast i na wielkie dwory, a ręczę ci za to, że on ci daleko więcej przyniesie, niżeli wszystkie bakalje i płótna żaglowe.

A wtedy już tamci tu weszli z drugiej komnaty, a Kergolaj i Wilczek zaraz się żegnali; Kijas zaś ściskał Kergolaja za rękę, zapowiadając mu, że go niebawem na bankiet zaprosi, ażeby też poznał towarzystwo lwowskie u niego.

V.

TOWARZYSTWO LWOWSKIE.

Nazajutrz rano Wilczek, uspokojony zupełnie co do zamiarów Francuza, wyjechał w swą drogę, zabrawszy ze sobą listy Formozy do Jagienki, które Kijas sam swojej synowej dyktował; ale Kergolaj został we Lwowie.

Lwów, zwany z niemiecka Lemburgiem, był podówczas miastem nadzwyczaj wesołem, jego mieszkańcy byli „bardzo mili, chociaż nad miarę lubieżni“, jak piszą o nich starzy kronikarze i zagraniczni podróżni; wielkie ich bogactwa pozwala-

ły im ponosić nawet niezwykłe koszta zabaw i zbytków; kto żył, ten był wesół, bawił się i hulał, a biesiady i tańce nie ustawały nigdy, zwłaszcza też w domach ludzi zamożnych. Kergolajowi w to graj; powiedział sobie: „Jeruzalem mi nie ucieknie, a róże tymczasem nie przekwitną w Jerycho“ — i zaraz tak się urządził, ażeby mógł dłużej zabawić w tej stolicy.

W tym celu najął tę całą gospodę, w której się był za swoim przyjazdem na noc zatrzymał. Była to karczma bardzo obszerna, jakie jeszcze i dziś widzieć można w tych krajach. Położona tuż prawie za bramą Krakowską, miała dwie bramy wjezdne, cztery duże izby mieszkalne, wielką szynkownię i stajnię na kilkadziesiąt koni. Żyd Nuchim był w niej gospodarzem, człek jeszcze młody, dosyć bogaty, bardzo przedsiębierczy i chciwy, przebiegły i mądry, ale cokolwiek lękliwy. Kergolaj mu tylko jednę izbę zostawił, a trzy zabrał dla siebie i swoich żołnierzy, których miał sześciu, wyglądających z rycerska, a dziewięciu w ubiorze knechtów, nie licząc tych, co byli przy wozach. Żyd zrazu był bardzo niekontent, mruczał jakieś boruchy pod nosem, a ustąpił tylko ze strachu. Lecz, kiedy bliżej obejrzał pańskie statki tego rycerza i dowiedział się potem, że Kergolaj był na zamku u kasztelana i u starosty, a wreszcie u starego Kijasa, wszędzie przyjmowany z respektem, więc całkiem się uspokoił, a nawet pysznił się swym gościńcem i dworował sobie ze swego współwyznawcy sąsiada, do którego pan Olizar zajechał i napełnił jego gospodę, a nawet i karczmy sąsiednie takiem hułtajstwem, że i murzowie tatarscy, których tu widywano dość często, jeszcze

o wiele dostatniejszych ludzi miewali około siebie. Nuż kiedy Kergolaj zapowiedział żydowi, że jego namiestnik za żywność dla wszystkich ludzi i koni będzie płacił co tydzień, a tylko to, co on sam ze swoim pazikiem, albo ze swymi gośćmi zje i wypije, będzie szło na osobny rachunek, Nuchim bardzo nisko się ukłonił i zaczął go mieć w wielkiem poszanowaniu, bo krajowi rycerze nie zachowywali takich porządków w swych pocztach, a Nuchim nieraz (Bóg tylko sam wiedział, bo i powiadać o tem nie było bezpiecznie) musiał się wcale wyrzec zapłaty, aby się tylko pozbyć tych gości z gospody.

Nuchim był tedy całkiem uspokojony, lecz w gruncie rzeczy jeszcze wcale nie wiedział, kogo właściwie gości u siebie i jakie jeszcze stąd mogą wywiązać się następstwa. Albowiem Kergolaj nie we wszystkiem tak sobie poczynał, jak inni rycerze podróżni. Tak zaraz, jak tylko całkiem się rozpakował i ulokował, kazał przybić przy bramie gospody swoją tarczę herbowną, tak wielką, jak dno dużej beczki, wymalowaną i wyzłoconą, a jego herold stanął u wjazdu, najprzód trzy razy głośno zatrąbił, a potem ogłosił wszem wobec i każdemu zosobna: „że, jeśliby jaki rycerz, polski albo niemiecki, ruski albo wołoski, albo jakiejbądź innej nacji postronnej, chciał się bić konno lub pieszo, z kopją lub mieczem, na życie lub śmierć, na więzienie, albo na zdobycz, to jego pan, Kergolaj grabia, *eques auratus,* a rotmistrz jego królewskiej mości, poleca mu swoje służby". Taki obyczaj wyzywania wszystkich, ktoby miał ochotę po temu, zrodził się był przed wiekami we Francji i kwitnął dotychczas, stamtąd się przeniósł do Niemiec, a z Niemiec

upowszechnił się w Polsce. Znało go całe rycerstwo, praktykowało go na turniejach, a zuchwalsi junacy ogłaszali takie odezwy wszędzie, gdzie się na jaki czas zatrzymali; ale nie znano go wcale na Rusi, a lwowskie pospólstwo nawet o nim nie słyszało. Toż, kiedy herold Kergolaja wyzwanie obwołał, zrobiło się zbiegowisko przed gospodą; mieszczanie i żydzi, jedni sobie to tłumaczyli tak, a drudzy inaczej, ale się wreszcie rozeszli.

Lecz między tem zbiegowiskiem znalazł się człowiek, który został na placu, patrzył wciąż z ciekawością na wywieszoną tarczę, przestępował z nogi na nogę, rzucał okiem w głąb wjazdu, czasem czapki poprawiał i mówił do siebie z ruska:

— *Szo to takoje? Szo to za ditko?*

Człowiek ten był miernie słusznego wzrostu, ale że był chudy, więc się wydawał dość słusznym. Miał na sobie dostatni kubrak sukienny, przy kołnierzu srebrem obszyty, guzy także srebrne u niego, szerokie hajdawery, buty rycerskie ze srebrnemi ostrogami, pas skórzany również srebrem nabity, czapkę pilśniową z podniesionemi uszyma i z piórkiem, i krzywą szablę u boku. Krzywe szable, przejęte od Tatarów i Turków, wtenczas jeszcze tylko na Rusi noszono. Twarz także miał chudą i cokolwiek bladawą, wąs sumiasty i włosy gęste, płowego koloru, kłaczyste i poburzone, lecz tu i owdzie białemi nitkami przesiane. Oczy miał duże siwe, krzaczystemi brwiami nakryte, brwi te się często ściągały i sprawiały wrażenie pochmurne, ale oczy się z brwiami sprzeczały, bo były wesołe, jakoż i po całej twarzy był rozlany wyraz łagodny. Ktoby się znał na ludziach ówczesnych, ten byłby powiedział, że jest to żołnierz hulaka,

a może i zawadjaka, lecz w gruncie rzeczy człek dobry i wesoły towarzysz. W tej chwili zdało się, że go dłoń świerzbi i serce mu skacze, widzi dobrą sposobność do bitwy, a nie wie, czy bitwa się godzi, bo nie wie także, co to za rycerz i czy wzywa na żart, czy naprawdę.

Człowiekiem tym był Ostafi Olizar Kierdejowicz. Kierdejowicze byli wówczas jedną z najznamienitszych rodzin na Rusi, używali herbu Kierdeja, przedstawiającego trzy lilje, który za zasługi rycerskie otrzymali od królów francuskich, a który im później Ludwik Andegaweński potwierdził. Posiadali wielkie majątki i bardzo wysokie urzędy. Jeden z nich, Hryćko Kierdejowicz, był kasztelanem lwowskim, później wojewodą podolskim i trembowelskim starostą. Inny, Olizar Kierdejowicz, był właśnie w tym czasie marszałkiem na Wołyniu i łuckim starostą. Spokrewnieni byli z książętami Holszańskimi, z Buczackimi, z Dzieduszyckimi, z Fredrami i innemi znamienitemi rodzinami po całej Rusi, później licznie się rozrodzili i z nich wyszli Hosccy, Kozińscy, Dziusowie i Czaplice.

Wtedy jedną z głównych, a zarazem najdawniejszą ich siedzibą były Pomorzany z bardzo rozległemi dokoła ziemiami. Na nich siedział Porfiry Olizar, mający synów bez liku. Najstarszym z nich był Ostafi, lecz, kiedy wszyscy jego bracia kędyś się osiedlili, pożenili się i pobrali stałe urzędy, on jakoś nigdzie nie mógł osiedzieć, bo był, jak mówiono, *neposiduszczy*. Stało się to poniekąd z winy jego dobrego serca, ile razy bowiem jego ojciec jaką posiadłość nabył, albo oddzielił, ażeby na niej jednego z swych synów osadzić, to on się za

nią nigdy nie darł, a zawsze młodszemu bratu odstąpił, mówiąc: „Niechaj on siada, ja po nim". Idąc zresztą tym trybem, powinien był za swoją poczciwość doczekać się nagrody, bo, jako najstarszemu, należały mu się Pomorzany. Ale tymczasem, dopóki ojciec żył, hulał sobie po świecie i, jak się już wyżej wspomniało, albo usługiwał książętom i królom, albo też wojny na własną rękę prowadził.

Był on zresztą do tego niejako zmuszony, bo swoją własną drużynę mieć musiał (Olizar nie mógł z mniejszym dworem jeździć po świecie), a ojciec dał mu tylko jeden folwark przy Pomorzanach, folwark wprawdzie podolski, ale przecież nie można było tyle ludzi i koni na nim wyżywić, jak tylko przez zimę, a na przednówku trzeba było w świat ruszać.

We Lwowie bardzo często przebywał ze swymi ludźmi. Jak miał z czego, to dawał im jurgielt, a jak pieniędzy nie było, to musieli się żywić własnym przemysłem, handlując rozmaitym towarem, pośrednicząc przy targach, a zresztą, jak Bóg dał. Na co się czasem przedmieszczanie skarżyli, ale się im nie bronili, bo po ich stronie stały zawsze kobiety i to do tego stopnia, że, kiedyby jakiego Olizarczyka chciano ciągnąć do sądu, to pewnieby się cała płeć piękna zbuntowała, aby go odbić. Kozacy ci wszakże (bo i tak także ich nazywano) tej sympatji nie zawdzięczali tylko swej kawalerskiej krewkości, ale zapewne i swojej hojności, kiedy bowiem z wypraw wracali, to mieli zawsze kieszenie napełnione pieniędzmi i rozmaitem cennem rupieciem, które szczodrze rozsypywali pomiędzy dziewki i mołodyce, a wtedy i kupcom i rzemieślni-

kom przedmiejskim także dobrze się działo. Samego zaś Olizara znano we Lwowie, jak białego kruka, i znano go także z jego zalotów, ze szczodrobliwości i z dobrego serca, ale zarazem także, jako hulakę na węgierski kamień, i stąd to powstała pieśń o nim:

A jak pidesz do Bazaru,
Pokłonysia Olizaru...

Teraz więc stał Olizar przed gospodą Kergolaja, niecierpliwił się i mówił do siebie: — *Szo to takoje?...*

A wtem przyszedł drugi żołnierz, stanął o parę kroków od niego i także zaczął ciekawie patrzeć na tarczę, wywieszoną na karczmie. Ale ten całkiem inaczej wyglądał. Był to chłop duży i gruby, jak słoń. Twarz miał obrzękłą, oczy ciemne, ale jakby ospałe, wąsy i brodę przystrzyżone według mody ówczesnej, a włosy ciemne długie w kędziorach, wysmarowane jajami. Pomady tej używano wtenczas w Polsce obficie; nie była ona bardzo wonną i miała tę niedogodność, że w tańcu lub innej zawierusze podobnej, ten i ów się czupryną do drugiego przylepił, ale była bardzo cenioną dlatego, że najbogatsze kędziory trzymała w kupie i dawała im blask szklący i przyjemny dla oka. Około takich elegantów wojskowych chodził każdy zdaleka, bo nie trudno było się o ich kędziory zaczepić, a wtedy czasem z tego pozostawała nie tylko plama na sukni, ale nieraz i krwią trzeba było za to zapłacić, bo byli oni o swoje fryzury bardzo zazdrośni. Jeszcze w kilkanaście lat później Goetz von Berlichingen, sławny rycerz niemiecki, za-

czepiwszy na dworze swojego margrabi haftami o takie wysmarowane kędziory pewnego polskiego rycerza, został pchnięty nożem od niego i musiał się potem z nim bić o obrazę honoru. Zresztą żołnierz ten miał na sobie piękny kaftan skórzany, hełmik błyszczący na głowie, miecz krótki u boku i widać było po nim na pierwszy rzut oka, że, chociaż może niebardzo wysokie stanowisko zajmuje pomiędzy rycerstwem, jednak dba o swą powierzchność i swoją powagę. Człowiek ten nazywał się Frącek Ajchinger, był niemieckiego pochodzenia, ale rodem lwowianin, zmłodu sługiwał przez lat kilkanaście knechtem po dworach niemieckich, gdzie się zawsze odznaczał olbrzymią siłą i spokojną odwagą, ale mimo to się nie dobił rycerstwa, teraz zaś, po śmierci swojego starszego brata, wrócił do Lwowa i mianowany jest starszym nad halabardnikami na Niskim zamku, a zarazem pierwszym heroldem zamkowym.

Obaczywszy Olizara, którego znał, pozdrowił go lekkiem skinieniem głowy, Olizar zaś zbliżył się do niego, trącił go w łokieć i rzekł, wskazując na tarczę Kergolaja:

— *Wystupcem, wydrupcem, wywedy tańczyk po nimećki.*

Frącek go zrozumiał, chociaż po rusku nie umiał, a mówił tylko łamanym językiem po polsku, ale widać, że propozycja mu się nie podobała, bo ruszył zlekka głową na prawo i na lewo na znak odpowiedzi. Wtedy Olizar uśmiechnął się drwiąco i mruknął sobie pod nosem:

— *Ne dla psa kowbasa.*

Niemiec i to zrozumiał, bo spojrzał na niego surowemi oczyma, ale Olizar się kłócić z nim nie

chciał, jakoż zaraz zaczął go wypytywać po polsku, co to jest za rycerz i jaki to jest obyczaj, żeby tak wszystkich wyzywać w dzień biały i bez żadnego powodu. Więc Frącek się udobruchał i opowiedział mu, co wiedział o tym obyczaju, dodając zarazem, że widział Kergolaja na zamku i ma go za rycerza, jak należy, z którym niedobrzeby było wdawać się w bitwę. A Olizar na to:

— A przecieżby mu warto pokazać, że i na Rusi są rycerze, co się nie boją mieczów francuskich.

A wtedy nadeszły konie Kergolaja, które przeprowadzano za miastem, konie duże i doskonałe, ludzie ubrani dostatnio; Olizar im się przypatrzył i rzekł do Frącka:

— Wartoby się z nim spróbować, bo byłoby co wziąć po nim.

Frącek i na to pokiwał głową, a w tej chwili sam Kergolaj stanął na bramie, aby się koniom przypatrzeć. Frącek rzekł półgłosem:

— To on.

Olizar przypatrzył się mu i rzekł:

— Chłopek niebardzo wielki, jakby było szczęście, toby się go przecie przemogło.

Ale, znający się na tem daleko lepiej, Frącek odpowiedział mu na to:

— Chłopek niewielki, ale nabity. A potem, taki rycerz o złotych ostrogach nie da się przemóc tak łatwo. Taki rycerz ma siłę w ręku, a przytem jest jako kot: widzisz go przed sobą, uderzysz mieczem na niego, a cięcie pójdzie w powietrze, bo gdzieś go widział, tam go już niema, a zato z drugiej strony skoczy na ciebie i brzuch ci rozporze.

— Chyba, że charakternik, bo i to bywa —

zauważył Olizar, niby niedowierzając, ale przecie się milczkiem przeżegnał.

Na to nadjechał Tigranes, bardzo pięknie z rycerska ubrany, na pięknym koniu kasztanowatym, a za nim sługa, także w stroju żołnierskim i na koniu dostatnim. Frącek, pokłoniwszy się, poszedł w swoję drogę, a Olizar wysunął się naprzód i zawołał cokolwiek zdziwiony:

— Tigranes! A gdzie ty jedziesz? Może do tego Francuza?

— Jużci do niego — rzekł dumnie Tigranes.

— Może i chcesz się z nim spróbować? — zawołał Olizar, śmiejąc się.

— Właśnie poto jadę.

— To chyba żartem.

— Zacznie się żartem, a, jak się skończy, to tylko Bogu wiadomo — odpowiedział mu z junacka młodzieniec.

— A ty głupi, — zawołał Olizar — jeżeli się z nim bić będziesz naprawdę. On jeno raz machnie, a już będzie po tobie. Ja tobie dawno powiadam, żebyś ty zaniechał rycerstwa. U ciebie dusza piękna, rycerska, ale ty nie masz kości na żołnierza. Tobie być popem, dzieci chrzcić, a ludziom ślub dawać; tobie kropidłem, a nie mieczem wojować. Słysz, Tigranes, ja tobie brat, toż mówię tobie, jak brat: rycerzem w spokoju i ty być możesz, bo to i baba potrafi, ale kiedybyś ty chciał iść na wojnę...

Jednak Tigranesowi niezmiernie się nie podobały te braterskie przestrogi, odwracał się niespokojnie od Olizara, a kiedy spostrzegł Kergolaja w bramie, ruszył ku niemu, zostawiając mówcę samego na placu.

Olizar stał jeszcze chwilę przed karczmą w wielkiem zamyśleniu, po chwili zaś zerwał się, jakgdyby powziął jakieś postanowienie; lecz, zamiast iść do miasta, wrócił do swojej gospody. Przyszedłszy tam, kazał zaraz wołać malarza, posłał go, aby obaczył tarczę Kergolaja, i kazał mu swój herb wymalować tak samo na tarczy takiejże samej wielkości. W małą godzinę tarcza była gotowa: trzy lilje andegaweńskie bardzo pięknie na niej się wydawały, nad niemi hełm ze spuszczoną przyłbicą, nad hełmem korona, a nad koroną trzy strusie pióra, zgoła herb Kierdeja w całej swojej świetności. Zaś, jak tylko tarcza była gotowa, choć jeszcze mokra, kazał ją przybić na bramie swojej gospody, a Tymko Biłowus, zastępując herolda, stanął na bramie, zatrąbił głośno trzy razy, a potem obwołał wszem wobec i każdemu zosobna to samo, co Kergolaj kazał wywoływać swemu heroldowi. Olizar, schowawszy się za skrzydło bramy, sam podpowiadał Tymkowi, jak *maje klykaty*.

Na odgłos trąby i wołanie Tymka mnóstwo ludzi się zbiegło, gapiąc się na to widowisko, ale im więcej ich było, tem więcej Olizar był zadowolony ze siebie i dumny ze swego konceptu. Wyszedł i żyd gospodarz, zrazu przestraszony cokolwiek tym niesłychanym rumorem, i pytał Olizara, coby to było; Olizar mu opowiedział i dodał na końcu:

— Ja jego nie wyzywam, bo ja się tylko wtedy biję, kiedym zły na kogo, ale niech wie, że nam honor tak samo miły, jak jemu.

Żyd bardzo chwalił jego mądrość i umiarkowanie i rzekł:

— Nu, cały świat wie, że wasza miłość pan honorowy.

Olizar palnął na to żyda płaską dłonią po plecach i, przekrzywiwszy czapkę na bakier, poszedł na obiad do miasta, mrucząc sobie pod nosem:

— Jak z nim stanę na placu, to musi mi się wyprzysiąc, że nie charakternik, a jak się nie wyprzysięgnie... hm... to i tak się z nim zetnę. *Ta szczo!*

Tymczasem Kergolaj przyjmował Tigranesa u siebie, pokazując mu wszystkie swe statki i wojenne przybory. Poczciwy ten chłopak gorąco pragnął zostać rycerzem, tak pełen był uwielbienia dla tego szlachetnego rzemiosła, tak mu się każdy rycerz wydawał czemsiś niedoścignionem dla niego, tak wreszcie żywo, niestety, czuł niskość, a raczej, jak już naówczas mawiać zaczynano, całą podłość swojego urodzenia, że obchodził się z Kergolajem, jak z świętym, patrzył na niego, jak na obraz cudowny, a każde jego słowo było dla niego wyrokiem. Nigdy w swem życiu, chociaż widział tak wiele dworów rycerskich, a nawet w nich mieszkał, nie zdołał postawić się choćby z najmniejszym zagranicznym rycerzem narówni — a teraz dano mu jest zbliżyć się do prawdziwego rycerza *di gran Grido* o złotych ostrogach, do potomka Kergolajów, Lanckorońskich i Kmitów, do przyjaciela królów i książąt, i szczycić się jego przyjaźnią i łaską. Próżne to dziecko nie posiadało się z radości.

I Kergolaj zrazu był z tego kontent: kto wie, jak sobie zamierzał to uwielbienie wyzyskać. Jednak niebawem doznał pewnego rozczarowania. Tigranes bowiem przyjechał do niego, aby mu pokazać, co umie. Owóż zaledwie wzięli miecze do ręki,

doświadczony szermierz dostrzegł natychmiast, że ów tak gorący kandydat na rycerza zna wprawdzie sztukę szermierską, ale nie ma ani oka, ani przytomności umysłu, ani nawet dość siły fizycznej, ażeby mógł choćby nawet partaczowi dotrzymać. Po tej próbie wyszli w dziedziniec, znajdujący się ztyłu za karczmą; tam Tigranes wsiadł na koń i wziął kopję do ręki, Kergolaj kazał mu złożyć kopję wpół głowy końskiej i skruszyć ją o stertę siana, stojącą w rogu dziedzińca; ale tu nastąpiła jeszcze daleko gorsza dekonfitura: Tigranes nie umiał przykleić się do kulbaki, nie umiał się zlać w jednę całość ze swoim koniem, nie umiał nawet kopji dotrzymać w ręku, koń wzdrachnął się pod nim, a kopja poleciała, gdzie się jej podobało. Kergolaj klasnął w obydwie ręce i spuścił głowę ku ziemi, a kiedy Tigranes, zsiadłszy z kulbaki, wracał z nim do gospody, rzekł grzecznie do niego:

— Trzeba się jeszcze uczyć cokolwiek.

Kiedy znowu zasiedli w izbie, Tigranes miał prawie łzy w oczach, bo czuł to boleśnie, że mu się popis nie udał. Usprawiedliwiał się zatem, że miał noc niespokojną i dzisiaj nie jest w swym sosie. Opowiadał mu potem, że kupił wieś tylko dlatego, aby się tam mógł spokojnie przygotowywać do rycerskiego zawodu, że tam ma kilkadziesiąt koni i dużo żołnierzy, że tylko czeka niecierpliwie, ażeby wojna wybuchła, gdzieby się mógł pokazać. Kergolaj, widząc przed sobą człowieka słabego ciała, ale stanowczej woli, zrobił na to tylko tę uwagę:

— Ale jeżeli pójdziesz na wojnę, to podjedź pod jaką starą chorągiew, której doświadczony rotmistrz przywodzi, odprawiwszy zaś pod jego bo-

kiem jednę wojnę i drugą, zczasem się wprawisz i zahartujesz ciało, co bardzo ważną jest rzeczą.

Ale Tigranes się na to prawie oburzył.

— Ja pod cudzą komendę? — zawołał. — Za nic w świecie. Jak będzie wojna, ja własną wysztyftuję chorągiew i sam nią będę dowodził.

— Bywają wojny, w których giną całe chorągwie — zauważył Kergolaj.

A na to Tigranes z zadziwiającą energją:

— Wolę zginąć, niżeli być kupcem.

Kto inny byłby się tem może głęboko zasmucił, bo smutno jest widzieć człowieka, któryby mógł być pożytecznym członkiem społeczeństwa w wielu innych zawodach, a chwyta się właśnie takiego rzemiosła, do którego nie jest stworzony. Od stworzenia świata próżność i nieznajomość siebie samego ubezwładnia daleko więcej sił pożytecznych, a nawet ofiar pochłania, niżeli się to zazwyczaj pzypuszcza, i było to po wszystkie wieki smutną wadą ludzkości. Ale Kergolaj nie lubił się smucić, więc uderzył Tigranesa po ramieniu i rzekł:

— Chwalę twój ferwor młodzieńczy, a na to wszystko powiem ci tylko, że tak w życiu, jak na wojnie, więcej wart łut szczęścia, niżeli cały kamień rozumu.

Tigranes się temi słowami tak uradował, że omal mu się nie rzucił w ramiona, ale w tej chwili dał się słyszeć odgłos trąby na placu publicznym. Kergolaj posłał zaraz swego wyrostka, aby obaczył, co jest. Po chwili wyrostek wrócił i opowiedział, dodając, że pan Ostafi Olizar Kierdejowicz, rycerz andegaweński, ogłasza, że, ktoby się chciał z nim bić, temu gotów usłużyć. Kergolaja wiadomość ta bardzo zaciekawiła, jakoż prędko zapytał:

— Kto to jest taki? Czy znasz go?

Ale Tigranes śmiał się, jak dziecko, i bił się rękami po obydwóch kolanach, potem zaś mu powiedział:

— Ot głupi! Widział twoją tarczę na bramie, więc zaraz swoją wystawił na swojej gospodzie.

Dopiero wtedy rzecz się wyjaśniła. Ale Kergolaj rzekł poważnie:

— Dobrzeby mi było zostawić tutaj jaki znak po sobie, ale ja jego wyzywać nie będę, bo nie chcę, aby powiedziano, żem tu przyjechał, aby ludzi napadać.

Zaczem wsiedli na konie i pojechali za Olizarem do miasta, lecz, kiedy Olizar swoim zwyczajem poszedł do Bazaru, oni pojechali do starego Kijasa. Zaś obydwie gospody zostały, warcząc z boku swemi tarczami na siebie, jak dwa psy, które przysiadły do ziemi i warczą, nim się rzucą na siebie, czasem, ażeby się pogryźć, a czasem tylko, aby się potłumić ze sobą.

Od tego dnia Kergolaj bywał prawie codziennie w domu Kijasa i tam przepędzał swoje wieczory. Formoza nadzwyczaj żywo go zajmowała. Był dla niej niezmiernie grzecznym, czasami nawet natrętnym. Oświadczył jej swoją miłość bez granic, używając do tego zaklęć napuszystych, a często nawet wcale dziwacznych, jak to było wówczas zwyczajem. Grywał jej na hiszpańskiej gitarze i śpiewał pieśni w prowansalskim języku o obowiązkach rycerzy:

Al en caussar premier,
Et al fugir dernier,
Car tot aiso cove,
A drut c'amor manté.

Niebawem zdjął łańcuch ze szyi i odpiął kokardę Jagienki, dając jej tem do zrozumienia, że miłość swoją na nią przeniósł. Składał jej przytem częstokroć najdziwaczniejsze dowody swego uwielbienia, jakiemi ówcześni rycerze głównie wojowali. Tak jednego dnia, który razem spędzili, przysiągł jej, że na jej cześć przez cały dzień nie weźmie do ust ani kęsa strawy, ani żadnego płynu; innym razem, że będzie stał na jednej nodze przez całą godzinę, a wreszcie, że będzie czuwał przez całą noc na bruku pod jej oknami, a rano zagra jej pieśń na gitarze... i zawsze wszystkiego dotrzymał. Tak postępując, chciał ją i wszystkich przekonać o swojej idealnej dla niej miłości... i byli tacy, co temu wierzyli.

Ale były to czasy, kiedy ideały dawniejszych wieków już spełzły. Wieki wojen krzyżowych, wieki czystego zapału i uniesienia, kiedy jedna myśl wzniosła mogła poruszyć miljony, a te miljony zapłonęły duchem ofiary i poświęcenia, leżały już w grobie dziejowym, który jeszcze tylko ostatnie swe blaski rzucał na pokolenia żyjące. Zachowywały się jeszcze dawniejsze formy, ale dawnego ducha już w nich nie było. Rycerz ówczesny jeszcze się szczycił romantyczną swych przodków dewizą: „Dusza moja Bogu, życie królowi, serce kobietom, a honor mój dla mnie“, ale już jej nie przestrzegał tak bardzo surowo i bardzo często duszę dał djabłu, życie swoje królowi bardzo drogo sprzedawał, od kobiet za swoje hołdy grzesznej wymagał zapłaty, a strzegł tylko pozorów honoru, któremu zresztą nadał także całkiem inne znaczenie. Rycerstwo europejskie było już wtedy w zupełnym upadku. We Francji i w Anglji goniło z nie-

powściągnioną niczem chciwością za doczesnemi dobrami i otrzymywało ziemię, pieniądze, tytuły i urzędy, czasem burząc się przeciwko swym królom, lecz jeszcze częściej oddając się duszą i ciałem na ich usługi; we Włoszech wojowało bądź pod sztandarami książąt tamtejszych albo postronnych, bądź też na własną rękę, przeciwko papieżom i municypjom miast, jeszcze wtedy bardzo potężnych. Niemcy zaś przepełnione były, jak mrowiem, zbrojnemi pocztami szlachciców i grafów, którzy nie tylko samowolnie nakładanemi cłami, ale także i prostym rabunkiem gnębili kupców po publicznych gościńcach, oblegali miasteczka i miasta, wymuszali na nich ciężkie częstokroć okupy, a nawet napadali na siebie samych wzajemnie, przyczem zwycięzca brał swego przeciwnika w niewolę, obdzierał go zawsze z jego ruchomego majątku, a często mu i jego zamek i ziemię zabierał. Wśród takiego rozwielmożnienia się wszelkiego rodzaju bezprawiów, a rozpasania obyczajów społecznych i towarzyskich i owa miłość idealna minionych wieków, o których tak piękne pieśni pozostawiali trubadurowie i minnesingery, ulotniła się z ziemi, a jej miejsce zajęły miłośne kabały, pragnienie uciech doczesnych, częstokroć nawet łamiąca gwałtem wszelkie przeszkody żądza zadowolenia, gorączki krwi albo imaginacji. W oddalonej od tego obyczajowego rozpasania się Polsce, gdzie, mimo grasującej powszechnie chętki naśladowania europejskiego zachodu, przecież katechizm chrześcijańsko-rycerski pojmowano jeszcze w jego dawnem znaczeniu, miłość idealna znajdowała jeszcze dość licznych adeptów; ale nie szukać jej było po-

między tymi, którzy swą młodość strawili w obozach i na wielkich dworach Europy zachodniej.

Nie szukać jej także u Kergolaja. Formoza przeczuła to tym dziwnym instynktem, który strzeże wszystkie kobiety czystego serca i nie wierzyła ani jego przysięgom, ani mającym świadczyć o jego miłości ofiarom; ale jego zaloty, pełne coraz to nowych konceptów, bawiły ją, a może i pochlebiało jej to cokolwiek, że w takiem mieście, gdzie było tyle kobiet, błyszczących niezwyczajną pięknością, taki rycerz przesławny, o którym już tyle pochlebnych wieści obiegało po całym kraju, jej samej składa swe hołdy. Trudnoż ją o to obwiniać, bo któraż kobieta, choćby najniewinniejsza, nie ma troszeczkę próżności? Jednak potrzeba powiedzieć na jej zaletę, że trwało to tylko tydzień albo mało co więcej. Niebawem bowiem Kergolaj stał się zanadto natarczywym — ówcześni rycerze szli do każdego szturmu co koń wyskoczy — a oprócz tego obudziła się w niej bardzo słuszna obawa, ażeby się z tego jakie plotki nie wyrodziły. Zaczęła zatem z oględnością kobiety, wychowanej wykwintnie, ile możności chłodzić jego zapały. Ale Kergolaj jej nie rozumiał. Owszem, zaślepiony, jak każdy zalotnik, który sobie nosa nie rozbił na samym wstępie, jeszcze zuchwalej ponawiał swoje natarczywe zapędy. Formoza już sama nie wiedziała, jak ma się mu bronić.

Zanadto dobrego serca i delikatna w swoich uczuciach, nie mogła zdobyć się na to, aby go zgromić surowo i w sposób obrażający od siebie odepchnąć, zaczęła więc nad tem rozmyślać, czy nie mogłaby mu jakiejś sztuczki wypłatać, któraby mu oczy otworzyła na prawdę. Natenczas niejedno-

krotnie bardzo puste przychodziły jej myśli. Któż nie był pustym, mając lat dziewiętnaście? Pustota zresztą była jednym z głównych rysów obyczajów ówczesnych, a zwłaszcza po wielkich miastach. Młodzi i starzy, panny i wdowy, mężatki i poważne napozór matrony, wszyscy łaknęli śmiechu, zabawy, rozrywki, a zbytki, przechodzące wszelkie granice pojęć dzisiejszych, królując w strojach, w jedzeniu i piciu, panowały także jedynowładnie w towarzyskich zwyczajach. Stary Kijas, człek tak poważny, nie gardził także figlami, Kundrat zawsze do nich był gotów, a cóż dopiero panny służebne. Wszyscy widzieli niepowściągliwe Kergolaja zaloty; nikt za nie na niego nie rzucał kamieniem, bo było to modą ówczesną, że nawet bardzo poważne mężatki miały swych kawalerów, którzy jawnie wielbili ich cnoty; ale wszyscy się niemi bawili. Jakoż bardzo być może, że wówczas uknuto spisek przeciwko niemu i tylko na dobrą sposobność czekano, która się wszakże prędko zdarzyła.

Jednego dnia, kiedy Tigranes wyjechał był na wieś, ażeby swoich żołnierzy musztrować, i miał dopiero nazajutrz powrócić, Kergolaj, obsypawszy Formozę swojemi kadzidłami tak gęsto, że ledwie jej nie udusił, zapowiedział jej, że o samej północy wlezie kominem do kamienicy, zakradnie się do jej antykamery i przed drzwiami jej sypialni zagra nową pieśń prowansalską na maleńkiej gitarze, ale tak cichuteńko, ażeby tylko ona sama mogła ją usłyszeć. Trzeba więc, aby czuwała, jeżeli chce, aby tony tej przecudownej pieśni doszły jej uszu i rozweseliły jej serce. Formoza na to się w głos roześmiała, mówiąc:

— Wasza miłość chyba jaki czarownik, jeżeli

umiesz się zmieścić w kominie, bo kominami tylko czarownice latają.

— Czarownice tylko w górę lecą kominem — rzekł Kergolaj — a ja spuszczę się nadół; to potrafi ten tylko, co gotów się sam spalić na stosie na cześć swej uwielbionej.

— W kominie się waszmość nie spalisz, bo teraz lato, ale się oczernisz, jak djabeł, a szkodaby było tych pięknych atłasów i aksamitów.

— Mam na to sposób. A zresztą bramą wchodzić to już nie moda, a to tem bardziej, że kamienica o północy zamknięta.

— To prawda — odpowiedziała Formoza. I zapewne w tej chwili jej jakaś myśl przeleciała przez głowę, bo dodała: — Bardzobym chciała widzieć waszmości, jak będziesz wyłaził z komina. Ale to niepodobna. Jednak będę słuchać z północy, czy zagrasz...

Na te słowa Kergolaj tak się ucieszył, jakgdyby po długiej nocy promień światła błysnął na niego. Był pewnym swego tryumfu, już prawie nie dotykał się ziemi. Przez cały wieczór był wesół, że aż serce mu się rozpływało: starego Kijasa zapewnił, że rok nie upłynie, a Tigranes otrzyma herb i szlachectwo, Kundratowi przyrzekł solennie służyć za swata, jeśliby chciał się ożenić, nawet pannom służebnym, które siadały do stołu, obiecał takich mężów dostarczyć, o jakich im się nigdy nie śniło. Ale jak tylko się dobrze ściemniło, głowa go zabolała i wyszedł, rzuciwszy na Formozę umierające z bolesnej miłości spojrzenie.

O samej północy, kiedy światła dawno już pogaszono i wszyscy spali snem twardym, Kergolaj,

znający się, tak samo z odźwiernym, jak znał wszystkie kąty i drzwi w kamienicy, wylazł cichaczem na długi krużganek pierwszego piętra i dostał się nim do tyłów, gdzie były izby mieszkalne Formozy. Oglądając się poza siebie i nadsłuchując, czy co się nie ruszy, wszedł najprzód do sieni, a tam otworzył drzwi do antykamery, którą znał dobrze. Była to izba niebardzo obszerna, a nawet w dzień dosyć pochmurna, bo tylko jedno okno ją oświecało, wychodzące na mały i ciasny dziedzińczyk. Teraz było tam ciemno, choć oko wykol. Ale ciemność mu wcale nie zawadzała, bo znał tę izbę i był już pewnym, że nikt go nie widział, więc szedł śmiało ku drzwiom sypialni, które się znajdowały naprzeciw. Postawił jeden krok dobrze, ale za drugim strasznie coś zatrzeszczało pod jego nogą i noga go zabolała. Chciał przez tę nieprzewidzianą przeszkodę przeskoczyć i, podniósłszy nogę wysoko, skoczył silnie naprzód, lecz wtedy już trzask się rozległ taki ogromny, jakgdyby jakie sprzęty się druzgotały. Zarazem zaś gruntu nie mógł się domacać nogami. Co nogę wyciągnie i stąpi, to trzask się rozlega niesłychany, nogi mu się kaleczą, drą się pończochy i pludry, drzazgi się rozlatują pod jego nogami, ani sposób się domacać podłogi, nie sposób się utrzymać na nogach, pasuje się z tem djabelstwem, jak opętany, nareszcie pada — i pada, jakby na łoże madejowe, na jakieś piły, czy noże, które go kolą, rzną, gniotą, że sobie miejsca znaleźć nie może. Kapelusz poleciał w jednę stronę, gitara w drugą, ręce pokaleczone i nogi, a tu ciemno, jak w garnku, i co się ruszy, to się trzask taki straszliwy rozlega, że pewnie już całą kamienicę obudził. Wstał wreszcie, głosu nie wydał

ze siebie, chociaż łzy w oczach miał z bólu, nabrał jeszcze raz odwagi i jeszcze raz skoczył w kąt przeciwległy, lecz znowu padł na jakieś ostre rupiecie i znowu trzask się rozległ pod jego nogami. ziemia się pod nim zachwiała i znowu upadł na jakieś piły i noże. A wtedy już jęk bolesny się z jego piersi wydobył, już się tłukł tylko na miejscu, to sycząc, to kwiląc co chwila, jak człowiek, co go wzięto na męki. Ale wtedy światło błysnęło we drzwiach od sieni i pokazał się Kundrat w chałacie i białej szlafmycy z kagańcem w ręku.

Kergolaj się zerwał i przy świetle natychmiast znalazł miejsce próżne, na którem mógł stanąć pewnemi nogami. Najprzód więc rzucił okiem na antykamerę i spostrzegł, że tam na całą podłogę nakładziono owych drewnianych pudeł i pudełek, co je składają z cieniutkich, jak papier, deszczułek, a których Kundrat miał zawsze wielkie zapasy, bo w nich suszone owoce i rozmaite indyjskie, a perskie tkaniny na jarmarki wysyłał. A nakładziono ich tyle, że niemi drzwi do sypialni Formozy założono aż do góry; gdyby Kergolaj był się aż do drzwi dołamał, to byłby stamtąd, jak z sterty siana już wcale nie wylazł. Widząc to, zgrzytnął zębami i zaraz piorunującem okiem spojrzał na Kundrata; Kundrat wszelako, zaledwie się mogąc powstrzymać od śmiechu, rzekł tymczasem do niego:

— A waszmość kędy Pan Bóg prowadzi? Waszmość, jak widzę, wyharatał mi wszystkie pudełka na prach...

Kundrat rozumiał zapewne, że Kergolaj będzie go prosił o sekret i przyjacielską usługę, aby go bez hałasu wyprowadził z kamienicy. Ale Kergolaj był zły, iskry mu się z oczu sypały, porwał za ów

straszliwy sztylet, co to go zwano *la miséricorde*, a który zawsze nosił u boku, błysnął mu nim przed oczyma i zawołał:

— To ty, drabie, mnie tu tych pudełek naścielił? Poczekaj...

I zamachnął się, aby go w kark nim uderzyć. Ale Kundrat tak się przestraszył, że kaganek upuścił na ziemię, dusza też poszła mu w pięty i drapnął. Kergolaj słyszał tylko jego kroki łup, łup, łup, wzdłuż krużganku. U owoczesnych rycerzy były zawsze gniew i śmiech obok siebie. Drapnięcie Kundrata zaraz go rozweseliło. Lecz zdawało mu się, że Kundrat uciekł niedaleko, bo tylko kilkanaście kroków jego dosłyszał. Szedł więc, aby go odszukać i przynajmniej na nim pomścić swoją dekonfiturę. Jakoż w okamgnieniu go znalazł. Kundrat mieszkał na drugiem piętrze, stamtąd czatował, aby Francuza w antykamerze przycupić i naśmiać się z niego. Ażeby się dostać do schodów, trzeba było przebiec cały długi krużganek. Strach ma wielkie oczy i uszy; uciekając, słyszał za sobą kroki Kergolaja, choć ten się wtedy jeszcze nie ruszył; w rogu szerokiego krużganku stała beczka, żelaznemi obręczami okuta, w którą w czasie deszczu woda z dachów ściekała. Kundrat dał nura w tę beczkę i w niej przycupnął. Było tam wody po kolana, rzecz nieprzyjemna, zwłaszcza, że trzeba było w nią kucznąć; ale jeszcze lepsza to, niżeli spotkanie się z mizerikordją. Kergolaj szedł tedy krużgankiem, napotkał beczkę, zajrzał w nią i przy blasku gwiazd poznał Kundrata. Na to śmiech zebrał go pusty i rzekł do niego:

— Kąpiesz się? A masz tam wody dostatkiem?

Kundrat już dygotał na całem ciele od zimna,

a teraz zęby mu szczękać zaczęły. Nuż da sztyletem w kark: człek ani ziewnie. Ale Kergolaj spostrzegł wiadro przy beczce, wiadro, napełnione po same brzegi, podniósł je więc i wylał mu wszystką wodę na szlafmycę, a potem jeszcze próżne wiadro wsadził mu na łeb, uderzył pięścią w dno i rzekł:

— Masz i tobie pudełko!

Poczem, śmiejąc się głośno, wyszedł z kamienicy tą samą drogą, którą był przyszedł.

Nazajutrz cała kamienica o tych zajściach nocnych wiedziała, ale kto wie, czy nie więcej się śmiała z Kundrata, niż z Kergolaja. Osobliwie panny służebne, które zawsze dają pierwszeństwo rycerzom przed doktorami, choćby obojga prawa, niemało się nachichotały przy owej beczce, w której Kundrat wziął zimną kąpiel z dołu i z góry, a jeszcze i wiadro wbito mu na ramiona, z którego się ledwie wydobył. Jednak także się nad nim litowano, bo wprawdzie zacny, ale niebardzo waleczny Kundrat, czy to ze strachu, czy też wskutek kąpieli, dostał gorączki i trzeba było po balwierza posyłać, który mu krwi upuścił i tak pomału go uspokoił.

O Kergolaju zaś bardzo różniły się zdania: jedni się śmieli, drudzy zaś mieli mu za złe, że się po nocy popod sypialnie kobiet zakrada. Dopiero Tigranes tę zawikłaną kwestję rozstrzygnął, bo z Kundrata się naśmiał, że aż się trzymał za boki, ale Kergolaja całkiem usprawiedliwił, mówiąc, że tylko nieznajomość obyczajów rycerskich może go potępiać. W całej Europie jest rzeczą powszechnie przyjętą, że rycerze, przyjmując służbę miłośną u dam nawet zamężnych, walczą w ich kolorach, przynoszą im rozmaite ofiary i grają pieśni przed ich oknami i drzwiami we dnie i w nocy i kiedy im

się podoba. Trzeba być barbarzyńcą, ażeby za takie hołdy się gniewać, a jest to wcale dziką zabawką, ażeby na nich, jak na wilki, albo niedźwiedzie, pułapki zastawiać. Sfukał też za to Formozę, a nawet ojcu powiedział niegrzeczność, czego dotychczas nigdy nie robił, dodając cierpko, że jest to postępowanie chyba ormiańskie, za które on przedewszystkiem musi się wstydzić i nawet sam nie wie, jak je naprawi.

Od tego dnia Tigranes był w kwaśnym humorze i z każdym dniem jeszcze więcej kwaśniał, dlatego, że Kergolaj się wcale nie pokazywał. Syn w złym humorze, to dla Kijasa wielka zgryzota, wszelako znalazł sposób na to, mówiąc:

— Miałem zamiar dać bankiet dla imci Kergolaja, ażeby mu towarzystwo tutejsze pokazać, ale chciałem z tem zaczekać, aż mi przyjdą pewne towary, które są w drodze; jednak w tym razie nie będziemy już czekać, a damy bankiet w przyszłą niedzielę.

Więc Tigranes się wypogodził i poszedł zaraz do Kergolaja, aby go na bankiet zaprosić. Rozmawiał z nim przytem serdecznie i wcale po kawalersku, wyśmiewając Kundrata i dając mu zlekka do zrozumienia, że owo naścielenie pudełek to był koncept doktorski, mogący wyjść z głowy tylko takiego bakałarza, który nie zna obyczajów rycerskich, a nawet ich wcale nie lubi. Kergolaj może temu niecałkiem wierzył, ale *faire bonne mine* to rzecz właśnie francuska, tym zresztą sposobem spadł mu kamień z serca, bo mu otworzył wrota do domu Kijasa, gdzie dotąd zawsze tak dobrze się bawił.

W niedzielę tedy, zaraz po nieszporach, kiedy

słońce czerwcowe jeszcze dosyć wysoko świeciło na niebie, otworzyły się wszystkie Kijasowe komnaty na przyjęcie gości. Kijas miał pięć komnat obszernych na pierwszem piętrze, z których w dzień wielkich festów dwie w izby jadalne zamieniał, a trzy do zabawy i tańców przeznaczał. Wszędzie przygotowano mnóstwo świec jarzących, bo, jak dziś, tak i wówczas, mnogość światła była głównym warunkiem świetności przyjęcia. W izbach jadalnych pozastawiano ogromne stoły, na których na wielkich srebrnych, glinianych i drewnianych półmiskach i misach piętrzyły się combry jelenie i sarnie, uda wołowe i baranie, pieczone indyki, gęsi i kapłony, pomiędzy niemi zaś na płytkich talerzach misterne i suto ocukrowane pieczywa (cukier był jeszcze wtedy rzadkością i tylko w bardzo zamożnych domach go miewano), pierniki toruńskie, już wtedy znane, a nadewszystko pulchne podługowate kukiełki, cienkiemi listkami złota oblepione, najwykwintniejszy przysmak piekarski owego czasu. Wszystkie te misy i półmiski opierały się o niezliczoną ilość dzbanów, srebrnych konewek i butli, napełnionych miodem, małmazją i rozmaitemi innemi winami. Po kątach, na pięknie rzeźbionych kobylicach, stały beczki z piwem, a przy nich chłopcy sklepowi, w świąteczne szaty ubrani, z kubkami w ręku. Trzy inne komnaty były przybrane w wieńce z liści dębowych i kwiatów, w których się wtedy bardzo kochano, a na podłodze porozścielano dywany tureckie i perskie, w tak pyszne kwiaty dziergane, że prawie żal było stąpać po nich butami. Ale Kijas dziś nie żałował niczego, bo najprzód chciał Kergolajowi pokazać, że kupiec lwowski nie gorszy od innych, a potem wła-

śnie dnia wczorajszego nowy wojewoda ruski zjechał na Niski zamek i przyrzekł mu jego festyn swoją zaszczycić obecnością — a Tigranes, dbający bardzo o łaskę możnych, uprosił sobie u ojca, ażeby kredkę na dzisiaj w kąt rzucono i nie rachowano, co ta feta będzie kosztować. Zaczem, czego nigdy dotąd nie czyniono, dziś nawet wschody i wjazd do bramy zaścielono suknem czerwonem, w dziedzińcu zaś zastawiono także obfite stoły dla sług i żołnierzy, którzyby przybyli ze swymi panami.

A wtedy już zaczęli goście się walić: jedni na koniach, drudzy w lektykach, przez wyzłoconych bośniaków niesionych, a trzeci pieszo, pojedynkiem i gromadami. Wojewoda, kasztelan i podstarosta, przyjechali konno, na wielkich ogierach rycerskich, wiodąc za sobą knechtów konnych i pieszych. Wojewodą ruskim, niedawno co mianowanym, był wtedy Mikołaj Tęczyński Toporczyk, kasztelanem Stanisław z Chodcza, herbu Poraj, a podstarostą Rusin Łopatka, herbu Łopot, dziedzic na Ostałowicach.

Wojewoda był to mąż potężny budową i wzrostem, z wielkim nosem i dużemi siwemi oczyma, ale gołowąs, a ubrany z francuska, w kaftan z dwubarwnego atłasu z buchastemi rękawami i takież krótkie hajdawery, w pończochy jedwabne i długie śpiczaste trzewiki z pozłocistemi sprzączkami. Na głowie miał kapelusz z podniesioną z jednej strony szeroką kryzą i bogatemi strusiemi piórami. Tak trochę z błazeńska wyglądał; wszelako płaszcz, choć nie długi, ale sobolami podbity i wyłożony, dodawał mu senatorskiej powagi. Wąsy zawiesiste, złotolite żupany i pasy i długie delje, jak

w ogólności owe poważne i piękne stroje narodowe, któremi Polska tak świetnie błyszczała pomiędzy innemi narody, zaczęto nosić dopiero w wieku następnym.

Kasztelan, ubrany w strój tej samej mody, był niebardzo pokaźny, miernego wzrostu i chudy, o bladej twarzy i rzadkiej siwawej brodzie; widać było po nim, że już na nim usycha ten ród, niegdyś znakomity i możny, panujący na Chodczu, do którego należała część znaczna Pokucia, na Lubieniu, na Chłopach i wielu innych majątkach, a idący przez długie czasy z przemożnymi Odrowążami o lepsze, których przewagi, gwałty i wojny domowe, jeszcze natenczas, to w malowniczych, to w strasznych powieściach, obiegały wszystkie chaty na całej Rusi.

Zato Łopatka był czerstwy i zdrów, rumiany na twarzy i jędrny, nieodrodny syn owego niepożytego ruskiego szczepu, który już tyle wytrzymał niedoli, a ani na duszy, ani na ciele nie upadł — miał białą czuprynę i krótko strzyżoną brodę, kaftan aksamitny z guzami, buty rycerskie i krzywą szablę u boku. Ani półmiskiem, ani kubkiem nie gardził, od gładkiej podwiki także oka nie odwrócił, ale był bardzo szanowany przez wszystkich, jako mąż sprawiedliwy, a zresztą jako potomek bardzo starożytnego rodu, który od wieków był jednym z pierwszych na Rusi, a nawet jeszcze i potem kwitnął dość długo i niejednego władykę wydał ze siebie.

Prawie jednocześnie z senatorami przybyli biskupi: Jędrzej Boryszewski, herbowny brat kasztelana, arcybiskup lwowski, w pozłocistej karocy o jednych drzwiczkach, a biskup ormiański Kilian

i ruski władyka piechotą. Istniały już wówczas karety o dwóch drzwiczkach i oknach, ale arcybiskupi lwowscy jeszcze nie mogli sobie takich zbytków pozwalać. Hojnym był wprawdzie dla nich Władysław Jagiełło, ale jego synowie cokolwiek mniej, musieli więc sami, idąc za przykładem Grzegorza z Sanoka, oszczędzać grosz i dobra skupować, wszakże i to szło im oporem, bo ich chorągwie, które tak dla powagi, jak dla obrony utrzymywać musieli, prawie wszystkie oszczędności im pochłaniały.

Arcybiskup był to mąż bardzo poważny, około pięćdziesięciu lat wieku, wysoki, z długą brodą, w długim jedwabnym talarze z czerwoną uszatą piuską na głowie. Kilian był mały i chudy, ale bardzo wesoły. Władyka zaś prawie jeszcze młody, z czarną brodą do pasa, rubaszny, ciekawy, za pan brat ze wszystkimi, wielki przyjaciel ślubów, chrzcin i styp pogrzebowych; obydwa zresztą lubili sute wieczerze, co też niedziwno, bo obydwa nie opływali w dostatkach.

Za biskupami przyciągnęły kobiety: kasztelanowa, podstarościna i rozmaite bogate mieszczki, wszystkie w lektykach, koło nich ich córki pieszo. Wszystkie starsze matrony były ubrane bardzo bogato, w roby z atłasów i aksamitów, ze złotogłowiów i adamaszków, przetykanych srebrem, w perłowych albo złocistych czepcach, a na tem wszystkiem miały na sobie szuby, chociaż to było już w lecie, podszyte i obłożone sobolami, kunami lub innem futrem bogatem. Były przytem obładowane złotemi kolcami, pasami, naramiennikami, klamrami i pierścieniami, że niektóra z nich wyglądała, jak sklep bogatego złotnika. (Kieszonkowych

zegarków jeszcze wtedy nie było). Panny ubierały się skromniej, ale także bardzo wystawnie. Dawano im suknie jedwabne, dziergane w kwiaty jaknajżywszych kolorów, obwieszano je tkaninami perskiemi i indyjskiemi delikatności pajęczej, pozwalano im nosić trzęsidła i naramienniki, a nóżki zaciskać w śpiczaste trzewiki z tak wysokiemi korkami, ażeby mysz mogła przebiec pomiędzy podeszwą a korkiem, inaczej trzewik nie byłby modnym. Lektykom i pannom towarzyszyli kawalerowie, szlacheccy i mieszczańscy, bo stany jeszcze się tak bardzo nie rozdzielały od siebie, niemieccy, rusińscy, ormiańscy, polscy i tatarscy, wszyscy w krótkich aksamitnych lub atłasowych kaftanach, w spodniach krótkich buchastych, a dalej całkiem obcisłych, w kolorowych trzewikach i tokach albo biretach z piórami, z wyjątkiem Tatarów, którzy nosili kubraki sukienne, srebrne pasy czerkieskie, czapki śpiczaste, najczęściej białym obszyte barankiem, i krótkie szable u boku.

Za tym zgiełkiem matron, panien i kawalerów, przypływali powoli starsi mieszczanie, ławnicy i rajcy, właściciele sklepów, fabryk i posiadłości wiejskich, wszyscy panowie kamieniczni (bo kto nie miał kamienicy w mieście, nie był uważany za mieszczanina), wszyscy z ogolonemi twarzami na modę niemiecką, ubrani zazwyczaj czarno, w krótkie suknie pod spodem i sukienny lub aksamitny krótki płaszcz z rękawami, w birety niemieckie albo florenckie i w czarne trzewiki ze srebrnemi sprzączkami. Jeszcze się ten tłum dopiero gromadził przed kamienicą Kijasa, kiedy w przeciwległym rogu rynku, napełnionego ciekawą gawiedzią, pokazał się rycerz na białym koniu, ubrany w kaf-

tan atłasowy napoły żółty i fioletowy, takież ubranie niższe, a dalej w spodnie obcisłe i safjanowe trzewiki na wysokich czerwonych korkach, ozdobionych złotemi ostrogami; na głowie miał kapelusz z piórami i brylantową agrafą, na sobie płaszczyk rycerski z czarnego aksamitu; a za nim jechało sześciu żołnierzy, ubranych w hełmy i stalowe koszulki. Był to Kergolaj: gawiedź go sobie pokazywała palcami, bo wszyscy go już znali z imienia, a nie każdy go widział.

Kijas, równie czarno ubrany, jak wszyscy mieszczanie, stał z odkrytą głową przy bramie i gości przyjmował. Za nim stali Tigranes, w pstry strój kawalerski, i Kundrat, w bakałarski tabard przybrany. Kijas miał piękną do senatorów przemowę, dziękując za zaszczyt, jaki mu wyrządzali; wojewoda sam mu odpowiedział, wynosząc cnoty i zasługi lwowskiego mieszczaństwa. Takie same przemowy się powtarzały przy przyjęciu biskupów i matron; za biskupów odpowiadał proboszcz katedralny, sławny kaznodzieja, za matrony dworzanin rękodajny kasztelanowej. Tymczasem już wszyscy goście się zgromadzili przed kamienicą, a między nimi widać było kilku mnichów, przełożonych rozmaitych klasztorów, niektórych księży świeckich, w bardzo pstre suknie poubieranych, z pomadowanemi kędziorami i fryzowanemi brodami, a wreszcie rybałtów z rozmaitemi muzycznemi instrumentami.

Po tych przywitaniach Kijas prowadził gości, a najprzód matrony do komnat pierwszego piętra. Tam przy drzwiach otwartych oczekiwała je Formoza. Była ona, wbrew modom, w ciemną aksamitną suknię bez żadnych ozdób ubrana, miała tyl-

ko na głowie złotolitą duchenkę i była ściśnięta powyżej bioder przepysznym pasem, z perłowych klamer złożonym: prostota serca wyraża się zwykle w zewnętrznem ubraniu. Matrony i panny witały Formozę, jako dawną znajomą, u których miała wielkie zaufanie, tylko wojewoda stanął przed nią, jakgdyby olśniony i rzekł:

— Nie żałowałem nigdy, żem się ożenił, ale, ujrzawszy waszmość panią, obawiam się, że będę miał noc niespokojną.

Był to komplement trochę zanadto otwarty, jakoż zarumienił Formozę, ale wojewoda się zaraz poprawił, pytając:

— A gdzież szczęśliwy małżonek waszmości?

Natenczas Kijas pchnął prędko Tigranesa przed siebie i polecił go łasce wojewody. A pan Tęczyński jeszcze więcej się zdziwił i rzekł:

— Panie bracie, twoja jejmość, jak widzę, mogłaby cię wziąć pod pachę i igrać tobą, jak łątką. Ale nie trzeba sądzić z pozoru. Widziałem ja ludzi jeszcze daleko podlejszej kompleksji od ciebie, a mieli duszę wspaniałą i dobrą głowę na karku. Owóż podobno tak jest u ciebie, co mi też powiadano.

Ojciec i syn byli tedy bardzo zadowoleni i prowadzili gości do dalszych komnat, co też było koniecznem, bo pierwsza komnata była już przepełnioną, a jeszcze się wielkie tłumy cisnęły od wschodów. Z nimi wszedł także Kergolaj, wesół, jak nigdy, i, głowę niosąc wysoko, sypnął parę komplementów Formozie, jakgdyby nic nigdy nie było, i poszedł zaraz między biskupy i senatory, którzy, jako z rotmistrzem królewskim, chętnie się z nim bratali. Po chwili jednak wrócił do pierwszej

komnaty i, stanąwszy u okien, przypatrywał się nowym gościom przypływającym. Już się ścisk zaczął trochę przejmować, już przychodzili tylko pomniejsi, już nawet weszli rybałci, a wtedy zjawiła się jeszcze jedna dama w otoczeniu dwóch kawalerów, jedna z tych elegantek, co zawsze na ostatku przychodzą.

Była to kobieta jeszcze bardzo młoda, może dwadzieścia cztery lat wieku, dość słuszna, ale zarazem okrągła i pulchna; twarz miała białą i świeżą, jakgdyby krew z mlekiem, nosek troszeczkę zadarty, oczy śmiejące, usta cokolwiek pełne, świadczące o rozbudzonych uczuciach zmysłowych, a włosy ciemnoblond bardzo bogate, dziwnie do siebie nęcące miękkością puchu i blaskiem jedwabiu. Kobieta ta na ludzi, którzy cenią w płci pięknej okrągłe formy, świeżość cery, wesołość serca i krew, życiem grającą, sprawiała niezmiernie sympatyczne wrażenie; toż w czasach tych, gdzie okazałość zewnętrzna silnie uderzała na zmysły, a zmysły panowały nad duchem, rzadko kto mógł obojętnie patrzeć na jej błyszczącą urodę. Była ona w towarzystwie, jak wir w wodzie bieżącej: kto się zbliży do jego kręgów, ten musi z nim płynąć, a niezwykłej siły potrzeba na to, aby się odbić od niego. Jednak jej strój nie był w zgodzie z jej postacią zewnętrzną, miała bowiem wierzch sukni z czarnych jedwabiów, a spodni z białych tkanin muszlinowych, do tego zaś żadnych na sobie świecideł. Tylko czerwone trzewiczki rozjaśniały cokolwiek tę posępność ubioru.

Kawalerowie, którzy przyszli w jej świcie, byli to Olizar i Frąc Ajchinger, jej szwagier. Olizar w czarnym aksamitnym kubraku ze złotemi guza-

mi, Frącek zaś w czerwonym kaftanie, białych pludrach niemieckich i safjanowych butach rycerskich.

Dama ta uściskała zaraz serdecznie Formozę i rozpoczęła z nią żywą rozmowę, której nie można było dosłyszeć. Zdaje się tylko, iż się przed nią usprawiedliwiała, że właściwie nie powinna była przyjść — a Formoza rozgrzeszała ją, mówiąc:

— Przecie już dawno minęło pół roku...

Zaczem obydwie wzięły się pod ramiona i poszły pomiędzy senatory i starsze matrony.

Kergolaj rzucił na nią okiem znawcy i wąsa poprawił. Poczem pociągnął za nią do drugich komnat i tam znowu na nią spojrzał po raz i drugi, a wreszcie obejrzał się za kimś znajomym, któryby go oświecił, kto jest ta dama.

Tigranes mu to opowiedział.

Była to wdowa Ajchingerowa, z domu Łopatyczówna, imieniem Pachna.

Łopatowie, Łopatkowie i Łopatycze, była to jedna i ta sama rodzina. Jednego syna Łopaty nazwano z polska Łopatką, a drugiego z ruska Łopatyczem i tak to zostało, bo nie królowie albo kanclerze koronni, ale głos publiczny i używanie tworzyły wówczas nazwiska. Tak było w Polsce, tak i na Rusi. Łopatkowie się prędzej spolszczyli, Łopatycze Rusinami zostali, a głos publiczny wyraził to w ich nazwiskach. Łopatycz, ojciec Pachny, przyjął prawo miejskie we Lwowie i tu się osiedlił, a prowadząc skrzętny handel z Tatarami, dorobił się znacznego majątku. I on miał także piękną kamienicę przy Halickiej ulicy, chociaż tylko o trzech oknach, ale zaopatrzoną równie bogato. Pachna, jego córka jedyna, będąc młodą dziewczyną, miała

swoje ambicje. Chciała wyjść za polskiego rycerza, któryby zczasem został senatorem. Jej ojciec, Rusin i demokrata, nie lubił rycerstwa, przenosił nad nie stan kupiecki, upierał się przy tem, ażeby wyszła za kupca i z wielkim uporem wbijał w nią przekonanie, że niemasz dla dziewki lepszego postanowienia, jak w stanie kupieckim. Pachna się chwiała: obok wielkiej sympatji dla rycerzy, nie pogardzała kupcami. Tymczasem los zrządził wcale inaczej. Ojciec jej umarł, a wkrótce po jego śmierci zjawił się we Lwowie rycerz niemiecki, Kunc Ajchinger, człowiek mało co więcej jak trzydziestoletni, bardzo kształtnej budowy i twarzy tak pięknej, że wszystkie kobiety nie mogły mu się napatrzeć. Pachna się w nim zakochała na umor i poszła za niego.

Ci Ajchingerowie była to stara szlachta niemiecka, mieli bieżącą wiewiórkę w herbie na tarczy i taką samą wiewiórkę, siedzącą nad koroną pomiędzy dwoma rogami, byli też w Niemczech sławni i poważani. Ale jeden z nich, Zybult, zabłąkał się do Lwowa, tu się ożenił z Rusinką, tu osiadł, przyjął prawo miejskie i handel założył — i to mu przyniosło pewien uszczerbek pomiędzy rycerstwem w Niemczech, a nawet i w Polsce. Bo wtedy jeszcze pomiędzy szlachcicem a rycerzem była pewna różnica. *Le gentilhomme nait, le chevalier se fait,* powiedziano niegdyś we Francji, i stało się to prawem dla rycerstwa wszystkich narodów. Można było być szlachcicem, a nie być rycerzem. Wolno było szlachcicowi bawić się jakiemkolwiek rzemiosłem, ale rycerz nie mógł się imać takiego zarobku bezkarnie. Jemu było wolno rozbijać kupców po drogach, ale samemu kupiectwem się ba-

wić, to nie uchodziło. Z dwóch synów Zybulta jeden, Kunc, człowiek rozumny, odważny i zręczny, dobił się łatwo rycerstwa w Niemczech, ale młodszemu, Frącowi, już się to nie udało, był tylko knechtem, czy knapem, ale rycerstwa się jeszcze nie dobił.

Kunc miał wszystkie zalety, jakie zazwyczaj zdobią rycerza, ale miał także i wady. Lubił pić i grać w kości, a przytem był kotem na podwiki. Z początku jeszcze jakoś dość wiernie trzymał się Pachny, ale kiedy mu żona spoważniała, a nareszcie i synka powiła, djabeł zaczął w nim palić, ledwie, że rankiem wracał do domu, a zato pełno go było po gospodach, gdzie tańce się odbywały. Do tego stopnia nawet nie dbał o swój honor rycerski, że się tłukł po przedmieściach i tamtejsze dziewczęta uwodził. Owo więc przeszłej jesieni poznał był Fesię, córkę tkacza, mającego pod Wysokim Zamkiem mały folwarczek z gruntami. Fesia była najpiękniejszą ze wszystkich dziewcząt pod zamkiem, nosiła czerwone i błękitne staniki, a w warkoczach wstążki wszystkich kolorów, które, jak tęcza, za nią w tańcu powiewały. Kunc wziął się na nią, jak djabeł na grzeszną duszę. Uważał wprawdzie, że z Fesią zawsze Petruś tańcował, syn kowala, chłopek niewielki, ale nabity i gładki, „biłe łyczko, czorny wuś“, jak piosnka śpiewała. Jakoż Fesia mu się stale broniła, dając mu na wszystkie propozycje odmowną odpowiedź: „mowyła Fesi, że obyjde si“. Ale taki rycerz niemiecki mało dba o czeladników kowalskich, a wytrwałością bije opór kobiety. Jakoż istotnie jednego wieczora Fesia mu się wygadała, że przez całe lato aż do późnej jesieni sypia na brogu, co stoi

pomiędzy stodołą a szopą. Kunc jej zapowiedział, że jeszcze tego wieczora przyjdzie na pacierze. I przyszedł. Obaczywszy drabinę przypartą do brogu, wskoczył na nią z radością i wylazł na górę; lecz kiedy już był na ostatnich szczeblach i zajrzał do brogu, zamiast Fesi, pokazał mu się jakiś chłop wąsaty i z całej siły żelaznemi widłami wjechał mu w ślepie. Kunc, nie mogąc wytrzymać takiego ciosu, spadł po wszystkich szczeblach drabiny aż na dół i kości sobie połamał. A kiedy padł z jękiem na ziemię, ponad szczytem drabiny pokazał się ten sam djabeł wąsaty, wyszczerzył białe zęby, rozśmiał się głośno i zawołał: — „Trysta tobi mat'... otoś sia zabyw, panyczu!" — Nad nim zaś, oparta obydwiema rękami na jego ramionach, pokazała się Fesia i także się śmiała. Takie to zdradliwe bywają te piękne Rusinki.

Dobrze im było śmiać się, kiedy byli na górze, ale biedny Kunc złamał sobie krzyż pacierzowy i wcale bez jęku dał ducha Bogu. Nazajutrz rano znaleziono go nieżywego pod brogiem. Pachna wpadła w rozpacz, a zarazem i w złość i chciała ciągnąć do sądu zabójców. I pobiegła z tem do starego Kijasa. Ale Kijas nie był tak gorąco kąpany i odpowiedział jej najprzód: — „O jednego Niemca tyle hałasu? Jeszcze ich tu dosyć zostało". — To Pachnę ochłodziło cokolwiek. Jednak mu powiedziała, że sądu trzeba koniecznie, bo to hańba dla niej i jej familji, która spadnie na jej syna i będzie mu szkodzić. — „Hańba? — rzekł na to Kijas. Jeszcze to nie tak dawno, jak biskup krakowski, Zawisza, takuteńką śmiercią zginął przy brogu, a przecie to biskupom krakowskim wcale nie zaszkodziło". — „Jużci to prawda" — myślała Pach-

na; — a tymczasem rozumny Kijas uczucia jej w całkiem inną stronę odwrócił, mówiąc: — — „A jejmość pani powinnabyś całkiem inaczej o tem rozumieć, bo mąż taki, który ma żonę tak urodziwą, a za dziewkami łazi po brogach, jeśli kark skręcił tak gładko, to jeszcze wcale nie otrzymał tej kary na jaką zasłużył. Daj jejmość raczej na mszę do Pana Boga, że cię od niego uwolnił, bo byłabyś się z nim na śmierć zagryzła". — Niektóre kobiety są jako organki, co same grają: potrzeba je tylko nastroić, ażeby tę pieśń zagrały, co trzeba; tak też i Pachna zaraz inaczej zrozumiała tę sprawę i napełniła się oburzeniem przeciw temu mężowi. Zaś wkrótce potem całkiem o nim zapomniała, jej z nim pożycie wydawało jej się, jak sen, który znikł po przebudzeniu, tylko synek został się po nim i obowiązkowa żałoba.

Dowiedziawszy się o jego śmierci, jego brat Frąc przyjechał do Lwowa. Miał zamiar przeprowadzić tylko dział majątkowy i nazad wrócić do Niemiec; wszelako zmienił postanowienie, postarał się i z łatwością otrzymał wysoki urząd wojskowy na Niskim zamku i został we Lwowie. Głucha wieść niosła, że się we wdzięki swojej bratowej uplątał; bardzo to było podobne, ale Olizar już przed nim stanął u niej na służbę — a z Olizarem nie każdy mógł chodzić o lepszą.

Taką to dziwną historję opowiedział Tigranes Kergolajowi, który mu za to dziękował i mówił, że jest to kobieta tem więcej zajmująca, bo godna pożałowania.

A w tem uderzono w trąby w izbach jadalnych na znak, że czas do wieczerzy.

Jeden był głodny, a drugi łaknął, więc wszyscy

szli tłumnie za biskupami i senatorami. W tym tłumie Łopatka się za Olizarem obejrzał, a dojrzawszy go, zawołał:

— Wyrypaj!

Olizar ścisnął go za rękę i rzekł:

— Czegoż ty mnie wołasz Wyrypajem? — i dodał półgłosem: — Tak mnie tylko mołodyce po przedmieściach wołają.

— A może i ja mołodyca.

— Idy do ditczoj matery! — zawołał, śmiejąc się Olizar. — Jeszcześ się nie upił, a już przystępuje do ciebie.

A wtedy Łopatka trącił go w bok i zapytał:

— No, a jak tam z Pachną? Kiedyż wesele?

— Jeszcze żałoba.

— Ale nim żałoba minie, miałbym ciebie za ba i bardzo, gdybyś nie dał w kark temu czerwonemu Niemcowi, bo ma plecy takie szerokie, że i Pachny z poza niego nie widać.

— Dam ja jemu w kark, że ziewnie duszą tak samo, jak Kunc. Niech jeno okazja się zdarzy.

Tu wszakże Olizar skoczył prędko ku Pachnie, aby mógł siąść przy niej u stołu. I Frącek także trochę przyśpieszył kroku, ale powolnego Niemca zwinny Francuz uprzedził i siadł przy niej po drugiej stronie. Frąc poszedł ku beczkom i napił się piwa, jako to u Niemców piwo być musi lekarstwem na wszystko; Pachna zaś była bardzo uradowana, że koło niej usiadł rycerz francuski, o którym tak wiele w mieście mówiono, i bardzo żywo z nim rozmawiała. Olizar nie był o Francuza zazdrośnym, owszem, powziął dla niego zaraz sympatję za to, że Frąca niedopuścił do Pachny —

a zresztą, co do rozmowy, to jeszcze dla niego dosyć zostało.

Do stołów siadano wówczas, tak jak i dzisiaj, według godności i wieku. Przy głównym stole wojewoda siedział we środku, a naprzeciw niego arcybiskup lwowski, koło nich zaś po jednej stronie i drugiej dygnitarze duchowni i świeccy, alternując z poważniejszemi matronami. Za każdym dygnitarzem stał jego paź albo wyrostek, podając mu talerze i nalewając kielichy, za matronami panny służebne, a czasem własne ich córki. Kijas, Tigranes, Formoza i Kundrat wcale nie zasiedli do stołu, tylko służyli wszystkim, pilnując zarazem, ażeby służba szła gładko i sporo. Młodzi kawalerowie także się kręcili koło stołów, rozbierając indyki i kapłony, usługując starszym i prawiąc grzeczności pannom swojego serca, a wyręczając je w służbie około ich matek.

Jedzono nie żartem, a pito, co szyja strzymała, zaś po każdem daniu rybałci uderzali w instrumenty muzyczne i grali jakąś pieśń wesołą ku rozradowaniu serc biesiadników! Po każdej pieśni puszczano w kolej kielichy i pito przezdrowia starszyzny, wojewody i arcybiskupa, kasztelana i obydwóch władyków. Tak to się powtarzało przez pierwszą połowę wieczerzy, ale w drugiej połowie sam wojewoda zaintonował starą pieśń rycerską i kazał do niej brząkać rybałtom. Chór ten niebardzo był harmonijny, ale bardzo wesoły. Po pieśni znowu jedzono i pito. Potem śpiewano znów pieśni inne, polskie i ruskie, coraz weselsze, aż wreszcie ten i ów zaśpiewał jakąś piosneczkę rubaszną i tłustą, której dziśby nie można powtórzyć, ale której podówczas zawsze wtórował śmiech homeryczny.

Śmieli się senatorowie, śmiały się stare matrony, śmiały się panny, że aż okna brzęczały. Tylko arcybiskup się raz i drugi pokręcił na stołku, aż wreszcie wstał i dał znak, że godzi się koniec położyć wieczerzy.

Wszyscy więc wstali i przeszli do drugich komnat, lecz przeto się jeszcze nie skończyła zabawa. Senatorowie, duchowni i świeccy poszli do ostatniej komnaty, zabrawszy ze sobą co poważniejsze matrony, a tam zastali stoły zastawione spleśniałemi flaszami, w których się znajdowały najwyborniejsze małmazje i stare wina cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Towarzyszył im sam stary Kijas, a nalewając kielichy, tłumaczył im nazwę i pochodzenie każdego likworu, skąd się pokazało, że niektóre z nich miały po lat kilkadziesiąt, a innych nie można było dostać za żadną cenę. Mieli je chyba tylko Fuggerowie w Sztutgardzie albo inne, równie po książęcemu zamożne i zaopatrzone domy kupieckie w Gdańsku, w Genui albo w Wenecji. Po zamkach rycerskich bardzo rzadko tak stare i takie drogie znajdowały się wina, bo rycerze ówcześni mieli takie niepowściągliwe pragnienie, że żadnemu trunkowi nie dali się zestarzeć; tylko roztropni, a zarazem umiarkowani w swoich pragnieniach kupcy takie skarby miewali. Kijas, nalawszy taką odwieczną małmazją kilka kielichów, podał jeden z nich wojewodzie i rzekł:

— Racz wasza miłość skosztować. Nie lubię się chwalić, ale w tym razie mogę ich mościów zapewnić, że takiej drugiej małmazji w całej Polsce nie znajdzie.

Zaś drugi kielich podał arcybiskupowi. Obydwa

skosztowali i spojrzeli prawie ze zdziwieniem na starego Kijasa. Wojewoda pierwszy zawołał:

— Panie bracie! Ledwiem skosztował, a już mi się zdaje, żem wszystkich aniołów na niebie obaczył.

A Kijas zatarł ręce i odpowiedział:

— Po drugim kielichu wasza miłość samego Pana Boga obaczysz.

Arcybiskup zaś, który miał się już żegnać i wychodzić, ażeby nie patrzeć na to, co się dalej dziać będzie, skosztowawszy raz jeszcze, siadł poważnie u stołu, trzymając swój kielich w ręku i patrząc ciekawemi oczyma na starego Kijasa. Jego twarz przybrała wtedy wyraz bardzo wymowny, zdało się, jakoby mówił do siebie: — „Znam tego kołtuna od lat niepamiętnych, alem nie wiedział, że ma takie nektary w swojej piwnicy".

Od nich przeszedł Kijas do matron, które w innym zebrały się kącie, i ponapełniał ich kielichy słodkiem winem cypryjskiem. Bardzo niebezpieczne to wino, bo się pić daje, ale rozpala krew, a potem się wspina do głowy. Nie wiedzieć, dlaczego Kijas takim zdradliwym trunkiem poczęstował takie poważne kobiety. Ej, czy tylko figlarny czasami starzec nie chciał jakiej sztuczki wypłatać ich mężom. Ale być może, że pragnął tylko, ażeby mu jego wino chwalono. Jakoż istotnie przyjęty jest przez wszystkie te damy z oklaskiem, które też zaraz około stołu zasiadły, popijając po kropelce, lecz często i zachęcając jedna drugą dopóty, aż póki się wszystkie nie rozochociły.

Po chwili około senatorskiego stołu zaczęło się robić coraz gwarniej i głośniej. Wojewoda rozprawiał o królu, wychwalając jego rycerskie zalety

i przepowiadając, że za maluczko cały świat swemi czynami zadziwi i wszystkie kraje swoją sławą napełni. Chorowity kasztelan skarżył się na upadek powagi szlacheckiej na Rusi, na zuchwalstwo kmieci i mieszczan i przyszłość w czarnych malował kolorach. Łopatka przyznawał wprawdzie, że nie wszystko idzie takim porządkiem, jak trzeba, że w uzbrojeniu obydwóch zamków są szczerby, któreby trzeba jak najprędzej połatać, że drobna szlachta upada, ale jak w Krakowie zatrąbią, to jeszcze Ruś światu pokaże, co warta jest w polu; — arcybiskup zaś widział wszystko złe w obojętności dla wiary, w ubóstwie księży, w niedostatku kościołów i pragnął, ażeby młody król, nim wszystkie kraje swoją sławą napełni, poszedł raczej w ślad swoich przodków, w ślad Kazimierza Wielkiego, który Polskę zmurował, w ślad Władysława Jagiełły, który dbał tak gorliwie o wiarę i tak szczodrobliwie wyposażył kościoły. Bardzo to tedy poważna była gawęda, ale w miarę wychylanych kielichów coraz głośniejsza i coraz gwarliwsza, że wreszcie kilku mówiło razem i jeden drugiego nie mógł dosłyszeć.

Malmazja rozwiązała języki mężom, ale wino cypryjskie rozweseliło serca jejmościom. Tam było gwarniej, tu trochę ciszej, ale daleko serdeczniej. Poważnym matronom zrobiło się bardzo gorąco, zaczęły więc najprzód zrzucać ze siebie sobole i kuny, a potem ta i owa wzięła swoją sąsiadkę pod pachy i zaczęła z nią tańczyk wywodzić. Spostrzegli to mężczyźni, nuż do nich i dalejże w pląsy. Wojewoda pierwszy kazał zawołać rybałtów i puścił się owego powolnego oberka, który Niemcy tutaj przynieśli, a Rusini przyjęli.

Arcybiskup wstał i zaczął się rozpatrywać z właściwą swojemu wysokiemu urzędowi powagą, kędy cieśla drzwi zrobił. Uważny na wszystko Kijas, przybiegł mu w pomoc i, podawszy mu ramię, wyprowadził go wśród rozstępujących się tłumów przez sień i schody aż do jego karety. Dziękując mu za tę atencją i, namyśliwszy się dobrze nad tem, co mu ma powiedzieć, rzekł arcybiskup do niego:

— Dobre masz wino, panie Epaminondas, ale zdradliwe. Uważajże, aby zgorszenia nie było, bo jutro mi spowiedników nie starczy.

— *Illustrissime* — odpowiedział mu Kijas — gospodarz dba o to, ażeby się goście zabawili u niego, a miarę musi zostawić ich własnemu sumieniu. Ale u mnie mój syn ma oko na mężczyzn, a pani Formoza swoją własną przyzwoitością daje przykład kobietom.

Tymczasem, jak tylko arcybiskup odjechał, w drugiej największej komnacie całkiem inaczej się rozhulano. Tańczono podówczas jakiegoś menueta, taniec poważny i bogaty w rozmaite figury, do którego rycerze w pełnej zbroi stawali, a damy w ciężkich robronach, w których ledwie mogły się ruszać. Tym tańcem dowodził Kergolaj, idąc w pierwszą parę z Formozą i komenderując innymi. Grali mu rybałci na cymbałach, harfach i trąbkach, i wszystko odbywało się przyzwoicie. Ale kiedy lepiej podpito, taniec ten nie wystarczał ochocie, zaczęto więc skakać, każdy według swego konceptu, a nawet według temperamentu, bo wyprawiano już zbytki z kobietami. Do tego jeszcze ten hukał, a drugi śpiewał, kobiety broniły się z śmiechem i krzykiem natarczywym mężczy-

znom, a młodzi tworzyli osobne kółka po kątach, biorąc się pod ramiona i otaczając panienki, a zmuszając je do pląsów według swojej woli. Cała komnata napełniła się wtedy krzykiem i piskiem, i tak chaotycznym hałasem, że już i muzyki nie można było dosłyszeć. Tigranes, który miewał napady swawolnego panicza, co gotów szyby tłuc, ażeby tylko zabawić siebie i drugich, zamiast po myśli swojego ojca mieć oko na mężczyzn, wpadał, jak raca, pomiędzy skaczących, śpiewał jakąś piosnkę ormiańską, której pierwszą zwrotkę ciągle powtarzał, jednego po drugim obydwiema rękami uderzał w piersi, innego za pas pociągnął, aby go przewrócić, a nawet i kobietom różne psoty wyprawiał. Napróżno mrugała na niego, a czasem i ręką kiwała Formoza; młodzieniec tak się rozszalał, jak źrebiec, co się wyrwał ze stajni w wirydarz i bryka, depcąc swojemi kopytami piwonje i tulipany, fiołki i róże.

Ale był tam ktoś jeszcze szaleńszy od niego — a to był Olizar. Szczery ten Rusin brał wszystko na serjo, co robił: czy w kości grał, czy dziewczęta uwodził, czy pił, czy tańcował. Jutro już o tem zapomniał, ale czem właśnie się zajął, to wykonywał gruntownie i z najwyższą energją. Jemu jeszcze to wszystko było za mało, taniec zanadto powolny, a muzyka jakgdyby kto grał na drumli. Skoczył więc do drzwi i trębaczy zawołał. Trębacze z żołnierzami i dworakami pili w dziedzińcu, zaraz więc przyszli i według komendy Olizara uderzyli w trąby, tarabany i kotły. Dopiero wtedy zaczął się modą ówczesną taniec prawdziwie szalony: już nie chodziło o to, kto kogo przesadzi w skokach, ale kto kogo przewróci. Wśród piekielnego hałasu

i strzelających wybuchów śmiechu, wśród wrzasku trąb i grzmotu bębnów i kotłów, przewracano mężczyzn i przewracano kobiety. A wszystko to wirowało pędem szalonym wokoło komnaty, jakgdyby już świat miał się skończyć, jakgdyby już ziemia zapaść się miała...

Kergolaj zrazu puścił się także w ten wir szalony. Porwał Pachnę ze sobą, objął jej kibić i pędził naprzód razem z innymi, ale mu ją odbił Olizar. Kergolaj wyskoczył z tłumu i stanął niedaleko od ściany pomiędzy oknami, ocierając pot z czoła. Olizara znowu ktoś odbił, bo bardzo się rwano o Pachnę, chcąc ją także przewrócić, ale wtedy Kundratowi także się zachciało tańcować. Namyślał się długo, ale wreszcie zebrał się na odwagę i rzucił się na przebój ku Pachnie. Już dobił się do niej, już prawe ramię wyciągnął, aby objąć jej kibić, ale wtem Olizar, oburzony zapewne tem zuchwalstwem kupczyka, podbił mu nogi. Przestraszony tem Kundrat, myśląc zapewne, że posadzka pod nim się zawaliła, a on leci gdzieś w przepaść bezdenną, chwycił się obydwiema rękami ramion Pachny, ręce mu się ześlizgnęły po nagich ramionach, ale się chwycił jej sukni; tymczasem suknia pod tym gwałtownym naciskiem jego pazurów puściła, i to niewiele, co tam pod nią było, także się rozdarło. Olizar, chcąc bronić Pachnę, jeszcze raz podbił mu nogi — a wtedy Kundrat, lecąc na ziemię, obdarł Pachnę z jej wszystkiego odzienia, jak węża ze skóry. Na swoje nieszczęście, jędrna Rusinka stała twardo na nogach, zaczem wyłuszczyła się ze swoich białych muszlinów, jak Wenus Afrodyte z pian morskich, i przedstawiła się *urbi et orbi* tak prawie, jak ją matka na świat porodziła.

Przepyszne formy jej posągowej postaci i śnieżna białość jej ciała wszystkich olśniły. Kergolaj stanął czem prędzej na palcach, ażeby okiem znawcy objąć ten zajmujący obraz w całości. Olizar mlasnął ustami i już się zaczął rozpatrywać w jego szczegółach. Kundrat, zerwawszy się z ziemi, otworzył oczy i usta naścieżaj, jakgdyby jakieś cudowne zjawisko obaczył; nawet muzykanci grać na chwilę przestali, trębacz z trąbą od ust odjętą, bębenista z pałką podniesioną do góry, a wszyscy z wytrzeszczonemi oczami, jakgdyby ich kto w drewniane posągi zamienił.

Jednak to widowisko trwało tylko przez mgnienie oka i, jak błyskawica, zniknęło. Pachna w pierwszej chwili tylko instynktowo ręce wyciągnęła przed siebie, jakgdyby chciała się bronić, aby jej nikt nie dotknął; ale przytomniejsze od niej kobiety zaraz ją otoczyły i prawie na rękach wyniosły z komnaty.

W tej chwili znowu odezwały się trąby, a że największa część gości nawet wcale nie wiedziała, że się coś stało, więc tańczono dalej z takim samym hukiem i trzaskiem, jak dotąd.

Tylko Kergolaj stał wciąż na swojem miejscu, pokręcał wąsa i głęboko był zamyślony. Miłość, chociaż w swojej głównej istocie jest zawsze ta sama, jednak rozmaitemi furtkami się wkrada w serce człowieka; Kergolaj ideałów nigdy nie brał na serjo, natomiast zaś umiał zawsze należycie ocenić rzecz taką, która zmysłom podpada i przedstawia wartość realną. Okrągłe formy i świetne blaski, które dopiero co widział, silne na nim sprawiły wrażenie i zapewne nad tem się tak głęboko zamyślił.

Kundrat także oszołomiony tem, co nabroił, również przybiegł w tę stronę i stanął blisko kotary u okna, rzucając niepewnemi oczyma wokoło siebie i widocznie nie wiedząc, czy może zostać, czy ma się skryć za kotarę, czy może najlepiejby drapnąć z komnaty.

Na jego nieszczęście Frąc, Niemiec obyczajów surowych, stanął tam także, spojrzał nań dziwnie gniewnemi oczyma i rzekł:

— Chociaż jesteś mój landsman, powinienem ci dać po czuprynie, żeś takiej zacnej damie takiego wstydu narobił!

Na te słowa pod Kundratem się ziemia zatrzęsła. Nuż palnie! A ten landsman ma łapę, jak niedźwiedź, człek ani ziewnie. Frąc nawet już podniósł rękę na niego.

Ale znowu na jego szczęście przybiegł Olizar w tę stronę, a że Frąca nie cierpiał, rzekł zaraz do niego:

— Daj mu pokój. Raczej dałbyś mu buzi, że ci dał widzieć co takiego, czego, jak twego nosa, nie obaczysz nigdy w życiu.

A Niemiec odpowiedział mu z flegmą:

— W boskich to ręku. W tych rzeczach nie zuchwały, ale cierpliwy odnosi.

Tak Olizar, niechcący, obronił Kundrata, zaczem się zwrócił do Kergolaja i rzekł wesoło:

— Cóż, panie Francuz. I na Rusi jest także co widzieć. Kupisz, nie kupisz, ale jeżeli kupisz, to przynajmniej się nie poskarżysz, że ci kota w worku sprzedano.

Kergolaj chciał mu coś odpowiedzieć, ale wtem Pachna ku niemu nadbiegła. Ku zadziwieniu wszystkich, jej przyjaciółki ją w okamgnieniu na-

powrót ubrały i to tak prędko, że mogłaby była nawet tym zaprzeczyć, którzy wszystko widzieli. Tak stanęła przed Kergolajem i rzekła:

— Prędkom się zwinęła. Nieprawda? Nic nie widziano.

Przebiegły Kergolaj spojrzał na nią z uśmiechem i rzekł po francusku:

— *Rassurez vous damoiselle, on l'a vu.*

Pachna po francusku nie rozumiała, ale instynktem jego odpowiedź odgadła, uderzyła go więc wachlarzem po ramieniu, zawołała: — Nieprawda! — i czem prędzej zniknęła w tłumie. Ale już więcej nie tańczyła, tylko przeszła do drugiej komnaty.

A wtedy już tłum zaczął się cokolwiek przejmować.

Olizar stał jeszcze przez chwilę przy Kergolaju i bardzo żywo mu coś opowiadał, zapewne jakieś szczegóły o Pachnie, o których Francuz nie wiedział. Jednak spostrzegł niebawem, że Frąc stoi prawie tuż przy nich i kręci się w miejscu, jakgdyby go podsłuchiwał. To go zniecierpliwiło, ale niesłusznie, bo Frąc tylko nie mógł się zdecydować, czy ma już wyjść, czy jeszcze zostać i spoglądał na wielki ścienny zegar, który wisiał pomiędzy oknami, zegar najnowszej mody, który był przejściem od całego zegara do półzegarza, a którego tarcza pokazywała dwanaście godzin dziennych i dwanaście nocnych. Kto się na takich zegarach nie znał, ten musiał się dobrze w wskazówkach rozpatrzyć, ażeby wyczytać godzinę; Frąc sobie to kalkulował z gruntownością niemiecką i dlatego się tak długo kręcił w tem miejscu. Spostrzegłszy to Olizar, trącił łokciem Kergolaja i rzekł:

— Patrzajno na tego niemieckiego bałwana! Ani do tańca, ani do różańca, nawet i godziny wyczytać nie umie.

Tymczasem Frąc, wyrozumiawszy napewno, że wskazówka stoi na dziesiątej godzinie nocnej, ukłonił się obydwom rycerzom i chciał już wychodzić. Ale pustego Olizara żart załaskotał, zawołał tedy na Niemca:

— A już to spać idziesz z kurami?

A na to Frąc:

— Ja idę z kurami spać, bo też z kurami wstaję.

— Kiedyż idziesz spać, a kiedy wstajesz?

— Idę spać o dziesiątej, a wstaję o piątej.

— A to śpisz, jak świszcz, po piętnaście godzin na dobę.

— A jakto piętnaście? — zapytał Niemiec, zastanawiając się nad tem. — Ja tylko siedem rachuję.

— To chyba po niemiecku rachujesz, bo u nas dziesięć a pięć to piętnaście.

Więc Frąc się mocno nad tem zamyślił, a kiedy Kergolaj i Olizar patrzyli ciekawemi oczami na niego, on rzekł:

— To prawda. Nie wiedziałem, że sypiam tak długo. Pójdę więc spać dopiero o jedenastej.

— A to jeszcze gorzej — zawołał Olizar — bo jedenaście a pięć to szesnaście.

Tu Frącek cale już zgłupiał. Jakto? Im później idzie spać, tem dłużej śpi, chociaż wstaje o tej samej godzinie? A przecie przeciwko Olizara addycji nic nie można powiedzieć.

W tej chwili Olizar pozyskał sympatję Kergo-

laja, który go też wziął zaraz pod ramię i poprowadził do drugiej komnaty, mówiąc:

— Teraz już wiem, dlaczego Frąc jeszcze nie został rycerzem, chociaż jest niemieckim szlachcicem.

W wielkiej komnacie jeszcze cokolwiek brykano, ale już trochę spokojniej, zato w tej, gdzie senatorowie bawili się z matronami, bardzo było wesoło. Tam dygnitarze otoczyli Pachnę, która się z wielkiej komnaty między nich schroniła, i dworowali sobie z niej, że takie wspaniałe widowiska wydaje, a nikogo na nie nie zaprasza. Pachna, nie mogąc się żartom obronić, uciekła między matrony, gdzie Formoza ją wzięła pod swoją opiekę.

Olizar siadł między Władyką, Łopatką, a wojewodą i zaczął pić, drwiąc sobie ze wszystkich Niemców, jak to jest Rusinów zwyczajem, bo Rusin nie potrafiłby żyć, gdyby nie mógł sobie drwić z innych, co mu się też zawsze przewybornie udaje. Kergolaj zaś wymknął się z tego grona i przysiadł się do Pachny, gdzie Formoza z dobrego serca, a może trochę i z interesu, ażeby go za owe naścielenie pudełek trochę ugłaskać, ścieliła mu drogę kwiatami do tej pięknej, wesołej wdowy, której czas było zamąż. Kergolaj mógł z tego korzystać, bo był trzeźwym zupełnie; doświadczony kawaler, starający się o względy kobiety, o które się także drudzy starają, zachęca drugich do picia, ale sam nigdy nie pije. Czy się starał o względy Pachny po myśli Formozy, tego się trudno było domyśleć, ale że się o nie starał z usilnością rycerza, gotowego zawsze poświęcić się dla szczęścia uwielbianej przez siebie kobiety, to pewna, bo mówił jej takie rzeczy do ucha, że Pachna raz rumie-

niła się, jak piwonja, spuszczała oczy ku ziemi i zamykała oddech w swej piersi, to znowu głośno się śmiała, — raz mówiła: „Tak“, to znowu: „Nie“, aż, kiedy Kergolaj jej powiedział, że już jutro do Ziemi Świętej wyjeżdża, dziwnie tęsknemi oczyma spojrzała na niego, umilkła i bardzo nad tem się zamyśliła. I bardzo słusznie, bo puścić tak pięknego rycerza w podróż do Ziemi Świętej, gdzie się będzie musiał bić z wielkoludami, ze skrzydlatemi smokami i ze złemi duchami i może już nigdy nie wróci, zawsze to rzecz godna głębszego zastanowienia.

Kundrat z wielkiej komnaty zaglądał zdaleka, co się tu dzieje, rzucając skrycie pożądliwem okiem na Pachnę i może spodziewając się, że ona jeszcze i tutaj jakie ciekawe widowisko wystawi, ale zbliżyć się nie śmiał, bo, chociażby był Kergolaja w łyżce wody utopił, przecie wielki respekt miał przed nim, mówiąc cicho do siebie: „Tych rycerzy oczywiście kiedyś djabli wezmą, daj Boże jak najprędzej, ale dopóki są, powiada Wilczek, że trzeba się z nimi obchodzić ostrożnie“.

Olizar, wlawszy w biskupów i senatorów jeszcze po kilka kielichów małmazji, do reszty ich dobił. Ten i ów jeszcze huknął od czasu do czasu, albo się rozśmiał, sam nie wiedząc dlaczego, ale niebawem kucznął i usnął, a drugi się i za drzwi wytoczył. Pacholikowie dygnitarzy i słudzy Kijasa mieli baczność na wszystkich i wyprowadzali ich zręcznie ku schodom, będąc do takiej służby przyzwyczajeni. Łopatka i wojewoda wytrwali najdłużej, lecz wkońcu i wojewoda dał ramię swojemu dworzaninowi i wyszedł. Łopatka jeszcze się trzymał, rozdziawiał gębę, jak wieloryb, podniósł rę-

kę do góry, chcąc Olizarowi coś wytłumaczyć, ale już nie mógł: chwycił się stołu, ale stół mu się wypsnął, stoczył się więc pomału na ziemię i wyciągnął się na kobiercu, będąc przekonany, że już leży w swem łóżku.

Olizar sam został na placu. Rozejrzał się koło siebie, a nie widząc nikogo, machnął ręką z pogardą, poczem, trzymając się stołu, odwrócił się, chcąc dojrzeć Pachnę, albo choć Kergolaja, coby mu teraz było na jedno, bo kochał oboje. Ale patrzał przed siebie szklanemi oczyma i nic nie mógł obaczyć. W tym drugim kącie już ani Pachny, ani Kergolaja nie było...

I nikogo już tam nie było: tylko dwie matrony, przykrywszy się swemi szubkami, spały istotnie, jak świszcze, w dwóch kątach kanapy.

Olizar stał jeszcze przez chwilę przy stole, ale nareszcie i jemu ciemno zrobiło się w oczach i zachwiał się, a wtedy ktoś wziął go pod ramię i oddał go sługom, ażeby go wyprowadzili w dziedziniec.

Był to sam Kijas, który w swojej pieczołowitości o swoich gości nie ustał, aż póki wszyscy nie wyszli. A potem, kiedy już bramę kamienicy zamknięto, wyszedł na krużganek zewnętrzny i patrzał przez chwilę na to, co się działo na rynku.

Na rynku także już cisza zaległa i tylko koło Bramy Krakowskiej słychać było szum, a czasem i głosy nawołujących się ludzi. Tam na czele swoich halabardników stał sam *consul nocturnus* i bramy pilnował. Nie powinien on był jej otwierać w nocy, ale tego dnia musiał zrobić wyjątek, bo trudnoż było tak znamienitych rycerzy, jak Kergolaj i Olizar, nie wypuścić do ich gospód za miastem. Jakoż Olizar przeszedł, prowadzony przez

Tymka Biłowusa pod ramię, który z dwoma Kozakami czekał na niego przy bramie. Ale Kergolaja nie było: już i północ minęła, a *consul* czekał napróżno. Zamknął więc bramę, mówiąc sobie, że rycerz francuski, jako nieznający ulic, oczywiście gdzieś zawieruszył się w mieście.

Z północy już i Kijas ułożył się do snu, tylko Formoza jeszcze czuwała.

Kiedy już ostatnie matrony wyprowadzono, ona poszła obaczyć, co się dzieje z jej mężem. Tigranes, który trunków nie znosił, a chciał pić równo z innymi, rozchorował się jeszcze wczas przed północą i kazał się niepostrzeżenie zaprowadzić do siebie. Formoza stanęła w progu jego pokoju, ale znalazła go śpiącego snem dziecka, zmęczonego swawolą. Weszła więc do swojej sypialni, ale tam, zamiast iść do snu, rzuciła się w głębokie krzesło, stojące przy łóżku. Dziwnie ciężko jej było na sercu, pierś jej się podnosiła boleśnie, czasem zdawało się, jakgdyby jej brakowało oddechu. Po chwili zakryła twarz obydwiema rękami i rzekła łzami zalanym głosem do siebie: — Boże mój! Czyż wiecznie tak będzie? Czyż nigdy mnie nie wyswobodzisz z tych więzów? — Potem łzy jej się strumieniami puściły po świeżych policzkach i długo płakała. Nareszcie rozpięła gors, zaczerpnęła głęboko powietrza i uklękła przed obrazem Matki Najświętszej do serdecznej modlitwy. I może być, że tak się modliła, aż póki pierwsze brzaski letniego słońca nie uderzyły w jej okna...

Takie to były obyczaje w tych czasach i takie romanse po miastach. Ponad ten poziom wystrzeliwały czasem uczucia i myśli wyższego rzędu, ale ich trzeba szukać gdzie indziej.

VI.

ZAMEK NA SOBNIU.

Szlacheckie rody Tarnowskich i Kmitów sięgają bardzo odległych starożytności. Odrzuciwszy nawet na stronę, co o nich piszą herbarze, chociaż i w tem jakieś ziarnko prawdy może się znajdować, a trzymając się tylko wiarogodnych kronik współczesnych, widzimy ślady ich bytu i pierwszorzędnego znaczenia już w wiekach piastowskich. Mieli oni swoje siedziby w Krakowskiem, czyli Małopolsce ówczesnej i stamtąd wraz z Odrowążami, Zawiszami, Jordanami, Ligęzami, Gorajskimi, Lanckorońskimi, Tęczyńskimi, Barzymi, Gniewoszami i wielu innymi, przewodniczyli sprawom publicznym. W przeciwieństwie do bardzo licznej, lecz o wiele uboższej szlachty wielkopolskiej, która była przejęta duchem zachowawczości, zastoju, a nawet dążności wstecznych, oni przedstawiali zasady postępu i liberalnego rozwoju w duchu europejskim.

Oni to już za Kazimierza Wielkiego zaczęli objawiać wolnomyślniejsze poglądy na ustrój wewnętrzny polskiego państwa, a mało co później stali się twórcami owego pamiętnego zjazdu Koszyckiego, na którym zbudowano pierwsze podstawy obywatelskiej wolności, i który był pierwszym zarysem późniejszych sejmów. Rozwijając następnie z energją, każdemu postępowemu stronnictwu właściwą, swoje konstytucyjne zasady, korzystając zanadto chciwie z uległości Władysława Jagiełły i jego następców i popadłszy nareszcie w nieznające rozumnej miary wyzyskiwanie swojej potęgi.

wytworzyli później ową bezgraniczną nawewnątrz, a wyłączną nazewnątrz wolność i równość szlachecką, która po kilku wiekach stała się grobem Rzeczypospolitej polskiej. Ale pod koniec XV wieku jeszcze te rody, przewodniczące postępowemu ruchowi, odznaczają się niezliczonemi zaletami i kładą niepożyte zasługi około pokrzepienia, zjednoczenia i podniesienia ducha narodu. Mają one zarazem pewne przywary umysłu i temperamentu, z których się wyradzają rozliczne występki i zbrodnie, ale szerokie sumienie ówczesne nie było tak czułem na krew przelaną i gwałty publiczne, jak dzisiaj — a zresztą ich świetne i wzniosłe czyny, dokonywane dla dobra i sławy całego narodu, zaćmiewały zupełnie owe drobniejsze występki, zaburzające spokój publiczny tylko na chwilę, albo czyniące krzywdę tylko sąsiadom.

Jakoż pomimo tych przemijających wykroczeń, w domach ich gromadziło się przedewszystkiem światło europejskiego Zachodu, przez nich gładziły i polerowały się obyczaje, u nich pielęgnowano cały katechizm wszelkich cnót chrześcijańskich i u nich także wyrabiały się w sposób sobie właściwy owe wzniosłe przymioty polskiego rycerza, które później stały się równie wybitną, jak znaną całemu światu cechą całego narodu.

W ich to umysłach i sercach nareszcie dojrzał do idealnej doskonałości ów patrjotyzm prawdziwie polski, którego za Bolesława Chrobrego widzimy dopiero pierwsze duchowe tchnienie, jakoby wszechmocne „Stań się“, wyrzeczone przez Twórcę. Patrjotyzm ten zgubił się w czasie podziałów, jasnym wprawdzie wybuchnął płomieniem za Łokietka, trwał jeszcze za Kazimierza Wielkiego, ale

zaczął się paczyć za Ludwika Węgierskiego, a dwoić za Władysława Jagiełły, nie zjednoczył swoich rozszczepionych promieni ani za Kazimierza Jagiellończyka, a tem mniej jeszcze za Jana Olbrachta, ale za Zygmunta Starego pogasił cienie, zestrzelił wszystkie światła w jedno ognisko, ażeby tak płonął nad całym narodem, jak słońce przez całe trzy wieki. Zasługa stworzenia tego patrjotyzmu i ogrzania nim wszystkich części zjednoczonego państwowego utworu należy się tym właśnie rodom, które całą Rzeczpospolitę aż do ostatecznych jej kresów objęły i swoim duchem polskim natchnęły — a dzieło ich było zbudowane tak silnie, że wszelkie wewnętrzne rozterki i rozdwojenia, wszelkie, a takie liczne najazdy postronne, a nawet późniejsze ich własne, rozsadzające całość i jedność zamachy, nie zdołały go zniszczyć, ani nawet osłabić.

Tarnowscy, piszący się jeszcze wówczas „de Tharnow", ale w pospolitym języku nazywani już Tarnowskimi, posiadali w samej Małopolsce bardzo znaczne majątki: należały do nich: Tarnów, Wielowieś, Rzeszów, Jarosław i Przeworsk, lecz oprócz tego zalegli już bardzo szerokie płaty ziemi na Rusi, a wszystkie te majątki obejmowały niezmiernie liczne przyległości. Kmitowie wyszli z Wiśnicza, ale za Kazimierza Wielkiego, albo może już przedtem, zalegli bardzo znaczną część ziemi sanockiej, od Dubiecka i Rymanowa aż po same Bieszczady i zbudowali tam sobie zamek na Sobniu. Obydwa te domy były wówczas tak rozrodzone, że ich członków wcale się nie można doliczyć; widzimy tylko z aktów grodzkich i ziemskich, że było ich daleko więcej, niżeli ich znajdujemy w herbarzach.

Widzimy także z procesów, zapisanych w tych aktach, że byli to ludzie fizycznie zdrowi i silni, niezwyczajnej energji i woli, wyniosłej a bujnej fantazji, gorących temperamentów i żelaznej wytrwałości w swoich dążeniach. Mieli oni już wtedy swoje familijne tradycje, które tak wszechmocnie nimi władały, że nawet ci, których, bądź z natury, bądź skutkiem jakich przypadków w życiu, opanowała pewna ospałość, parli naprzód równym krokiem z innymi, tak jak skrzypiące koło u wozu toczy się tym samym pędem, jak inne, dopóki wóz jest w ruchu. To też szli oni w górę natenczas niepowstrzymanie i we wszystkich kierunkach obsiadali najwyższe urzędy, pomnażali majątki, wzmacniali się wysokiemi koligacjami — a w tym swoim wzroście, w tym ustawicznym rozwoju, w tem rozpieraniu się bez odetchnienia, wyglądają tak prawie, jak brzemienna kobieta, która lada dzień skleśnie, wydawszy na świat płód dawno oczekiwany. Jakoż tak było istotnie z temi obydwoma domami, a nawet wtedy było już po porodzie, albowiem już byli na świecie dwaj wielcy ich potomkowie: Piotr Kmita, późniejszy wojewoda krakowski i marszałek koronny, i Jan Magnus Tarnowski, hetman wielki koronny, pierwszy w złym, drugi wcale w wspaniałym kierunku i duchu, ale obydwa najwybitniejsi ludzie swojego wieku.

Na górze Sobieńskiej, sterczącej wysoko nad Sanem i nad miastem Sanokiem, czerniły się od wieków ruiny jakiegoś starego zamczyska. Kmitowie, wybrawszy to miejsce na siedlisko dla siebie, do tych skalistych ruin przylepili swe gniazdo. Stąd była to cokolwiek nieregularna budowa, jednak zmurowana wedle wzorów zamków niemiec-

kich. Otaczały ją najprzód grube mury obronne, do których prowadziły dwa mosty zwodzone, a w których wewnątrz znajdowały się stajnie, zbrojownie i mieszkania dla zamkowej załogi. Dalej rozlegały się zewsząd bardzo obszerne dziedzińce, a dopiero w ich środku stał zamek, znów otoczony fosami i murem obronnym z mostem zwodzonym. Kiedyby mury zewnętrzne zostały wzięte, zamek sam mógł jeszcze się bronić. Wszystko to było zmurowane z cegły czerwonej, mocno wypalonej, dachy zaś były z ołowiu. W samym zamku znajdowało się kilkadziesiąt komnat, w przyziemiach, na pierwszem i drugiem piętrze, porozdzielanych od siebie mniejszemi dziedzińcami, a połączonych zewnętrznemi krużgankami. Nad zamkiem wznosiła się wieża, z której widać było Sanok, Załuż, Zahutyń i mnóstwo wsi dzisiejszych, które podówczas już prawie wszystkie istniały, ku południowi zaś niedawno co założone miasteczko Lesko z kościołem, San, wijący się pod niem, dalej dział Suhowacki, wyniosłą górę Łopiennik i płaskie szczyty Bieszczadów. Był to widok, otwierający przed okiem widokręg bardzo szeroki i przysparzający piersi człowieka równie szerokiego oddechu; toż nie dziw, że ci ludzie ówcześni orle miewali myśli, jak skoro w takich orlich gniazdach siedzieli.

Na tym zamku dziedziczył podówczas Stanisław Kmita, syn Dobiesława. Dobiesław miał czterech synów, o czem Paprocki „prze szerokość tego królestwa“ nie wiedział, ale których jako *fratres germani* widzimy na akcie fundacji miasteczka Leska: Piotra, który siadł na Wiśniczu i w kilka lat potem zmarł bezdzietnie wojewodą krakow-

skim, Jana i Andrzeja, z których jeden się przezwał Smolickim i Stanisława, który w tej chwili jest kasztelanem przemyskim, ale ma jeszcze zostać wojewodą bełskim, a wreszcie się przesiąść na województwo ruskie. Ci *fratres germani* mieli jeszcze przyrodniego brata, kawalera de Kergolay, któremu z posagu matki dali Niewistkę. Stanisław miał wówczas lat przeszło pięćdziesiąt, niebardzo wielki był wzrostem, ale bardzo pleczysty, czarny, jak wszyscy Kmitowie, z orlim nosem, z dużemi czarnemi oczyma, z brodą jeszcze czarną, chociaż cokolwiek już przyprószoną, ale znacznie otyły i twarzy obrzękłej, co mu dawało pozór pewnej ociężałości.

Dawnemi czasy był to człek bardzo żywy i rzutki, energiczny i zapobiegliwy. Zmuszony oddać bratu Piotrowi Wiśnicz, z Dubiecka zaś i Rymanowa wyposażyć Jana i Andrzeja, uważając się przeto za bardzo ubogiego na samym Sobniu, chociaż należało do niego wsi kilkadziesiąt, brał pieniądze skąd mógł, a wreszcie i kredyt naprężał do najwyższego stopnia, ażeby wioski skupywać. Toż widzimy go w aktach sanockich, przemyskich, przeworskich, bełskich, a nawet bieckich, ledwie nie na każdej karcie, jak dobra kupuje, mienia, zaokrągla, bierze w zastaw, długi zaciąga, wypuszcza w dzierżawę i znów wykupuje, jakgdyby go nieugaszona paliła gorączka podbicia całej Polski i Rusi pod swe posiadanie. Tak się rzucał i zbierał przez całą swą młodość, co mu wszakże nie przeszkadzało służyć królowi w polu i w radzie, być hojnym dla sług i przyjaciół, a nawet huczne wyprawiać festyny na Sobniu.

Ale lat temu dziesięć, albo mało co mniej, zda-

rzyło mu się nieszczęście. Uniósłszy się gniewem przy oglądaniu folwarku, zabił chłopa obuchem. Zabójstwo to tak skruszyło jego sumienie, iż postanowił odbyć piechotą pielgrzymkę do Rzymu. Lecz w drodze, pokłóciwszy się przy karczmie, zabił drugiego. A to go całkiem już z nóg obaliło. Już wtedy nie szedł wcale do Rzymu, bo już nie miał nadziei, ażeby mu ojciec święty dał rozgrzeszenie, tylko wrócił do domu i popadł w melancholję. Zdawało mu się zrazu, że jest przeklęty, że go już odtąd bić będą wszystkie nieszczęścia, że się jego majątki rozlazą, że mu się nawet dzieci chować nie będą. Zgoła całkiem upadł na duchu i był już bliskim najczarniejszej rozpaczy. Ale na swoje szczęście, miał żonę, kobietę daleko wyższego umysłu i potężniejszej woli od niego, i ta go podniosła.

Żona jego była z domu Tarnowska, Katarzyna jej było na imię, a urodziła się z Gorajskiej. Była to kobieta już wtedy przeszło czterdziestoletnia, wyniosła wzrostem, o krótkiej twarzy, włos miała ciemny, po którym tu i owdzie białe przesuwały się nitki, co jej bardzo wiele dodawało powagi, lecz zato miała oczy brunatne, pełne słodyczy i łagodności, a zarazem bardzo świetnego blasku. Ubierała się zawsze bardzo poważnie i skromnie: w długie suknie ciemnego koloru, w czepce, tylko przez starsze matrony noszone, i w pas skórzany z torebką, w której zawsze nosiła pieniądze. Była bardzo dobrego serca, na jej surowość nikt się nie mógł poskarżyć, nawet kiedy musiała strofować, to czyniła to zawsze z uśmiechem na ustach, zaś dla ubogich i nieszczęśliwych była prawdziwym opiekuńczym aniołem. Nie spotkała nigdy żebraka na drodze, ażeby mu ze swej torebki nie dała jał-

mużny, opiekowała się wszystkimi poddanymi, jak matka, jeździła konno po folwarkach i nawiedzała ich chaty, a od jej całej postaci biła taka dobroć cudowna, że od jej widoku chorzy powracali do zdrowia. Cudów nie robiła, ani ich nawet robić usiłowała, a przecież działała cudownie. Na kościoły i cerkwie była hojną po pańsku; Bóg widział, że, gdyby była mogła, to byłaby na nie oddała połowę majątku, ale kasa zamkowa miała ogromne wydatki, a niezawsze stykały się końce; jednak pomimo to do domów bożych szły niezliczone ofiary, tu ornat, tam kobierzec przed ołtarz, tu kielich z patyną, a tam sprowadzona z Krakowa za oszczędzone pieniądze monstrancja.

Przez cały wiek młody była ewangelicznie uległą mężowi, chociaż uległość ta nieraz ciężkie jej sercu nakładała ofiary, bo mąż niezawsze prowadził życie pobożne, a skutkiem swego temperamentu czasami dzikie miewał fantazje. Chciwym był ziemi, urzędów i wszelkiego znaczenia, a nie zawsze umiał zachowywać tę godność, która wszelkiemu znaczeniu jest niezbędnie potrzebną. Nieraz i między fraucymerem wychodziły na jaw rozmaite jego figielki, które bardzo boleśne rany zadawały jej sercu, a z których przecież tylko samemu spowiadała się Bogu. Ale po zabiciu owych dwóch chłopów wszystko się zmieniło. Kasztelan całkiem opuścił ręce, a ster wszelkich spraw familijnych objęła kasztelanowa. I wtedy dopiero okazało się, czego dotąd się nikt nie domyślał, że ta dotychczas tylko dobra, cnotliwa, pobożna kobieta miała także rozum niezwykły, wielki ład w głowie, a zarazem taką energję, na jaką jej mąż nigdy nie umiał się zdobyć. Toż odtąd wszystkie sprawy do-

mowe i familijne weszły w żelazne karby wzorowego porządku; nie kupowano już dóbr za pożyczone pieniądze, owszem, pozwracano niektóre wioski Bóg wie jakiem prawem nabyte, pozałatwiano zgodnie procesy, płacąc chętnie ówczesne „myrne“ za zgodę, powyznaczano nawet fundusze i opiekunów dla jakichś synków, którzy wprawdzie nosili inne szlacheckie nazwiska, ale których matki upominały się o emolumenta u Kmity. Jakiemuś nieznanemu bliżej *Duci Jacztono* dano nawet miasteczko Lesko, zapewne ażeby się od jego pretensji wykupić. W tych trudnych sprawach zastępował kasztelanowę najczęściej *generosus Petrus* Derszniak *de Rokythnycza,* poważny szlachcic ziemi przemyskiej a kmitowski przyjaciel; ale najwięcej swoim przebiegłym rozumem i sprytem pomocnym był w załatwieniu takich wikłanin imć pan Smolicki.

Smolicki był to szlachcic, noszący to samo nazwisko, jakie przyjął jeden z braci Kmitowskich, z którymi go też wiązała tożsamość rodu, a posiadający maleńką wioseczkę w górach. Mimo, że był sam posesjonatem, osiadł z lat młodych na zamku sobieńskim i tam się zestarzał. Zrazu był tylko dworskim, jak inni, na wojny chodzić nie lubił, ale na polowaniach wielką odgrywał rolę, bo wiktuały i trunki woził za myśliwymi i wyborne bigosy gotował. Później na rezydenta postąpił i objął nadzór nad młodymi paziami, którym zarazem przewodniczył i służył. Aż wreszcie, dzięki swojemu dowcipowi, którym umiał zabawić, rozśmieszyć, odciąć się, stanąć w obronie honoru domu, a nadewszystko w każdym trudnym terminie dać dobrą radę, zajął miejsce nadwornego trefnisia,

którego nie trzymano na Sobniu, trefnisia, mentora i totumfackiego zarazem, tak, że dla wszystkich stał się niezbędnym.

Był to człowiek o parę lat starszy od kasztelana, bardzo małego wzrostu, szeroki, jak brama zajezdna, a grupy, jak beczka; siwe włosy przystrzygał, a wąs nosił zadarty, kaftan krótki, a buty rycerskie; twarz miał zawsze śmiejącą, ale sam nigdy się nie śmiał, owszem udawał, że strasznie się sroży, chociaż inni się śmieli. Kmita bardzo go lubił i wszystko znosił od niego, pozwalał mu nawet mówić sobie „ty“ i jego bury przyjmował, żołnierze zamkowi, dworzanie i paziowie nosili go na rękach, cały fraucymer za nim przepadał, a nawet sama kasztelanowa miała go w łaskach, bo, kiedy już on sama nie mogła przekonać męża, to on go przekonał — a kiedy nad czemś już wszyscy zgłupieli i cale nie widzieli sposobu, to zawsze jakiś sposób znalazł Smolicki.

Obok uporządkowania spraw majątkowych, kasztelanowa zajęła się równie troskliwie uspokojeniem umysłu męża, który co nocy we śnie zabitych chłopów widywał, czasami nawet przysięgał na to, że ich widział na jawie, sam powiadał o sobie, że jest złym duchem rodziny, i, aby ją uwolnić od siebie, nosił się z myślą wstąpienia do klasztoru. Przedewszystkiem zatem, bez czego się wówczas obejść nie mogło, ufundowano w kilku kościołach msze wieczne za dusze zabitych chłopów i za grzechy zabójcy. Potem kasztelan ofiarował się swemu patronowi św. Stanisławowi, i zbudował mu osobną kaplicę na zamku, w której mu się modlił codziennie, aby się za nim wstawił do Pana Boga. A wreszcie, nie mogąc sam odważyć się na piel-

grzymkę, bo był przekonanym, że kędyś w drodze jego samego zabiją zbójcy, najmował sobie pątników, którzy za niego chodzili do Ziemi Świętej i tam wota składali w jego imieniu.

Takich pątników wysyłał wielu, ale najpierwsze miejsce pomiędzy nimi zajmował niejednokrotnie wspomniany w aktach ówczesnych „Xandz byali". Był to poprostu ksiądz nazwiskiem Biały, który już dwakroć chodził na jego intencję do Jeruzalem, zawsze bawił rok cały, zawsze przez kilka miesięcy potem opowiadał przecudowne historje ze swojej podróży i zawsze pocieszające przynosił nowiny.

Prócz tego kasztelanowa, aby go uspokoić o los jego synów, wyprawiła młodszego Piotra na dwór cesarza Maksymiljana, starszego zaś Stanisława na dwór księcia Sabaudji, gdzie mu jego wuj Kergolaj szerokie wrota otworzył, i od obydwóch synów przychodziły co kilka miesięcy wiadomości, przynoszące wielkie zadowolenie rodzicom. Kiedy zaś na początku tych czasów pokutnych jeszcze się jeden synek urodził, to za mądrą radą księdza Chryzostoma ubrano go w habit franciszkański; tak go tymczasem chowano na zamku, lecz ślubowano go do stanu duchownego, ażeby kiedyś, jak zostanie biskupem, swojemi modłami przeważył szalę win swego ojca. Tak wreszcie pomału Kmita się uspokoił; zaczął już nawet pokazywać się na dworze królewskim i na zjazdach obywatelskich, gdzie, jak mówiono, dosyć wesoło się bawił; jednakże zawsze jeszcze widywał zabitych chłopów, a wieczorami w melancholję zapadał.

Dopiero teraz ksiądz Biały, wróciwszy zimą ze

swojej drugiej pielgrzymki, przyniósł mu zupełne uspokojenie. Ksiądz Biały bowiem, jak to sam opowiadał bardzo wymownie, spotkał w Jeruzalem samego św. Stanisława i miał z nim bardzo ważną rozmowę. Olśniony jego blaskiem niebieskim, którego oczy ludzkie nie znoszą, padł przed nim na ziemię, a św. Stanisław, poznawszy go, najprzód srodze go zgromił, mówiąc: — „A gdzie ty tak długo się bawił po drodze? Czy myślisz, że ja nie wiem, żeś ty na Rzym szedł do Ziemi Świętej i w Rzymie cały rok przesiedziałeś, bo chciałeś sobie wyskrobać kanonję, którą ci też obiecywano? A tymczasem ten poczciwy Kmita cierpi męki piekielne za życia i umiera z tęsknoty za tobą? He?" Zaczem św. Stanisław się udobruchał i powiedział te słowa: — „Nie baw się tu, bo taki klecha, jak ty, niczego tu nie wymodli. Gdybyś był przynajmniej proboszczem, to możeby cię choć jednem uchem słuchano. Ale jużem ja wziął w moje ręce tę sprawę. Wracaj więc zaraz na Sobień, pokłoń się Kmicie ode mnie i powiedz mu, że już się Pan Bóg trochę nad nim zmiłował, a kiedy kogut przed północą zapieje mu w oczy, niechaj wie, że już ma absolucję. Mego czasu nie tyle chłopów nabito, a przecie nie posłano do piekła tych, co ich bili. A jak się już całkiem obaczy, to niech ci da probostwo na Lesku; chuda to fara, ale z głodu na niej nie zginiesz".

Tak mówił św. Stanisław, a trudno temu nie wierzyć, kiedy sam ksiądz Biały go widział i słyszał te słowa.

Więc tedy Kmita bardzo się tem uradował i mało, że się nie rozpłakał. Przecież nareszcie znalazł skutecznego obrońcę w niebie i klątwę z niego już

zdjęto, jak skoro sam św. Stanisław nazwał go poczciwym Kmitą i kazał mu się kłaniać od siebie. Trzeba było tylko jeszcze zaczekać, aż kogut zapieje. Bardzo mu się to zdawało trudnem, bo tak rozumiał, że kogut przed północą nigdy nie pieje; ale że w słowa powiedziane przez świętych wątpić nie wolno, więc wierzył i czekał.

Aż też jednego dnia wrócił późno w noc z polowania, nietyle zmęczony, ile niezmiernie zgłodniały. Na zamku wszyscy już spali, ale Smolicki zbudził klucznicę i kazał jej, aby dawała panu jeść, nie czekając, cokolwiek ma pod ręką. Klucznica przyniosła kapłona i zastawiła go przed nim na stole. Kmita siadł, porwał nóż w rękę i zamierzył się na kapłona, ale jeszcze go nożem nie dotknął, kiedy pieczony kapłon zerwał się z misy, uderzył skrzydłami, dziób wyciągnął ku niemu i zapiał trzy razy...

Kmita się zerwał od stołu i, jak światłością niebieską olśniony, podniósł obydwie ręce do góry; obaczywszy zaś Smolickiego, który stał zdala, zawołał ku niemu:

— Smolicki, słyszałeś? Bądźże mi świadkiem, że już mam absolucję.

Ale Smolicki, człek sztuczny, rzekł, jakby nic nigdy nie było:

— Dałbyś raczej miotełką klucznicy, że ci zastawiła koguta, zamiast kapłona.

Kmita z nadmiaru radości miał noc niespokojną, zwłaszcza, że we śnie przyszli do niego obydwa zabici chłopi, upadli przed nim na kolana i z płaczem a jękiem błagali o przebaczenie, że mu tak wiele sprawili zmartwienia. Kmita im wspaniałomyślnie przebaczył; mając serce tak przepełnione

radością, nie mógł im tej łaski odmówić — i odtąd wszystko było już dobrze.

Młodzież zamkowa, żołnierze, pacholikowie i pazie, jako to zwykle u nich puste bywają głowy, dworowali sobie z tego pieczonego kapłona, co się przedzierzga w koguta i pieje, i targali o to Smolickiego za poły; ale Smolicki minę okrutnie nasrożył, podniósł palec do góry i powiedział im: „Sza!“ a chłopcy to zrozumieli i odtąd milczeli. Kmita tedy był już całkiem uspokojony, ale mimo to i dalej tak samo spokojne prowadził życie, jak w czasie pokuty. Jadł i pił, kazał sobie grywać swoim lutnistom, bawił się ze swoim dworem, gości chętnie przyjmował, często polował, a czasem folwarki lustrował, ale poza granicę dóbr swoich rzadko wyjeżdżał; rząd w rodzinie i wszelkich sprawach domowych prowadziła kasztelanowa, on się przyzwyczaił do tego, a nawet był kontent, że nie ma nic do czynienia. Szerokie o tem chodzą wieści po świecie, jako w Polsce przed mężczyznami prym mają kobiety; ale my wiemy, że dzieje się to tylko w takich rodzinach, gdzie mąż nie ma głowy, albo też woli potemu. Lepiej tak przecie, niżeli, jak się to dzieje w narodach innych, gdzie, jeśli mąż podupadnie, ginie z nim razem cała rodzina.

Tego dnia po wieczerzy Kmita siedział w wielkiej komnacie za stołem, na którym stała ogromna lampa oliwna, i popijał wraz z swymi gośćmi z kubków złoconych stary miód lipcowy, który miał zwyczaj pić do poduszki. Miał na sobie krótki kożuszek barani, na jaki stać było i chłopa, jeno, że srebrne guzy świeciły się przy nim, do tego pas prosty skórzany pod kożuchem, hajdawery z pakłaku i jałowicze buty rycerskie. Nie było dzisiaj

nikogo z obcych, więc się nie wystroił, chociaż często i gościom się jawił w kożuchu, bo na stroje niewiele dawał i mawiał: „Chociażbym był w chłopskiej siermiędze, tom zawsze Kmita".

Obok niego w drugiem krześle szerokiem siedział ksiądz Biały w długiej sukni pielgrzymskiej, obszytej muszlami i innemi zamorskiemi świecidłami, a kiedy Kmita miał kuczmę przewieszoną na bakier na głowie, on był ubrany w kapelusz z okrągłem denkiem i szerokiemi kresami. Był to człek pięćdziesięcioletni, z długą, już prawie białawą brodą, ze sterczącemi wąsami, z rumianą twarzą, na której się malowała pewna ciętość szlachecka, bo też i był szlachcicem i zwał się „de Wara"; dom to był znaczny i dość rozrodzony w tej ziemi, tylko jemu z niewiadomych powodów zamiast wiosek dziedzicznych, dostał się kij pielgrzymi i duchowna pokora, której się wszakże poddał z potrzeby, chociaż się czasem z jego fantazją szlachecką kłóciła.

Za krzesłem Kmity stał jego paź służebny i ulubiony, nadzwyczaj wdzięcznej postaci młodzieniec. Wystrzelił w górę, jak modrzew o wiośnie, chociaż był jeszcze wiotki, bo też nie miał więcej, jak lat osiemnaście. Włosy miał jasne, w długich spadające kędziorach, śliczne oczy niebieskie, duże otwarte, ale jakoby jeszcze nie całkiem zbudzone, twarz białą, jak mleko, świeżutkim rumieńcem okraszoną, a na wąsach i brodzie dopiero jakgdyby wczoraj chuchnięty meszek, prawie, jak na brzoskwini. Paziem był, ale ubrany był z pańska: miał na sobie kaftanik z granatowego atłasu i takież pluderki, oboje z blado-żółtemi wypustkami, blado-żółte pończochy i szklące trzewiki z pozłacanemi

sprzączkami, biały, jak śnieg, kołnierzyk około szyi, pas pozłocisty i bogato oprawny sztylet u boku.

Pańskie też było to dziecko; szedł bowiem ze znamienitej rodziny Pretficzów, herbu Wczele, która z Czech przyszła do Polski, a chociaż skromne miała ambicje, wkrótce wysokie posiadła urzędy, ale i pracą swoją szerokie posiadłości zdobyła. Ojciec jego był podkomorzym halickim, matka z domu Tworowskich; rodzice jego mieli dosyć rozległe ziemie, ale bardzo dużo dzieci, dlatego dali go najprzód do szkół do Pragi, potem do Krakowa, a wreszcie na dwór potężnych naówczas Kmitów, za których przemożnym wpływem mógłby sobie otworzyć drogę do jakiegoś znaczenia po świecie. I miał on w samej istocie wszystko po temu, albowiem oprócz rycerskiego rzemiosła, którego się już doskonale wyuczył, grał bardzo pięknie na lutni, a głos miał tak wdzięczny i tak ujmujący za serce, że, kiedy czasem sam sobie śpiewał w swojej izdebce na górnem piętrze, to wszystkie panny stały przy oknach, a nawet sama kasztelanowa go nieraz słuchała, bo zawsze śpiewał najpiękniej, kiedy śpiewał sam sobie. Toż z tego powodu zwano go powszechnie zamkowym słowikiem. Ale oprócz tego jeszcze był mistrzem innych sztuk wyzwolonych: pisał na pergaminie rozmaitemi inkaustami tak pięknie, jakgdyby się był uczył pisma u benedyktynów, wyrzynał z drzewa figurki świętych, że żaden snycerz lepszychby rzeźbić nie umiał, czasami nawet sam wiersze układał pięknym językiem polskim, których jednak nigdy nie można było dostać od niego, chyba, że mu je wykradziono.

Tego zacnego pazika wszyscy kochali, jak brata, u Kmity był okiem w głowie, a kasztelanowa miała troskliwą baczność na niego, aby go nie zepsuto, bo była zdania razem z wszystkimi, że będzie z niego kiedyś znakomity kawaler, wielka dla rodziców pociecha i świetna ozdoba dla tego królestwa. Jakby w przeczuciu, że ludzie kochać go będą, jego rodzice z Lubomira przechrzcili go na Lubka, bo też był Lubkiem dla wszystkich. Do niedawnego czasu był wesół, jak ptaszek na drzewie, na zamkowych turniejach, na polowaniach i wieczorami w kordegardzie, albo i na pokojach, nieustające figle i psoty wyprawiał. Smolicki wtedy nieraz zadrośnem okiem na niego spoglądał, jak gdyby się obawiał, ażeby chleba mu nie odebrał: ale od kilku miesięcy znacznie spoważniał, mówił czasem, jak ksiądz, i często się bardzo zamyślał. Kasztelanowa chwaliła go za tę zmianę temperamentu, inni się temu dziwili, ale Smolicki, który się nigdy niczemu nie dziwił, a wszystko umiał wytłumaczyć, powiadał: — „Co się tu dziwić? To jest *pubertas*. Niechby się panny miały na ostrożności". A to mówiąc, palec podnosił do góry, co zawsze czynił, kiedy chciał coś dać do zrozumienia.

Po drugiej stronie stołu siedziała kasztelanowa, a przy niej Jagienka — i obydwie były zajęte wyskubywaniem złotych nici z jakiejś starej materji, słuchając przytem uważnie powieści pielgrzyma.

Jagienka była to bardzo piękna dziewczyna, ale takiej piękności, jaką nie codzień widuje się w Polsce. Miała bowiem włos czarny, jak heban, i oczy czarne, jak węgle, duże, błyszczące, a ozdobione tak długiemi rzęsami, że cień rzucały na jej

policzki. Twarz miała wdzięczną, ślicznie zarysowaną, a cerę porcelanową, tylko zdało się, jakby ktoś kiedyś dmuchnął na nią płomieniem i białość jej zlekka osmalił. Gorąca z siebie krew Kmitów, podpalona południową krwią matki, czy babki, zdawała się płynąć w jej żyłach. Była miernego wzrostu, ale smukła i wiotka; kiedy szła, zdało się, że wiatr nią kołysze, a jej maleńkie stopy nie dotykają ziemi. Chociaż lubiła się bawić, jeździła konno na polowania z sokołem, strzelała z łuku, a w tańcu była niezmordowaną, przecież nikt bliżej jej nie znał, bo była w sobie zamknięta i bardzo kapryśna: natrętnych zbywała czasem wyniosłą dumą, jak jaka królowa, a czasem śmiechem, nieraz zaś coś powiedziała, czego nikt nie mógł zrozumieć. Toż jeszcze ten się nie zdarzył, coby był mógł się z nią na rozum rozmówić. Ale dobra była dla wszystkich i bardzo nabożna; często samotnie i długo się modliła w kaplicy i wychodziła z zapłakanemi oczyma. Nieznośny czasem Smolicki i o niej mówił, że jest to *pubertas* — i bardzo być może, że zdanie to podzielała kasztelanowa, bo szły głuche wieści, że tego lata mają się odbywać turnieje i wielkie festyny, ażeby ściągnąć kawalerów na zamek.

Oparty o krzesło kasztelanowej stał ośmioletni jej synek ostatni, w franciszkański habit ubrany, i, bawiąc się paciorkami, słuchał ciekawie, co starsi mówili.

Dalej siedziały jeszcze za stołem przedniejsze panny z fraucymeru i kilku znamienitszych żołnierzy, a za nimi stali paziowie, synowie zamożnych rodzin szlacheckich, którzy w rycerskiem rzemiośle terminowali na zamku.

Smolicki chodził z kąta w kąt po miękkim kobiercu i czasem się głośno odezwał, a czasem coś mruczał przed sobą.

Pielgrzymowi zaś cale się gęba nie zamykała. Co łyknie trochę, to jakąś nową opowie historję ze swoich podróży: o lasach złotych i srebrnych, przez które przechodził w drodze do Ziemi Świętej, o skrzydlatych rycerzach, których spotykał, o zbójcach murzyńskich, którzy go napadali, a których pobił różańcem, to wreszcie o podziemnych pałacach, napełnionych wszelkiego rodzaju bogactwy, w których święci Pańscy, jak w swych gospodach, mieszkają, kiedy zstępują na ziemię.

— Nie godzi mi się naganiać świętym — powiadał dalej — ale tak mi się widzi, że, jeśli się spuszczają na ziemię, to czynią to raczej z nieprzebranej dobroci serca, a nie po sprawiedliwości, bo ludzie tego nie warci, cale ich nie słuchają. Ot św. Stanisław nakazał niejakiemu kasztelanowi Kmicie, ażeby biednemu księdzu dał probostwo na Lesku, ale ów Kmita, nie wiem, czy waszmość go znacie, cale o tem nie myśli, właśnie, jakgdyby takiego wielkiego świętego miał sobie za hetkę, albo też za pętelkę.

Ale Kmita tego nie słyszał, bo właśnie się zdrzymał i śniło mu się, że sam jest świętym i używa szczęśliwości niebieskiej, co mu się od czasu otrzymania absolucji zawsze zdarzało, ile razy po dobrej wieczerzy starym miodem ogrzał swoje wnętrzności. Więc Smolicki odpowiedział za niego, mówiąc:

— Raczejbyś był w onych złotych a srebrnych lasach trochę liści naskubał, to nie potrzebowałbyś wcale probostwa.

Tu Kmita się ocknął, a uśmiechnąwszy się trochę złośliwie, rzekł:

— Pono Smolicki ma rację.

Ale pielgrzym bardzo był z tego niekontent, a westchnąwszy głęboko, tak mówił dalej:

— Ot, tak to bywa na świecie. Grzesznicy podobni są chorym: dopóki choroba ich tłucze, chwytają doktora za ręce i nogi i cale go nie chcą puścić od siebie, ale kiedy się za jego pomocą obaczą, to jeno czemprędzej zaprzęgaj furkę, aby go wywieźli.

A na to Kmita się wstrząsł i całkiem się zbudził, i rzekł:

— A już mi też bez litości przycinasz! Słuchajże, Wara, rozmówmy się z sobą, a powiedz prawdę. Jesteś ty księdzem? Masz ty święcenia? Bo, kiedym ci kilka razy kazał mszę prawić, toś się zawsze wykręcał.

— A jakto? Jakto? — odpowiedział Wara przytomnie. — Przecież już byłem proboszczem, mam nawet własny kielich z patyną.

— Jeno żeś go u żyda zastawił i za to z probostwa cię napędzono — rzekł na to Smolicki.

Więc Kmita się rozśmiał i dalej nacierał na Warę.

— Ale powiedz, bo, jak ty nie chcesz, to mi biskup to powie: masz ty wszystkie święcenia?

A Wara na to się zakłopotał cokolwiek i zaczął się jąkać:

— Bo to tam tych święceń jest dzisiaj bez liku... Jużci wolno komu powiedzieć, że mi jakiego święcenia brakuje... Ale co to z probostwem ma do czynienia? Można mieć przecie probostwo, nie bę-

dąc księdzem, do służby kościelnej trzyma się wikarjusza.

Więc Kmita zawołał na to:

— Lubek! Ty człek piśmienny, powiedzże, jak tam stoi w kanonach: czy człowiek świecki może siąść na probostwie?

Lubek tak się był wpatrzył w Jagienkę, że nawet wcale nie słyszał, co koło niego mówiono, więc się wstrząsł, jednak się zebrał i odpowiedział dosyć przytomnie:

— Nie zrozumiałem dokładnie, co pan kasztelan chce wiedzieć.

Kasztelan powtórzył pytanie, a Lubek na to:

— Ludziom świeckim dają czasem prebendy, ale zawsze *in spe*, że się wyświęcą na księży.

— Więc widzisz — rzekł na to Kmita — a gdzie tobie się święcić, zwłaszcza, że kielich u żyda.

A wtedy Wara się zniecierpliwił i rzekł:

— Otóż ja ichmościom dowiodę, że mam wszystkie święcenia...

Ale w tej chwili zabrała głos kasztelanowa, ażeby nie dopuścić do sporu, i tak mówiła:

— Nie myślże, mój kochany Wara, żeśmy zapomnieli o tobie. Ani Kmitowie, ani Tarnowscy nie byli nigdy niewdzięczni; tem właśnie za łaską bożą utrzymują się przy jakiemkolwiek znaczeniu, że zawsze dbają o swoich przyjaciół. Mój mąż byłby ci dał bardzo chętnie probostwo na Lesku, ale dopóki to książę węgierski tam siedzi, nie godzi mu się niem dysponować. Ale damy ci jakie inne, a poradzimy się w tem ojca Chryzostoma...

Jak tylko Wara usłyszał imię Chryzostoma, przeciągnął twarz i machnął ręką; kasztelanowa

to uważała, lecz wtedy odezwała się Jagienka, mówiąc:

— I ja się wstawię za księdzem Warą i nie będziemy o to w kłopocie, bo i my mamy jakieś probostwa do rozdania, i tutaj i w Węgrzech. Więc będziemy o tem pamiętać...

— A jak dasz ślub pannie Jagience, to i dwa probostwa dostaniesz — dorzucił Smolicki.

Jagienka brwi na to zmarszczyła, ale mówiła dalej przytomnie:

— A nim się to stanie, niech nam ksiądz Wara opowiada dalej o swoich podróżach. Takie to piękne są rzeczy. Takbym tam chciała być w tych lasach srebrnych i złotych, zaraz bym wszystkie liście z nich oberwała...

— Cóżbyś z niemi zrobiła? — zapytała z uśmiechem kasztelanowa.

— Rozdałabym je rycerzom, aby szli te złote lasy zdobywać na Turkach.

— Jużeś tam jednego posłała — rzekł na to Smolicki — zaczekajże, nim ten powróci, jeżeli gdzie nie ugrzązł po drodze.

— Podobno ugrzązł — zauważyła niby z niechcenia kasztelanowa.

— To i lepiej — rzekł na to Smolicki — bo później powróci.

Kasztelanowa uśmiechnęła się na tę uwagę z zadowoleniem, a tymczasem Jagienka mówiła dalej do pielgrzyma:

— A był ksiądz Wara na górze Graal? Jabym tam chciała być i widzieć ten zamek cudowny z brylantów, topazów i ametystów, i przypatrzeć się tej misie z jaspisu, z której Chrystus Pan ostatnią spożył wieczerzę, w którą Józef z Aryma-

tei zebrał krew Chrystusową, a którą aniołowie przynieśli na ziemię, aby ją oddać rycerzom...

— Nacóż ci widzieć tę misę? — spytała kasztelanowa.

— Kto spojrzy na tę misę, ten zaraz uzdrowionym zostanie — odpowiedziała nauczająco Jagienka.

— A z czegóż tobie trzeba się uzdrawiać?

Jagienka się zamyśliła, może wiedziała, ale nie chciała powiedzieć; kasztelanowa zaś powiedziała sentencjonalnie:

— Zawsze chcesz czegoś, czego dostać nie można. Wiedźże o tem, dziecino, że człowiek tylko tego pożądać powinien, co może otrzymać, bo jeśli za tem ugania, czego dostać nie może, to choćby miał siły olbrzyma, rozbije się o przeszkody i zginie.

Kasztelanowa byłaby dalej mówiła w ten sens, bo lubiła udzielać innym swego rozumu, ale wtem trąby się odezwały na pierwszej bramie zamkowej i zaraz się powtórzyły na drugiej. Był to alarm: gość albo może Tatarzy.

Na odgłos trąb wszyscy się zerwali od stołu i Kmita, który znowu był przysnął snem błogosławionych, także się ocknął i zawołał:

— Hej! Biegajno który, a popatrz, kto tam nas budzi po nocy. A niech załoga wystąpi do broni, bo djabli tam wiedzą...

Wszyscy żołnierze i pazie wybiegli, a tu tymczasem zgadywano, ktoby to był. Kmita mówił:

— Wątpię, ażeby Tatarzy, bo nic o nich słychać nie było. Chyba, że Węgrzy...

— Krewni waćpanny — rzecze Smolicki do Jagienki. A na to Kmita:

— Ale najpewniej Kergolaj. Gdzieś dostał po czubie i powraca się lizać.

— Przeszedłszy przez biczowanie, nim się dostał do drzewa Krzyża Chrystusowego — dodał Smolicki.

A wtedy Lubek wbiegł pierwszy, mówiąc:

— Jegomość pan Suchywilk, starosta tustański. przyjeżdża ze Lwowa.

— Wilczek! Wilczek! — zawołał Kmita. — Przecie sobie nareszcie przypomniał, że jeszcze żyjemy na świecie.

Kasztelanowa powiedziała: — Radam go widzieć — a Jagienka dodała: — Może mi powie co o Formozie — a po tych słowach Wilczek wszedł do komnaty.

Wilczek wystroił się pysznie na te odwiedziny; widocznie chodziło mu o to, ażeby się kasztelaństwu, w których służbie był niegdyś, przedstawił stosownie do swoich dzisiejszych godności. Wdział zatem lekki srebrzysty pancerz ze swoim herbem na siebie, bramowany złotem na wszystkich zawiasach, hełm lśniący z bogatemi piórami, skórnie, jakgdyby dopiero z igły, i pyszne buty rycerskie ze srebrnemi ostrogami. Przystojny i zgrabny ten młodzian, w tym stroju tak paradnie wyglądał, że i ci templarjusze, co strzegą św. Graala, nie mogą świetniej wyglądać od niego. Toż wszystkich olśnił swoją postacią — a niemało uroku i wdzięku dodawała mu jeszcze ta okoliczność, że w tak młodym wieku był już starostą i rotmistrzem królewskim.

Wszyscy też ze serdecznym uściskiem się rzucili ku niemu — Kmita, kasztelanowa, a nawet Smolicki: „Jak wyrósł, jak zmężniał, jaki wspania-

ły rycerz jest z niego!“ Ksiądz Wara, chociaż niemało widywał rycerzy, patrzył nań z wielkim respektem, a Jagienka ze zdziwieniem, bo, znając go z imienia, nieraz wprawdzie o nim myślała, lecz, słysząc, że jest starostą, a do tego rotmistrzem, wyobrażała go sobie mężem już siwiejącym, z ogromnym wąsem i głosem chropawym. Takiż to jest ten Wilczek?...

Kasztelan i kasztelanowa posadzili go więc między sobą, a zapewniwszy się, że nie jest głodny, zaczęli go wypytywać, kędy bywał przez te wszystkie lata, kogo tam poznał, co widział, kiedy był na zamku krakowskim, jak jest zapisany u króla i co o nim rozumie?

Wilczek odpowiadał, jak umiał; trwało to długo, wszyscy go ciekawie słuchali, a najciekawiej Jagienka. W klasztorze panien klarysek nigdy obcych ludzi nie widywała, na zamku sobieńskim mało kto bywał, prawie sama szlachta sanocka, ludzie poczciwi, lecz prości, „do korda, a nie do prawa“, jak mówiło późniejsze przysłowie, a jeśli się kiedy zjawił jaki kasztelan lub wojewoda, to był to człek stary i niezajmujący; teraz dopiero po pierwszy raz obaczyła prawdziwego rycerza. Tacyż to młodzi, tak piękni, tak grzeczni są ci rycerze? Słuchając go, myślała nad tem i dziwnie ją to rozmarzyło. A jakiś głos, schowany w głębi jej duszy, którego dotąd jeszcze nigdy nie słyszała, szeptał jej cicho: „Takiego rycerza mieć dla siebie samej, mieszkać z nim na jego zamku, móc się do jego piersi przytulić i wiedzieć, że się nie jest samą na świecie i że się ma rycerską przy sobie obronę — czyż może być większe szczęście dla biednej sieroty?“

Wilczek, chociaż targany przez wszystkich zapytaniami, na które musiał wciąż odpowiadać, także z wielkiem zajęciem przypatrywał się Jagience. I nie dziw, była to bowiem dziewczyna niezwyczajnej urody i taki wzrok miała palący i tak czuło było, że pod jej cerą smagławą palą się jakieś ognie dziewicze, oświecające i ogrzewające a nieugaszone, że musiała zająć każdego, w młodym zaś a chwytliwym człowieku mogła obudzić wulkaniczne uczucia.

Nareszcie Wilczek nie mógł się wstrzymać, a obróciwszy się do niej, rzekł grzecznie:

— A z panną Jagienką będziemy mieć kłótnię.

— Kłótnię? — rzekła Jagienka. — Nie chciałabym się kłócić z waszmością.

— Nie kłótnia to będzie — powiedział Wilczek — lecz eksplikacja.

I tu opowiedział całą historję o Kergolaju, jako był przekonany, że Formoza jęczy u jakiegoś strasznego Ormianina w niewoli i jako ją chciał wyrąbywać. Odmalowawszy zaś cały dom starego Kijasa i Formozę, królującą w tym przybytku bogactwa i wszelkich dostatków, dodał na końcu z uśmiechem:

— Otóż to jaka jest ta rzekoma niewola pani Formozy.

Ale Jagienka na tem nie poprzestała, tylko wypytywała go szczegółowo, jaki jest mąż jej, jak wygląda, czem się zajmuje i jak się z żoną obchodzi. Wilczek jej opowiedział. A wtedy Jagienka go zapytała:

— I waszmość także jesteś zdania, że Formoza jest zupełnie szczęśliwą?

— Tak mi się zdaje.

— A jabym nie chciała być w jej położeniu! — zawołał Jagienka. — I nie wiem, czym się tak bardzo omyliła, mówiąc panu Kergolajowi, że jest u Ormian w niewoli.

Wilczkowi po raz pierwszy na te dziwne stosunki w domu Kijasa otworzyły się oczy. Innym razem może byłby go bronił, co czynił zawsze i wobec wszystkich, ale teraz był pod takiem wrażeniem, że nie mógłby był słów znaleźć na tę obronę. Bo teraz nie Formoza stanęła mu przed oczyma, ale Jagienka. I myślał sobie: „Coby też na to powiedział, gdyby tak Jagienkę wydano gwałtem za jakiegoś Tigranesa," Na samę myśl o tem krew mu się zburzyła — i milczał.

Inni także milczeli. A że Kmita już znowu usnął snem błogosławionych i mały franciszkanin także oczy przecierał, więc kasztelanowa wstała i rzekła do Wilczka:

— Mój Wilczku kochany, wywczasujże się po podróży. Spodziewam się, że Smolicki, twój dawny protektor, wygodną ci przysposobił kwaterę.

Więc tedy wszyscy już szli na spoczynek. Wilczek pocałował kasztelanowę w rękę, a ona położyła rękę na jego głowie. Serdeczny Kmita palnął go płaską dłonią po pancerzu i rzekł:

— Gniewałem się na ciebie, żeś o nas zapomniał, ale kiedyś nareszcie przyjechał, to wiedzże o tem, że tu ruski miesiąc posiedzisz.

Jagienka podała mu rękę na dobranoc, ale milcząc i oczy spuściwszy ku ziemi. Wilczek, jako grzeczny kawaler, chciał coś przemówić, ale mu także słowa zamarły na ustach.

Ksiądz Biały kłaniał mu się zdaleka i uśmiechnął się do niego uprzejmie, jakgdyby się chciał jego

łasce polecić; Smolicki trzymał kaganiec w ręku i niecierpliwił się, aby mu jak najprędzej jego kwaterę pokazać; zgoła wszyscy byli ożywieni i zadowoleni: tylko Pretficz jakoś posmutniał i z ciężkiem sercem szedł za kasztelanem do jego sypialni.

I on także przyznawał w głębi swej myśli, że Wilczek jest bardzo pięknym rycerzem, każdy ruch jego jest składny, a nawet wykwintny, ma głos dźwięczny i oko wesołe, zdaje się nawet być dobrym człowiekiem i zapewne serdecznym jest towarzyszem — a przecież przyjazd jego nie był mu wcale przyjemnym, a jakieś głuche przeczucie mówiło mu, że owe spokojne dnie szczęścia, których dotychczas używał, już dla niego minęły, a może odtąd na jasnem niebie czarne zaczną gromadzić się chmury i może jego słońce się zaćmi i może straszne zahuczą burze.

Lubek się kochał w Jagience na umor. Kochał ją tą czystą, idealną miłością, do jakiej są zdolne tylko serca niewinne, a której różowe promienie z czasów świetności średniowiecznego rycerstwa padały jeszcze natenczas na dusze szlachetnych młodzieńców i, odrywając ich wyobraźnię od warunków ziemskiego życia, dawały jej siłę tworzenia całkiem eterycznych obrazów. Obrazy te, strojące się tylko zewnętrznie w szaty ziemskich postaci, a istniejące tylko w powietrznych krainach ducha, zastępowały im często całą treść życia. Lubek się kochał w Jagience, ale o jakimkolwiek celu swojej miłości wcale nie myślał. Całe jego pragnienie ograniczało się na tem, aby ją widział, aby się mógł spokojnie w twarz jej wpatrywać, ażeby czasem zaczerpnął orzeźwiającej siły z jej oczu, ażeby wiedział, że jest szczęśliwą, ażeby się bez

przeszkody domyślał, że nie jest jej wstrętnym: zresztą niczego nie pragnął. Spowiadać się jej ze swojej miłości, dotknąć się jej ręki, przycisnąć do jej twarzy swe usta, nigdy mu nawet na myśl nie przyszło — a gdyby się to stało, to zdało mu się, że byłby umarł z radości. To idealne uczucie dla niej, którem napełnił swe serce, zupełnie mu wystarczało do szczęścia, jakoż czuł się tak szczęśliwym, że, według niego, nawet aniołowie w niebie nie mogli być szczęśliwsi od niego. Czego pragnął, to tylko, ażeby mu tego szczęścia nikt nie zamącił, jeżeli zaś czasem, kiedy długo myślał samotnie, obudziło się w nim jeszcze jakie pragnienie, to chciałby był się dla niej poświęcić, chciałby był wylać dla niej krew swoją lub umrzeć dla niej.

Czy Jagienka wiedziała o tej jego miłości? Bardzo być może, bo takie uczucia nigdy się nie ukryją przed okiem kobiety.. Bardzo być może, bo czasem unikała jego wzroku, a bardzo rzadko go o co prosiła. Choć sama dopiero co z dziecka wyrosła na pannę, uważała go zapewne za dziecko i wcale tego nieokreślonego lęku przed nim nie miała, który się zawsze odzywa w sercu dziewczyny właśnie wobec takiego młodzieńca, dla którego miłość powzięła. Ale być może, że w swojem wrażliwem sercu miała wdzięczność dla niego, bo często późnym wieczorem, kiedy wszyscy już spali, a Lubek przy oknie otwartem swojej górnej izdebki grywał na lutni i śpiewał piosnki półgłosem, ona otwierała swe okno na dolnem piętrze, siadała przy niem i pilnie go słuchała. Była to rzecz niewinna, lecz nieroztropna z jej strony, bo Lubek ją widział, grywał wtedy i śpiewał do późnej nocy, a kiedy spać się położył, to go aniołowie na tęczach koły-

sali do rana, a nazajutrz bywał tak roztargnionym i nieprzytomnym, jak jaki hulaka, co całą noc przepił i przehałasował, za co też sobie gorzkie robił wyrzuty i zawsze się potem spowiadał.

Owo więc teraz to błogie, anielskie szczęście miało być zamąconem. Lubek miał takie przeczucie i przeczucie to się sprawdziło. Przybycie Wilczka stało się hasłem do ożywienia i rozruszania zamku na Sobniu. Potrzeba było tego kasztelanowi, który po otrzymaniu absolucji zaczął już całe zasypiać w szczęśliwości doczesnej, zanim miała się dla niego otworzyć szczęśliwość wieczna; potrzeba było tego jeszcze daleko więcej kasztelanowej, albowiem gorliwie dbała o blask i znaczenie swojej rodziny, nie chciała dopuścić, ażeby jej mąż zapleśniał na kasztelanji niższego rzędu i uważała za rzecz konieczną przypomnieć go znowu szlachcie sanockiej, która od czasu jego pokuty zaczęła już wcale zapominać o zamku sobieńskim. Poczęły się zatem obiady, bale, festyny, turnieje i wszelkie igry ówczesne, wśród których zamek, zawrzał, jak w ulu, a czasem się nawet pod niemi rozpierał.

Ziemia sanocka musiała zapewne od wieków mieć jakiś czarujący urok dla ludzi, bo już pod owe czasy była dobrze osiadłą i bardzo gęsto zaludnioną. Niemal wszystkie wsie, dziś istniejące, bo tylko z wyjątkiem bardzo niewielu, a i to tylko w głębokich górach, już wówczas istniały, tylko niektóre z nich nosiły wtenczas inne nazwiska, drugie zaś z powodu nie dla każdego czytelnej ówczesnej pisowni stały się trudne do zdecyfrowania. Tylko oswojony z pismem ówczesnem, a zarazem znający całą tę ziemię od wioski do wioski może się doczytać, że tamtoczesny „Ulyechowecz“

to dzisiejsze Olchowce, „Schynycza“ to Zmiennica, „Coschthirowcze“ to Kostarowce, a „Vlicz“ to Ulucz. Bardzo wiele wiosek, noszących dziś nazwy ruskie, jak Sukowate, Serednie, Bereska, nazywały się wówczas po polsku: Sękowate, Srednie i Brzoska, co namacalnie dowodzi, że pierwiej tu byli Polacy, a Rusini napłynęli dopiero później. Wszystkie te wioski były gęsto osiadłe przez szlachtę, która tylko w małej części się tu osiedziała, drudzy wygaśli albo poprzenosili się w inne powiaty. Wówczas siedzieli tutaj Kmitowie na Sobniu i na Dubiecku, Balowie na Nowymtańcu i Średni, Chrząstowscy, znakomita wówczas rodzina, na Hoczwi, Fredrowie mieli Tyrawę Wołoską, Herburtowie Mchawę, dalej kwitnęli Jaćmierscy, Wzdowscy, Tarnawscy na wsi, od której wzięli nazwiska, Andrzejowicze na Szczawnem, Stankowie na Olchowcach, a wreszcie Pieniążkowie, Smoliccy, Konarscy, Ostrowscy, Mieroszowscy, Laskowscy, Smogorzewscy, Zmigrodzcy, będący linją Stadnickich, Pakoszowscy, Czeczykowicze, Oziembłowscy, Krzesimowscy, Niedźwiedzcy, Krzywieccy, Mleczkowie, Czarnoccy, Derszniakowie, Bierzeccy i bardzo wielu innych, którzy jeszcze nie mieli nazwisk zrobionych, a pisali się tylko imieniem chrzestnem, do którego dodawali nazwisko swej posiadłości. Byli to ludzie prości, mieszkający w drewnianych dworach, zazwyczaj cokolwiek obronnych, chodzący w domu w kożuchach, drelichach i samodziałach, umiejący zaledwie czytać, a pisać z trudnością, lepiej po łacinie, niżeli po polsku, pracujący skrzętnie na swojej roli i przestający na małem, ale chowający wszelkie przymioty rycerskie u siebie, dbający o honor swego imie-

nia, występujący z błyszczącą wystawnością za domem, bogaci w cnoty, ale zarazem ambitni, a często pnący się nawet do wysokich urzędów. Jeszcze równość braterska nie dojrzała wtedy w Małopolsce do tego stopnia, jak później, ale już na wzór Wielkopolski silnie kiełkowała pomiędzy szlachtą, a liczba jej stawała już często za prawa i obyczaje. Kto ją chciał mieć po sobie, musiał jej schlebiać tak samo, jak w wieku następnym.

Kasztelanem sanockim był do niedawna Henryk Kamieniecki, herbu Pilawa, rezydujący na zamku w bliskim Kamieńcu, który się dzisiaj zwie Odrzykoniem, ale, gdy zginął pod Wiśniowcem przed dwoma laty i kasztelanja zawakowała, zaczęli się o nią starać Maciej Bal, herbu Gozdowa i Jędrzej, brat Kmity. Pomiędzy Balami, a Kmitami były o to spory i niestrudzone u dworu kabały, kasztelanja wciąż wakowała, a tymczasem Kmita sobieński, będący kasztelanem przemyskim, niejako uzurpował ten urząd, który miał pewną wartość, bo dawał mu pierwsze znaczenie w powiecie i w razie pospolitego ruszenia mógł go postawić na czele całej siły zbrojnej tej ziemi. Zdaje się, że za przewodem kasztelanowej właśnie to miano na oku i dlatego skorzystano z pierwszej sposobności, ażeby szlachtę zgarnąć ku sobie. Toż teraz ta szlachta roiła się wcale na zamku sobieńskim, codzień po kilkunastu sąsiadów zasiadało do stołu, wino się lało strumieniami, muzyka grała przy ucztach, a wieczorem wyprawiały się tańce, śmiechy i różne swawole do późnej nocy.

Po kilku tygodniach takiej zabawy zapowiedziano turnieje na zamku. Wilczek, jako bywały na wielkich dworach i w cudzych krajach, zajął się

ich urządzeniem. Kasztelanowa była za tem, ażeby nie goniono na ostre, ażeby się raczej ograniczono do biegania za pierścieniem i ścinania głów papierowych. Pretficz wziął na siebie fabrykację takich głów, przedstawiających Turków i Wołochów, a ksiądz Biały z zamkowemi chłopięty mu w tej robocie pomagał. Niebawem też przyozdobiono główny dziedziniec zamkowy kilkudziesięcią głów w turbanach i kuczmach, z ogromnemi brodami i błyszczącemi oczyma, pozawieszano pierścienie, przybrano mury w choiny, kolumny w wieńce zielone, a na krużgankach porozwieszano makaty, gdzie urządzono siedzenia dla dam, mających przyznawać nagrody.

Przyszedł nareszcie dzień upragniony, zjechało się paręset szlachty znajomej i nieznajomej, niektórzy z nich byli tylko w sukniach świątecznych, uzbrojeni wystawnie, a nie do boju, lecz wielu przybyło w pancerzach od stóp do głowy, na koniach, zakutych także w żelazo, a nawet ze spuszczonemi przyłbicami. Nikt nie mógł poznać kto oni byli. Ci stanęli poza szrankami — a jak tylko otrąbiono otwarcie turnieju, ten i ów kazał wystąpić swojemu heroldowi i ogłosić przy trąbie, że jego pan, rycerz taki a taki, prosi każdego, kto łaskaw, ażeby raczył z nim skruszyć kopją. I zaraz kilku się starło ze sobą ku powszechnemu zdziwieniu dam, a przy rozgłośnych okrzykach gęsto poza szrankami zgromadzonego rozmaitego ludu. Który zaś rycerz zwyciężył, podnosił przyłbicę i wśród odgłosu kotłów i trąb szedł na krużganek, gdzie wszystkie damy go przyjmowały z oklaskiem i przypinały mu do pancerza bukiety kwiatów i wstążek, zaczem spijano *Vivat* dla niego.

Wilczek patrzył zrazu spokojnie na te gonitwy, stojąc na krużganku obok Jagienki i tłumacząc jej każde uderzenie i każde cięcie, zgoła każdy ruch potykających się z sobą rycerzy. Ale po drugiem i trzeciem spotkaniu zaczęła mu się krew coraz bardziej rozgrzewać, potem zaczęło mu brakować oddechu, nareszcie ziemia zaczęła go parzyć w podeszwy, tak, że już nie mógł wytrzymać i zniknął milczkiem z krużganku. Jednak prawie z nim razem Lubek także nie mógł dostać na galerji i, ścisnąwszy cichaczem kasztelana za nogi, prosił go ze łzą w oku i z drżeniem w głosie, aby mu pozwolił wsiąść na koń i choć jednę kopję skruszyć z jakim rycerzem. A kasztelan, podcięty cokolwiek, bo ciągle spijał wiwaty, położył mu rękę na głowie i rzekł po ojcowsku:

— Idź, moje dziecko, i pobaw się trochę. Weź tam i drugich ze sobą, ale nie bawcie się długo, a wymieńcie to tałatajstwo z dziedzińca, bo już czas do wieczerzy.

Lubek poleciał, jakgdyby mu kto skrzydła przyczepił. Szczęściem, że go nie spostrzegła kasztelanowa, bo pewnieby nie była dopuściła, aby taki wiotki młodzieńczyk potykał się z takimi starymi wygami, pomiędzy którymi był pewnie niejeden taki, co i niedźwiedzia byłby zdusił, jak kota.

W mały czas potem wyjechał z jednej masztarni Wilczek, cały zakuty w żelazo, na swoim karym ogierze, a z drugiej Pretficz także w zupełnej zbroi na wielkim masłowatym koniu, jeszcze cokolwiek smukłym, jak jego pan, ale zadziwiającej piękności. Obydwa trzymali w ręku kopje na dwanaście stóp długie, a na lewem ramieniu mieli ko-

kardy z wstążek niebieskich i białych. Były to kolory Jagienki. Spostrzegli więc zaraz, że obydwa walczą za honor tej samej damy, ale nie robili sobie o to wyrzutów, bo było to wówczas uważanem za dowód bardzo gminnego smaku, jeżeli ktoś się zdradził z uczuciem zazdrości. Owszem, im więcej która z dam miała rycerzy, co w jej kolorach walczyli, tem wyżej była cenioną przez swych wielbicieli. Jednakże Lubek miał nieposkromioną. choć może nie całkiem siebie świadomą ochotę zetrzeć się z Wilczkiem, jakoż podjechał ku niemu, ukłonił mu się uprzejmie i rzekł:

— Proszę waszej miłości wyrządzić mi honor i skruszyć ze mną kopją, choćby raz tylko.

Ale Wilczek rozśmiał się na to i odpowiedział mu dobrodusznie:

— Słysz, Pretficz! Ja nie odmawiam przysługi nikomu i sam to uważam za honor, jeżeli kto raczy ze mną się zmierzyć. Ale jam ciebie pokochał, jak brata. Więc powiem to otwarcie: u mnie ręka żelazna, a tyś jeszcze wiotki młodzieńczyk. Wyrządziłbym tobie szkodę, a sambym za to nie zasłużył na wieniec. Ale, jeśli chcesz, to dam ci przodek przede mną, wyjedź i ogłoś się pierwszy — a jeśli twój przeciwnik zwali cię z konia, to ja mu za to zapłacę.

Przykro było Lubkowi, że mu Wilczek odmówił, ale upierać się nie mógł, bo nie był jeszcze rycerzem, a zresztą Wilczek tak po bratersku do niego przemówił, że nie mógł mu takiej odmowy brać za złe.

Lubek więc ogłosił się pierwszy przez zamkowego herolda i w szranki wyjechał. Na galerjach taki był hałas, że wcale nie dosłyszano jego nazwi-

ska. Widziano tylko, że nowy rycerz wyjeżdża, ale go nie poznano, bo miał spuszczoną przyłbicę. Po drugiej stronie odpowiedziano na jego wyzwanie i zaraz obaczono wyjeżdżającego stamtąd rycerza na niewielkim bachmacie i w ladajakim pancerzu. Wilczek, że się cokolwiek bał o Pretficza, swobodnie odetchnął. Tymczasem obydwa rycerze wypuścili pędem konie ku sobie i Pretficz tak zdmuchnął kopją swego przeciwnika z kulbaki, jak gdyby świecę kto zgasił. Wilczek w głos się roześmiał, bo przeciwnik Lubka tak spadł z konia, jak worek z wozu, a jego koń dał drapaka ku bramie, zadarłszy ogon i obudziwszy śmiech homeryczny na wszystkich krużgankach. Dopiero wtedy poznano, że zwycięzcą był Lubek, i zaczęto wołać na niego z krużganków; ale on tego wołania nie słuchał, tylko skoczył czem prędzej po drugą kopję. W bitwie prędko krew się rozgrzewa, a zwłaszcza w radośnem sercu zwycięzcy.

Ledwie pierwszy rycerz spadł z konia, kiedy już drugi się z tamtej strony ogłosił. Ku temu Wilczek wyjechał, ogłosiwszy się wprzódy, wypuścił konia pędem ku niemu, ale tak go zwalił z kulbaki, jakgdyby piorun w niego uderzył, nawet kopja nie pękła mu w ręku, a jego Wrony, koń dziwnie ognisty i silny, jak lew, ale jeszcze niedoświadczony w boju, przeskoczył przez powalonego rycerza i jego konia i uniósł się w kąt przeciwległy dziedzińca. Wilczka zaraz poznano, więc hałas ogromny się podniósł na wszystkich krużgankach, uderzono w trąby i kotły, podniesiono kielichy, a Smolicki, stojący za plecyma Jagienki, rzekł jako znawca:

— Tam była zręczność, a tutaj jest zręczność

i siła, tylko i pana i jeźdźca młoda krew jeszcze unosi.

Jagienka go zapewne słyszała, ale tak była zajęta tą bitwą, tak oczu nie mogła oderwać od Wilczka, że go nie słuchała; nie potrzebowała ona zresztą niczyjej rady, ażeby wiedzieć, do którego rycerza rwie się jej serce.

Tymczasem Wilczek i Prefticz już stali przy szrankach z kopjami, czekając, kto się tam znowu ogłosi. Ale niedługo czekali. Zaledwie bowiem rozbity przez Wilczka rycerz zszedł z pola, zaraz z tamtej strony dwóch wyjechało, obydwa daleko lepiej uzbrojeni i umontowani, niżeli pierwsi.

Wilczkowi się to podobało, jakoż rzekł do Lubka:

— Pretficz, na tych dwóch razem uderzymy.

— Razem — rzekł Lubek radośnie.

Ale w tej chwili Wilczek, mający oko żołnierskie, dostrzegł, że za tymi dwoma, stoją dwaj inni, już także z kopjami w rękach, a za nimi jeszcze inni, tak, że nawet nie można było ich zliczyć. A dotąd jeszcze nikt nie wiedział, jacy to ludzie, szła tylko wieść głucha po zamku, że mają to być szlachcice węgierscy, co, zasłyszawszy, że na Sobniu będą się wyprawiać turnieje, przyjechali całą chorągwią, aby się tu zabawić. Ba, dobrze, ale dlaczego zbijają się w kupę między szrankami, kiedy na turnieju nie godzi się kupą uderzać, jeno trzeba się bić pojedynkiem. Ostrożny Wilczek obejrzał się więc poza siebie i zawołał:

— Ramułt, czuj duch! Każ naszym ludziom wsiąść na koń, a nas z oka nie spuszczaj. Kiedyby zaś oprócz tych dwóch tylko jeszcze jeden na nas

uderzył, natenczas druzgotaj szranki, a wal w to cygaństwo, choćby i jeden z nich żyw się nie ostał.

Ale Ramułt, jeszcze o wiele ostrożniejszy od niego, już dawno siedział na koniu, a za nimi jego sześciu żołnierzy w pełnej zbroi i z długiemi mieczami u boku.

A wtedy już obydwa rycerze węgierscy zaczęli się naprzód posuwać, więc Wilczek krzyknął:

— Pretficz, dzierż dobrze kopję, a mierz w same piersi!

I obydwa puścili się pędem na Węgrów.

W tem starciu jeden Węgier zwalił się z konia, lecz drugi tylko się zachwiał i zaraz się wyprostował w kulbace, jakoż w tem okamgnieniu drzewcem skruszonej kopji dał po łbie Wilczkowi tak silnie, że grzebień hełmu mu strzaskał; toż i tamten zwalony wyskoczył, jak małpa, na konia i zaraz na Lubka najechał. Zaczem teraz zaczęła się bitwa; jednak nie trwała długo, bo Lubek, dobywszy miecza, za jednem pchnięciem zwalił znów swego przeciwnika z kulbaki, Wilczek zaś, widząc, że ma do czynienia z jakiemś dzikiem rycerstwem, ciął konia swojego przeciwnika w łeb mieczem, a tak i koń i jeździec się razem zwalili na ziemię. Ale jeszcze ci ludzie nie dolecieli do ziemi, kiedy z tamtej strony przyskoczyło dwóch drugich rycerzy swoim na pomoc, co widząc Ramułt, wjechał pędem ze swymi żołnierzami na plac, z tamtej strony znów kilkunastu przybiegło i zaczęto się tłumić ze sobą całkiem, jak na wojnie. A wtedy Wilczek pot poczuł, zawołał swoich, o kilkanaście kroków z nimi odskoczył, sprawił ich — i z wielkiemi mieczami w ręku, jak w bitwie porządnej, w kupę tych Węgrów uderzył.

Krzyk zgrozy i trwogi się podniósł na wszystkich krużgankach i rozległ się, jak grom powtarzający się po wszystkich dziedzińcach, bo już krew zaczęła się toczyć, ten i ów leżał na ziemi, jak długi, i konie jeźdźców pobitych zaczęły się rozlatywać pomiędzy tłumy, a tłumy zaczęły uciekać. Tu i ówdzie wołano z krużganków: „Stój! Na miłość Boga! Idźcie rozbrajać!“ — Kasztelanowa blada i przestraszona, składała ręce przed Smolickim i księdzem Warą, aby biegli w dziedziniec i bitwę wstrzymali; Jagienka przyciskała obydwie ręce do serca i szeroko rozwartemi oczyma patrzała na bijących się, śledząc każdy ruch pióropusza, który jej tak dobrze był znanym; inne kobiety mdlały, a dzieci płakały, tylko Kmita przegiął się lekko przez balustradę, uśmiechał się i wołał nadół:

— Wal, Wilczek, a powyrzucaj tych drabów z dziedzińca.

Toż Wilczek odpowiedział sumiennie życzeniu Kmity. Jak bowiem z Ramułtem i Lubkiem zakasał rękawy do tej roboty, tak i wytłukł Węgrów na miazgę, pozwalał ich z koni, pobił, potrzaskał i wyparował za bramę. Ten i ów, co się wymknął z tej siekaniny, a bramy nie mógł namacać, w krąg dziedzińca uciekał, a żołnierze za nim gonili — i to rozweseliło widzów, tak, że mimo rozlanej krwi i trupów, leżących na placu, śmiano się w głos na wszystkich krużgankach.

Kiedy się policzono po bitwie, okazało się, że dwóch szlachciców zabito na śmierć, jednemu łeb rozwalono, że jeszcze ledwie co dychał, drugiemu wypruto jelita, trzem innym poprzetrącano ręce i nogi — a co się wilczkowi ludzie nabrali guzów,

o tem wcale już nie mówiono. Ale była to wyśmienita i wcale rycerska zabawa. Zabitych kazano zaraz pogrzebać, rannych oddano w opiekę balwierzom, potłuczeni kazali się wysmarować olejem — i na tem koniec. A że pomiędzy tymi rzekomymi Węgrami znaleźli się także i polscy junacy, to powiedziano sobie: „Dobrze im tak, poco tam leźli". Wilczek i Lubek, wyszedłszy cało z tej bitwy, choć pierwszy z nich miał oko czarno podbite, a drugi tak był potłuczony, że ledwie się mógł utrzymać na nogach, zostali na krużganku przyjęci przy odgłosie kotłów i trąb i powszechnych okrzykach. Wszyscy się do nich cisnęli. Kasztelan pierwszy rzucił się Wilczkowi na szyję i, pocałowawszy go w jeden policzek i w drugi, zawołał z zapałem:

— Słysz, Wilczek! Tak się tobą dziś cieszę, jakgdyby mi kto wieś w pszennej glebie darował — a gdybym miał córkę, tobym ci ją sam zaniósł do łoża.

Lubka zaś ścisnął za głowę i kazał mu nalać starego wina, ażeby swe siły pokrzepił.

Zaczem wszyscy obecni rwali Wilczka, każdy w swą stronę, każdy go ściskał i każdy mu jakiś komplement powiedział; tylko Jagienka stała oparta plecyma o balustradę, z bijącem sercem i spuszczonemi oczyma: onaby była wymowniej od wszystkich wypowiedziała swe uwielbienie dla niego, ale w tej chwili głosu w gardle nie miała.

A wtedy wszyscy szli do wieczerzy, bo już się zmierzchać zaczęło, a niejednemu wnętrzności skrzypiały. Tego dnia było ze trzysta osób na zamku, nakryto więc stoły w kilku komnatach. Kasztelan gospodarował w pierwszej, kasztelano-

wa w drugiej, a już tam dalej komenderował Smolicki. W dziedzińcach zaś pozapalano beczki smolne, powywieszano kagańce z łuczywem, powytaczano beczki z miodem i piwem i pieczono przy stosach ogromnych uda wołowe, podświnki, barany i skopy. Do tego bito w bębny i kotły, odzywały się trąby i rogi, a w górnych komnatach grano na lutniach, cymbałach i arfach. Zgoła gwar, brzęk, szczęk i hałas, jak w przedsionku do piekła, bo bez tego nie byłoby zabawy.

Kasztelan, siadając do stołu, Wilczka obok Jagienki posadził i rzekł:

— Co mam najpiękniejszego w domu, to sadzam przy tobie, jako dank za to, żeś walczył w jej kolorach.

Wilczek był mocno uradowany. Jagience zaś zrazu całkiem zaćmiło się w oczach, bo jej się zdało, że już się niebo przed nią otwiera i pełnią się jej najgorętsze życzenia, z któremi kryła się dotąd przed całym światem — i kryła się nawet przed sobą: bo Wilczka ceniła tak wysoko, a siebie tak nisko, bo była przekonaną, że, choćby wszystko było po temu, to nigdy na to nie zezwoli kasztelanowa, bo wreszcie miała jakieś ciemne przeczucie, chociaż sama nie wiedziała dlaczego, że niemasz dla niej szczęścia na ziemi.

Matka jej niewiadomo kiedy umarła, ojciec zginął na jakiejś wojnie zamłodu, po swoich rodzicach nie miała żadnych pamiątek, żadnych wspomnień dziecinnych, żadnej duchowej spuścizny; zaś panny klaryski uczyły ją tylko modlić się, modlić i modlić, umartwiać ciało, nie myśleć o żadnej ziemskiej rozkoszy, a całe doczesne życie tylko temu poświęcić, ażeby pozyskać zbawienie wiecz-

ne. Jej wrodzone uczucia, jej myśli, które sobie sama wyrobiła i w jakąś całość usnuła, jej żywa wyobraźnia, jej czułość na wrażenia zewnętrzne, a wreszcie jej temperament, przekonały nawet same panny klaryski, że nie jest stworzoną do sukni klasztornej. Odebrano ją stamtąd i przywieziono na zamek kmitowski. Tu odetchnęła całkiem innem powietrzem, tu obaczyła ten świat, potępiony przez zakonnice, a przecie taki żywy, taki wesoły, tak piękny, tu zrozumiała, że nie dla tamtego, ale dla tego świata Pan Bóg ją stworzył, tutaj uczuła, że na tym świecie mogłaby znaleźć to szczęście, o jakiem tylko za przewodem swego instynktu, tylko z głuchych, dalekich wieści, tylko z urywanych wzmianek, słyszanych przypadkiem, marzyła niegdyś w klasztorze. Tu mogły się ziścić wszystkie jej ideały i nie widziała swoim rozumem, jakie przeszkody mogłyby ich ziszczeniu stanąć na drodze. A gdyby nawet jakie stanęły, to zdało jej się, że ma dosyć energji, aby je wszystkie przełamać. A jednak zazwyczaj bardzo nieufnem okiem patrzała w swą przyszłość, a często nawet czarnym się poddawała przeczuciom. Lecz dziś... sam Kmita ją koło Wilczka posadził, dziś całe niebo otworzyło się przed nią i słyszała już weselne pienia aniołów.

Wilczek był w niej tak rozkochany, że żył tylko dźwiękiem jej głosu i cały świat widział tylko w jej oczach. On nawet dotychczas nie wiedział, że taka miłość istnieje na świecie. Jakiekolwiek dotąd porobił doświadczenia na drodze miłości, a raczej może na jej bezdrożach, ta miłość go z nich otrzęsła i oczyściła — i wobec Jagienki był jakby nowonarodzonym człowiekiem. O swojej mi-

łości dla niej mówił jej już nieraz dotychczas, sposobności mu do tego nie brakło, a z każdej korzystał; Jagienka mu dotąd nigdy nie dawała nadziei, bo sama jej w sobie obudzić nie mogła, jednak zawsze go wysłuchała, a nigdy go nie odtrąciła od siebie. Teraz dla nich obojga wybiła godzina na tym nieczytelnym dotychczas zegarze: Wilczek ścisnął jej rękę, a ona go także ścisnęła, ale tak silnie, tak gorączkowo, tak konwulsyjnie, że w tem uściśnieniu wyraziły się jej wszystkie uczucia, cała ich siła płomienna, żelazna wola, wytrwałość skały, opór w razie potrzeby, gotowość do wszelkich ofiar, poświęceń i cierpień, na całe życie, na zawsze, do grobu... Tak rozumieją się dusze, sobie pokrewne — a takie zrozumienie się jest daleko wymowniejsze, niżeli najczulsze dźwięki żywego słowa. Wilczek przez długą chwilę nie wypuścił jej ręki z swojej gorącej dłoni, a kiedy z obawy, aby ich nie spostrzeżono, zabrał się do jedzenia, to był wesół, jak dziecko, świadomy i pewien siebie, jak nigdy, bo był przekonany, że jest stworzony do szczęścia i że to szczęście pozyska.

Tymczasem przy stole jedzono łakomie, a pito ochotnie. Kmita miał oko na wszystkich i nie szczędził „prynuki". Po każdem daniu kazał grać pieśni wesołe, a po każdej przygrywce podnosił puhar, wychylał duszkiem i puszczał go wkoło. Pod koniec wieczerzy kazał sobie wieniec włożyć na głowę, a odtąd i puhary gęściej krążyły i zaczęto muzyce wtórować chóralnym śpiewem przy stole. A kiedy nareszcie znak dano, że koniec wieczerzy, to nie każdy mógł wstać o własnych siłach, niektórego komornika lub chorążego musieli popod ramiona podnosić paziowie, drugi zaś kazał się za-

prowadzić do szopy na siano, ażeby się mógł przespać cokolwiek. Lecz było wielu, którzyby byli mogli pić jeszcze drugie tyle, a ci się dobrze trzymali na nogach. Do tych ostatnich należał Kmita, tylko był wesół nad miarę, śmiał się wciąż śmiechem szalonym i ciskał żartami na wszystkie strony. Jednak przezorny i dbały o to, ażeby nie uchybił swojej powadze, nie ufając zupełnie swym nogom, kazał się zaprowadzić paziowi do drugich komnat, a dopiero tam, usadowiwszy się wygodnie w poręczowem krześle, był siebie pewnym. Za nim przewaliły się tłumy gości do tychże komnat, gdzie miały teraz rozpocząć się tańce.

W największej komnacie, gdzie Kmita się usadowił, zaczęła grać muzyka przy trąbach i rozmaitych brzękadłach, a starsi poszli najprzód w tan z matronami, za nimi młodzi korowodem bez końca. Każdy skakał, jak umiał, ten i ów huknął, drugi zaśpiewał, ale się nie przewracano, bo w tych domach rycerskich surowsze chowano obyczaje, niż w miastach, a zresztą tutaj nie byłaby na to nigdy pozwoliła kasztelanowa.

Kiedy zaczęto tańcować, Kmita huknął ze swego krzesła po raz i drugi i klasnął w dłonie, ale później się uspokoił, przechylił głowę na plecy krzesła i przysnął swoim zwyczajem. We śnie był w niebie i rozmawiał w wielkiej ciszy z świętymi. Tak spał z godzinę, ale, kiedy jakaś para dała sobą o ziemię tuż przy nim, a rycerz upadający swoją stalową koszulką okrutnego narobił hałasu, Kmita się zbudził i rozwarł oczy szeroko przed siebie. Z początku mu się zdało, że, kiedy spał, to musi być w łóżku, więc nie mógł zrozumieć, dlaczego ci ludzie tańcują około niego; ale po chwili cał-

kiem otrzeźwiał i był wesół i kontent, że jego goście tak wesoło się bawią.

Wilczek tańcował jeden taniec i drugi z Jagienką i wciąż z nią rozmawiał, lecz przytem ciągle rzucał okiem na Kmitę, jak gdyby czatował na tę chwilę, kiedy się zbudzi. Skoro zaś Kmita się zbudził, zaraz sobie krzesło przysunął do niego, siadł przy nim i zaczął z nim rozmawiać. Ale niecierpliwy młodzieniec nie lubił preludjów, jakoż zaraz po pierwszych słowach rzekł do niego:

— Panie kasztelanie, pilno mi jegomości powiedzieć, że mi się Jagienka podoba lepiej, niż wszystkie inne, a nie chciałbym nigdy piękniejszej na żonę.

— To żeń się — odpowiedział mu Kmita — dziewce czas zamąż, a powiem tobie w sekrecie, że i moja żona radaby ją postanowić, bo zawsze to wielka odpowiedzialność, trzymać taką ognistą dziewczynę w domu.

Więc Wilczek był bardzo uradowany, położył mu rękę na kolanie i spytał:

— A będzie pan kasztelan mnie protegować?

— Ja? — rzecze Kmita. — Nawet sam ciebie zaswatam. Daj rękę!

Zaczem Wilczek dał jemu rękę i zaraz wstał, bo mu się zdało, że mu się ziemia z pod nóg usuwa, a coś go unosi w powietrze.

Ale i Kmita wstał także raźnie i zaraz kiwnął na Jagienkę, a kiedy przyszła, wziął ją za rękę, przetańcował z nią wkoło komnaty, a potem stanął z nią przed muzyką i zaśpiewał starą weselną piosenkę:

Co skocznego graj, muzyka,
Póki się drą złote łyka,
Mam ja jeszcze wsi niemało,
Nie chcę, by dziś co zostało.

Widząc Kmitę z wieńcem na głowie tańcującego z Jagienką i słysząc go śpiewającego taką piosnkę weselną, ci i owi przestali tańcować, inni zaczęli tam i sam biegać, mówiąc: „Dla Boga, co się to dzieje? Pono się tu kroi na jakieś wesele". A byli wreszcie i tacy, którzy się już kłaniali Wilczkowi, a zajeżdżając zdaleka, próbowali życzyć mu szczęścia. Zasapany kasztelan siadł napowrót w swem krześle, a patrząc w komnatę, gdzie tłumy gości zaczęły się grupować, a szeptać ze sobą, bardzo był rad, że im taką łamigłówkę zadał do rozwiązania.

Ale kasztelanowa, której bacznemu oku nie uszedł żaden ruch w żadnej komnacie, zaraz spostrzegła i zrozumiała, co się to stało, jakoż siadła przy mężu i zapytała go z uśmiechem na ustach:

— A jegomość komu chcesz wioski rozdawać?

A Kmita się głośno na to roześmiał i zawołał:

— Ja?! Ja nikomu nie dam ani jednego klina, raczej chyba drugiemu jego wieś wezmę.

— A cóżeś to śpiewał?

— Bom chciał Wilczkowi drogę do Jagienki uścielić. Przecież i ty nie będziesz mieć nic przeciw temu.

Więc kasztelanowa zastanowiła się nad tem i rzekła rozważnie:

— I ja to uważam, że Wilczek się ma ku Jagience. Ale nie zdaje mi się, żeby to był stosowny mąż dla niej...

— Dlaczegoż to, moja królowo?

— Jej trzeba męża, któryby ją żelazną ręką prowadził. A Wilczek zdaje mi się człek lekki. Nie mówię ani za, ani przeciw, lecz jestem zdania, że trzeba to czasowi zostawić, aż póki go bliżej nie poznamy. Rozumiesz jegomość?

— Więc jak chcesz, moja królowo — odpowiedział jej Kmita, a kasztelanowa odeszła.

Goście się jeszcze jakiś czas bawili tańcem, muzyką i śpiewami, ale, jak północ wybiła, wszyscy się zaczęli rozchodzić.

A wtedy Smolicki się zbliżył do Wilczka i, palec podniósłszy do góry, rzekł tajemniczo:

— *Festina lente.*

— Dlaczegoż to? — zapytał Wilczek.

— Bo kasztelanowa nie jest po twojej stronie.

— Cóż ona ma do mnie?

— Może nie do ciebie, ale ona królewskich rotmistrzów nie lubi.

— Śmiej się z tego, Smolicki — rzekł Wilczek, kładąc mu rękę na ramieniu — mam kasztelana, a w razie potrzeby będę miał i króla za sobą. Jeżeliby przyszło do wojny, chciałbym też wiedzieć, jakim sposobem dama pobije króla.

A na to Smolicki z uśmiechem:

— To jest dama kozerna, a wobec takiej damy i król czasem jest młódką.

Na to Wilczek znowu głośno się roześmiał i rzekł:

— Nie znasz ty króla, a przeto nie wiesz, jak każdy człowiek jest mały przed majestatem.

Jednak Smolicki w tym razie jakoś niebardzo w to wierzył, bo rzekł ważnie:

— Słysz, Wilczek! A wiesz ty, co to jest rozum? Rozum, to jest dysymulacja.

Z temi słowami tłum gości ich wymiótł do sieni, zaczem i oni poszli spać razem z innymi.

Wilczek, zmęczony bitwą i tańcem, a upojony swoją miłością, spał, jak zabity, noc całą, a nazajutrz ani pomyślał o tem, co mu dnia wczorajszego powiedział Smolicki. Dopiero, jak kasztelanową obaczył, przypomniały mu się wczorajsze słowa tego trefnisia i mędrca zarazem i uważał pilnie, jak się względem niego zachowa ta dama kozerna. Jednak kasztelanowa, dama kozerna, ale zarazem światowa, była dla niego tak samo uprzejmą dzisiaj, jak wczoraj, jak przed tygodniem i przed miesiącem. Wilczek zatem drwił sobie w duszy ze Smolickiego. Mimo to jednak, jako to każdy zakochany, a jeszcze swej rzeczy niepewny, jest zwykle niezmiernie lękliwy, powiedział o tem słówko Jagience. I znalazł u niej jakoby potwierdzenie tego ostrzeżenia, jakie mu dał Smolicki, bo Jagienka mu powiedziała:

— Ja się jej boję.

— Dlaczegoż się jej boisz? Czy dała ci co do zrozumienia?

— Nie, nic zgoła — odpowiedziała Jagienka — ona jest dla mnie zawsze, jak matka, i życzy mi jak najlepiej. Ale ja się jej boję...

— To jest respekt, należny matce — rzekł na to Wilczek i więcej już o tem nie myślał.

Tymczasem festyny wciąż trwały na zamku. Szlachta się ciągle zjeżdżała, co dwa lub trzy dni wyprawiano turnieje, a codzień biesiady i tańce. Wilczek brał żywy udział w tych wszystkich zabawach, z Jagienką często na osobności rozmawiał, codzień był pewniejszym, że mu jest całą duszą oddana, porozumiał się z nią zupełnie, wziął od niej

słowo i już nad tem rozmyślał, kiedyby miał kasztelaństwu paść do nóg i jakby to zrobić. I był już prawie zdecydowany prosić o rękę panny bez swata, kiedy tego samego dnia Kmita, podpiwszy sobie, jak zwykle, wziął go pod ramię, zaprowadził do kąta i rzekł mu na ucho:

— Słysz, Wilczek, jeżeli mnie nie zdradzisz, to ci co powiem. Jeżeli chcesz dostać Jagienkę, to wiedz o tem, że baby jej ciebie nie życzą, wszystkie są przeciw tobie. Bądź zatem ostrożnym i nie puszczaj się samopas w tę drogę. Weź sobie jakiego statecznego senatora na swata, któremuby nie mogli odmówić. Możeby ci Mikołaj Kamieniecki usłużył, tego tu bardzo nawidzą i respektują...

Gdyby Wilczek był tylko swoją gorącą krwią pożądał Jagienki, to byłby się zapewne uniósł niecierpliwością, dobrą radą pogardził i jej los odrazu postawił na kartę; ale on ją kochał wznioślejszą miłością, miał szczerą cześć dla niej i pragnął jej szczęścia, a przeto przyjął radę kasztelana z wdzięcznością i jeszcze tego dnia z jednym tylko żołnierzem do Kamieńca wyjechał.

Wszelako być może, że jakiś zły duch już wtenczas mu tego szczęścia zawidził, a nie mogąc sam stanąć mu w drodze, babę posłał za siebie.

Albowiem tego samego dnia po południu zjechała pani Gniewoszowa na zamek. Przyjechała z wielkim dworem, jak druga królowa, sama na koniu ogromnym rycerskim, nakrytym siatką, spadającą prawie do ziemi, a ubrana w kapelusz z piórami i w suknię długą sukienną, spuszczającą się koniowi do kolan. Przy niej szły dwa ogromne

charty kudłate, a obok niej jechał dworzanin na dereszowatym bachmacie, z kołczanem i łukiem na plecach. Za nią jechało sześciu żołnierzy na koniach wyniosłych i pięknych, w barwie czarnej i żółtej i w półpancerzach na piersiach, na hełmach mieli pióra czarne i żółte, a na pancerzach szmelcowany herb Rawicz. Były to barwy herbowe, bo Rawicz przedstawia pannę na czarnym niedźwiedziu w polu żółtem. Za żołnierzami, uzbrojonymi w łuki, toporki i miecze, jechały dwa wozy, do połowy od tyłu woskowanem płótnem nakryte, a na ich przodzie ponad woźnicą siedziały panny służebne, pilnując naładowanej na wozach pościeli i strojów swej pani. Za wozami postępowało jeszcze dwóch łuczników na małych koniach węgierskich, którzy tworzyli straż tylną. Tak podróżowały naówczas damy rodzin rycerskich — i tak pani Gniewoszowa wjechała przed wielką kolumnadę zamkową.

Jak tylko ją ogłosili trębacze, kasztelan, kasztelanowa i wszyscy goście wybiegli na dół na jej spotkanie i witali ją okrzykami radości, ale zarazem z wielkim respektem. Sam kasztelan z Pretficzem przystąpili do jej konia i zsadzili ją na swych rękach z kulbaki.

Pani Gniewoszowa była to kobieta olbrzymich rozmiarów, o całe pół głowy słuszniejsza od mężczyzn dobrego wzrostu, istny kolos kobiecy; była chuda, ale bardzo koścista i mało co pochylona. Miała już wtedy lat blisko sześćdziesiąt, włos siwy, bogaty, a oczy zielone, twarz cokolwiek chropawą i głos gruby, surowy, prawie męski. Toż w całej jej postaci przebijała się męska stanowczość, a we wszystkiem, co powiedziała, rozum dojrzały,

świadomy siebie, a często zadziwiającej przenikliwości.

Z domu była Magierówna. Magierowie, także herbu Rawicz, był to aż do owego czasu ród bardzo możny i znakomity, ale jego główna linja właśnie się na niej kończyła. Dojrzałą panną wyszła za Stanisława Gniewosza z Oleksowa, potomka bardzo starożytnego i niegdyś świetnego rodu, człowieka rycerskiego, cnót wyśmienitych, który jednakże nie mógł się dobić wysokich zaszczytów i był tylko podkomorzym sądeckim. Później został starostą czorsztyńskim, ale to ona mu wniosła to starostwo, bo jak to i dziś jeszcze można czytać w metrykach koronnych, gdzie *Casimirus Rex anno 1485 felici Magiero de Pniewo centum marcas in oppido Czorsztyn inscribit,* rozrzutny król nie mógł spłacić tych grzywien i za jej przewodem dał jej mężowi to starostwo. Z tym mężem, od lat ośmiu spoczywającym w Bogu, miała trzech synów: Daniela, który siadł na Magierowie, majątku matki, Gabrjela, ożenionego z Tarłówną, a osadzonego na Sarnowie, i Cherubina, co, mając ledwie lat dwadzieścia, został starostą na Czorsztynie po ojcu, tak samo, jak Wilczek wziął starostwo tustańskie, a teraz także tak samo jak Wilczek był rotmistrzem królewskim. Ten Cherubin był jej najulubieńszym, na niego chciała zlać wszystkie splendory Magierów i Gniewoszów i zrobić z niego poważny i świetny filar ojczyzny. I powszechnie tak rozumiano, że jej się to uda, bo była to kobieta rozumna, wymowna i energiczna, gdzie ją kto nie posiał, tam wzeszła, u króla, u kardynała, u wszystkich biskupów i senatorów była, jak w własnym domu, umiała każdego prze-

konać, a w razie potrzeby i przeprzeć, to też zawsze wszystko przeparła, co zamierzyła. Nieoceniona, kiedy komu sprzyjała, niezmiernie zaś niebezpieczna, kiedy wypowiedziała wojnę, była przez wszystkich nadzwyczajnie respektowaną. Miała też zresztą wszystko po temu, ażeby ludzi przywiązywać do siebie; jadła i piła z mężczyznami zarówno, a głowę miała tak mocną, że nigdy jej sobie nie zawróciła, znała się na koniach, na broni, na łowach, na gospodarstwie tak, że każdy mógł się od niej czegoś nauczyć, mówiła po łacinie, jak ksiądz, znała na palcach wszystkie kanony, statuty i prawa, wiedziała o wszystkiem, co się działo na całym świecie i w kraju, znała nawet wszystkie ploteczki i zawsze pierwsza się dowiedziała o każdym sekrecie; zgoła kobieta, jak trzeba, ażeby utrzymać przewagę płci słabej nad silną, za co też wszystkie niewiasty i panny ją nadzwyczajnie wysoko ceniły.

Rozgospodarowawszy się na zamku sobieńskim, przez pierwszych dni kilka była bardzo wstrzemięźliwą i zagadkową, a nadzwyczajnie grzeczną dla wszystkich. Szukała z każdym rozmowy na osobności, z kasztelanem i kasztelanową, z Smolickim i z księdzem Warą, z Jagienką, z Pretficzem i ze wszystkimi celniejszymi dworzany; niejednę godzinkę strawiła pomiędzy służebnemi pannami, była w kuchni i w stajni, żartowała łaskawie z żołnierzami i z trębaczami, tu dała jakiś prezencik, tam kilka szerokich groszy, temu nawet talara, a owemu przyrzekła protekcję. Była oczywiście na rekonesansie, ale nikt na to nie zwracał uwagi, bo tak się zawsze zachowywała; tylko jeden Smolicki mruknął sobie pod nosem:

— Starościna nabija jakąś armatę i pewno wystrzeli, ano nie wiedzieć do kogo. Trzeba się mieć na baczności, a dysymulować. Głupi Wilczek, że właśnie teraz wyjechał...

Aż jednego dnia rankiem, kiedy jeszcze gości nie było, poszła odwiedzić kasztelanową w jej osobnym apartamencie, siadła wygodnie w krześle poręczowem, a pochwaliwszy jej wszystko, co na zamku widziała, spytała ją poufale:

— Cóż, moja Kasiu kochana, cóż myślicie z Jagienką? Podobno czas pannie zamąż.

Kasztelanowa, znając starościnę prawie od swoich lat niemowlęcych i mając do niej zaufanie, odpowiedziała jej otwarcie:

— I mnie się zdaje, że czas. Ale dotąd nic jeszcze. Czekamy.

Na to zaś Gniewoszowa:

— Imci pan Kergolaj pojechał dla niej do Jerycho po różę, przypiąwszy sobie jej wstążki do ramienia, ale podobno na drodze ugrzązł przy jakiejś mieszczance we Lwowie, a nie wiedzieć, kiedy w dalszą drogę go puszczą z tego popasu...

Kasztelanowa na to machnęła ręką, z czego widać było, że niewiele ma sympatji dla brata swojego męża, a starościna mówiła dalej:

— Tu zdaje mi się temu małemu Pretficzowi białkiem oczy zachodzą, kiedy na nią ukradkiem spoziera, więc trzebaby na to mieć oko...

Ale kasztelanowa odpowiedziała:

— Taki osiemnastoletni paź zakochany nigdy nie jest niebezpiecznym. Owszem, gdybym potrzebowała Jagienkę pilnować, to właśnie jegobym postawiła na straży.

— Ty go znasz lepiej. No, ale podobno i Wilczek drepce około niej. Cóż myślicie o Wilczku?

Na to kasztelanowa, mimo całego zaufania, odpowiedziała ostrożnie:

— Jeszcze się nie oświadczył, jak się oświadczy, to pogadamy.

Ale Gniewoszowa, nie tak bardzo dyplomatyczna, wyjechała jakgdyby z rozpalonem żelazem, mówiąc podstępnie:

— Możeby lepiej oświadczenia nie czekać, bo zawsze to przykro odmawiać. Możeby raczej wprzód się zainformować, bo mnie słuchy dochodzą, że Wilczek jest zaręczony z córeczką jakiegoś putnego bojara...

Na to kasztelanowa się uśmiechnęła i rada, że może przecież raz zrzucić ten ciężar z serca, odpowiedziała znacząco:

— Jeżeli się chcesz bliższych szczegółów dowiedzieć o tem zaręczeniu, to jest tu pomiędzy jego żołnierzami niejaki Włostek, rywal pana starosty...

— Jużem z nim rozmawiała — przerwała jej Gniewoszowa.

— Więc tedy wiesz...

— Wiem. No, tak, więc niema co myśleć o Wilczku. Gdzie indziej wprawdzie przymrużają oczy na takie rzeczy...

— Ale nie u nas — odpowiedziała dumnie kasztelanowa.

— Więc trzeba było mu oczy otworzyć zawczasu — zauważyła starościna — nie godziło się tobie brać na siebie tej roli, ale mogłaś to zrobić przez męża...

— Och, mój mąż! — zawołała ironicznie ka-

sztelanowa. — U niego to raczej zaleta, niż wada. Wiesz przecie, że i on sam... Ale, co tam o tem powiadać!

Tu starościna z głębi piersi westchnęła i rzekła:

— Masz rację. Wszyscy oni jednacy. Miałam i ja z moim perepałek niemało. A przecież taka kobieta, jak ja, mogłaby wystarczyć jednemu chłopu...

Tu trwało przez kilka minut milczenie, jak zwykle po zgodnej wzajemnych uczuć wymianie, poczem starościna zabrała głos i tak mówiła.

— Otóż powiem ci, moja kochana kasztelanowo, po sumiennem zastanowieniu, ale nie przesądzając wcale twojego rozumnego zdania, że memu Cherubinowi także już czas i tak mi się zdaje, że byłaby to przystojna para z waszą Jagienką. Cherubin ma teraz lat dwadzieścia i osiem, zdrów, jak orzech, powiadają ludzie, że nawet bardzo przystojny, chłopiec złotego serca, nieposzlakowanej zacności, bardzo roztropny, a do tego ma wolę żelazną i wcale stworzony na to, ażeby dobrze poprowadzić choćby i najkapryśniejszą kobietę. Takiego męża właśnie potrzeba Jagience; bo ja ją znałam jeszcze u panien klarysek: bardzo poczciwe to dziecko, ale w tej pięknej główce gra bujna fantazja. Co się zaś tyczy pozycji mojego syna, to znasz jego ród, spowinowacony nawet z Kmitami, pasowany jest na rycerza przez cesarza Maksymiljana, jest starostą czorsztyńskim, w wielkich łaskach u króla i, między nami mówiąc, obiecaną już ma kasztelanję. Majątku jest dosyć, ja mu go jeszcze przysporzę. Jagienka ma go także niemało, więc, jedno z drugiem złączywszy, byłoby chleba

i znaczenia dostatkiem, a z czasem stanęliby łatwo na wysokim świeczniku.

Więc kasztelanowa się nad tem zastanowiła i rzekła uprzejmie:

— O twoim synu bardzo wiele dobrego słyszałam... — Jednak, dodała z uśmiechem: — Ale on jest także rotmistrzem królewskim i powiadają mi go bardzo przywiązanym do króla; a król jegomość, przyznam ci się otwarcie, zaczyna mnie niecierpliwić.

Tu Gniewoszowa spojrzała na nią świdrowatemi oczyma i zatrzymała oddech w piersi na chwilę; widać było z wyrazu jej twarzy, że chciałaby była jej myśli odgadnąć, a nie powiedzieć czegoś, coby było jej całą grę skrzyżowało. Po chwili zaś powiedziała ostrożnie:

— Mój syn służy królowi wiernie, bo jest człowiekiem rycerskiego honoru. Gdzież ma młodzieniec służbę zaczynać, jeśli nie na dworze swojego króla? A co tam do tych rozmaitych projektów królewskich, to przyznasz sama, że nie młodzieńców to sprawa w nie wchodzić...

Tu wszakże kasztelanowa zabrała głos i mówiła z pewną niecierpliwością:

— Nie mówię o twoim synu, i chętnie ci to przyznaję, że młody człowiek dobrze robi, przyjmując służbę na dworze królewskim, a skoro ją przyjął, powinien służyć mu wiernie. Ale ten król, ten król... Co to tam się roi w tej głowie? Czy on rozumie, że my tego nie wiemy? Czy mu się zdaje, że my nie znamy tych rad, jakie mu ten przeklęty Włoch kładzie do uszu? A może nawet w swym lekkim duchu wcale jest przekonany, że te rady wykona? A my, jak drzewa w lesie, jak

chłopi, jak woły, damy się z pni naszych obalać, w kajdany kować i do królewskiego jarzma zaprzęgać? — Znamy my bardzo dobrze te rady Kallimachowe, znamy na palcach ten włoski polityczny katechizm, którym ci zbawcy ojczyzny chcą zastąpić naszych dziesięcioro przykazań. Z całej możniejszej szlachty porobić królewskich rotmistrzów (jeszcze to łaska pańska, jeżeli nie knechtów), całą szlachtę zamienić w żołnierzy, wyłamać się z pod władzy papieża, biskupów przestroić w urzędników królewskich, mieszczan porównać ze szlachtą, chłopów dopuścić do funkcyj koronnych, do ław poselskich, do krzeseł senatorskich i stolców biskupich — a w razie potrzeby, postawić jeszcze armję, najętą z Niemców i Czechów, aby stanęła na straży tego nowego państwa z armatą i mieczem: oto jest, co się tam dzisiaj smaży na zamku krakowskim! A my, Kmitowie, Zawiszowie, Tarnowscy, Melsztyńscy i całe setki, i całe tysiące innych, my, którzyśmy tę Polskę stworzyli za Bolesława Chrobrego, którzyśmy ją obronili od chłopskiej przewagi za Bolesława Śmiałego, którzyśmy ją, rozdartą na szmaty, krwią naszą znowu w całość skleili za Łokietka, którzyśmy ją ciałami naszemi zasłonili od andegaweńskiej niewoli za króla Ludwika, którzyśmy wreszcie wiekowemi ofiarami krwi i majątków wywalczyli wszystkie te wolności i prawa, na których dziś stoi, my teraz mamy karki nasze dać w jarzmo wielkich kniaziów litewskich? Och, ja nieszczęśliwa! Ja nie mam męża...

Tu kasztelanowa ręce złożyła przed sobą i głowę opuściła na piersi, starościna zaś rzekła, wchodząc w jej uczucia i myśli:

— Twój mąż się trochę przezostał...

A kasztelanowa tak dalej mówiła:

— Mój mąż, jak wiesz, miał nieszczęścia, które go na jakiś czas do ziemi przygniotły. Teraz rozgrzeszenie otrzymał, mógłby się podnieść, ale cóż jego głos może zaważyć w kasztelanji przemyskiej? Gdybyż przynajmniej był wojewodą, co mu się oddawna należy! Ale o tem podobno już niema co myśleć. Potrzeba będzie zaczekać, aż synowie podrosną i znowu splendor naszego domu podniosą. On, bardzo się o to obawiam, zapewne umrze na kasztelanji drążkowej. Niechżeby przynajmniej na niej zachował konsyderację swojego stanu. Ale i o to mam pewne obawy, bo dochodzą mnie słuchy, że nie jest w łaskach u króla. Czy nie zdarzyło ci się słyszeć coś o tem?

Tu Gniewoszowa, uchwyciwszy zręcznie tę nitkę, która jej właśnie była potrzebna, a którą kasztelanowa jej sama podała, zabrała głos i tak mówiła:

— Muszę ci najprzód powiedzieć, moja Kasiu kochana, że i ja znam te królewskie projekty, o których od niejakiego czasu ludzie tak wiele gadają. Znam przecie samego Kallimacha i bardzo często o tem z nim rozmawiałam. Nie takie to straszne są te zamiary, jak niektórzy ludzie je przedstawiają. Są tam rzeczy rozumne, są i fantazje. Ale mojem zdaniem, nie masz się tem co tak bardzo kłopotać. Wszystkie możniejsze domy zdjął strach wielkooki, mają się na baczności, opór ich będzie gwałtowny, król zmięknie... Ważniejszą jest sprawa twojego męża. Kochany mój Kmita sam się zaniedbał, przez cały dziesiątek lat prawie

nigdzie go nie widziano. Żeby tam koło korony były ku niemu jakieś niechęci, nigdy o tem nic nie słyszałam, a byłabym przecie spostrzegła. Tylko, jak z oczu, tak z myśli, i w tem cała szkoda. Ale jakoś my to naprawimy. Przypomnę ja go kardynałowi, a i królowi wyłożę, że nie jest to rzecz, ażeby osiwiały już Kmita pleśniał na kasztelanji przemyskiej. Ja króla obaczę niebawem, bo zapewne w przyszłym miesiącu do Krakowa pojadę, a skoro z nim się rozmówię, zaraz gońca do ciebie wyprawię.

Więc kasztelanowa ścisnęła starościnę za rękę, lecz rzekła dumnie:

— Ani ja, ani nikt z naszych, o nic go prosić nie będziemy, bośmy mu tego nie darowali, że o nas zapomniał. Ale jeżeli mu trzecia osoba tę niesprawiedliwość przypomni, to nam wyrządzi przysługę, za którą będziemy wdzięczni.

Więc tedy starościna, bardzo z tego obrotu sprawy zadowolona, zaczęła znów mówić o swoim synu i o Jagience z wielką oględnością, aby się kasztelanowej nie zdawało, ani, że sobie chce kupić jej łaskę, ani też, że Jagienka to taka bardzo świetna partja dla jej Cherubina. Mimo to jednak, a raczej właśnie dlatego, trafiła jej do serca i do przekonania, tak, że kasztelanowa nakoniec powiedziała jej bardzo uprzejmie:

— To niechże twój syn kiedyś do nas przyjedzie, może być pewnym jak najlepszego przyjęcia.

Gniewoszowej tylko tego było potrzeba, reszta, według jej przekonania, musiała się wywinąć, jak z płatka.

VII.

KRÓL WE LWOWIE.

Są ludzie, mający taki sam rozum, takie same zalety i takie wady, a nawet postępujący zupełnie tak samo jak wszyscy inni, a przecież postępki ich całkiem odmienne pociągają za sobą skutki, niżeli u innych. Jakaż jest tego przyczyna? Nie zawsze, lecz bardzo często przyczyna ta leży w ich własnem sumieniu. Albowiem człowiek w swem życiu codziennem daleko więcej się rządzi nierozmyślającym instynktem, niżeli rozważającym rozumem, a trafność instynktu zależy głównie od mniejszej albo większej czystości i swobody sumienia. Sumienie, obciążone jakimś grzechem niepokojącym, traci jasną świadomość siebie, mąci się i zamąca zarazem ten instynkt, który, jak świeca w ciemności, nasze kroki prowadzi. Instynkt natenczas, pozbawiony jednostajnego, stałego światła przed sobą, zapomina się chwilami i czasem przeocza rzeczy jaknajzupełniej widoczne, czasem zaś otwiera widoki, gdy ich niemasz w rzeczywistości. Obrazowe pojęcie takiego spaczonego instynktu u Greków nazywało się *fatum;* my znamy dokładniej jego właściwą istotę, ale rzecz pozostaje ta sama. Wilczek, jak wiemy, miał nieczyste sumienie, a stąd i instynkt zamglony. Pod fatalnym wpływem tej mgły, zaciemniającej nawet jego rozsądek, zaniedbał załatwić zgodnie nieszczęsną sprawę uwiedzionej przez siebie dziewczyny, uniesiony niesłusznym gniewem wcale niepotrzebnie ukrzywdził jej ojca, a wreszcie, działając wcale bezmyślnie, wziął jeszcze Włostka w podróż ze sobą. W tym

Włostku oczywiście duch mściciel założył sobie siedzibę, już ciężką karą go dotknął na zamku sobieńskim i bardzo być może, że go tak samo prześladować będzie przez całe życie. Daj mu Boże, ażeby się otrząsł z tej zmory, ażeby przywrócił równowagę w swojem sumieniu i wszedł na tę drogę, z której człowiek, zdrowym wiedziony instynktem, w żadnym wypadku nie zbacza.

Wilczek nie zastał Kamienieckiego w Kamieńcu, bo właśnie dniem przedtem do Krakowa wyjechał, dokąd go król umyślnym gońcem powołał. Wilczek nie lubił zasypiać sprawy, nie leżało to w jego energicznej naturze; zaczem, nie wiele myśląc, pośpieszył się za nim na zamek królewski. Zdało się to bardzo rozumnem, bo miał łaskę u króla i mógł się spodziewać, że w razie potrzeby, zwłaszcza jeżeli mu tak Kamieniecki poradzi, będzie mógł nawet królowi swoją miłosną sprawę przedłożyć i pozyskać jego protekcję. W swojej bujnej fantazji widział już nawet króla, jak kanclerzowi każe pisać list do Kmitów, wstawiając się za nim o rękę Jagienki.

Ale te wszystkie rachuby całkiem go omyliły. Albowiem król był właśnie wtenczas ważnemi publicznemi sprawami tak mocno zajęty, jak jeszcze dotąd nigdy w swem życiu. Zdało się nawet, jakoby pod poważnym ciężarem tych zajęć zmienił zupełnie swoje uczucia, swój temperament i swój dotychczasowy sposób obchodzenia się z ludźmi: dotychczas zawsze wesoły, lubiący się bawić, bardzo często swawolny, niekiedy nawet rozpustny, niezmiennie zaś łatwy w obejściu i przystępny dla wszystkich, teraz stał się poważnym, zamyślonym, pochmurnym, surowym w obejściu, a często na-

wet i opryskliwym. Skąd taka zmiana? Różne były o tem domysły, ale przyczynę jej znali tylko najbliżsi.

W górnych komnatach zamkowych siedział ukryty zgrzybiały starzec, dogorywający fizycznie, ale zachowujący jeszcze w swoich szerokich barkach i czarnych, niezwykłym ogniem błyszczących, oczach zupełnie siebie świadomą energję i wolę, już tylko duch prawie zamknięty w wychudłym, ludzkim szkielecie, ale duch twórczy, ożywczy i działający — i z tej to górnej tego konającego starca siedziby spływała na króla ta siła duchowa, która żywotnemi myślami rozjaśniła mu głowę, jego chwiejną dotychczas wolę w organiczne uzbroiła zasady, a jego młodą krew zapaliła do czynów.

Tym duchem, w ludzkim kościotrupie żyjącym, był włoch Buonacorsi, nazywający się Kallimachem, mędrzec znany i wysoko ceniony we Włoszech i w Grecji, od kilku lat Polak z swej własnej woli, jedyny ówczesny mąż stanu, znający Polskę w jej najskrytszych wnętrznościach, widzący jasno wszystkie jej zalety i wady, zgadujący swym bystrym rozumem, jakiemi środkami można z niej stworzyć najpotężniejsze państwo północy, a pragnący dziś tem goręcej tego wielkiego dzieła dokonać, ile że czuł, że upada na siłach, że jego energja omdlewa, że za rok, za dwa lata, już nie potrafi takiego wpływu wywierać na króla, jakim jeszcze dziś rozporządza.

Toż teraz właśnie jak najsilniejszy wywierał nacisk na niego, zachęcał, prosił, naglił i groził, ażeby król wszelkiemi siłami pomnażał, wzmacniał i organizował dworskie stronnictwo, ażeby coraz

więcej uzbrajał dworskich chorągwi, ażeby pułki zaciężne stawiał na nogi, zwoływał sejm i przystępował do czynu. Toż z tych górnych komnat zamkowych przez kancelarje i antykamery królewskie, przez ulice Krakowa, przez zamki rycerskie aż do ubogich dworków szlacheckich, coraz żywsze rozchodziły się wieści, że król wielkie w swej głowie rozważa zamiary, że niebawem już może nastąpią głębokie polityczne przewroty, że może nawet wojny wybuchną, które rozszerzą granice królestwa, blask jego sławy nowemi promieniami oświecą i dadzą mu niebywałą dotychczas moc i potęgę. Jednak potęga ta miała być zbudowaną na gruzach dotychczasowych praw i wolności — i dlatego nie króla, ale tego wyschłego starca możni tego królestwa, używający wyłącznie dla siebie tych praw i wolności, nienawidzili, jak wcielonego szatana, jak ducha niszczyciela, jak smoka z apokalipsy.

I nieraz wtedy, późnym wieczorem, pod murami zamku, można było widzieć zatrzymujących się ludzi zbrojnych, w bogate szaty przybranych, jak wskazywali palcem na pewne okno pod szczytem dachów zamkowych, gdzie późno w noc jasna gorzała lampa i mówili do siebie: — „Tam smaży sobie mózg nad naszą zgubą ten Włoch przeklęty! Dopóki ta lampa nie zgaśnie, dopóty szczęścia w Polsce nie będzie".

Król przyjął Wilczka uprzejmie, ale nie tak łaskawie, jak zwykle. Owszem zburczał go za to, że tak późno przyjeżdża, dawszy pierwszeństwo włóczędze po zamkach kmitowskich przed służbą. Być może nawet, że królowi najwięcej to się nie podobało,, że Wilczek tak długo się bawił na zam-

ku sobieńskim, król bowiem ze wszystkich Kmitów tylko jednego Piotra nawidził, który był wtedy marszałkiem w. koronnym, a niebawem miał zostać wojewodą krakowskim, Stanisława zaś już za to samo miał w wielkiej niechęci, że prawie nigdy się nie pokazywał u dworu. Jakoż rzekł przytem Szorstko:

— Lepiej byłbyś zrobił, gdybyś był ten czas przesiedział u twego króla, niżeli u tego tam sanockiego królika, co mi się śmiać chce z jego królestwa! Odtąd tu pozostaniesz na służbie.

Dziwnie gorzko Wilczkowi zrobiło się w ustach a ciężko na sercu, widział, że sam wpadł w pułapkę, z której niełatwo mu się będzie wydobyć; ale nie godziło mu się tego nawet dać poznać po sobie, bo służba wolność traci, a z tym młodym królem nie można było żartować, zwłaszcza kiedy był zachmurzony. Skłonił mu się zatem pokornie mówiąc: — Sługa waszej królewskiej mości — i wyszedł.

Nazajutrz rano poszedł odszukać Kamienieckiego. Znalazł go bardzo przyjaźnie usposobionym dla siebie, ale w jakiemś wielkiem roztargnieniu.

Mikołaj Kamieniecki, mąż jeszcze młody, wyniosły wzrostem, ciemny blondyn, z długą w pas brodą i dziwnie pogodnemi niebieskiemi oczyma, najświetniejszy i najzuchwalszy rycerz swojego czasu, lecz przytem równie głośno wsławiony z dobroci serca i kawalerskiej grzeczności, był wtedy dopiero kasztelanem sandomierskim, ale cały świat wiedział i on sam miał to uczucie, że jeszcze bardzo daleką ma drogę przed sobą. Jakoż niebawem potem został wojewodą lubelskim, później sandomierskim i krakowskim, a wreszcie

pierwszym w Polsce hetmanem w. koronnym. Był w wielkich łaskach u króla, król sam go do siebie powołał, powinien był zatem być wcale uszczęśliwionym — a przecie, obok uśmiechu, niesmak było widać na jego twarzy i jakby jakieś wielkie zakłopotanie. Przyjął Wilczka wprawdzie serdecznie, jak towarzysza i brata, ale zamiast mu zaraz odpowiedzieć na jego prośbę, zaczął raczej jemu się zwierzać, mówiąc:

— Nie wiem zaprawdę, czy to dobra pora na swaty. Tutaj przygotowują się takie rzeczy, że nawet trudno je krótkiemi słowy określić. Zapewne wiesz o nich, więc nic mam ci co powiadać. Ale to powiem, że się bardzo obawiam, ażeby się z tego nie wywiązały wielkie zaburzenia w ojczyźnie. Włoch, człowiek mądry, tego nie zaprzeczam, w tem, co radzi królowi, jest bardzo wiele projektów rozumnych, któreby przyniosły pożytek naszemu królestwu, które nawet może *mutatis mutandis* dałyby się przeprowadzić. Ale Włoch nie zna kraju, a król gorący, obydwa nie liczą się z tą potęgą, w jaką nasza szlachta do dziś dnia urosła. Wywołają opór, to pewna, a nie wiem i bardzo wątpię, ażeby potrafili go złamać. Toż i ja pragnę z całego serca, ażeby król miał potężną armję stojącą, którąby można mieć zawsze pod ręką, a nie żebrać dopiero o łaskę pospolitego ruszenia, kiedy nieprzyjaciel już wkroczył w granice królestwa. I ja też uważam, że nasza szlachta ma już dosyć wolności, których też nieraz używa na uszczerbek władzy królewskiej, że czasem nawet trudno królowi rządzić tem państwem, a zawsze musi sztucznych używać sposobów, ażeby utrzymał swoją powagę wobec królestw ościennych.

A nareszcie i tych nie chwalę, co chcą krępować i do ziemi przygniatać miasta, bo miasta swoją skrzętnością i swemi bogactwy wiele się przyczyniają do znaczenia i wzrostu królestwa, jako to widzimy w krajach postronnych, a kraj bez miast, to chyba step dziki, prawie, jak Tatarszczyzna. Nic Kallimach te wszystkie rzeczy wymyślił, któremu — też nie wiem dlaczego — głupi ludzie je przypisują, jeno Ostroróg, dzisiejszy wielkopolski starosta, z którym też nie raz i nie dwa o tem mówiłem i od którego wiele się nauczyłem. Wszystko to prawda, do tego dążyć potrzeba. Ale chcieć na szlachcie dzisiejszej te zmiany, te ustępstwa, te ofiary wygwałcić, to jest istne szaleństwo; taką myśl powziąć może tylko pan tak gorąco kąpany, jak nasz król jegomość, a do tego doradzać może tylko taki człek obcy, co Polskę zna tylko po szerści, a nie wie nawet, jaka skóra jest na niej. Ja mam jeszcze nadzieję, że ta gorączka tak sobie odejdzie, jak przyszła, lecz nie daj Boże, aby się wzięli do eksperymentów, bo ani im się śni, jaką straszną burzę-by wywołali, po której możeby w całej Polsce ani kamień na kamieniu nie został... a możeby i na grób dla samego króla piędzi ziemi nie stało. Bo i to jużeśmy tu widywali... a nie każdemu dano, jak Łokietkowi, po takich burzach do ojczyzny powrócić. Robię ja z mojej strony, co mogę, ażeby królowi otworzyć oczy, narażam się nawet na wszystkie niełaski, ale tymczasem tak jestem zafrasowany, że sobie miejsca znaleźć nie mogę... A co tam do owych swatów, o które mnie prosisz, toż ja nie odmawiam. Owszem, dziękuję za zaufanie, twój wybór pochwalam, bo dziewka to składna i dobra, wielkiego rodu i piękne idą na

nią majątki; ale teraz nie mogę, bo się ziemia pali pode mną. Toć proszę cię, jakeś mi przyjacielem, pocierp jeszcze mało niewiele; jak się ta zawierucha uspokoi cokolwiek, pojedziemy razem na Sobeń... a tak rozumiem, że komuby odmówili, to mnie nie odmówią.

Był to cios bardzo ciężki dla Wilczka. Sam się ruszyć nie może, bo król go trzyma, ale i jego swat się ruszyć nie może, bo i jego król trzyma. W pierwszej chwili Wilczkowi zaćmiło się w głowie; jako był bardzo wrażliwy, a do tego niezmiernie bujnej fantazji, już mu się zdało, że wszystko przepadło. Jagienkę tymczasem porwie kto inny, a on już nigdy jej nie obaczy. Oddech mu zaparł się w piersiach i już mu się łzy cisnęły do oczu. Jakże chętnie byłby się wyspowiadał przed Kamienieckim, z jaką rozkoszą a ulgą dla siebie byłby wylał przed nim wszystkie swoje uczucia, które mu rozpierały wezbrane serce i wszystkie myśli mąciły w głowie, jakżeby rad był mu się rzucił w ramiona i zawołał: „Miej litość nade mną!“ Ale jego umysł rycerski nie pozwolił mu przyznać się do takiej miękkości serca, choćby nawet przed przyjacielem. Przemógł się zatem, łez do oczu nie puścił, stłumił nawet westchnienie w piersi, a przybrawszy twarz męską, ścisnął go tylko za rękę i rzekł:

— Jak być nie może, to trudno. Przyrzekłeś mi, że, jak tylko będziesz mógł się uwolnić, to pojedziesz ze mną na Sobień i na tem mi dosyć.

Poczem, płacąc grzecznością za grzeczność, odpowiedział mu na jego troski o sprawę publiczną i tak mówił:

— Dobrze robisz, że niecierpliwość naszego

pana łagodzisz. Ale wy wszyscy króla nie znacie. Widziałem ja go już nieraz, jak takie czarne chmury gromadził nad swoją głową; okrutnie w nich wtedy grzmiało i błyskawice latały, a zawsze potem puścił się z nich kapuśniaczek. A mojem zdaniem, szkoda to wielka, że nie trwa w swych przedsięwzięciach. O wolnościach szlacheckich nie mówię, bo materje *status* nie należą do mego rzemiosła. Widzi to zresztą, kto nie chce, że już zaczynają chodzić na głowach i jeśli sobie tych wolności jeszcze trochę przysporzą, to i niebawem to królestwo rozsadzą, że tyle będzie małych państewek, ile starostów i wojewodów, a król będzie nad nimi tak samo panował, jak papież z Rzymu panuje nad monarchami. Niechżeby przynajmniej nie zawidzili siły zbrojnej królowi, bo, jeśli tak nadal zostanie, jak jest, że do obrony granic i do utrzymania swojej powagi narówni z innymi królami będzie miał tylko pospolite ruszenie, to i granice pękną niezadługo i jemu królestwa nie stanie. A wtedy nie wiem, jak ci wojewodowie swoich zamków i starostw obronią, że o całości królestwa już cale nie wspomnę. Jam żołnierz i regalista i tego pragnę przedewszystkiem, ażeby król miał swój dwór wojskowy w takiej potędze, jak inni królowie, i tak rozumiem, żeście mu w tem nie powinni przeszkadzać.

Więc Kamieniecki jeszcze raz się protestował, że także pragnie, ażeby król miał siłę zbrojną równą innym monarchom, zaczem się w dobrej przyjaźni rozeszli.

Jednakże Wilczek wyszedł znacznie uspokojony, bo sobie przypomniał, jako mu Kamieniecki powiedział, że, jeśli on w swaty pojedzie, to jemu

Jagienki nie odmówią. Zgadzało się to zupełnie z tem, o czem go Kmita zapewnił. Puszczając dalej swe myśli tym torem, powiedział sobie, że Kamieniecki zapewne za kilka dni się z królem rozmówi, poczem będzie mógł prosto na Sobień pojechać. Więc wszystko dobrze.

Ale tymczasem król kazał nazajutrz zatrąbić w podróż do Lwowa i już we trzy dni miał jechać.

Król wybrał się z małym dworem, bo miał bawić niedługo, ale Kamieniecki otrzymał rozkaz, aby mu towarzyszył. Wilczek też zaraz swego żołnierza pędem na Sobień wyprawił, ażeby Ramułt z całym jego taborem jechał bez zwłoki do Lwowa, do Jagienki zaś list sekretny napisał, w którym jej jeszcze raz przysiągł, że jej nie opuści do śmierci, błagał o miłość wzajemną i o cierpliwość, a zarazem doniósł pocieszającą wiadomość, że Kamieniecki z wielką chęcią podjął się swatów i prosto ze Lwowa na Sobień pojedzie.

We Lwowie król stanął na Niskim zamku, jak zwykle. Obok mieszkań dla kasztelana i podstarosty, znajdowały się tam bardzo obszerne komnaty królewskie, zajmujące połowę ogromnego pierwszego piętra, w skrzydłach zaś było aż nadto pomieszczenia dla królewskiego dworu, dla kuchni, dla żołnierzy i koni. Małemu dworowi marszałkował Cherubin Gniewosz, starosta czorsztyński, pierwszy rotmistrz królewski, człowiek wielkiego ładu w głowie a ręki żelaznej, którą dworzany w twardym wodził munsztuku, więc wszystko tam szło takim porządkiem, właśnie, jakby w zegarze.

Gniewosz był to człowiek olbrzymi wzrostem, jeszcze o wiele słuszniejszy od swojej matki, zbudowany potężnie, o plecach szerokich i piersi wy-

pukłej, a taką miał siłę w rękach i w nogach, że, podjechawszy na koniu pod bramę i chwyciwszy się rękami łuku nad bramą, podnosił ściśniętemi kolanami konia do góry, jak kota. Jednak mimo tak kolosalnej budowy, był składny i zgrabny, twarz miał rysów męskich i pięknych, nos cokolwiek wydatny, lecz kształtny, oczy szafirowe swojego rodu, bardzo świetnego blasku, ale zarazem łagodne, do tego włosy ciemne, krótko przystrzyżone, i wąs zakręcony do góry. Śmiało, lecz skromnie. Miał zwyczaj głowę nosić wysoko i stąd mogło się zdawać na pierwszy rzut oka, że wielka duma w nim mieszka, wszelako to tylko jego uczucie godności i rycerskiego honoru się w tem wyrażało, bo zresztą był znany na całym dworze jako człowiek, wprawdzie twardy w wykonywaniu swych obowiązków, ale bardzo czułego serca i dobry dla wszystkich. Swoją herkulesową siłą mógłby był wszystkim zaciężyć, mogąc każdego utłuc na miazgę, a przecież nikt nigdy nie słyszał, ażeby komu najmniejszą krzywdę wyrządził. Na wojnach, w których sługiwał, dwakroć przeciwko Węgrom i dwakroć przeciw Tatarom, nieraz po kolana w ludzkiej krwi brodził, gołą ręką ściągał żołnierzy z koni i trzaskał jednymi drugich, jak lekką bronią,—wiele już wieści chodziło pomiędzy ludźmi o jego wojennych przewagach, ale w spokoju nigdy muchy nie zabił i zawsze prawie dziecinny uśmiech grał na jego twarzy. Król go kochał, jak brata, i ślepe do niego miał zaufanie; Wilczek, Kergolaj i wszyscy inni rotmistrze w serdecznej z nim żyli przyjaźni. Pod laską takiego marszałka dwór królewski, choć mały, wielkiej używał powagi.

Niespodziewany przyjazd króla bez wiadomego powodu obudził ciekawość publiczną we Lwowie. Ten i ów zakradał się do zamku, drugi potrafił się wśliznąć do królewskiej antykamery, każdy radby się czegoś dowiedzieć; ale wszystkim odpowiadano uprzejmie, że król jegomość, mając kilka tygodni wolnego czasu przed sobą, przyjechał na Ruś, ażeby panom tutejszym pokazać swoje oblicze, a zarazem i mieszczan lwowskich zapewnić o swojej łasce królewskiej. Taką samą wieść zaniósł Wilczek do starego Kijasa, która też zaraz się po całem mieście rozbiegła i wszystkich wielką napełniła radością.

Jednym z pierwszych, co przybiegli do antykamery, był Kergolaj. Obaczywszy Gniewosza, siedzącego z rozłożonemi nogami przy stole, przybliżył się prędkim krokiem do niego, wołając z francuska:

— Niewosz! Niewosz! Jakiż to wiatr was tu tak nagle przypędził?

Więc Gniewosz wziął niewielkiego Francuza w ręce, jak lalkę, posadził go na kolanach, pocałował go w twarz, a popatrzywszy mu w oczy, zapytał nawzajem:

— A ty, *Cavaliere de Gran Grido,* cóż tu ciebie przykuło do bruku? Słyszeliśmy, żeś pojechał do Jeruzalem po różę dla jakiejś Kmitównej cyganki, ale potem doszły nas wieści, żeś tutaj ugrzązł u jakiejś podwiki i że ci tutaj coś „pachnie".

A Kergolaj rozśmiał się na to i, zeskoczywszy z kolan, zawołał:

— Słysz, Niewosz! Tu takie kobiety, że mnie to wcale dziwić nie będzie, jeżeli i tobie która zapachnie. Ale to potem. Powiedzże mi, pocoście tu

przyjechali, bo przecie przede mną nie będziecie robić sekretów.

Więc Gniewosz odpowiedział mu na to napoły poważnie, a napoły z uśmiechem:

— Może król ci to powie. Mnie się zdaje, żeśmy się nudzili w Krakowie, bo do sejmu jeszcze daleko. Ale Kamieniecki, który tu jest, tak rozumie, że król chce tutejszych panów pogłaskać pod brodę, aby mu co postąpili na pomnożenie jego wojskowego dworu, a może, aby się na rzecz siły zbrojnej jakich tam swobód wyrzekli. Za jednym zaś zamachem może i poklepie po ramieniu mieszczan tutejszych, ażeby miasto w razie wojny było jego ludziom powolne.

— No, to my jemu do tego pomożem — rzekł prędko Kergolaj. — A wojna będzie? Bo powiem ci prawdę, że wolałbym wojnę, niżeli tę tam pielgrzymkę do Jeruzalem...

— Do pielgrzymki po różę dla innej — rzekł Gniewosz, śmiejąc się głośno — jakoś jechać nie wypada, na wojnę zaś jechać się musi; a może dobrzeby było wypocząć trochę po tych zapachach.

Kergolaj się protestował półżartem — a wtem dał się słyszeć dzwonek z komnat królewskich. Gniewosz się zerwał i pobiegł do króla. Bawił tam wszakże nie dłużej, jak jedno *Ave,* poczem otworzył drzwi antykamery i zawołał z progu:

— Mości panie Kergolaj, król prosi.

Kergolaj poszedł do króla — a tymczasem weszli do antykamery Wilczek, Łopatka, Olizar, arcybiskup lwowski, sędzia i podkomorzy, i wielu innych, którzy na wieść o podróży króla do Lwowa już pozbiegali się ze wsi.

Odtąd falowały już ciągle po Niskim zamku tłumy możniejszej szlachty z bliższych i dalszych okolic, bo, chociaż i ci i owi byli w opozycji, a nawet burzyli się przeciw królowi, to działo się to tylko natenczas, kiedy byli w kupie pomiędzy sobą, gdzie ten i ów burzy, a żaden nie chce za drugimi pozostać, aby nie stracił popularności; pojedynkiem zaś każdy rad się ogrzać cokolwiek przy gronostajach królewskich i oświecić blaskiem korony. A szlachty tej było już wtenczas, jak mrowia, na Rusi. Na ich czele błyszczeli najprzód: książęta Holszańscy przez Sonkę, żonę Władysława Jagiełły, krewni królewscy, książęta Hurkonowie na Łysiatyczach i Hurku, Koszerscy Litwini na Stroniatynie, Buczaccy na Buczaczu, Jazłowcu i Monasterzyskach, Chodorowscy na Chodorostawie, Kuropatnikach, Bortnikach i Dźwinogrodzie, Tarłowie ze Szczekarzewic na Podhajcach, Dzieduszyccy na Dzieduszycach i Pustomytach, Fredrowie na Pleszewicach i Niżniowie, Herburtowie na Fulsztynie i Chyrowie, Kierdejowicze na Przemyślanach, Pomorzanach, Tenetnikach i Oreninie, Sienieńscy na Olesku, Mużyłowie na Śniatynie i Kołomyi, dalej panowie na Humniskach i Zubowie, na Czartorji i Dawidowie, na Podkamieniu i Żelechowie, Piotr z Branic i Jan z Niesłuchowa, których nazwiska się jeszcze nie ustaliły, a wreszcie Sępowie, Kayowie, Wyprotkowie, Cebrowscy, Hoszowscy, Czerkawscy, Czołhańscy, Różniatowscy, Swaryczewscy, Danko i Mynka z Balic, a Fedko i Stecko z Młyniszcza.

Gniewosz także do tej ruskiej szlachty należał, bo jego przodkowie siedzieli niegdyś na Wiszni, gdzie byli sędziami i jeszcze dotąd chowano po

wielu domach ich intromisje w języku ruskim z nadpisem, jako „My, Pan Hniwosz, Starosta ruskoj Zemli“ to i owo obwieszczamy. Szlachta więc uderzała, jak w dym, do Gniewosza, jako do swego, prosząc go o introdukcję do króla. On byłby rad każdemu dogodzić, ale niezawsze mógł, bo król tylko znaczniejszych uprzejmie przyjmował, a i tym jeszcze nieraz dał uczuć, że z majestatem gadają. Nic w tem dziwnego, bo wszyscy monarchowie poznają zazwyczaj ludzi z ich stron najsłabszych, z próżności, chciwości i uległości, gotowej nieraz zaprzeć się nawet godności człowieczej, a przeto niewiele mają dla nich szacunku i poważania. Prócz tego Jan Olbracht już bardzo zmiennych losów doświadczał w swem życiu, bywał bardzo wysoko na górze i bardzo nisko na dole, świetne odnosił zwycięstwa i walne bitwy fatalnie przegrywał, był przecież nawet niedawno u Węgrów w niewoli; miał przytem niektóre wady temperamentu, a wielkie niedostatki w swych obyczajach, o których głośno w całej Polsce mówiono; więc nie każdego przypuszczał do swojej poufałości i zawsze się miał na baczeniu, ażeby mu kto nie ubliżył. Najukochańczy zresztą synek swej matki, chociaż ta matka była jedną z najrozumniejszych kobiet swojego czasu, przecież cokolwiek zepsuty, zarazem zaś dumny jako potomek świetnego wówczas i potężnego Jagiellońskiego rodu, bywał często dziwnie kapryśny, a zawsze tak nieodgadniony, że nigdy nie można było wiedzieć, czy kogo pogłaska, czy ukłuje, czy w górę podniesie, czy przygniecie do ziemi.

Dotąd jeszcze bezżenny, miał lat trzydzieści pięć, słusznego był wzrostu, zbudowany kościsto,

lecz kształtnie, twarz miał całkiem ogoloną i mocno smagławą, oczy czarne, otwarte, pod któremi widocznie niezwykłe ognie gorzały, kości nad policzkami cokolwiek wydatne, nos chrząstkowaty, wargi mięsiste, które wziął w austrjackiem po matce dziedzictwie, a do tego bogaty włos kruczy, spadający w kędziorach na plecy. Ubierał się najczęściej czarno, lecz krótko, według mody ówczesnej, na ubiór ten zarzucał równie krótką suknię aksamitną z rękawami, zawsze miecz nosił u boku, zamiast zaś kapelusza z piórami nosił kołpaczek litewski, którego nie zdejmował ani gdy gości przyjmował, ani gdy sam był w gościnie. Na pierwszy rzut oka było w nim widać pana wyższego nad swe otoczenie; miał bowiem bardzo szerokie maniery, mówił głośno, siadał twardo, rozpierał się szeroko, i takim był zawsze i wszędzie. Rozmowa z nim nie była łatwa, był bowiem swojego czasu bardzo pilnym uczniem Długosza i Kallimacha, a głowę miał doskonałą, bardzo wiele nauk gruntownie posiadał, nadzwyczajnie był biegłym w obcych językach, wymowę zaś miał niezrównaną. Gdyby był chciał, mógłby był każdego przekonać, lecz czasem nie chciał, a nikt nie mógł wiedzieć dlaczego; często zaś, może nawet zanadto często, kiedy właśnie się chciał zabawić, szły w kąt u niego najważniejsze sprawy publiczne.

Najwyżsi dygnitarze duchowni i świeccy chodzili na palcach około niego, bo, z wyjątkiem starego Ostroroga, wszystkich nie lubił, rady ich lekceważył i często się na którego ofuknął; młodsi mieli łatwiejszy przystęp do niego, poufalił się z nimi i często ich czynił uczestnikami swoich rozrywek; lecz byli i tacy, którzy długo po antyka-

merach deptać musieli, nim na maleńką chwilę pokazał im swoje oblicze.

Do takich, którzy, jak zbawienia pragnęli, ażeby się mogli przedstawić królowi, należał przed wszystkimi innymi Tigranes. Zaraz pierwszego dnia zabrał przez Wilczka znajomość z Gniewoczem i z Kamienieckim i modlił się do nich, jak do ołtarzy, ażeby się przez nich dostał do króla. Kamieniecki i Gniewosz, dla jego niewinnego umysłu i prawie dziecięcej dobroci serca, bardzo go polubili, a serdecznie się bawili tą sprzecznością, jaką w nim widzieli, gdzie w ciele tak wątłem taka gorąca dusza rycerska mieszkała. Ogromny Gniewosz sadzał go, jak łątkę, na wyciągniętej dłoni i mówił, żartując, do niego:

— Chyba, jak pasztet będą nieść na stół królewski, to cię wsadzę we środek, zaczem na stole wyskoczysz z pasztetu i tak się pokłonisz królowi.

Tigranes płakał z żalu, że go natura tak upośledziła, i wszystkich rozczulał. Ale ich zaraz rozśmieszał, bo stawał twardo na swoich maleńkich nóżkach i wołał:

— Więc cóż? Więc mi nawet nie wolno zginąć za króla?

Cóżkolwiekbądź, teraz, kiedy wojny nie było, trudno było nawet jaki pretekst wymyśleć, pod którymby go można było przemycić do królewskiej komnaty.

Wszakże, widząc tę trudność, a nie mogąc zapewne wytrzymać żalów swojego syna, sam stary Kijas się wmieszał w tę sprawę, a wtedy się sztuka udała.

Już od dnia królewskiego przyjazdu czynni konsulowie miasta pukali do antykamery, pytając,

kiedyby się mogli królowi pokłonić. Ale Gniewosz im grzecznie powiedział, że król najprzód panów przyjmuje, a jak czas będzie, to i na nich zatrąbią. Owo więc Kijas poszedł pomiędzy konsulów i przedewszystkiem ich przekonał, że takiemu miastu, jak Lwów, nie godzi się iść do króla z gołemi rękami, bo też to nigdy jeszcze nie bywało. Była opozycja przeciwko temu z tej racji, że król nie wjeżdżał solennie do miasta, ano milczkiem przyjechał, więc i prezentów nie trzeba. Ale Kijas zbił opozycję swoją wymową i postanowiono prezenty: dla króla łańcuch złoty i srebrną misę z nalewką, dla Gniewosza piękną skórę lamparcią i perski kobierzec, dla Kamienieckiego skórę tygrysią i dywan turecki, a że był żonaty, więc jeszcze kamień pieprzu do tego; innym dary pomniejsze, przyczem wszakże Wilczkowi i Kergolajowi także się coś oberwało. A wtedy Kijas deputację wyznaczył i, stanąwszy sam na jej czele, zaraz nazajutrz otrzymał audjencję u króla. Do deputacji zaś Tigranesa i Kundrata przyczepił, czem obydwa byli bardzo uradowani.

Król przyjął deputację na czele swojego małego dworu bardzo uprzejmie i zaraz na samym wstępie rzekł do nich z dobrego serca:

— Nie miejcież mi za złe, żem was dotąd nie przyjął, ale na teraz jeszcze się nie mogę od panów szlachty opędzić. Jednak przeto nie byłbym o was zapomniał, zwłaszcza, że wasze miasto jest perłą w mojej koronie, perłą o tyle droższą, że bisurmaństwo prawie wciąż do niej szturmuje, a ona przecież się broni.

Więc tedy mieszczanom pod temi łaskawemi słowami zaraz serce urosło, a wtedy Kijas, w prze-

pyszne atłasy i aksamity ubrany, ze złotym łańcuchem na szyi, a trzymając swój aksamitny biret w prawicy, miał do niego łacińską przemowę. Mówił, jak Cicero; król go słuchał z wielką uwagą i widać było po jego twarzy, że się nie spodziewał znaleźć takiego mowcy pomiędzy mieszczany. Zaczem po przemowie Kijasa zabrał sam głos w tym samym języku i mówił, jak Demostenes, czem wprawdzie w kąt zapędził Kijasa, ale wszystkich niezmiernie ucieszył, bo niezwyczajna to łaska monarchy, zamiast im odpowiedzieć ni to ni owo przez swego marszałka, własnemi usty uraczyć ich taką świetną przemową. A król także był wesół, że zaimponował mieszczanom, bardzo na nich był łaskaw, rozmawiał z Kijasem po łacinie i rzucił słów kilka po grecku, na co mu Kijas także odpowiedział po grecku, poczem przemawiał do wszystkich przedniejszych mieszczan zosobna, mówiąc do nich wedle ich nacji, po polsku, po rusku, po włosku i po niemiecku. Spostrzegł nawet Kundrata, który się sam naprzód wysuwał, ale, obejrzawszy go, uśmiechnął się i zapytał:

— A który to jest, co mu się baki tak świecą?

Powiedziano mu, że to jest imcipan Kundrat, notarjusz lonherji. A król na to bardzo łaskawie:

— Lonherja dobrze cię karmi, jak widzę. Pilnuje, aby było co w kasie, jak moi żołnierze przyjdą bronić was od Tatarów, bo ty podobno niewiele Tatarstwa nasieczesz.

Tigranes, biedaczek, nie miał tego czoła, co Kundrat, stał w tłumie i nie pchał się naprzód; król go wcale nie spostrzegł, co go niezmiernie zmartwiło, nawet już łzy mu się zaczęły cisnąć do oczu. Ale, jak usłyszał słowa królewskie, powie-

dziane do Kundrata, zaraz się rozweselił i ledwie, że nie puknął od śmiechu. Toż i we dworze królewskim, kędyś pomiędzy Wilczkiem a Kergolajem, szmer wesoły się rozległ, zaczem król w łasce swojej mieszczan pożegnał, powiedziawszy jeszcze do Kijasa te słowa:

— Spodziewam się, że, nim wyjadę, jeszcze się z wami obaczę, a jeśli macie jakie dolegliwości, to ty, panie Kijas, czy jak tam ciebie wołają, możesz mi je przedłożyć.

Mieszczanie tedy wyszli uszczęśliwieni i jeszcze w antykamerze przed królewskiemi dworzany dobroć tego pana chwalili, mówiąc:

— Wszyscy królowie polscy byli na nas bardzo łaskawi, jak świadczą przywileje, które nam pokolei nadali, ale ten nam najlepiej przypadł do serca i radzibyśmy mu to jako wywdzięczyć.

Ale Kijas ich jak najprędzej wyprawił, zostawszy zaś sam z dworem królewskim, rozpoczął z Gniewoszem i Kamienieckim bardzo zacną rozmowę. Na kogo król łaskaw, temu i jego słudzy nie krzywi, więc Gniewosz bardzo był grzeczny dla niego, a Kamieniecki jeszcze daleko więcej; bo niech tam kto mówi co chce, podarunki zawsze otwierają serce człowieka, skóra tygrysia i dywan turecki, to także nie do pogardzenia, ale kamień pieprzu, to dla całego zamku w Kamieńcu nieopłacona pociecha. Wszelako mądry Kijas wiedział dobrze, dlaczego to robił, bo, pogadawszy i tak i owak, przymówił im się nareszcie, azaliby nie byli łaskawi przyjść choćby dziś jeszcze na wieczerzę do niego i wypić z nim po kubku małmazji? Dlaczego nie? Obiecali chętnie i przyszli.

Kijas więc przyjmował ich wieczorem u siebie:

lecz razem z nimi zaprosił tylko Kergolaja i Wilczka, ażeby byli pomiędzy sobą. Tigranes był mocno uradowany i całował Formozę po rękach, aby była bardzo grzeczną dla tych senatorów, którzy są jedyni, coby mu mogli drogę uścielić do króla. Formoza nie była próżną, aleć i jej-by to wstrętnem nie było, aby jej mąż, któremu tyle innych rzeczy brakowało, został przynajmniej szlachcicem; zaczem ubrała się pięknie, przyjmowała gości w pierwszej komnacie u progu i była dzisiaj uprzejmą, jak nigdy, a wymowniejszą, niż kiedykolwiek.

Ale tym razem stała się ta rzecz dziwna, że tylko zrazu była wymowną; potem zaś, spojrzawszy na Gniewosza po raz i drugi, jakoś jej wymowa przestała służyć, przerywała sama sobie i oczy spuszczała ku ziemi, jak gdyby szukała wyrazów, a znaleźć nie mogła.

Gniewosz zaś, jak ją obaczył, pokręcił wąsa, a kiedy ją lepiej obejrzał, to oczy mu zaszły taką słodyczą, jakgdyby mu się z czułości serce rozlało. Ale on, jako człowiek bardzo światowy, zamiast stracić wymowę, jeszcze się tem więcej ożywił, miodowe słowa same mu z ust płynęły i mówił za wszystkich. Był to człowiek spokojnego temperamentu, ostrzelany z wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwy, wyszlifowany na wielkich dworach i w towarzystwach najwykwintniejszych, pełen przytem uczucia własnej godności i powagi wewnętrznej, a tacy ludzie nigdy przytomności nie tracą i zawsze umieją panować nad sobą.

Ale Kergolaj, choć mniej poważny, jednak jeszcze więcej wyszlifowany od niego, zaraz spo-

strzegł, kto komu wpadł w oko, zatarł więc ręce złośliwie i rzekł w duchu do siebie:

— Ten pomści się za mnie, a ja mu do tego pomogę.

Gniewosz siadł do stołu obok Formozy i przez całą wieczerzę jej służył, opowiadając jej niektóre wypadki z swojego życia i wypytując ją zręcznie o jej rodzinę. A wtedy i Formozie, jak pierwsze wrażenie minęło, rozwiązały się usta. Sama nie wiedziała, dlaczego to robi, wszakże opowiadała mu wszystko, o co ją pytał, z taką szczerością i otwartością, do jakiej dotychczas, czując potrzebę niedowierzania ludziom, którzyby może nad nią się litowali, a czego ona nigdyby była nie zniosła, sama nie czuła się zdolną. Ale też po raz pierwszy w swem życiu obaczyła człowieka, do którego w jej sercu ufność się obudziła; po raz pierwszy uczuła, że ten człowiek to mąż taki, który ją potrafi zrozumieć, któremu można każdą tajemnicę powierzyć, przed którym możnaby nawet i z grzechów się wyspowiadać: wysłucha, zrozumie, ukoi, utuli, pocieszy — a pewnie nie zdradzi. Kto kiedy odgadł, dlaczego pomiędzy ludźmi tworzy się strumień harmonji, zaufania, wzajemnej wiary i silniejszej nad wszystkie rozumowania sympatji? Tworzy się i jest. Taki strumień się teraz przed nią otworzył, porwał ją z sobą, a ona popłynęła nim pełnemi żaglami.

Przy wieczerzy jedzono i pito, jak zwykle, a każdy się bawił według swego humoru. Gniewosz z Formozą, Wilczek i Kergolaj dworowali sobie z Kundrata, a pusty Tigranes im z całego serca wtórował, Kijas zaś służył Kamienieckiemu, bo tak rozumiał, że przez niego potrafi sobie naj-

pewniej zaskarbić łaskę królewską dla syna. Ale Kamieniecki, człek zacny a prosty, wyprowadził go z błędu, zapewniając go, że ze swej strony zrobi z pewnością, co może, wszakże jego protekcja niczem jest w porównaniu z Gniewoszem, który z królem je, pije i mieszka, i może mu to sto razy powtórzyć, co drugi, choćby najwyższy dygnitarz, ledwie raz się ośmieli wybąknąć. Więc, kiedy wstawali od stołu, Kijas milczkiem zbliżył się do Formozy i rzekł jej do ucha:

— Instynkt kobiety zawsze więcej wart, niżeli wyrachowanie najrozumniejszego człowieka. Waszmość bardzo mądrze zrobiłaś, żeś wzięła Gniewosza w takie serdeczne objęcia.

Na to Formoza się mocno zarumieniła, bo nie zrozumiała odrazu, co jej teść chciał powiedzieć; tymczasem zaś Kijas, przeprowadzając gości do drugiej komnaty, tak rzecz urządził, że sam zasiadł w kącie z Gniewoszem. A mówiąc rozumnie i zręcznie, w niedługiej chwili wyłożył mu do zrozumienia, o co mu właściwie chodziło.

Gniewosz, siedząc wygodnie z wyciągniętemi przed sobą nogami i kręcąc wąs, odpowiedział mu z dobrego serca, ale nie całkiem ku jego zadowoleniu:

— Ba! Jużci jabym nie był od tego. Ale to z naszym panem niełatwa sprawa. Biskup łucki już trzy dni czeka, a jeszcze się nie mógł dostać do niego. A tu dla syna jegomości niełatwo nawet jaki pretekst wymyśleć.

Jednakże Kijas rzekł na to z świadomą siebie pewnością:

— Mój syn chce tylko jego królewskiej mości

oświadczyć, iż gotów jest w razie wojny własną wysztyftować chorągiew.

Ale Gniewosz rozśmiał się na to, mówiąc:

— Na taką chorągiewkę mieszczańską ty króla nie złapiesz! Nie tacy ludzie i nie takie chorągwie mu obiecują z tej strony i z owej, a przecie się z nim nie mogą dogadać.

Tu Kijas uczuł głęboko całą swą małość mieszczańską i bardzo się tem zasmucił. Ale tymczasem Gniewosz wąs kręcił i myślał, a wreszcie rzekł, jakby z niechcenia:

— Prędzejby mi się może udało króla namówić, aby sam przyszedł do was w gościne...

A wtedy Kijas, właśnie jak gdyby promień słońca jego rozum oświecił, przysunął się do Gniewosza i zaczął jemu wykładać, jacy to potentaci już jego dom nawiedzali, i jakby mu za to był wdzięcznym, gdyby jego zaproszenie przedłożył królowi. Gniewosz wstał i powiedział mu grzecznie:

— Zaproszenie wasze przedłożę królowi, jak się zdarzy po temu sposobność... a jak się uda, to was zawiadomię zawczasu, jak go macie przyjmować.

Zaczem goście się jeszcze mały czas bawili kielichem i przystojną rozmową, a potem, gwarząc wesoło, porozchodzili się na swoje kwatery.

Ale i w domu Kijasa zostawili po sobie wesołość i radość, i szczęście. Albowiem stary nie pomału się tem rozweselił, że mu się przecież udało utorować synowi drogę do łaski królewskiej, która już teraz, czy tak, czy owak, ale go nie mogła omylić, bo miał takich dwóch potentatów, jak Kamieniecki i Gniewosz po swojej stronie. Tigranes

się wcale nie posiadał z radości, albowiem, jak wszyscy, u których imaginacja góruje nad wolą i rzeczywistością, był tego pewnym, że, jak tylko będzie się mógł z królem rozmówić, zaraz zostanie rycerzem. Nawet Kundrat był kontent, bo, chociaż król raczył sobie zeń zażartować, ale to król, a ileż to jest mieszczan, nawet stokroć znaczniejszych od niego, o których król wcale nie wie, że żyją. Formozę zaś przepełniało takie uczucie szczęścia, jakiego dotąd nigdy nie znała: sama nie wiedziała dlaczego, ale tak jej było swobodnie, tak lekko, tak powiewnie na sercu i duszy, jak gdyby ziemia jej z pod nóg ustąpiła i żywa uleciała do nieba. W tem szczęściu wszyscy się stali tak gadatliwi, że byliby do północy gwarzyli ze sobą, bo każdy miał coś do powiedzenia; ale Formoza nie czuła wcale potrzeby udzielania się drugim. W tej chwili wolała być sama ze sobą.

Jakoż niebawem usunęła się i poszła do swojej sypialni. I dzisiaj także miała serce tak przepełnione nawałem uczuć nieodgadnionych, jak niegdyś po owym dzikim festynie; ale dziś nie klękała przed obrazem Matki Najświętszej. Dziś nawet zapomniała o swoich zwykłych pacierzach i jaknajprędzej utonęła w swojej puchowej pościeli. Niebawem też słodki sen skleił jej powieki, a we śnie urocze mgły różowe i białe zaczęły wieszać się nad nią, a w tych mgłach jakiś anioł się nad jej łożem kołysał. Tyle jest w niebie aniołów, a wszyscy tak do siebie podobni, że trudno jednych od drugich rozeznać; ale ten, bodaj czy to nie był Cherubin, najogromniejszy ze wszystkich, z bardzo pięknemi wąsami i szafirowemi oczyma.

Król, któremu światek bardzo smakował, a który hałaśliwemi festynami był już przesycony, natomiast zaś bardzo lubił nocne a tajne wycieczki, jak tylko mu Gniewosz powiedział, jaka tam kuchnia i jaka piwnica jest u Kijasa, a jaka synowica do tego, że już świat kończy się na niej, zaraz przyjął zaproszenie, mówiąc:

— To idźmy dzisiaj na wieczerzę do niego. Ale powiedz mu, aby nie było nikogo, tylko ty, Kamieniecki, Wilczek, Kergolaj i Łopatka. Łopatkę trzeba wziąć z sobą, abyśmy mieli tutejszą jurysdykcję przy sobie, jak będziemy w nocy powracać. Jeśliby zaś zaprosił jakie grzeczne kobiety, to nie zawadzi, będzie też trochę weselej.

Gniewosz więc chciał zaraz wysyłać gońca do Kijasa, ale Kergolaj sam się nastręczył i pobiegł sam, ażeby dał zarazem Kijasowi instrukcję, jak ma króla do stołu posadzić, jakie przed nim zastawiać potrawy i jakich win mu nalewać. Wypełniwszy to poselstwo ze znawstwem dworaka, natchnął go zarazem tą myślą, że mieszczanek zapraszać nie trzeba, bo to nudne są babska, które też króla nie rozweselą, ale Pachnę trzeba zaprosić, bo to kobietka wesoła i pewnie króla zabawi. Kijas, który nie miał bardzo wielkiego respektu dla Pachny, spojrzał na to zamyślonemi oczami na Kergolaja i pomyślał sobie w duchu: — Dlaczego on mi każe Pachnę zapraszać? Jeżeli jest jeszcze zawsze w niej rozmiłowany, to oczywiście radby jej nieba przychylić, a jeżeli się nią już przesycił, to może chce ją puścić w kurs między królewskie dworzany... Ale co mi tam na tem! — On byłby i samego djabła zaprosił, ażeby tylko królowi dogodzić. Więc wszystko wykonał podług

instrukcji Francuza i już wcześnie przed wieczorem był gotów.

Jeszcze słońce nie zaszło, kazał już wszystkie pozamykać sklepy, kupczyków swoich porozpędzał na cztery wiatry, aby się nie gapili, sześciu rybałtów, śpiewaków i lutnistów schował w dziedzińcu, aby ich miał na zawołanie, jeśli król sobie grać każe, Tigranes dał swoich giermków do usługi, aby dom przecie wyglądał z rycerska, — a jak tylko się zmierzchać zaczęło, ojciec i syn, a Kundrat za nimi, stanęli w bramie, oczekując z bijącem sercem przybycia króla.

Czekali długo. Aż kiedy całkiem się zmierzchło, z przeciwległego nawskos rogu rynku, z poza ratusza błysnęło światło. Zamkowi halabardnicy z Frącem Ajchingerem na czele, nieśli zapalone pochodnie, a za nimi postępowała grupa czarno ubranych panów. Król idzie. Obaczywszy zapalone pochodnie, Kijas jeszcze więcej się uradował w swem sercu, bo tak przecież całe miasto się dowie, że król był u niego.

Kiedy król się zbliżył do bramy, Kijas zaczął znowu go witać łacińską przemową, ale król jemu przerwał, mówiąc:

— Daj tam pokój łacinie. Przychodzimy do ciebie, abyśmy się zabawili po polsku, jeśliś więc łaskaw, to prowadź nas do twojej siedziby.

Więc Kijas skłonił się panu, a wziąwszy od sługi woniejący kaganiec do ręki, sam szedł naprzód po schodach, przyświecając swym gościom.

Przy drzwiach pierwszej komnaty, zapełnionej subtelną wonią najwykwintniejszych kadzideł tureckich, stały Formoza i Pachna w przepysznych strojach z bogatych tkanin indyjskich i perskich,

i, pochyliwszy głowy, witały króla milczącym ukłonem, nie mając odwagi popatrzeć w oczy majestatowi monarchy. Śmielsza cokolwiek Pachna zerknęła z pod oka, aby obaczyć, jak też ten król wygląda, ale ogromny Gniewosz pierwej uderzył ją w oczy; Formoza byłaby rada spotkać się z szafirowemi oczyma Gniewosza, ale jej serce biło tak mocno, że ziemi nie czuła pod sobą. Król bardzo był łaskaw, a patrząc na Formozę, rzekł do Kijasa, zapomniawszy zapewne, że to jego synowica:

— Winszuję waści córki tak pięknej, nie wątpię też wcale, że znajdziesz dla niej męża równie wspaniałej postaci.

Poczem spoczął wzrokiem na Pachnie i spytał, kto jest ta dama. Powiedziano mu, że to jest Pachna Rusinka, wdowa po rycerzu niemieckim, jeszcze dotąd w żałobie.

Więc król się wdzięcznie do niej uśmiechnął i rzekł:

— Jeżeli wszystkie lwowianki są takiej urody, to podobno mi trzeba będzie omijać to miasto, jak kiedy pociągnę na Turka, boby mi wszyscy tu żołnierze ugrzęźli.

Pachna na to dziwnie uroczym spłonęła rumieńcem, na który król patrzał z zadowoleniem, ale zaraz zapytał:

— A mąż jejmości pani zapewne bohaterską śmiercią zginął na wojnie?

Tu Pachna już wcale ognistym spłonęła ponsem, Formoza, zmieszana okrutnie, odwróciła się trochę na stronę, Tigranes, Kergolaj, Wilczek chwycili się za brzuchy, aby nie puknąć od śmiechu; król spostrzegł, że w jakąś łaskotliwą stronę uderzył, Pachna błagalnym wzrokiem rzuciła na

starego Kijasa, ale na szczęście Kijas ją zrozumiał i odpowiedział przytomnie:

— Niebardzo bohaterską... ale zasłużoną rzetelnie... dał ducha Bogu po chrześcijańsku.

Król się zaraz domyślił, że coś to tam musi być niezupełnie w porządku, ale zaraz wszystko naprawił, mówiąc:

— Niechże sobie spoczywa w Bogu, my go wskrzeszać nie będziem.

W tej chwili Gniewosz trącił Kijasa w łokieć i szepnął mu do ucha:

— Król głodny.

Więc Kijas zaraz się ukłonił królowi i, idąc naprzód, poprowadził gości do komnaty jadalnej. Król skłonił się lekko kobietom, chcąc je puścić przed sobą. Rezolutna Pachna, mimo wszystkiego, gotowa już była iść naprzód, a nawet podać ramię królowi, ale lepiej obeznana z obyczajami dworskiemi Formoza ścisnęła ją za rękę, ukłoniła się nisko monarsze i puściła go naprzód, co też król przyjął wdzięcznie i poszedł do komnaty jadalnej. Tam wedle instrukcji Kergolaja, zostawiono jednę połać stołu dla króla samego, ale król prosił, ażeby damy siadły koło niego, co się też stało, tak, że Pachna siadła po jego prawej, a Formoza po lewej. Królewscy rycerze siedli po obydwóch stronach bocznych, Kamieniecki z Wilczkiem po jednej, Gniewosz z Kergolajem po drugiej, tak, że Gniewosz siedział przez róg obok Formozy. Łopatka siadł naprzeciwko króla, Kijas, Tigranes i Kundrat służyli gościom.

Co najlepszego miał Kijas w swej kuchni i w swojej piwnicy, to swemu panu zastawił. Król jadł rzetelnie, a pił sumiennie i bardzo chwalił mię-

śiwa, a zwłaszcza małmazję. Kamieniecki, który już wczoraj zabrał z nią dobrą znajomość, podniósł szklany kielich, nią napełniony, do światła i rzekł do króla:

— U nas w Polsce, w niektórych dworach, o dobre wino nietrudno, ale takiej małmazji, Bogiem a prawdą, to i u Kmitów nie znajdzie.

A król na to:

— Już też ty, Kamieniecki, cały świat widzisz tylko przez Kmitów! Gdyby ci do nich dodać jeszcze Tarnowskich, to jużby ci może niczego nie brakło. Jużci Tarnowskim a Kmitom niewielka sztuka mieć stare wina, jak skoro od dwóchset lat, albo i lepiej wszystkie starostwa nam zabierają, ba, już im i starostw niedosyć, bo i po całej Rusi już tak się rozsiedli, że im i boków nie dojrzeć. A łatwo to temu zrozumieć, kto wie, że, jak królowi przyjdzie im nadać kawałek ziemi w tych krajach, to mu nie dadzą go mierzyć na łany, oni tej miary nie znają, jeno co człek na dobrym koniu od świtu do nocy objedzie, to ich najmniejsza miara. A konie mają rącze, jak charty, i wstają przed wschodem słońca, a wracają po zmroku. Z tych tedy starostw a nadań można sobie niemało antałków wina nakupić. To też u Kmitów dawnemi czasy dobre wina bywały. Ale teraz, nie wiem, czy długo ich stanie, a zwłaszcza na Sobniu. Bo pan Stanisław, odkąd zabił dwóch chłopów, pił ze zgryzoty i niepomału tych tam win starych nadpoczął, a odkąd pieczony kapłon zapiał mu absolucję z tych grzechów, pije w dwójnasób na cześć swego rozgrzeszyciela. Jeszczeż od niejakiego czasu i turnieje wyprawia, aby szlachtę hołubić do siebie...

Kiedy to mówił król, Formoza się widocznie niecierpliwiła na swojem krześle, teraz zaś mu przerwała, mówiąc z godnością:

— Kmitowie, to moi krewni.

Kamieniecki i Gniewosz, a nawet Wilczek, mogliby byli jej rzucić się do nóg za tę odwagę, tak wspaniale wymówiła te słowa i sama tak była wspaniałą; jakoż i król spojrzał na nią z uwagą, troszkę się zachmurzył, ale spytał ją grzecznie:

— Krewni? Jakaż to jest parentela?

Formoza mu to opowiedziała. Król przyjął wdzięcznie to wyjaśnienie i chciał coś na pochwałę Muryssonów powiedzieć, ale właśnie w tej chwili Kergolaj, chcąc rozmowę od sztorcowatych przedmiotów odwrócić, a na gładszą drogę wprowadzić, rzekł głośno:

— Taka małmazja może się jeszcze gdzie znajdzie, ale imć Epaminondas ma inną, którą tylko sam Wulkan pijał, kiedy do Afrodyty szedł w konkur, a nie wiem, dlaczego jej skąpi żołnierzom.

Król spojrzał z uśmiechem na Kergolaja i pogroził mu palcem, Pachna rzuciła nań zlekka tryumfujące spojrzenie, Gniewosz, który wciąż bardzo żywo rozmawiał z Formozą, popatrzył na nią, jak gdyby chciał spytać: Czy nie do nas to piją? — ale tymczasem Kijas stanął z flaszą przy królu, a nalewając mu kielich, protestował się, mówiąc:

— Wierny poddany nawet i krwi nie skąpi swojemu panu, jeno to jest małmazja, którą się pije przy wetach.

— A więc skosztujmy — rzekł król i, pijąc małemi haustami, cały kielich wypróżnił, zaczem skinął ręką ku gospodarzowi i dodał, jak gdyby na złość Formozie:

— Winszuję ci takiej piwnicy. Jeno Kmitów do niej nie wpuszczaj, bo niebawem twoje beczki-by ci tak zadzwoniły, że i u św. Jura tak pięknie nie dzwonią.

Tu Gniewosz ścisnął Formozę za rękę, jak gdyby ją chciał za króla przeprosić, ona go zrozumiała i spojrzała wdzięcznemi oczyma na niego — a wtedy już pić zaczęto, co szyja wstrzymała. Tigranes wziął flaszę małmazji do ręki i pilnie dolewał królowi. Zarazem mały gwar się zaczął robić przy stole, król się coraz więcej od Formozy odsuwał, a przysuwał do Pachny, już ją kilka razy tak silnie ścisnął za rękę, że musiała zęby zacisnąć, aby nie krzyknąć, ale nie krzyknęła, królowi oczy zaczęły się świecić, jak węgle, rozparł się szeroko, przysunął się do Pachny tak blisko, że się ich krzesła stykały i, tak patrząc przed siebie, chwilami nie wiedział już, co ma powiedzieć. Zdawało się, że byłby wolał najlepiej, gdyby to tałatajstwo precz sobie poszło od stołu. Nareszcie, widząc, że Tigranes wciąż jego kielicha pilnuje, zapytał Wilczka dość głośno:

— Któryż to jest ten jakiś wyporek, co mi tak ciągle dolewa?

Na te słowa Pachna cofnęła się w krzesło i chustkę do ust przycisnęła, Wilczek przechylił się przez róg stołu i odpowiadał królowi; ale inni te nierozmyślne słowa słyszeli i Formoza je także słyszała. Usłyszał je także i Gniewosz i zaraz wstał, dając przez to znak biesiadnikom, ażeby także wstawali. Zaczem podał sam rękę Formozie i przeprowadził ją do drugich komnat, a inni także za nim ruszyli.

Widać, że Gniewosz miał wielkie znaczenie

u króla i wiedział, co robi, bo król wprawdzie nie wstał, ale się za to nie rozgniewał, że inni wstali, owszem, trzymając Pachnę za rękę, jeszcze kilka chwil z Wilczkiem rozmawiał. A rozmówiwszy się, skinął na Tigranesa, aby przystąpił do niego. Spojrzawszy zaś na niego, choć niewiadomo, czy przez małmazję dobrze go widział, rzekł do niego łaskawie:

— Powiada mi Wilczek, że, chociaż jesteś synem kupieckim, chciałbyś służyć wojskowo, a nawet masz swoich żołnierzy.

A na to Tigranes odpowiedział mu bardzo wymownie i pięknie:

— Najjaśniejszy panie! Ja jestem synem kupieckim, ale moi ojcowie bawili się dawniej także rzemiosłem rycerskiem i z bronią w ręku przyszli do Polski, a tylko dlatego, że w kraju, wtenczas obcym dla siebie, nie mogli być między rycerzy przyjęci, musieli się zająć rolnictwem, przemysłem i handlem. Wszyscy pragną jaknajgoręcej, ażeby mogli do swego dawnego stanu powrócić i służyć swojemu nowemu królestwu krwią swoją i zdrowiem. Zaszczytu tego nie każdemu dostąpić, bo i do herbu dziś przystęp niełatwy i zawód rycerski wielkich wymaga nakładów. Ja tego rzemiosła uczyłem się przez lat kilka po cudzych krajach i dworach, a z łaski mojego ojca majątku mi także nie braknie; ale czego mi brak, to łaski mego najjaśniejszego króla i pana, ażeby mi pozwolił własną wysztyftować chorągiew i stanąć u niego na służbę, choćby i w rzędzie ostatnim.

Więc król go wdzięcznie wysłuchał i rzekł najprzód do Wilczka:

— Mizerny chłopak napozór, ale mu wymowy nie braknie i poczciwe ma sentymenty.

A potem powiedział Tigranesowi:

— Dziękuję za dobre chęci, a to tem bardziej, ile żem nie czuł w tobie żołnierza. Aleć to i Łokietek nie był większym od ciebie, a przecie daj nam Boże każdemu oddać temu królestwu takie przysługi. Więc przygotuj sobie, co trzeba, a jak zaczną gadać o wojnie, co pono niebawem nastąpi, to zgłoś się do nas, pomieścimy cię wedle naszej możności.

Tigranes padł do nóg królowi, jak długi, i zalał się łzami wdzięczności, toż i Kijas uścisnął pańskie kolana, król im się obronił; zaczem Kijas objął swojego syna w ramiona i spłakał się nad nim. Ale zaraz go zaprowadził do najbliższej komnaty, gdzie Kamieniecki, Wilczek i Kergolaj wzięli go między siebie, winszując mu łaski królewskiej i nauczając go, jak ma teraz sobie poczynać.

Król został sam z Pachną przy stole. Nikt na nich nie zwracał uwagi, takie podobno hasło dał Gniewosz; tylko Kundrat, chociaż się bawił z innymi w przyległej komnacie, co chwila rzucał ukradkiem swój wzrok ciekawy do izby jadalnej, spodziewając się może, że ujrzy tam jakie niezwykłe widowisko, a może i gryząc wargi z niecierpliwości.

Gniewosz, chcąc uwolnić Formozę od słuchania niemiłych jej rozmów, a które teraz, jako znał króla, mogły się stać i śliskie cokolwiek, zaszedł z nią aż do trzeciej komnaty. Formoza dała mu się chętnie prowadzić, bo serce jej było przepełnione wdzięcznością dla niego, którą radaby była jak najprędzej mu wypowiedzieć. Jakoż, jak tylko

znaleźli się w trzeciej komnacie, sama go ścisnęła za rękę i rzekła głosem dźwięcznym i całkiem swobodnym:

— Dziękuję waszej miłości z całego serca, żeś mnie od tej niemiłej kompanji uwolnił. Jaki mój mąż jest, taki jest, zawsze to mój mąż, a kto ludzkie ma serce, ten nie powinien go poniewierać w mej obecności. Ile razy kto o tem zapomni, zawsze sama staję w jego obronie, ale tym razem ubliżył jemu ktoś taki, który ma przywilej poniewierania ludzi bezkarnie. Wasza miłość pierwszy spostrzegłeś, że, chociaż krew zakipiała we mnie, byłam bezbronną, i z szlachetnością rycerską zlitowałeś się nade mną; winnam mu wdzięczność i rada to wyznaję, że będę mu ją winna przez całe życie.

Przemowa ta sprawiła na Gniewosza przejmujące wrażenie: jeżeli dotąd widok pięknej Formozy tylko zaprószył mu serce, to teraz w tem sercu obudziło się uwielbienie dla wspaniałego i wcale rycerskiego umysłu tej wyniosłej kobiety, która z takiem zrzeczeniem się siebie dopełnia swojego obowiązku względem swojego męża. Pod tem wrażeniem Gniewosz już nie wypuścił jej ręki z swojej gorącej dłoni i rzekł z zapałem:

— W tej najszczęśliwszej chwili mojego życia jestem najnieszczęśliwszym z ludzi! Bo, kiedybym rad życie moje waszmość pani poświęcić, nie wiem, azali będzie przyjętem...

Na to Formoza wysunęła swą rękę z jego dłoni i powiedziała głosem, drżącym od żalu:

— Na tym świecie są dusze sobie pokrewne, które muszą spotkać się z sobą. Ale, kiedy los jest im zawistnym, spotykają się z sobą za późno. Je-

stem sakramentem związaną z innym i przysięgi mojej złamać nie mogę.

— Jeśliby była wola po temu — zawołał Gniewosz — to sakrament nie będzie przeszkodą. Są przecie rozwody...

Formoza nigdy nie myślała o rozwodzie, nie miała do tego żadnego powodu. Teraz ta myśl oświeciła jej umysł, jak błyskawica, i całem jej wnętrzem zatrzęsła. Umiała jednak zapanować nad sobą i rzekła spokojnie:

— Nie wiem, czy w tym wypadku, gdzie mnie nikt do zamęścia nie zmuszał i gdzie nie mam żadnej winy do zarzucenia mojemu mężowi, rozwód byłby możebny.

Tu Gniewoszowi błysnęła myśl, którą zrazu odrzucił, potem walczył ze sobą przez okamgnienie, aż wreszcie zwyciężył się, zdobył się na odwagę i rzekł:

— Jeżeli prawdą jest, co ludzie mówią, to rozwód jest pewny.

Na te słowa Formozie krew uderzyła do twarzy, że się stała prawie ponsową, ziemia się pod nią zachwiała; ale i jej nie brakło odwagi, więc, chociaż oczy spuściła ku ziemi, odpowiedziała:

— Prawda.

Natenczas Gniewosz nie umiał już zapanować nad sobą, porwał jej rękę i zawołał głosem pełnym radości:

— Więc jesteś moją!

A porwany najwyższym szałem, tym szałem wszechmocnym, co, jak orkan na morzu porywa okręt olbrzymi i jak łupinę orzecha unosi ze sobą, porwał krucyfiks, który stał na małej szafce pod ścianą i, podniósłszy go w górę, zawołał:

— Przysięgam tobie na ten krzyż Pański i na mój honor rycerski, że póty na żadną kobietę nie spojrzę, dopóki kapłan tego Chrystusa Pana nie połączy nas ze sobą na wieki! Resztę zaś mnie pozostaw: będę umiał uszanować twoje zacne uczucia i wszystko sam zrobię.

Więc Formoza ścisnęła go z całej siły za rękę i rzekła:

— Moje gorące modły towarzyszyć ci będą; niechaj ci Pan Bóg pomaga.

Tak się odprawił ten ślub cywilny ówczesny — jakże niepodobny do ślubów cywilnych dzisiejszych — pomiędzy szlachetnym młodzieńcem i szlachetną kobietą; zaczem uszczęśliwieni oboje i pełni wiary w swą przyszłość szczęśliwą, przeszli do pierwszej komnaty, gdzie Tigranes opowiadał swoim słuchaczom, jak uzbroi i jak ubierze swoje chorągiew i jak będzie nią gromił Wołochów, Tatarów i Turków.

Jak obaczył Formozę, przypomniał sobie nareszcie, że ma żonę, którąby jego szczęście mogło obchodzić, przyskoczył więc do niej i zaczął jej opowiadać, jaką miał mowę do króla i co mu król odpowiedział.

Jednak Formoza tym razem słuchała go z miernem zajęciem, cieszyła się jego szczęściem, ale z umiarkowaniem.

Gniewosz zaś zajrzał przez próg do izby jadalnej. Tam waleczna Pachna już całkiem króla zdobyła, poddał jej się widocznie na łaskę i niełaskę; jedną ręką obejmował jej ramiona, drugą trzymał jej rękę w swej dłoni, a spieczonemi gorączką ustami szeptał jej jakieś tajemnice do ucha. Tak szeptał jej jeszcze przez chwilę, poczem, usły-

szawszy zapewne kroki Gniewosza, obejrzał się, wstał, spróbował nogami, czy ziemia kupy się trzyma, i zawołał:

— Gniewosz! Czas pono do domu.

Zaczem wszyscy żegnali się z gospodarzami, dziękując im za gościnę i wyszli. Formoza wcale nie żegnała się z królem, natomiast Pachna wyszła razem z wszystkimi, licząc zapewne na to, że który z mężczyzn ją odprowadzi. Kiedy stanęli przed kamienicą, obaczyli kwoczkę na niebie, jako już stała z północy, ale na ziemi niewiele widzieli, bo noc była ciemna. Przy bramie stał Frącek Ajchingier z halabardnikami, ale pochodni jeszcze nie zapalił, bo go nie uprzedzono. Gniewosz dał mu znak ręką, aby stał cicho, sam zaś się oglądał za królem. Ale obaczył Kamienieckiego, Kergolaja i Wilczka koło siebie; Łopatka był także, ale, nalany małmazją nad miarę, trzymał dzielnie kamienicę Kijasa w obydwóch rękach, aby mu się nie wypsnęła, bo pewnieby gruchnęła na ziemię, i coby król na to powiedział? Ale króla nie było. Natenczas Gniewosz wytężył wzrok naokoło i dostrzegł o kilkanaście kroków dwa cienie: jeden kobiecy, a drugi męski, jak, przytuliwszy się do siebie, oddalały się szybkim krokiem ku Halickiej ulicy. I sztuczny Kergolaj dojrzał je także, a spojrzawszy mieniącemi się oczyma na Gniewosza, klasnął w ręce i zawołał:

— Wierz tu kobiecie!

Ale Gniewoszowi nie było do śmiechu, bo przecież na nim spoczywało bezpieczeństwo osoby królewskiej. Spojrzał więc na Łopatkę, jako na miejscowego starostę, lecz, obaczywszy go w takich miłośnych z kamienicą Kijasa objęciach.

machnął ręką i rzucił okiem na Ajchingiera. Zaczem go wziął za guzik od jego czerwonego kaftana i rzekł:

— Umiesz ty milczeć?

— Podług rozkazu — rzekł Frącek.

— Idźże więc, kędy król poszedł, i tam stań, ale tak, aby nikt cię nie widział, zaś twoich halabardników porozstawiaj o kilkanaście kroków jeden od drugiego od tego domu, gdzie król jest, aż do samego zamku. I tak stać będziesz, aż póki król do zamku nie wróci.

Taki mu Gniewosz dał rozkaz; rozkaz nielitościwy dla wielbiciela Pachny, jeśli miał serce. O tem wszakże trudno się było od niego dowiedzieć, bo był zawsze milczący i w sobie zamknięty. Cóżkolwiekbądź, rozkaz z sumiennością niemiecką wykonał. Gniewosz zaś poszedł na zamek, ale nie kładł się do snu, tylko siadł na kamieniu przy bramie zamkowej i tak dosiedział do rana.

Jeszcze dopiero mało co świtać zaczęło, kiedy król przyszedł. Był lekki i kontent, i wesół, jak rzadko, wziął Gniewosza za rękę i zaprowadził go do swojej sypialni. Tam zaś rzekł, śmiejąc się, do niego:

— To cały djablik ta wasza Pachna. Niechże ich piorun trzaśnie tych lwowskich Rusinów, jakie mają kobiety! Nie wiem, jakim się stało sposobem, żem dotąd o tem nie wiedział; byłbym ich częściej nawiedzał.

Gniewosz milczał.

— A ty? — mówił król dalej. — Bo i tyś tam nie próżnował w tej ormiańskiej fortecy. Kobieta to, jak wieża z słoniowej kości, i patrzy z góry na człeka, jak wieża. Ale co się komu podoba. Nie

dziwię ci się zresztą, żeś sobie w niej upodobał, bo wcale wspaniała, a pono i w korcu makuby takich drugich dwoje nie dobrał. Cóżeś tam zrobił?

— Najjaśniejszy panie, — rzekł Gniewosz poważnie — jeśli mam prawdę powiedzieć, to jestem z nią po słowie.

— Po słowie? — zawołał król, śmiejąc się głośno. — Jakto? A przecież sameś mi powiedział, że to kobieta zamężna, chyba, żeś skłamał.

— Jużci zamężna — rzekł Gniewosz — ale mam w Bogu nadzieję, że ją rozwiodę. Są kanoniczne powody, a przedewszystkiem rachuję na łaskę mojego króla i pana.

— Siadajno — powie mu król, któremu wcale spać się nie chciało, a sprawa ta bardzo go zaciekawiła — siadajno, a powiadaj mi, jak to tam jest.

Gniewosz nie chciał go wtajemniczać we wszystko, a przeto starał się tylko przekonać go, że, jeżeli on zechce, to władze kościelne mu nie odmówią rozwodu. Król, kochający go szczerze, słuchał go bardzo uważnie i pilnie nad tem rozmyślał, poczem, jako człowiek uczony i znający na palcach historję swojego kraju, zawołał najprzód:

— Co tam władze kościelne! My tu jesteśmy na Rusi, a tutaj wszystkie prawa inaczej się praktykują. Ona jest katoliczka, a mąż jej jest prawosławny, pewnie nie w katolickim kościele ślub brali, więc już to samo wystarczy — a nawet i biskupa do tego nie trzeba. Jeśli mnie pamięć nie myli, to temu lat właśnie czterdzieści Odrowąż, wojewoda ruski natenczas, rozwiązał z własnej swej mocy ślub taki pomiędzy Protaszem z Chodorostawu a Fedką Rusinką, podobno nawet z domu

Łopatyczówną, jak Pachna. Gdzie jest Łopatka? Wołaj go tutaj, on nam to dokładniej opowie.

Tu Gniewosz musiał, chcąc nie chcąc, powiedzieć królowi, że Łopatka się właśnie z kamienicą Kijasa ożenił i pewnie się jeszcze dotąd nie rozwiódł, więc król się śmiał do rozpuku, a potem zawołał:

— Ot, co tam! Bądź dobrej myśli, już ja to biorę na siebie. A zresztą, kiedyby już całe inaczej nie można, to ci żonę kupimy. To naród kupiecki, handluje wszystkiem, nawet towarem kosmatym. Więc my jej męża zrobimy szlachcicem, a choćby nawet rycerzem, a on ci za to żonę odstąpi.

Więc Gniewosz niezmiernie się rozradował, otworzył swe serce przed królem i opowiadał mu wszystkie swe tajemnice.

A wtedy całkiem już rozedniało i słońce już wzeszło, a razem ze słońcem wszedł giermek i oddał list Gniewoszowi, mówiąc, że z tym listem goniec od jego matki w nocy przyjechał; powiada, że rzecz bardzo pilna, i chciał się sam do komnat dobijać. Gniewosz list prędko przeczytał i jakoś mu się twarz przeciągnęła. Król spytał, co stoi w liście.

— Matka moja jest na zamku sobieńskim — rzekł Gniewosz — i prosi, ażebym, nie czekając, zaraz do niej przyjeżdżał dla jakichś pilnych spraw familijnych. Jestem pewny, że niemasz tam nic tak pilnego, jeno, że stąd bliżej na Sobień, niż do Czorsztyna, więc chciałaby z tej okazji skorzystać i zobaczyć się ze mną.

— To jedź — rzecze król łaskawie. — Zawsze lepiej, że ty tam pojedziesz, niżeli, żeby ona tu przyjechała. Usłyszałbyś niejedno kazanie, a jesz-

cze i mnieby się przytem co oberwało. Jedź, mam przecie Wilczka, który ciebie zastąpi. Słuchajże, Gniewosz, ja tutaj co najmniej z jakie dwa tygodnie zabawię, ten tedy czas możesz sobie na Sobniu przesiedzieć, ale potem już wracaj, albo tu, albo też do Krakowa, gdzie właśnie będę. Kiedyż wyjeżdżasz?

— Zaraz — rzekł Gniewosz — ażebym jutro stanął na Sobniu.

Więc król położył rękę na jego ramieniu i rzekł:

— Jedźże zdrów, a wracaj nam prędko.

Gniewosz pokłonił się królowi i wyszedł do antykamery, ażeby dworzanom królewskim i paziom wydać instrukcję, a zarazem zdać służbę Wilczkowi. Zastał tam wszystkich, a z nimi Wilczka i Kergolaja, którzy codziennie rano musieli się stawić w antykamerze, ażeby się dowiedzieć, jakie są na ten dzień królewskie rozkazy. Gniewosz opowiedział im, że wyjeżdża i zdał swój urząd Wilczkowi. Wilczek na to westchnął głęboko i rzekł:

— Wolałbym ja jechać na Sobień za ciebie! Myślałem już, że się wyrwę i co najpóźniej razem z Kamienieckim odjadę, a ono, jak widzę, całą wieczność mi tu przyjdzie przesiedzieć.

Wszelako prawie jednocześnie z Wilczkiem zawołał Kergolaj:

— Ty jedziesz na Sobień? Słysz, Niewosz, nie poróbże tam jakich plotek na mnie przed panną Jagienką. Bom ja po różę dla niej pojechał, a tymczasem się tutaj zabawiam. Powiedzże jej co rozumnego, powiedz jej, że mi król kazał zaczekać na siebie we Lwowie...

Na to Wilczek spojrzał z pogardą na Francuza i rzekł szyderczo:

— Już tam Jagienka usycha za twoją różą!

Jednak Gniewosz nie zważał wcale na słowa Francuza, a odpowiedział Wilczkowi:

— I jabym się chętnie z tobą pomieniał. Ale to niedługo się będziesz męczyć tą służbą. Za dwa tygodnie powrócę i zdejmę z ciebie ten ciężar...

To rzekłszy, pożegnał się z nimi, a kazawszy swoim żołnierzom nagotować się wlot do podróży, pobiegł do kamienicy Kijasa, aby się i tam jeszcze pożegnać. Formoza przyjęła tę smutną wiadomość z żalem, ale ze zwykłym sobie spokojem. Gniewosz znalazł sposobność szepnąć jej kilka słów pocieszających do ucha, z których powzięła, że jego wczorajsza przysięga nie wypłynęła z dymów malmazji, lecz z głębi serca, a jego umysł rycerski jej służył za świadka i będzie służyć za stróża. Formoza o tem nie wątpiła ani na chwilę, ale usłyszeć te same słowa nazajutrz, w dzień biały, było dla niej nieocenioną pociechą. Żegnać się, zawsze to smutno: ale dwa tygodnie, to dla cierpliwych mgnienie oka. Pożegnali się zatem prawie wesoło i Gniewosz jeszcze przed południem odjechał.

Wilczek został się na służbie przy królu, jak pies na obroży. Każdy inny na jego miejscu, a zwłaszcza tak młody, byłby się czuł uszczęśliwionym, otrzymawszy urząd marszałka przy królu, a zarazem zwierzchnictwo nad jego paziami, pomiędzy którymi znajdowali się: Melsztyńcy, Koniecpolscy, Zbarascy, Herburtowie, Górkowie i inni synowie najświetniejszych rodzin królestwa; ale jemu ściskało się serce z tęsknoty i, jak śmiertelna rana, go to bolało, że tak wyjechał z zamku

na Sobniu prawie bez pożegnania, na dzień lub na dwa dni, a wpadł w taką długą niewolę, która nawet nie wiedzieć kiedy się skończy. Wprawdzie Jagienka kazała go przez Ramułta bardzo uprzejmie pozdrowić i, o ile to mogła, dać mu do zrozumienia, że tęskni za nim i wie bardzo dobrze, co to jest rozkaz królewski; Wilczek kazał sobie przez Ramułta jej słowa po dwa i trzy razy na dzień powtarzać, bo zawsze w nich wielką znajdował pociechę; ale gdzież jest pociecha na tę miłośną tęsknicę, która dopiero wtedy znika, kiedy się ukochaną osobę żywemi oczyma obaczy? Wilczek był chmurny, milczący, szorstki w obejściu, a nawet cierpki dla swoich podwładnych. Zanadto dumny, ażeby się komu zwierzył ze swoich boleści, cierpiał z godnością, nie pozwalając nikomu ani się nawet domyślać, jaki nielitościwy robak serce mu gryzie. Przezwyciężał się mężnie wobec obcych, ale kiedy był sam, to czasem taka go brała niecierpliwość, że byłby był wszystko wytrzaskał, co miał koło siebie, byłby był gotów samego króla znieważyć, nieraz nawet wśród nocy bezsennych przychodziła mu myśl wcale szalona, wszystko porzucić, uciec z Niskiego zamku i polecieć na Sobień. Rano te rozpaczliwe uczucia znowu go porzucały i znowu swe bole w sobie zamykał, pełniąc swą służbę z chmurą na czole, ale jak gdyby nic nigdy nie było.

Kamieniecki, który wiedział o wszystkiem, mógłby był go pocieszyć; ale Kamieniecki był znacznie starszy od niego, żonaty i ojciec dzieciom, nie miał dla takich bolów i tęsknot dosyć żywego współczucia, natomiast zaś był pełen osobistych ambicyj i pełen troski o sprawy publiczne,

po całych dniach zatem był zajęty politycznemi dyskursami ze szlachtą, nawiedzającą króla, a nawet po całych nocach śnił tylko o politycznych i wojskowych projektach. Kamieniecki zresztą jeszcze mu kilka razy powtórzył, że, jak tylko się od służby uwolni, pojedzie w swaty na Sobień. Kamieniecki, człek słowny, więc było w tem właśnie tyle pociechy, ile Wilczek mógł słusznie od niego wymagać.

Tymczasem w mieście zaczął się coraz żywiej objawiać ruch bardzo przyjazny dla króla. O jego nocnych wycieczkach nikt nic nie wiedział; gdyby nawet były jakie plotki o tem chodziły, to nie byłyby mu żadnej ujmy przyniosły: ówcześni mieszkańcy miast bardzo liberalnie zapatrywali się na obyczaje. Natomiast zaś wszyscy byli zdania, że król jest bardzo rozumny, uprzejmy, uczynny, dobry dla wszystkich — i bodajby Bóg zawsze karał Polskę takimi królami. Do rozniesienia takich sentymentów dla króla najwięcej przyczynił się Kijas, który się uniósł uczuciem wdzięczności dla niego za jego łaskawość dla Tigranesa, ciągle przedniejszych mieszczan odwiedzał i przyjmował u siebie, wszędzie wychwalał wspaniałość i dobroć królewską i ustawicznie podnosił myśl, że należałoby uczcić tego dobrego pana jakimś świetnym festynem, ażeby się przecie przekonał, jakich wiernych poddanych ma w mieście Lemburgu — a co się im także bez wątpienia nagrodzi, bo to pan szlachetny i hojny i zawsze oddaje dobre za nadobne. Jakoż już w parę dni po wieczerzy Kijasa myśl ta się powszechnie przyjęła i chodziło już tylko o to, jakby ten festyn urządzić.

Tu wszakże Francuz, któremu nigdy koncep-

tów nie brakło, przyszedł mieszczanom z pomocą. Zdaje się, że Kergolaj miał także w tem jakiś interes, ażeby króla jak najlepiej zabawić. Nie miał on już zamiaru powracać ani do Włoch, ani do Francji, pragnął w Polsce pozostać, ale tu jeszcze odpowiedniej pozycji nie znalazł. Był wprawdzie królewskim rotmistrzem, ale bez chorągwi, a takie rotmistrzostwo *in partibus* nie mogło mu odpowiadać. O dwie rzeczy mógł się pokusić: albo o pełną chorągiew przy boku królewskim, albo o kasztelanję, z którą razem otrzymałby przynajmniej w razie wojny dowództwo nad pospolitem ruszeniem całego powiatu. Ale jedno i drugie zależało od łaski królewskiej, którą potrzeba było sobie zaskarbić. W tym celu przemyślny Francuz już królowi Pachnę odstąpił, a może tylko na czas jego lwowskiego pobytu pożyczył, ale to jeszcze niewielka usługa, trzeba oddawać mu inne. Zaczem, jak tylko się dowiedział, że miasto chce festyn wyprawić dla króla, poddał Kijasowi myśl przedstawienia na ratuszu misterjum i ofiarował sam tekstu dostarczyć i urządzić całą scenerję. Myśl ta została przyjęta przez całą miejską starszyznę z jednogłośnym oklaskiem: król lubi igrzyska, mówiono, będzie nam wdzięczen za taką grzeczną rozrywkę, a przytem też i miasto się przystojnie zabawi. I już się chciano z tą myślą udawać do księży dominikanów.. Ale Kergolaj przeciw temu zaprotestował, mówiąc:

— Niechże Bóg broni! Dominikanie mają same stare misterje, co już się naszym pradziadom znudziły, chyba, że chcecie, ażeby król na nich poziewał. Ja mam najnowsze misterje francuskie, które tej zimy, kiedym chorował w Krakowie, przetłu-

maczyłem na język polski, a które chciałem grać na zamku królewskim, jeno, że mi tego królewicz Fryderyk zakazał. On sam byłby pozwolił, bo się zna na tem, ale jego kanonicy go na mnie naszczuli, mówiąc, że człowiek świecki nie ma misterjami się parać, bo to jest przywilejem osób duchownych. Otóż ja z tych misterjów co najpiękniejsze wybiorę i całe przedstawienie sam wam urządzę.

Więc mieszczanie z Kijasem na czele, wysłuchawszy go i wyrozumiawszy gruntownie, kiwali jeden za drugim głowami i z wielkim respektem mu dziękowali za łaskę, prosząc go przytem, aby nie szczędził wydatków, byle tylko miasto się pokazało przed królem.

Kergolaj tedy zaraz się wziął do roboty i przez noc bardzo piękne ułożył misterjum, w które objął trochę rzeczy dawniejszych, ale dodał także i nowszych, jakie dla ożywienia takich przedstawień scenicznych niedawno pomyślano we Francji. Misterjum to zaczynało się starym zwyczajem od tego, że Bóg Ojciec siedzi na tronie, kiedy Chrystusa Pana krzyżują za sceną i bardzo budujący prowadzi dialog z aniołami. Potem występują na scenę cztery główne cnoty chrześcijańskie i trzy cnoty teologiczne, z drugiej zaś strony występuje siedem innych postaci, które przedstawiają siedem grzechów głównych; pomiędzy temi dwoma zastępami wywiązują się dialogi, w które Kergolaj włożył bardzo wiele rzeczy dowcipnych, ażeby się król niemi zabawił; potem wprawdzie między cnotami a grzechami wszczyna się bitwa, w której chwilami ten i ów grzech niby jest górą i o mało, że cnoty nie pobił, z czego się wyradzają sceny nadzwyczajnie komiczne, ale nakoniec cnoty tłuką

wszystkie grzechy na miazgę, spędzają je z teatrum i otrębują zwycięstwo.

Kergolaj czytał główniejsze sceny Kijasowi, Kijas niektóre zanadto pieprzne wyrażenia grzechów osłodził, ale całość pochwalił i pod przewództwem Kundrata oddał mu wszystkie swoje magazyny i wszystkich swoich kupczyków do dyspozycji, ażeby mu zwłaszcza aniołów nie brakło, których młodzież sklepowa mogła doskonale udawać. Kergolaj zatem dał Kundratowi jak najdokładniejsze instrukcje, poruczył mu zbudowanie sceny przed ratuszem, sporządzenie ubiorów i dekoracyj, a nawet i co do wyboru osób, mających przedstawiać rozmaite figury, całkiem się spuścił na niego. Tak postępując, dał mu dowód swojego zaufania i zachęcił go do roboty, ale nie wiedzieć, czy dobrze to zrobił, że Kundratowi taką ważną rolę w tem przedsiębiorstwie wyznaczył i czy nie przyniesie to jakiej ujmy samej reprezentacji.

Cóżkolwiekbądź, w tydzień potem, albo mało co więcej, kiedy już wszystkie ubiory były uszyte, dekoracje wymalowane i wszystkie inne przybory gotowe, a aktorowie dobrze swe role umieli i już się miano zabierać do budowania teatru, Kijas na czele przedniejszych mieszczan udał się w deputacji do króla, aby go na to misterjum zaprosić. Król już był o tem uprzedzony sekretnie, więc przyjął deputację bardzo uprzejmie, przyrzekł, że na misterjum przyjedzie, a nawet zapowiedział jej, że tego dnia po południu da wielki obiad na Niskim zamku i zaprosił nań zaraz miejską starszyznę. Radość więc była wielka pomiędzy mieszczany i w całem mieście oczekiwano z niecierpli-

wością dnia tego, który się miał na wieczne czasy upamiętnić w annałach miasta.

Nareszcie nadeszła owa tak niecierpliwie oczekiwana niedziela. Już zaraz z południa niezliczone tłumy ludności napełniły cały rynek tak gęsto, że ledwie się można było przez nie przecisnąć. Wszyscy podziwiali misterną strukturę sceny, która przed główną bramą ratusza była zbudowana z desek na wysokości prawie pół sążnia nad brukiem; scena była wysoko płótnem żaglowem nakryta, po bokach zaś zasłoniona czerwonemi firankami, gdzie były schody, przez które aktorowie mieli wstępować na scenę. Po jednej i drugiej stronie sceny, która była otoczona drewnianemi balustradami, powbijano w ziemię drewniane słupy, większe i mniejsze, na większych powiewały chorągwie z herbami króla, miasta Lwowa i ziem ruskich, na mniejszych były przymocowane kosze żelazne, napełnione łuczywem. Po obydwóch rogach sceny stały beczki ze smołą, które miano zapalić podczas reprezentacji. W głębi sceny stał tron wyzłocony, otoczony ze wszystkich stron białemi chmurami, zrobionemi bardzo zmyślnie z cieniutko rozczesanej bawełny. Takież chmury, poprzyczepiane do płóciennego dachu, spuszczały się z góry na tron, za którego plecyma było jeszcze jedno wyjście przez schody w bramę i w dziedzińce ratusza. Zgoła było to wszystko tak piękne i tak zrobione misternie, że publiczność nie mogła się dosyć nadziwić i bardzo żywo o tem gwarzyła na rynku.

Ale jeszcze się ten nic urodził, coby wszystkim dogodził, były więc i krytyki. Ten ganił to, drugi owo, a byli i tacy, co samę myśl naganiali, mówiąc,

że świeckim ludziom misterjów grać się nie godzi, że to jest przeciwko dawnym obyczajom, a nawet przeciw kanonom. Takiego zdania jest arcybiskup, bo, chociaż go zaproszono, przecie odmówił. Jakiś ksiądz albo pielgrzym, znajdujący się między gminem, powiadał, że arcybiskup nawet rybałtom zakazał mieszać się do tego misterjum, ale ktoś drugi, lepiej rzeczy świadomy, zaprzeczył temu, utrzymując napewno, że właśnie rybałci grać będą trzy cnoty teologiczne i niektórych aniołów. Inni opowiadali, że księża dominikanie zanieśli prośbę do króla, ażeby tego misterjum zakazał, a ich teolog jemu, jak na dłoni, wyłożył, że przedstawienie świętych tajemnic przez ludzi świeckich jest świętokradztwem, a nawet infrakcją w przywileje duchowne, ale król pono im powiedział: „że on także jakieś ma przywileje, w które dominikanie swojego nosa wtykać nie mają". Zaczem kiedy i franciszkanie przyszli z tem samem do niego, już ich wcale przed siebie nie puścił. W innych grupach widziano mnichów, jako coś wykładali ludowi, i uważano, że po takim wykładzie lud się rozchodził; ale i Kundrat szył także, jak raca, pomiędzy ludem, a gdzie on się pokazał, tam lud się znowu gromadził i wracał na rynek. Rzecz oczywista, że Kundrat, jako reżyser, musiał dbać o to, ażeby publiczność jaknajliczniej gromadziła się na to widowisko, które tyle pracy go kosztowało.

Dzień ten zdawał się wszystkim niezmiernie długi, ale przecież nakoniec się zmierzchać zaczęło. O zmroku pozapalano kagańce, łuczywa i beczki ze smołą i oświecono cały rynek, jak we dnie. Ten sposób oświetlania teatru kopcił cokolwiek, ale wcale nie psuł efektu, owszem przeciwnie: czarne

chmury dymu, otaczające scenę z zewnątrz, doskonale harmonjowały z białemi chmurami, porozwieszanemi na scenie, zwłaszcza, że rzecz dzieje się w niebie, znajdującem się w chmurach. Na widok światła otworzyły się okna wszystkich kamienic, otaczających rynek, i napełniły widzami, toż i cały rynek napełnił się ludem, który gęsto, jak zbożem na łanie, otoczył scenę i trzy fronty ratusza. Uliczne hultajstwo powyłaziło na słupy, na balustrady i na dach samegoż teatru, ażeby zbliska przypatrzeć się widowisku. Na żądanie niecierpliwej publiki musiano nawet przed rozpoczęciem widowiska porozsuwać boczne firanki, ażeby otworzyć widok sceny na wszystkie strony.

Niebawem przybył król konno, z całym swym dworem, i stanął naprzeciw sceny. Z konia mógł lepiej widzieć całe teatrum — stawiania ławek, piętrzących się jedna, na drugą lub zgoła trybun dzisiejszych jeszcze wtedy nie znano. Po lewej stronie króla stali na koniach: kasztelan i Łopatka, po prawej Kamieniecki i Wilczek, dalej kilkunastu szlachty, zaproszonej przez króla, a wreszcie żołnierze królewscy, dworzanie i młodzi paziowie, bardzo ciekawi tej tragedji francuskiej, napisanej przez Kergolaja, którego dla jego dowcipu mieli w wielkim respekcie. Przyjechał także Olizar, ale, jako nienależący do królewskiego dworu, a przeto muszący mieć swój dwór własny, przybył na czele dwunastu kozaków, w bardzo piękne mundury poubieranych. Lud, widowiska ciekawy, chciał mu bronić przystępu, ale Olizar zrobił sobie rum koniem, a jego kozacy bardzo wygodne uczynili mu miejsce, wymiatając lud nahajkami, które, jako broń narodową, zawsze mieli za pasem. Dla konsu-

lów miasta i innych mieszczan przedniejszych poustawiono stołki przy balustradach, oddzielających scenę od publiczności, pomiędzy nimi mieściły się, jak mogły, ich zacne matrony i córki, a zresztą ten i ów także przyniósł stołek dla swojej żony, niektórzy nawet poprzynosili stoły i powysadzali na nie swoje żony i dzieci. Frącek Aichinger i *consul nocturnus,* lubiący porządek, bardzo kiwali głowami na tę swawolę, ale się odzywać nie mogli, bo król zakazał wszystkim drabom, tak zamkowym, jak też i miejskim (tak niegrzecznie nazywano wówczas policję), przeszkadzać widzom, bo chciał, aby dnia tego lud się bawił swobodnie.

Lud też przez wdzięczność powitał króla przeciągłym okrzykiem i ruchem bałwanowatym, jako fale na morzu, bo każdy chciał go zobaczyć; ale zaledwie się te bałwany uspokoiły, odezwał się dzwon za sceną wewnątrz ratusza — i zaczęło się widowisko.

Tu zaraz na samym wstępie stał się cud cale dziwny, którego nikt sobie nie umiał wytłumaczyć, bo, kiedy publiczność na odgłos dzwonu odwróciła oczy od króla na scenę, to tam na owym próżnym dotychczas tronie między bawełnianemi chmurami już siedział Bóg Ojciec — a nikt nie wiedział, jak się tam dostał. A że Boga Ojca — boć rolę tak ważną trudno miał komu innemu powierzyć — grał sam Kergolaj, o czem już wszyscy wiedzieli, więc obok szmeru zdziwienia odezwały się także różne uwagi pomiędzy ludem. Jedni mówili: Djabeł nie Francuz; — drudzy zaś dodawali: Pewno, że charakternik, jak wszyscy Francuzi; trzeci zaś, mniej ukształceni, pytali: Jest li to sam Bóg Ojciec, czy jaki święty? — na co odpowiadali

uczeńsi: Może być Bóg Ojciec albo też *Juppiter tonans,* bo trzyma piorun w swych ręku.

Tymczasem Kergolaj był wcale imponująco ubrany: miał długą białą brodę z bawełny i złotą koronę na głowie, suknię białą fałdzistą z szerokiemi rękawy i cały pęk błyskawic przy sobie, bardzo misternie wyciętych z pozłocistego papieru. Oparty wygodnie o tył czerwono wyścielonego tronu, tymczasem spał sobie.

Jednak niebawem schodami z obydwóch stron zaczęli wchodzić na scenę aniołowie rozmaitego wieku i wzrostu. Były pomiędzy nimi wyrostki, inni mniejsi, a wreszcie i małe chłopięta, wszyscy biało ubrani, ci ze skrzydłami, a drudzy bez skrzydeł, jeden niósł lutnię, drugi harfę, a trzeci trąbę mosiężną. Pomiędzy widzami szeptano sobie, że są to poprzebierani rybałci, którzy grać będą hejnał przed Bogiem Ojcem. Jakoż istotnie teraz odezwała się muzyka, ale za tronem, muzyka bardzo cichutka, jak gdyby tylko wiatr przebiegał po harfach, ale tem głębsze czyniąca wrażenie: publiczność przycichła, jak mak siał, a nastrój jej podniósł się bardzo wysoko.

A wtedy wyszedł wielki anioł na scenę z długiemi skrzydłami u ramion i długim wężykowatym mieczem w prawicy, pokłonił się nisko przed Bogiem Ojcem i rzekł:

— Boże Ojcze, żydzi twojego syna krzyżują!

Na to Bóg Ojciec się zbudził, ale oczy tylko przez połowę otworzył; temi nawpół przymrużonemi oczyma spojrzał chmurnie na anioła i zawołał:

— Czego mnie budzisz, gałganie! Idź sobie do djabła i daj mi spokój!

Anioł zeszedł ze sceny. Król się głośno roze-

śmiał, a za nim jego wszyscy dworzanie; ale pomiędzy publicznością zaczęto szemrać i sarkać. Dwóch mieszczan, przy samej balustradzie stojących, zaczęło się nawet spierać ze sobą, a jeden z nich, w dużym birecie niemieckim, rzekł głośno:

— Nie godzi się przecie, ażeby jakiś Francuz, co nawet Bóg wie, kto on tam jest, tak poniewierał aniołów Pańskich.

Ale drugi odpowiedział mu na to:

— Jaki z waści symplicjusz! Przecie to nie Francuz mówi, jeno Bóg Ojciec, a przecie panu wolno wytuzać swojego sługę, kiedy co zbroi.

Więc pierwszy zrozumiał i rzekł:

— A, to Bóg Ojciec obruszył się na anioła, — więc tedy niema co mówić.

Mimo tej eksplikacji, szemranie wciąż trwało, czem jednak Bóg Ojciec nie dał się wcale zbić z tropu i grał dalej wybornie swą rolę. Jakoż, kiedy anioł zeszedł ze sceny, on się znów oparł o tył swojego tronu, zamrużył oczy i zasnął, a we śnie tak mówił:

— „Już mi tu św. Piotr tyle nawpuszczał tych aniołów, że przez nich ani się nawet wyspać nie mogę. Zmyję ja jemu za to jego łysinę, jak go obaczę; jeno, że się kryje przede mną, pewno znów co przeskrobał. Albo może żydów nawraca, jako to jego jest pasja. Djabli mnie tam po żydach wychrzczonych! Jeszcze ani jeden z nich się tutaj nie dostał...“

Kergolaj bardzo pięknie odegrał ten ustęp, bo zrazu mówił głośniej, potem zaś, jako człowiek usypiający, głos zniżał, a ostatnie słowa już tylko wyszeptał, że ledwie je można było dosłyszeć. Znawcy też bardzo admirowali tę grę wyborną

i kiwali głowami; ale pomiędzy publicznością, na nieszczęście aktorów, znawców bardzo niewiele, więc znowu szmer poszedł po niej i głośne sarkanie. Mieszczanin w birecie znów się oburzył i zaczął wołać:

— A co to mówić o św. Piotrze z takiem lekceważeniem? Myć jemu łysinę? A jakie-to prawo ma Francuz do tego?

Naprożno jego sąsiad znowu go zrobił uważnym na to, że to nie Francuz mówi, tylko Bóg Ojciec, mieszczanin wszakże trwał ciągle przy swojem i mruczał dalej:

— A potem, dlaczego żydom przygania? My z nimi żyjemy w zgodzie. — Bodajby wszyscy się nawrócili!...

Taki rozgowor odzywał się także po innych miejscach, z czego już było widocznem, że to misterjum publiczności się nie podoba, a bardzo wielu nawet oburza. Nuż wtedy krzyknął ktoś z tłumu ogromnym głosem:

— Ej, panie Francuz! Trzymaj ty lepiej twój język na smyczy, a nie powiadaj bluźnierstwa, bo my ci tu prędko zaswędzimy pod nosem, a jeszcze i tobie się co dostanie, choć Boga Ojca udajesz!

Nie można było dociec, kto to tak wołał, choć wszyscy za nim się obejrzeli; niektórzy tylko się domyślali po głosie, że miał to być kaznodzieja księży dominikanów. Kergolaj jednak mało dbał o dominikanów i grał dalej bez przerwy.

A wtedy ów anioł z wężykowatym mieczem znów wszedł na scenę. Teraz się jeszcze niżej Bogu Ojcu pokłonił, ale zaraz się wyprostował i wielkim głosem zawołał:

— Boże Ojcze, twojego syna już żydzi ukrzyżowali!

Natenczas Bóg Ojciec zerwał się z tronu, jak oparzony, i krzyknął:

— Jakto? Mego syna już ukrzyżowano? Niechże mnie wszyscy djabli wezmą... a jam nic o tem nie wiedział!

Kergolaj miał zapewne dalej coś deklamować, ale już nie dokończył. W tej chwili bowiem hałas taki się wzniósł między publiką, jak gdyby pod nią samo piekło zawrzało. Ów mieszczanin w birecie (powiadano potem jakoby to miał być szwagier Kundrata) pierwszy na stołek wyskoczył, a zaperzywszy się, jak indyk i, grożąc pięścią Kergolajowi, ogromnym głosem zawrzeszczał:

— To herezja! A co to! Nie potrzebujemy tu takich misterjów! To *contra fidem!*...

Ale już dalej trudno i jego było dosłyszeć, bo w tej chwili lud cały od tej strony ratusza przewalił się, jak fala, ku scenie; pod jego naciskiem balustrada pękła z trzaskiem, jak szkło, poprzewracano kobiety i dzieci, wśród ogromnego hałasu, wylatującego z tysiącznych gardzieli, dał się słyszeć krzyk, jęk, pisk pokaleczonych ludzi, a jednocześnie kilkudziesięciu hultajów wpadło na scenę i rzuciło się z pięściami i maczugami na tron Boga Ojca. Pod ciężarem tej masy zaczęły deski trzeszczeć na scenie, a tymczasem ktoś rzucił zapalone łuczywo na chmury, bawełniane chmury się zapaliły, płomienie rzuciły się na dach płócienny, który także się zajął, a tak śród tego pożaru hultaje ci przewrócili tron z Kergolajem i wszystko to przewaliło się w bramę ratusza. A wtedy nikt już

nie wiedział, co się tam działo; słychać tylko było hałas i trzask ogromny i razy pałek, które tam tak gęsto, jak grad, na kogoś leciały. Bóg Ojciec już tam pewnie leżał na ziemi, lecz może być, że i aniołom Pańskim się trochę tych pałek dostało.

Król patrzał na tę ubijatykę i śmiał się, że aż się trzymał za boki, a jego dworacy także się śmieli. Ale był tam ktoś między widzami, któremu szemrania i wykrzykiwania publiki już z samego początku się nie podobały, bo przeszkadzały mu patrzeć i słuchać spokojnie tak pięknego misterjum, zaś jak tylko obaczył Kergolaja w niebezpieczeństwie, zaraz mu przyszedł z sukursem. Tym zacnym człowiekiem był Olizar. Olizar, czy to w poczuciu, że sam był rycerzem francuskim, czyli też szczerą dla Kergolaja uniesiony przyjaźnią, jak tylko usłyszał trzask balustrady i obaczył publikę, walącą się na scenę, zaraz zeskoczył z konia i dziesięciu swoim kozakom zsiąść kazał i na ich czele, z nahajkami w prawicy, rzucił się naprzebój ku scenie. Waląc na prawo i na lewo i nie zważając wcale, kogo wytnie nahajką, konsul nie konsul, a choćby nawet i pielgrzym z muszlami, porozbijał to tałatajstwo, zrobił rum sobie i wdarł się z kozakami na scenę. Wtedy to właśnie scena się zawaliła i chmury się zapaliły. Kozacy padali na ziemię, a tu się iskry im sypią na głowy, tron już się zwalił wraz z Kergolajem w bramę ratusza, pałki się sypią na Boga Ojca i na aniołów, ale Olizar przecie się przebił, całą masę hultajstwa zamiótł przed sobą i zniknął w bramie za sceną. Przez palące się rusztowania i dachy nie można było dojrzeć, co się tam dalej stało w bramie i w dziedzińcu ratusza.

Król, widząc, że bójka trwa ciągle za sceną, zawołał na Wilczka:

— Wilczek! Weź-no trochę żołnierzy i paziów i uspokój te nieporządki.

Zaczem Wilczek konno się rzucił w płomienie, za nim żołnierze i pazie, wymietli resztę publiki, a niebawem i sami zniknęli w szerokiej bramie ratusza.

Poczem król ruszył się także i odjechał, markotny, na Niski zamek, rozmawiając po drodze z Kamienieckim i z kasztelanem.

Wypadek ten wprawdzie wielu zabawił, a wszystkich rozerwał, ale przecie nieprzyjemne zostawił po sobie wrażenie. Cóżkolwiekbądź, zawsze to nie było zaszczytem dla miasta taką burdę wyprawić w obliczu króla. Zaczem przedewszystkiem władze starościńska i miejska zakazały wszelkich z tego powodu procesów i zaniechały wszelkich dochodzeń, kto temu był winien, ażeby o tem nie gadano i nic nie pisano. Tak uduszono tę sprawę i nigdzie po niej żaden ślad nie został. Jakoż i dzisiaj niktby o niej nie wiedział, gdyby nie to, że w aktach sądowych miejskich znalazł się pozew, z późniejszej cokolwiek daty, w którym czytamy w języku łacińskim: „jako żyd Nuchim pozywa Jana Feliksa de Kergolay, *ex stirpe Kmytharum,* który przy reprezentacji misterjów został poturbowany i leczył się z guzów w jego gospodzie, o zapłacenie dziewięciu złotych węgierskich". Jednak pomimo przygłuszenia tej sprawy, dalszy pobyt we Lwowie już króla nie cieszył, jakoż w parę dni potem zabrał się z całym dworem i do Krakowa powrócił.

Ale kto temi wypadkami był najwięcej zdzi-

wiony, to Kijas. Mądry ten człowiek, który zawsze wszystkiego chciał rozumem dochodzić, nie mógł żadnym sposobem dociec, dlaczego się ta spokojna a tak dobroduszna publiczność lwowska tym razem tak nagle zburzyła.

— Ktoś te ekscesy nastroił, i ktoś je wywołał — mówił on sam do siebie — bo przecież umysły nie mogły się zburzyć takiem misterjum, które, jak sam to widziałem, prawie dosłownie jest przetłumaczone z francuskiego konceptu, a które we Francji ciągle prezentują i zawsze ku wielkiemu zadowoleniu króla, panów tamtejszych i wszystkich spektatorów.

Kijas spodziewał się, że mu Kergolaj to wytłumaczy, ale Kergolaj, na teraz przynajmniej, nie miał wcale ochoty wdawać się w konwersacje.

Albowiem, kiedy Olizar, rozbiwszy publikę, dotarł do niego, to zastał go, leżącego w bardzo opłakanym stanie na ziemi. Broda, mocnemi sznurkami przywiązana do uszów, jeszcze się wprawdzie trzymała, ale była osmalona do niepoznania, korona zdarta z głowy, a na głowie guzów bezliku; ta piękna suknia fałdzista na strzępie podarta, a pioruny nawet i djabli wiedzą gdzie się podziały. Olizar kazał swoim kozakom zebrać go z ziemi, ale kipiał na jego widok ze złości — i słusznie, bo czy to słychana rzecz, ażeby taka miejska hołota śmiała tak fatalnie sturbować takiego walecznego rycerza. Olizar nigdy niczego nie dowodził rozumem, ale miał ów przedziwny instynkt kozacki, który często prawdę wykrywa daleko prędzej, niż rozum; więc i on także, tak jak i Kijas, miał to uczucie, że te ekscesy ktoś musiał sztucznie nastroić.

Ale kto taki?

Kiedy omdlałego Kergolaja zbierano z ziemi, Kundrat był przytem i sam kozakom pomagał. Tak bardzo chytrze sobie postąpił, bo tym sposobem od siebie podejrzenie odsuwał, jakoby on to nastroił.

Ale przy takiej chytrości trzeba umieć zupełnie nad sobą panować, a Kundrat tego nie umiał. Pochyliwszy się nad Kergolajem i pomagając go podnieść, kiedy Kergolaj jęknął, on, nie mogąc powstrzymać swojej z tego uciechy, rozśmiał się szyderczo. Na jego nieszczęście, Olizar ten śmiech dosłyszał i wyraz jego twarzy obaczył — a wtedy zaraz żelazną ręką chwycił go za łeb i krzyknął:

— *To ty, psiawiro, nawaryw toho borszczu!*

A jako prędki był z niego kawaler, razem z tym wykrzyknikiem ściągnął go nahajką po jego różowych policzkach. Kundrat z bolu aż przysiadł do ziemi, ale przytomności nie stracił, wypsnął mu się z ręki i zaczął w kąt dziedzińca uciekać. A wtedy Olizar za nim i, jak długo starczyło dziedzińca, prażył go swoją nahajką: ile mu ich wsypał, nie można się było dokładnie dowiedzieć; jedni mówili, że tylko pięćdziesiąt, ale drudzy utrzymywali, że się cała kopa zmieściła.

Kergolajowi, który, choć stał już na nogach, jeszcze nie był całkiem przytomny, chciano nalać w nos okowity, co jest najskuteczniejszym środkiem na omdlenie; ale on, jak tylko obaczył, z jaką energją i sumiennością Olizar Kundratowi plecy garbuje, zaraz otrzeźwiał, a nawet się rozśmiał.

I bardzo słusznie, bo tym sposobem, chociaż

cnota cierpiała niewinnie, jednak występek został ukarany.

Kundrat to może cokolwiek za drogo okupił, bo kopa nahajek, choćby nawet niespełna, zawsze to cena wysoka; ale za tę cenę uwolnił się od podejrzenia, jakoby to on wywołał te ekscesy. Albowiem potem nikt o tem nie wiedział, a nawet i Olizar się nie przyznawał do tego, że to on go pobił w dziedzińcu; powiadano tylko, że razem z Kergolajem został pobity — a kiedy pobity, to oczywiście niewinny.

Kergolaja przyniesiono na płaszczach do jego gospody i położono na łóżku; poczciwy Kijas przysłał mu pierzyn, a zarazem i butel prawdziwej greckiej oliwy, aby się nią wysmarował; Olizar zaś już wcale go nie odstąpił i po bratersku pilnował, póki się nie wyliże. Choroba jego trwała z jakie dwa tygodnie albo więcej, ale nareszcie rycerska natura zwyciężyła te guzy, które zresztą byłyby go daleko mniej bolały, gdyby był je otrzymał w turnieju od równego sobie rycerza, niżeli w tym razie, gdzie podły gmin się poważył podnieść rękę na niego. Ale i na to się znalazło lekarstwo: nim bowiem jeszcze zupełnie wyzdrowiał, przyniesiono mu list z kancelarji królewskiej, w którym król mu wyraża swą kondolencję i zaprasza go, ażeby zaraz do Krakowa przyjechał, jak tylko stanie na nogach. Miał jeszcze jednę troskę niemałą, bo wydał wszystkie pieniądze, któremi miał odbyć swą podróż do Jeruzalem, a jeszcze i długów narobił w gospodzie i w mieście, ale na to mu znowu Kijas poradził, pożyczając mu dostateczną sumę pieniędzy na owe pięćdziesiąt grzywien, które mu Kmita był winien.

Tak więc jednego dnia mógł spokojnie i z czystem sumieniem kazać zatrąbić na odwrót ze Lwowa. Już jego namiestnik rozpłacił się z żydem, już jego żołnierze siedzieli na koniach, już jego biały ogier stał osiodłany przed bramą, już nawet pożegnał się z Olizarem, ściskając mu rękę powyżej kostki, przysięgając mu przyjaźń dozgonną i polecając mu Pachnę jego czułej opiece — a Nuchim stał jeszcze przy nim, patrzał mu w oczy i przestępował ciągle z nogi na nogę, jakgdyby mu chciał coś powiedzieć, a nie śmiał.

— Czegoż ty tak patrzysz na mnie zpodełba? — rzekł Kergolaj do niego, niecierpliwiąc się także, że go podsłuchuje. — Możeś niekontent, że wyjeżdżam spokojnie, a nie zostawiam ci parę guzów na pamiątkę po sobie?

Na to żyd, uśmiechnąwszy się, powiedział grzecznie:

— Jeszcze mi się coś za osobisty rachunek od jegomości należy.

— Patrz! Byłbym zapomniał w tem roztargnieniu — zawołał Kergolaj do Olizara, a potem do żyda: — Ileż ci się należy?

— Dziewięć czerwonych złotych — powiedział Nuchim.

— Zaraz ci to zapłacę! — zawołał Kergolaj, a to mówiąc, chwycił za rękojeść swojego miecza, aby go z pochwy wyciągnąć.

Żyd zbladł, jak ściana, a chwyciwszy Kergolaja za rękę, zawołał ze strachem:

— A co jegomość chce robić? Gwałt! To niekoniecznie zaraz płacić, to można i innym razem, to ja mogę poczekać...

— Ale ja twego czekania nie potrzebuję! Ja

ci zaraz zapłacę! — krzyknął Kergolaj i znowu chwycił ręką za miecz.

Ale teraz już Nuchim porwał go obydwiema rękami za rękę i, trzęsąc się cały, a udając, że niby się śmieje, zaczął niezrozumiale bełkotać:

— Gwałt! Naco to? Jegomość mnie nie zrozumiał. Ja tylko tak żartem powiedział, że kto inny byłby jegomości narachował... Ale ja? Chowaj Boże. Mnie już namiestnik zapłacił... Ja kontent, że jegomość u mnie nocował... Niech Pan Bóg szczęśliwie prowadzi.

— Jak nie chcesz, to ja cię gwałcić nie będę — rzekł Kergolaj. — Miejże mnie w dobrej pamięci.

Nuchim jeszcze go podprowadził, a zginając się przed nim we dwoje, rzekł jeszcze w bramie cokolwiek złośliwie:

— Niech Pan Bóg da wielkie szczęście po drodze.

Kergolaj zatem wsiadł na koń i Olizar już miał wsiadać, ale przecie nie mógł wytrzymać, ażeby sobie z żyda nie zadrwił, przyskoczył więc do niego, trącił go w bok i zapytał:

— A ty, głupi żydzie, czego ty nie brał zapłaty?

— Nu — rzecze żyd dumnie, widząc już Kergolaja na koniu — dziękuję za taką zapłatę; milszą mi moja szyja, niżeli dziewięć dukatów.

— Ale ty, głupi żydzie, przecie on nosi dukaty w pochwie od miecza! — zawołał Olizar i, śmiejąc się z żyda, wsiadł na koń i z Kergolajem odjechał.

Żyd zbladł znowu, jak ściana, ale tym razem z żalu i targał sobie pejsy ze złości, a potem Kergolajowi proces wytoczył.

Olizar odprowadził Kergolaja aż do św. Jura

i gwarzył z nim wesoło przez drogę, chwaląc Lwów, jako jest zabawny i wyrażając nadzieję, że Kergolaj znowu niebawem tutaj zawita. Ale Kergolaj jakoś był chmurny, nie przeczył mu przez grzeczność, ale przecież mruknął przez zęby: — „Lwów nie każdemu zdrów", a jam tu o mało duszą nie beknął... — Jednak to mu przypomniało przysługę, jaką mu oddał Olizar, zaczem jeszcze raz mu dziękował i pożegnali się bardzo serdecznie.

Po odjeździe Olizara Kergolaj puścił swoich żołnierzy naprzód, a sam jechał ztyłu, zwiesiwszy głowę i bardzo jakoś zamyślony. Jednak, wyjechawszy na wzgórze za św. Jurem, skąd całe miasto widać, jakby na dłoni, ocknął się, obrócił się z koniem ku miastu, podniósł ku niemu pięść zaciśnioną i zawołał:

— Bodajże cię piorun trzasł, panie Lemburg! Dałeś mi się dobrze we znaki. Daj Boże ci to odpłacić!

Dobrze, że Lwów nic o tem nie wiedział, bo byłby się pewnie okrutnie przestraszył.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.